

**Michael Marshall**  
**W otchłani zła**



## PROLOG

Jest późne lato, piękne popołudnie pięknego dnia. Mężczyzna stoi na tarasie otoczonego lasami domu, który piętnaście minut jazdy samochodem dzieli od Roslyn, miłego małego miasteczka w stanie Waszyngton. To wspaniały dom o konstrukcji z dębowych bali opartych na wygładzonych prądem rzeki głazach.

Są w nim zarówno przytulne wnętrza, jak i katedralne stropy tam, gdzie to się liczy. Taras, na którym stoi mężczyzna, jest szeroki, głęboki, otacza całą pierwszą kondygnację, a jego frontowa część wychodzi na zbocze, na którym, na rustykalnym drewnianym krześle, dziele pseudolokalnego pseudoartysty, siedzi kobieta, trzymając na rękach dziewięciomiesięczne dziecko, w tej chwili, o cudzie, spokojne i ciche. Dom i pięcioakrowa działka kosztują nieco poniżej dwóch milionów dolarów, mężczyzna jest ich szczęśliwym właścicielem, jest też szczęśliwy, że stoi na tarasie. Prawie cały dzień spędził w gabinecie, choć dzisiaj sobota, ale to w porządku, bo właśnie gotowość do pracy wieczorami i w soboty odpłaca domem takim jak ten i życiem w stylu, który do niego pasuje. Bo przecież jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Z tarasu rozciąga się wspaniały widok na bardzo duże, otoczone lasami jezioro, które miejscowi nazywają Murdo Pond. Sześćdziesiąt metrów łagodnego zbocza

porośniętego drzewami pagórka dzieli dom od jeziora, którego część leży w granicach posiadłości, więc mężczyzna może się uważać za jego właściciela, choć wydaje mu się to dziwne, bo czy można mieć na własność jezioro?

Mężczyzna ma na sobie dżinsową koszulę i szorty khaki. W rękę trzyma wysoką szklanę zimnego piwa, co jest wydarzeniem niezwykłym, bo rzadko pije w domu, w ogóle rzadko pije, chyba że interesy wymagają nawiązania serdecznych stosunków szybko i bez ceremonii, na skróty. Ale uznaje, że zasłużył sobie na nie i że piwo jest czymś w tej chwili i w tych okolicznościach stosownym, bo przecież o co warto walczyć, jeśli nie o odrobinę takiej przyjemności na tarasie takiego domu w dzień taki jak ten?

Widzi, że jego żona nie ma nic do picia, domyśla się, że miałyby ochotę się napić, już za moment poprosi, żeby coś jej przyniósł, ale jeszcze przez te kilka chwil stoi, zjednoczony z otaczającym go światem, czy raczej zjednoczony ze światem na tyle, na ile to możliwe, bo przecież musimy brać pod uwagę stopień komplikacji codzienności wraz z nieustępliwością nieugiętych ludzi, sytuacji i w ogóle. W tym momencie czuje powiew wiatru, niosący słaby, lecz pikantny zapach żółknących liści, i świat staje się jeszcze lepszy. A potem ta chwila ulatuje z wiatrem, nadchodzi czas działania.

Mężczyzna otwiera usta, by zapytać żonę, czego się napije.

Ale marszczy czoło i pyta:  
– A gdzie Scott?

\* \* \*

Żona podnosi głowę, patrzy na niego nieco zaskoczona, bo nie zorientowała się, że wyszedł na taras.

- Myślałam, że jest z tobą.
- Pracuje?
- Chodzi mi o to, że jest w domu.

Mężczyzna odwraca się i przez szeroko otwarte drzwi tarasu zagląda do salonu. Widzi dowody na to, że jego czteroletni syn tu był; rozrzucone po całej podłodze zabawki i książki, świadectwo przejścia maleńkiego, lecz gwałtownego huraganu, ale nie widzi syna. Schodzi z tarasu, przemierza salon krokiem niezbyt jeszcze szybkim, lecz już zdecydowanym. Syna nie ma w jego pokoju, nie ma go w kuchni, nie ma w pokoju rodzinnym, nie ma też w korytarzu przy frontowym wejściu, po przeciwnej stronie domu, miejscu niczym, które sobie zawłaszczył i gdzie czasami widzi się go skupionego na wykonaniu narzuconego samemu sobie zadania, niewątpliwie fascynującego, choć pozornie pozbawionego sensu. Wraca przez dom na taras. Porusza się nieco szybciej niż poprzednio. Żona wstała, trzyma dziecko na rękach.

- Nie ma go?

Mężczyzna nie odpowiada, sposób poruszania uznaje

za najlepszą odpowiedź na to pytanie. I tak też jest. Żona odwraca się, przebiega wzrokiem trawnik i skraj lasu. On sam przechodzi w prawy kąt tarasu, ale i stamtąd, z góry, nie dostrzega chłopca. Wraca i zbiega po schodach z cedrowego drewna.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni?

– Nie wiem. – Żona wygląda na poruszoną, a jemu przez głowę przelatuje myśl, że musi być bardzo zmęczona. Dziecko, braciszek Scotta, ciągle nie przesypia całych nocy i tylko jej pozwala uspokajać się nad ranem. – Może pół godziny temu? – ryzykuje. – Nim wyszłam. Był... no wiesz... był w tym miejscu.

Mężczyzna energicznie kiwa głową, woła Scotta po imieniu, ogląda się za siebie, na dom. Scott nie wychodzi na balkon. Żona nie wydaje się szczególnie zmartwiona, mężczyzna sam nie wie, dlaczego zaczął się denerwować. Scott jest dzieckiem samodzielnym, dobrze sobie radzi we własnym towarzystwie przez względnie długi czas, bawi się, czyta, rysuje, nie wymagając bliskości osoby dorosłej. Sam odbywa też spacerunki wokół domu, choć nie schodzi ze ścieżki i nie zagłębia się w las. Jest dobrym dzieckiem. Bywa niesforny, ale zna zasady i chętnie się do nich stosuje.

Więc gdzie się podziewa?

Mężczyzna zostawia zdezorientowaną, niezdecydowaną żonę na trawniku, a sam biegnie truchtem najbliższą wypielegnowaną dróżką prowadzącą do lasu i ruin starej chaty. Po drodze myśli jeszcze, że

przydałoby się ją zamieść. Wypatruje Scotta między drzewami, woła jego imię. Nie widzi syna, wołanie nic nie daje. Zawraca i dopiero wtedy dostrzega go, stojącego jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, nad jeziorem.

Choć nie są rodziną wodniaków, z działką i domem kupili mały hangar na łodzie wraz z dwudziestometrowym pomostem, a dwadzieścia metrów od brzegu Murdo Pond jest naprawdę głębokie. Syn stoi na końcu tego pomostu.

Na samym jego końcu.

\* \* \*

Mężczyzna woła żonę. Biegnie. Żona dostrzega go i rusza za nim powoli, niepewnie, bo z miejsca, w którym jest w tej chwili, nie widać pomostu, zasłania go kępa drzew, niemal czarna na tle wody, lśniącej bielą w promieniach popołudniowego słońca. A kiedy wreszcie zauważa syna, wykrzykuje głośno jego imię.

Scott nadal nie reaguje.

Mężczyzna dziwi się, że jego żona krzyczy tak głośno. Chłopiec umie pływać. Nie może być inaczej ze względu na sąsiedztwo dużego jeziora, choć jego woda nawet latem jest za zimna i trudno się w nim po prostu kąpać. Ale dziwi się także sobie, że biegnie, że skręcił ze ścieżki, przedziera się przez krzaki, nie przejmując się zadrapaniami, i też głośno woła syna po imieniu.

On i żona hałasują, lecz poza tym świat jest milczący,

nieruchomy i ciężki, jakby na chwilę stał się martwą sceną, jakby ruch liści otaczających ich drzew, drobnych wybiegających na brzeg fal i żyjących pod ziemią robaków zamarł na tę jedną chwilę.

\* \* \*

Mężczyzna przystaje na brzegu, tam gdzie zaczyna się pomost. Nie chce przestraszyć syna.

– Scott – mówi, uważając, by nie podnieść głosu.

Nie widzi reakcji. Scott stoi nieruchomo, trzyma stopy razem, ramiona ma opuszczone wzdłuż ciała, pochylił głowę, brodą niemal dotyka piersi i w ogóle wygląda tak, jakby uważnie obserwował coś znajdującego się dziesięć metrów od granicy pomostu, na powierzchni wody lub tuż nad nią.

Mężczyzna robi krok. Wchodzi na pomost.

Przybiega żona z kwilącym dzieckiem w ramionach. On podnosi rękę, nie chce, żeby krzyczała.

– Scott, kochanie. – Jej głos zachwyca spokojem. – O co ci chodzi?

Mężczyzna zaczyna się uspokajać. Nareszcie wie, co się dzieje z synem. Jeśli wpadnie do wody, nie szkodzi, umie pływać. Ale dusza ojca, a przynajmniej część duszy najbliższa istocie ojcostwa, zwija się i skręca z każdą mijającą sekundą coraz boleśniej. Dlaczego Scott nie odpowiada? Dlaczego tylko stoi, nic więcej?

Rodząca się, nieujawniona panika niewiele ma

wspólnego nawet z takimi pytaniami. Po prostu jest, skręca mu wnętrzności, jakby powiew delikatnego wiatru, który poczuł na tarasie, który zwał go stamtąd na ścieżkę i nad brzeg, chwycił je nagle jak w imadło i skręcał z każdą chwilą mocniej. Wydało mu się także, że czuje zapach, którego wcześniej nie czuł, jakby z wód Murdo Pond wydobył się bąbel gazu, groźnego, gęstego i słodkiego.

Mężczyzna robi krok po pomoście.

– Scott – mówi stanowczo – chcesz oglądać sobie jezioro, w porządku. Ale cofnij się, dobrze?

Odczuwa wielką ulgę, kiedy syn wykonuje jego polecenie. Cofa się i wreszcie odwraca. Powoli, drobnymi ruchami, jakby zdumiało go, że jest tu, gdzie jest, jakby ostentacyjnie demonstrował ostrożność.

Ma bardzo dziwną twarz.

Mija długa chwila, nim jego ojciec orientuje się, że nie jest fizycznie zniekształcona, że to przez jej wyraz, taki, jakiego nie zdarzyło mu się widzieć, świadczący o dezorientacji, o całkowitym zagubieniu w rzeczywistości.

– Scott... co ci się stało?

Chłopiec przytomnieje, patrzy na ojca, poznaje go.

– Tatusiu? – mówi tak, jakby coś go bardzo zdziwiło.

Dlaczego...

– Tak – mówi mężczyzna. – Tak, to ja, twój tata. Podchodzi do chłopca powoli, czuje, jak jeżą mu się włosy na karku, chociaż ma wrażenie, że temperatura wokół jeziora podskoczyła o dobre dwadzieścia stopni. –



Posłuchaj, nie wiem, co...

W tej chwili usta Scotta otwierają się powoli, a jego wzrok, omijając ojca, a może nawet go nie widząc, koncentruje się na granicy pomostu, na brzegu, na skraju lasu. Jest to spojrzenie tak przenikliwe, że nawet matka ogląda się za siebie, nie mając pojęcia, czego się spodziewać.

– Nie – mówi chłopiec. – Nie!

Pierwsze „nie” wypowiada cicho, drugie znacznie głośniej, a jego buzia zmienia się w sposób, który rodzice zapamiętają do końca życia. Nie jest już taka, jaką znają lepiej niż własne twarze, staje się maską przerażenia i bólu, niewyobrażalnie straszną u dziecka.

– Co... ?

– Biegnij, tato! Biegnij! – krzyczy Scott.

Mężczyzna biegnie ku niemu, słyszy, że jego żona też zaczyna biec, lecz nim go dopadnie, chłopiec przechyla się na bok, całym ciałem uderza o pomost, stacza się z niego i powoli, niemal z wdziękiem, wpada do wody.

Słońce chyli się ku zachodowi. Mężczyzna stoi na pomoście.

W ramionach trzyma dziecko.

Są przy nim policjanci; ten młodszy, ten starszy i inni, którzy pojawili się wkrótce po nich. Cztery godziny później koroner powie najpierw im, a potem rodzicom, że to nie przez upadek na pomost ani do wody.

Że chłopiec po prostu zmarł.

# CZEŚĆ I

*Dobrze byłoby móc zmienić przeszłość, kilka jej elementów, jeden tu, drugi tam, zwłaszcza akty oburzającej głupoty, ale gdyby można to było robić, przeszłość na zawsze pozostałaby zmienna.*

*Richard Brautigan*  
An Unfortunate Woman

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ted odnalazł mnie tuż po siódmej, za barem, pomagającego załatwić zaległe zamówienia, czyli piwo dla klientów czekających na tarasie, aż zwolni się stół w środku. W Pelikanie letni bar jest mały, ot, kawałek miejsca naprzeciwko ściany i dziury w ścianie, czyli wyjścia; Mazy i ja manewrowaliśmy tam z wdziękiem dwóch pierników próbujących zaparkować tyłem swoje kampery na jedynym wolnym miejscu parkingowym. Z trudem mieściła się tam jedna osoba, więc co tu mówić o dwóch. Choć Mazy jest ładna, fajna oraz wytatuowana i wypiercingowana w stopniu zdolnym wzbudzić zazdrość każdej osoby w odpowiednim wieku, ma pewne problemy z wydajną produkcją margarit, zimnych budweiserów oraz dietetycznych coli z podwójnym lodem, bez cytryny. Nie wiem, co takiego jest w piasku i oceanie, że na jego widok ludzie zaraz marzą o margaricie. Nawet w Oregonie, nawet we wrześniu.

– Nie złapałem tego małego dupka – burknął Ted. Twarz miał czerwoną i spoconą, rzadziejące włosy przykleiły mu się do czaszki, choć klimatyzacja działała całkiem, całkiem. Problem?

– Nie ma sprawy – powiedziałem.

Załatwiłem bieżące zamówienia, po czym wyszedłem do głównej sali restauracji. John Prine śpiewał cicho jedną ze swych starszych piosenek, przez panoramiczne

okno widać było szary chłodny ocean i w ogóle było tak, jak zawsze jest w Marion Beach.

\* \* \*

Dzień był niezwykle ciepły, jak na tę porę roku, ale z południowego wschodu wiała rześka bryza i większość klientów, zamiast zalewać się potem, miała tylko oczy zalanych. Niemniej jednak wraz ze zbliżającym się zachodem słońca powietrze zrobiło się nieruchome, ciężkie i doprawdy lepiej mi było w charakterze kelnera za murami niż przy piecu do pizzy z ich drugiej strony, co właśnie mnie czekało.

Piec do pizzy jest w Pelikanie względną nowością, pojawił się w nim wraz ze mną dziewięć miesięcy temu. W atmosferze kontrowersji zastąpił najlepsze stoliki, które od trzydziestu lat zwykli zajmować klienci lubiący sąsiedztwo owoców morza. Wiedziałem, że Ted nadal nie sypia po nocach, próbując obliczyć, czy koszt pieca opalanego drewnem i bezpośrednio związana z jego poniesieniem utrata dwunastu nakryć (które to dwanaście w te naprawdę dobre noce mnożyło się przez dwa lub nawet trzy) wyrówna kiedyś (kiedy?) ten prosty fakt, że pizzę kupi każde amerykańskie dziecko, choć większość z nich z najwyższym obrzydzeniem odnosi się do ryb. Żona Teda była święcie przekonana, że mąż popełnił wielki błąd, ale przekonanie to dotyczyło wszystkiego, co kiedykolwiek zrobił, więc sam Ted, choć szanował jej

opinię, nie był przygotowany przez życie, by traktować ją jako ostateczną. Przyzwoity z niego facet, ale to, jak mu się udało nie utonąć w odmetach biznesu restauracyjnego, zakrawa na cud. Rozpadająca się szopa wisząca nad płytkim, porośniętym sitowiem potoczkiem niechętnie zmierzającym ku morzu, ustrojonym przykurzonymi sieciami, plastikowymi bojami i przesadną liczbą drewnianych ptaków, od których wzięła nazwę, rozminęła się z modą tak bardzo, że awansowała na miejsce, do którego się wraca, bo tu chodziłeś jako dziecko albo kiedy dzieci były małe, albo... no, po prostu dlatego że. Należy jednak przyznać, że jedzenie zawsze było więcej niż w porządku.

Zrobiłbym dla Teda prostą arytmetykę pizzy, ale nie należało to do moich obowiązków. Nie należało do moich obowiązków także wypiekanie cholernych pizz, ale w ciągu ostatnich pięciu miesięcy zdarzało się, że zajmowałem miejsce Kyle'a, naszego pana i władcy o mocno wątpliwym tytule do władzy, kiedy spóźniał się na wieczorną zmianę. Kyle ma dwadzieścia dwa lata. Żyje z Becki, najmłodszą z pięciu córek właściciela. Dziewczyna miała uczyć się w zaledwie tolerowanej kalifornijskiej szkole jakiejś gównianej odmiany wykorzystania zasobów ludzkich, ale wyleciała z hukiem, nim drzwi zdążyły się za nią zamknąć. Wróciła do domu i nie robiła nic, jeśli nie liczyć intensywnego udziału w zabawach na plaży i palenia marihuany w towarzystwie przyjaciela nie tylko nieumiejącego zrobić przyzwoitej pizzy, do której

ciasto zagniół rankiem nielegalny Ekwadorczyk, ale w dodatku niezdolnego do wypełniania swych trudnych obowiązków sześć wieczorów w tygodniu. Teda doprowadzało to do takiej furii, że po prostu nie mógł nawet o tym myśleć (a tym bardziej się tym zająć), więc Kyle wtopił się w krajobraz i został jego elementem, nieusuwalnym niezależnie od tego, z jakim zapalem testował granice tolerancji na beznadziejnych przystojnych fiutów.

Jeśli nie było go, gdy ktoś zamówił pizzę, ja obracałem za niego ciastem, a któryś z kelnerów wypełniał lukę spowodowaną moim ubytkiem. Nie protestowałem. Okazało się, że lubię rozprawiać sos pomidorowy kolistym kontemplacyjnym ruchem, rozsądnie gospodarując mozzarella, bazylią oraz kawałkami pepperoni, langusty czy kurczaka pesto, a następnie wsuwać dzieło na łopacie do opalanego drewnem pieca. Nie naśladowałem polityki szefa, nie dorzucałem dodatkowych ingrediencji dobranych mniej lub bardziej przypadkowo, co nazywał „sztuką” (uczył się tej sztuki przez jakiś tydzień tam, gdzie przyjęto by i psa, gdyby zapłacił za semestr z góry), a co ja uznawałem za skutek zaprawienia 24/7. Trzymałem się dodatków według przepisu, dzięki czemu opinie od stolików były w większości pozytywne. Moje pizze były także okrągłe, a Kyle’a nie, ale to się oczywiście nie liczyło. On był facetem od pizzy, a ja, John, kelnerem. Nie jakimś tam specjalnym, tylko zwykłym, szarym i prostym, jednym z

wielu. Łatwym do wymienienia. Na niekończącej się praktyce.

Bardzo mi to odpowiadało.

\* \* \*

Nasz cudowny chłopiec pojawił się godzinę później, dostawa na miejsce kabrioletem, który wjechał na parking efektywnym poślizgiem, by natychmiast zniknąć w chmurze wzbitego przy tym kurzu. Poszedł do szatni, przebrał się i wrócił, cały drżący.

– Miło, że wpadłeś – powiedziałem, zdejmując fartuch, taki specjalny, do pizz. W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, czy Kyle się spóźnia, czy nie. Ja tylko wypełniałem obowiązek.

Nie wolno dopuścić, by współtowarzyszom pracy na samym dole łańcucha produkcji żywności uchodziło na sucho każde gówno, bo wówczas tylko gówna można się po nich spodziewać.

– No nie... tego... wiesz... – Kyle sprawiał wrażenie zdezorientowanego. – No... to moja praca.

Na coś takiego nie znalazłem właściwej odpowiedzi, więc zszedłem mu z drogi i wróciłem do podawania do stołu. Dowiadywałem się, czego chcą klienci, wciskałem im specjalności zakładu. Dostarczałem zamówienia do kuchni. Wszczynałem produkcję panierowanych krewetek, mieczników z grilla, koryfen z patelni oraz słynnej sałatki z miodowo-jabłkowym winegretem.



Przynosiłem dania wraz z drinkami i życzeniami smacznego. Wracałem dwukrotnie sprawdzić, czy wszystko w porządku, i wymienić wodę z lodem. Przyjmowałem gotówkę, czeki, płatności kartą kredytową, odwzajemniając się miętówkami i pocztówkami z Pelikanem. Powtarzałem gościom, że miło było ich widzieć, radziłem, by prowadzili ostrożnie, wycierałem stół dla następnych: rodziny, młodej pary, trójki pomarszczonych staruchów celebrujących sześćdziesięciolecie wzajemnej niechęci.

Po dwóch takich cyklach wieczór się skończył, posprzątaaliśmy i zaczęliśmy zbierać się do domu.

\* \* \*

Było już ciemno. I bardzo wilgotno, z powietrzem jak oddech wielkiego rozgrzanego psa, który cały dzień pił morską wodę. Kiwałem głową na do widzenia kolejnym przerdzewiałym wrakom, mijającym mnie ze zgrzytem na zwirowym zjeździe do Pelikana i skręcającym w drogę numer sto jeden, w prawo lub w lewo.

Wszyscy kucharze wpakowali się do wiszącego nisko, poobijanego kombi. Kierowca pożegnał mnie rzuconym pro forma złym spojrzeniem. Zakładałem, że mieszkają razem gdzieś, w Astorii albo Seaside, oszczędzają i wysyłają pieniądze do domów, ale nigdy z żadnym nie rozmawiałem, więc niczego o żadnym z nich

nie wiedziałem.

Wyszedłem na drogę i nagle zauważyłem, że parę metrów za plecami mam Kyle'a. Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Dokądś się wybierasz?

– Jasne, oczywiście. – Uśmiechnął się z wyższością. Kontrola misji już jest w drodze, a gdzieś tam dalej mają wielką imprezę. To w twoją stronę, więc możemy cię podrzucić.

Zawahałem się. Moje trzy kilometry z hakiem na północ załatwiałem na ogół na piechotę. Ludzie o tym wiedzieli i uważali mnie za półgłówka. Patrząc na ich młode, pełne nadziei twarze i zastanawiam się, czy spytać, co ich zdaniem powinienem robić z czasem, ale nie chcę nikogo przestraszyć. Nie chcę także myśleć o sobie jako o kimś, kto już nie jest młody. Tylko że trzydziestopięciolatek wśród dzieciaków świeżo awansowanych z trójkołowych rowerków ma prawo czuć się kimś, do kogo się zwróca, kiedy przyjdzie im ochota wysłuchać relacji z pierwszej ręki o kształtowaniu się płyt tektonicznych.

Sam spacer jest całkiem przyjemny. Idzie się poboczem, z drogą po prawej, dalej sześć metrów rzadkiej trawki i skaliste pagórki. Po lewej mija się dojazdy na parkingi bardzo małych kondominiów i domów wypoczynkowych w stylu retro, najwyżej trzy kondygnacje, barwy obowiązkowo pastelowe lub białe z akcentami błękitnymi, nazwy koniecznie typu Mewa,

Fala, Pasat. Albo pięćdziesięciometrowe działki, ciągnące się aż do prywatnych domków plażowych. Albo długie odcinki krzaków i wydm.

Ale dziś nogi mam zmęczone, chcę już być w domu, a poza tym istnieje różnica między robieniem czegoś po swojemu a manifestowaniem bardzo niesympatycznej przekory.

– Byłoby wspaniale – powiedziałem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Trzydzieści sekund wystarczyło, byśmy obaj przekonali się dobitnie, że poza czterema ścianami Pelikana gówno mamy sobie do powiedzenia. Kyle sięgnął do kieszonki koszulki i wyciągnął skręta. Zapalił, zawahał się i podał go mnie. Zaciągnąłem się, w imię dobrych stosunków towarzyskich, i już wiedziałem, dlaczego jego pizze są takie straszne. Jeśli tym się rutynowo sztachał, cud boski, że był w stanie ustać na nogach.

Popalaliśmy w milczeniu przez może dziesięć minut, oczekując na chwilę natchnienia. Dość szybko pożałowałem, że nie zdecydowałem się na spacer. Mógłbym zejść wydmami na plażę, nad brzegiem, bliżej wody i fal, gdzie z pewnością nie jest tak strasznie duszno.

– Będzie padać – powiedział Kyle nagle, ni w pięć, ni w dziewięć, jakby miał w uszach słuchawki i jakby ktoś polecił mu przez nie przerwać milczenie i podrzucił kwestię.

Skinałem głową.

– Mnie też się tak wydaje.

Po kolejnych pięciu minutach pojawił się, na szczęście, samochód Becki, jakby rzucony na asfalt przez rozgniewanego Boga. Drogę hamowania miał krótką, krótszą, niż wydawało mi się to możliwe. Rachunek

zapłaciły opony.

– Hej – rzuciła dziewczyna, nie wyjmując papierosa z ust. – Wieczny Wędrowiec pozwolił się podrzucić samochodem. Co za zaszczyt!

Uśmiechnąłem się do niej.

– To był długi dzień.

– Słowa, słowa, słowa, mój panie. No, wskakuj pan.

Zająłem miejsce z tyłu. Chwytałem się, czego się dało, podczas gdy dama przekraczała prędkość światła. Kyle chyba już wiedział, że nie powinien rozmawiać z panią swego serca, gdy obsługuje skomplikowany mechanizm, a ja chętnie się do niego dostosowałem i cieszyłem się powiewem wiatru mimo towarzyszących mu groźnych przeciążeń.

Nasza podróż nie trwała długo. Sto metrów przed miejscem, w którym zamierzałem wysiąść, poklepałem Becki po ramieniu.

– Co?

– To dobry moment, żeby zacząć hamowanie – krzyknąłem!

– Jasne.

Kopnęła hamulec. Wyskoczyłem. Radio ryknęło, nim zdążyłem wylądować na obu nogach. Becki niedbale machnęła ręką na pożegnanie i jej samochód znikł w perspektywie drogi.

To wybrzeże jest nocą bardzo ciche. Od czasu do czasu przemknie jakiś pick-up, rycząc silnikiem, muzyką i bezsensownym wyciem, czasami wyrzucając też z siebie

puszkę po piwie, toczącą się drogą z charakterystycznym brzękiem, ale przeważnie słysząc tylko szmer fal za łańcuchem wydm. Nim docieram do domu piechotą, dzisiejszy wieczór w restauracji wydaje się wczorajszym, zesłotygodniowym, coś w tym rodzaju. Tworzy się długi łańcuch wydarzeń bez związku z następstwem dni, tylko że dni jednak po sobie następują.

W końcu odwróciłem się i poszedłem do domu. To jeden ze starszych w tej okolicy letnich domków, po obu stronach ma puste zarośnięte działki. Składa się z dwóch połączonych ośmioboków, co komuś, kiedyś, zapewne około 1973 roku, musiało wydawać się dobrym pomysłem. W rzeczywistości oznacza to tylko, że deszcz i morskie powietrze mają więcej kątów, w które mogą się wciskać, ale widok z niego jest piękny, można zejść wytyczoną ścieżką od drzwi, między wydmami, aż na plażę, no i nic mnie nie kosztuje. Niedługo po przyjeździe spotkałem faceta o imieniu Gary. W Ocean's, barze odległym niespełna kilometr od Pelikana. Gary właśnie się rozwiódł, a do Oregonu przyjechał jakoś sobie wszystko poukładać. Jeden rzut oka wystarczał, by stwierdzić, że beznadziejna flauta dopadła go na wewnętrznym morzu świeżych rozwodników: błędny wzrok, rzadkie spojrzenia wprost w oczy, każde nieuchronnie przywodzące na myśl oszalałego kapitana, samotnego na skazanym na zagładę statku, wczepionego w koło sterowe i beznadziejnie próbującego powstrzymać jego nieopanowane obroty. Czasami mężczyźni i kobiety

tacy jak on tracą kontrolę, a wtedy spotykasz ich w barach, piją za dużo, za szybko i zbyt hałaśliwie, w ich oczach zaś nie tańczą wesołe iskierki, ale przeważnie jakoś się trzymają, i niewiele więcej. Opierają się smagającym ich wichrom, patrzą przed siebie, daleko, na coś, co pewnie uważają za przyszłość.

To spojrzenie rozpoznaję bezbłędnie. Między nami zaskoczyło, postawiliśmy sobie po piwie, spotkaliśmy się jeszcze parę razy, a potem Gary wrócił na wschód. Krótko mówiąc, zostałem jako ktoś w rodzaju dozorca, choć dozorca nie był tu szczególnie potrzebny. Mieszkam w tym domu, od czasu do czasu zostawiam zapalone światło, pokazuję się na dworze, co być może zmniejsza szanse, że jakiś dupek się tu włamie.

Łatam dziury w dachu i mam zadzwonić do Gary'ego, gdyby mniejszy ośmiobok, ten z dwoma sypialniami, zapadł się bardziej na betonowych słupach pomagających mu utrzymać się na piasku. Przy silniejszym wietrze człowiek czuje się tu jak na statku. To niepokojące wrażenie, ale konstrukcja ma szanse wytrzymać jeszcze przez jakiś czas. W teorii mam wynieść się stąd i ustąpić miejsca właścicielowi, kiedy przyjedzie, ale od dwóch lat się nie pojawił. Rozmawiałem z nim przez telefon, przed trzema miesiącami, bo potrzebowałem pozwolenia na wymianę siatkowych drzwi. Złapałem go w Bostonie, mieszkał z nową kobietą i sprawiał wrażenie ostrożnie zadowolonego z życia. Przypuszczam, że dom na plaży stanowi część

jego przeszłości, z którą nie jest jeszcze gotowy się rozstać, a także inwestycję w przyszłość, nie całkiem spisana na straty. Ale to się zmieni, prędzej czy później, no i pewnie zamieszkać gdzie indziej.

Wszedłem do domu, otworzyłem wielkie przesuwne drzwi i wyszedłem na taras. Z pewnym opóźnieniem uświadomiłem sobie, że dziś piątek. Oczywiście wiedziałem o tym wcześniej. W pewnym sensie. W piątki w restauracjach zawsze jest większy ruch, niezależnie od pory roku, ale „dziś piątek, jest tłok” to nie to samo, co „hej, chłopaki, dziś piątek!”. Przynajmniej tak bywało dawniej. Pewnie dlatego wziąłem z lodówki dwa piwa, a może także dlatego, że ciągle odczuwałem skutki wprowadzenia do organizmu połówki skręta, w dodatku cały dzień byłem jakiś niespokojny, wróciłem wcześniej niż zazwyczaj, a Becki i Kyle, wprawdzie bezwiednie, a jednak sprawili, że poczułem się nagle tak, jakbym miał milion lat.

Postanowiłem wypić piwo na plaży. Jednoosobowa piątkowa imprezka: przyglądać się falom, słuchać muzyki sfer...

Będzie się działo!

\* \* \*

Zszedłem nad sam brzeg. Usiadłem na piasku kilka metrów od linii fali, przez długą chwilę przyglądałem się wybrzeżu i dalekim światłom okien błyszczących w



ciemności. Słuchałem szumu fal, nadpływających, załamujących się, cofających. Niebo obniżało się nad moją głową, nieruchome i ciężkie od gęstniejących chmur.

Powoli, metodycznie wypilem pierwsze piwo. Byłem spokojny, pusty niczym skorupa, ale ciągle nie wiedziałem, co to harmonia, zgoda z samym sobą. By jej zaznać, musiałbym mieć swoje miejsce na świecie, a ja stałem z boku. Przyjechałem do Oregonu przed prawie trzema laty. Dałem się nieść prądowi. Przed Pelikanem pracowałem w kilku barach na wybrzeżu, brałem, co mi wpadło w ręce, no i jeszcze pilnowałem drzwi paru nocnych klubów w Portlandzie. Typowa standardowa robota dla niewykwalifikowanych, zajęcie niewymagające niczego oprócz zgody na zarywanie nocy za grosze i ryzyko otarcia się czasem o zwykłego człowieka. Mój majątek składał się z niewielkiej ilości ubrań, laptopa, kilku książek. Nie miałem już nawet samochodu, w odróżnieniu od pieniędzy w banku. Takich pieniędzy, jakich, jestem pewny, moi współpracownicy nie byliby w stanie sobie wyobrazić, ale co oni o mnie wiedzieli poza tym, że radzę sobie w tłoku i potrafię wyprodukować mniej więcej okrągłe dzieło kuchni włoskiej?

Wreszcie zaczął padać deszcz. Zapowiadany, nie do uniknięcia i tak gwałtowny, że przemoczył mnie w jednej chwili i już nie musiałem spieszyć się z powrotem do domu. No więc siedziałem, a wielkie krople wierciły

dziury w wodzie i piasku.

Wstałem po drugim piwie.

Nie mogę powiedzieć, by ta piątkowa noc rozpałała mnie do białości.

\* \* \*

Zamknąłem za sobą drzwi, wytarłem się i przeszedłem do salonu. Była druga w nocy, ale jakoś nie spieszyło mi się do łóżka. Pobawiłem się Internetem, tą ostatnią ucieczką ludzi niemogących znaleźć sobie miejsca, śmiertelnie znudzonych. Wreszcie sprawdziłem pocztę, kolejne z tych egzystencjalnie pustych zajęć, które sieć podaje na tacy.

Hej, świecie, chcesz pogadać?

Nie? To może później?

Zaproszenia do inwestycji w Chinach, oferty zegarków po cenach podróbek, propozycje zakupu viagry w ilościach hurtowych. Znów skontaktowały się ze mną zaledwie dorosłe nastoletnie ślicznotki, jak zwykle niemogące się doczekać, kiedy opowiedzą o tym, jak to zrobiły z koleżanką z pokoju albo z szefem, albo ze stadem pozbawionych przesądów łosi.

Zrezygnowałem z oferty, jak zwykle, z nadzieją, że nie poczują się urażone odmową po tylu trudach, podjętych dla mnie i tylko dla mnie. Zebrałem do kupy całe to gówno i już miałem je wrzucić do kosza, kiedy moją uwagę zwrócił temat e-maila, jednego z ostatnich.

PROSZĘ PROSZĘ PRZEcz.y.taj

Najprawdopodobniej spam, bo cóż by innego. Pewnie jeden z tych nigeryjskich klasyków, żona/syn/kot niedawno zmarłego oligarchy, który zostawił gdzieś ukryte miliony, a przypadkowy szczęściarz może dostać dwadzieścia procent tej kwoty, pod warunkiem że prześle dane swojego konta obcemu, który w jednym e-mailu przedstawia się trzykrotnie, za każdym razem inaczej zapisując nazwisko. Lecz nawet jeśli tak, to w każdym razie temat wymyślił sobie dobry. Taką kombinację słów trudno zignorować. Kliknąłem e-mail, ziewając i próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś napisał coś tylko do mnie.

Był krótki.

*Wiem, co się stało*

Nic więcej. Zdanie nie kończyło się nawet kropką. Nazwisko nadawcy, prawdziwe czy fałszywe, nic mi nie mówiło, nie miałem przyjemności znać pani Ellen Robertson. Spam. Po prostu spam.

Wcisnąłem „Delete” i poszedłem do łóżka.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Dzień zacząłem od spaceru po plaży z wielkim kubkiem kawy w ręku. Jak zawsze, od kiedy zamieszkałem u Gary'ego. Uważam, że jeśli masz plażę pod nosem, to albo ją wykorzystaj, albo przenieś się w cholerę w głąb lądu. Ustąp miejsca komuś, kto rozumie, po co Bóg stworzył brzeg oceanu.

Wstałem wcześniej, nad morzem było nawet puściej niż zazwyczaj. Minałem dwóch facetów optymistycznie moczających kije w wodzie i parę osób bardzo podobnych do mnie, samotnych kobiet i mężczyzn w szortach i luźnych koszulach, idących zawsze tą samą drogą, wymieniających krótkie uśmiechy z obcymi. Czasami, kiedy słońce świeci bardzo jasno, a świat nie zna cieni, żadnych cieni, wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby obok śladu moich stóp na piasku był ślad małych stópek. Ale nie zdarza się to zbyt często i nie zdarzyło się tego ranka.

Poszedłem dalej niż zwykle, ale kiedy wróciłem do domu, było dopiero wpół do dziewiątej. Mimo to ktoś zdążył już nagrać mi się na automatycznej sekretarce. Ted.

„Chryste, zaczął bez wstępu. Słuchaj, cholernie mi głupio, że zawracam ci głowę, ale może mógłbyś przyjechać? Potrzebuję pomocy. Ktoś się włamał do restauracji”. – Przestałem go na chwilę rozumieć.

Odwrócił się, powiedział coś do kogoś, nie do telefonu. Potem znów odezwał się do mnie, jeszcze bardziej wkurzony: „Słuchaj, może już wzięłeś sobie wolny dzień, ale jeśli nie... ”.

Podniosłem słuchawkę i od razu do niego zadzwoniłem.

Zamiast czekać, aż przyjdę, przyjechał po mnie. Zabrało mu to niespełna dziesięć minut. Nikt nie miał wątpliwości co do tego, od kogo Becki przejęła styl prowadzenia samochodu. Ted zawrócił pick-upa na środku drogi bez widocznego zmniejszenia prędkości, podjechał do mnie i wdepnął hamulec. Czekałem na niego oparty o słup przy końcu podjazdu, paląc papierosa. Pochyliłem się do okna od strony pasażera.

– Mam zabrać ze sobą narzędzia? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Na miejscu coś się znajdzie. Będę musiał kupić drewno i szkło, ale to później. Zapowiada się fajny pieprzony dzień.

Wsiadłem. Wcisnął gaz, kiedy już prawie zdążyłem zamknąć za sobą drzwiczki.

– Kiedy się dowiedziałeś?

Twarz Teda była jeszcze czerwiejsza niż zwykle, a worki pod oczami jeszcze większe.

– To przez jednego z kucharzy, Raula chyba. Przyjechał o siódmej, razem z resztą, i od razu do mnie zadzwonił.

– Który z nich to Raul?

– Zabij mnie, ale nie wiem. Chyba każdy z nich to Raul.

– Co z alarmem?

– Nic. Zadziałał, jak powinien. Wył, kiedy przyjechałem.

– Powinien pojawić się ktoś z firmy, sprawdzić, co się dzieje. No, przynajmniej zadzwonić.

Może mi się tylko wydawało, ale Ted jakby się zawstydził.

– Jakiś czas temu zrezygnowałem z tej usługi. Kosztowała osiemset rocznie, a przedtem nigdy jej nie potrzebowaliśmy.

Zwalnialiśmy już przed skretem z szosy w prawo.

– Jest bardzo źle? – spytałem.

Wzruszył ramionami, oderwał obie ręce od kierownicy w geście mającym pokazać mi, jak trudno opisać skalę nieszczęścia, zwłaszcza że niezależnie od tego, co może znaczyć słowo „źle”, z pewnością ma przed sobą dzień zakupów, wypełniania druczków i wydawania pieniędzy, i komu to, cholera, do szczęścia potrzebne?

– Chyba nie aż tak bardzo. Tylko nic z tego nie rozumiem. Przy wszystkich wejściach, frontowym, tylnym i kuchennym, na drzwiach wisi informacja, że w nocy nie przechowujemy tu żadnych pieniędzy. Więc co tu, do diabła, jest grane? No co? Kto może mieć aż tak nasrane w głowie, żeby nocą zrobić kawał drogi tylko po to, by spieprzyć człowiekowi dzień?

– Może nie wierzyli ci z tymi pieniędzmi? Jak ktoś

ma nasrane w głowie, to potrafi być dziwny.

Zwolniliśmy jeszcze trochę i zjechaliśmy na parking. Zobaczyłem „zaparkowany” przed restauracją samochód Becki.

– Tylko mi nie mów, że Kyle już tu jest.

Ted się roześmiał i przez chwilę wyglądał na człowieka nieco mniej rozczarowanego ogólnym stanem ludzkości.

– Musiałem do niej zadzwonić, bo nie wiedziałem, jak wyciągnąć numer twojego telefonu z bazy danych. Powiedziałem, że jej nie potrzebuję, ale i tak zaraz przyjechała.

Pick-up zatrzymał się na odpoczynek przy samochodzie jego córki.

– Zakładam, że zawiadomiłeś policję?

– Przyjechali i odjechali. Dwaj ich najlepsi ludzie, w co z pewnością ani na chwilę nie wątpię. Tylko kurs udawania, że mnie to, kurwa, obchodzi, nie wyszedł im chyba najlepiej. Kosztowali mnie mnóstwo darmowych przekąsek i drinków, dupki.

Wysiedliśmy z samochodu. Poszedłem za Tedem do restauracji. Poprowadził mnie przy ścianie do tylnego wejścia, tego, którym wchodziło się z tarasu, z drinkiem w rękę, do sali restauracyjnej, na obiad.

To, co zostało z drzwi, wisiało na zawiasach, nie broniąc dostępu do środka. Większość szklanych paneli stłuczono, a listewki zabezpieczające je przed wypadnięciem leżały w drzazgach na podłodze. Becki

kucnęła w krótkim korytarzyku ze śmietniczką w jednej ręce i zmiotką w drugiej.

– Cześć – przywitała nas.

– Nie wygląda tak źle.

– Już nie – powiedziała, prostując się. Najwyraźniej zamiatała od jakiegoś czasu, bo do jej czoła przykleiło się kilka pasemek jasnych włosów. Wyglądała na wkurzoną.

– Tam dalej chłopcy nadal odwalają robotę.

Przeszedłem przez drugie drzwi potraktowane nieco łagodniej. Znalazłem się w restauracji. System kasowy i rezerwacji Pelikana pracuje na całkiem nowym macu z zewnętrzną kasą. Zaatakowano ją dłutem i/lub łomem, bez skutku. Przyjrzałem się jej, a potem poszedłem dalej, do kuchni, w której już pracowała grupa naszych.

– Trochę tu nabałaganili – stwierdził, podchodząc do mnie, Ted, zupełnie niepotrzebnie. Wyglądało na to, że jedna lub kilka osób bardzo lubiła ciskać wszystkim, co jej wpadło w ręce. – I chyba coś nam zginęło.

– Sokowirówka – potwierdził jeden z kucharzy, ten, który gapił się na mnie przy wyjeździe z parkingu wczoraj w nocy. Teraz wyglądał nieco pogodniej i chyba nawet wiedziałem dlaczego. Jego samego i jego nieamerykańskich towarzyszy z pewnością nie ucieszyła wcześniejsza wizyta policji, zapewne przeczekali ją na przedłużonej przerwie na papierosa jakiś kilometr dalej. Niewątpliwie byli też aż nazbyt świadomi, że większość umieści ich wysoko na liście podejrzanych albo o to, że sami dokonali włamania, albo że poinformowali o okazji



wspólników, przekazując im jednocześnie informacje o tym, iż nikt nie zareaguje na alarm.

– Strasznie głupie to włamanie – powiedziałem, zwracając się bezpośrednio do niego. – No bo przecież wszyscy wiedzą, że nie zostawiamy tu gotówki, prawda?

– Jasne, oczywiście. – Kucharz energicznie kiwnął głową. – Wszyscy o tym wiemy. Ale niektórzy ludzie już tacy są. Myślą, że coś takiego to dobra zabawa.

– Pewnie dzieciaki. – Spojrzałem w kąt, na wnękę, gdzie personel przebierał się i wieszał płaszcze. – Coś komuś zginęło?

– No, nie – pospieszył z odpowiedzią Ted. – Nikt tu nie spędza nocy. Szafki były puste.

– Ba! Oczywiście.

Odwróciłem się. Becki stała w sali restauracyjnej. Obserwowała mnie.

\* \* \*

Nie przeszedłem żadnego formalnego szkolenia w naprawianiu różnych rzeczy, ale wystarczy mieć odrobinę zdrowego rozsądku i dobrze wymierzyć, a można naprawić wszystko. Tata lubił takie zabawy, a ja, kiedy byłem dzieckiem, lubiłem mu się przyglądać. Pomierzyliśmy z Tedem potłuczone panele oraz listwy i panele wymagające zastąpienia, Ted wysłuchał moich instrukcji, co jeszcze ma kupić, a potem pojechał po sprawunki do sklepu w Astorii. Becki też pojechała,

załatwić nową kasę od dostawcy z Portlandu, którego znalazła w sieci.

Teda nie było ponad godzinę. Siedziałem na tarasie, popijając dietetyczną colę. Coś chodziło mi po głowie. Nie chciałem się temu poddać, choć wiedziałem, że gdybym był teraz w domu, jak zwykle o tej porze dnia, już bym się poddał. Wiedziałem też, że to byłaby głupota i że to taka skrytka w głowie, której wcale nie chcę otworzyć. Właściwą taktyką wobec czegoś, czego nie chce się robić, jest nie robić tego za pierwszym razem, bo potem co, do diabła, dlaczego nie zrobić tego znowu?

Mimo to dziesięć minut później siedziałem przy komputerze kasowym. Becki nie zamknęła przeglądarki. Przeszedłem na witrynę mojego dostawcy Internetu i sprawdziłem pocztę, szybko, bo gdybym się nie pośpieszył, to pewnie zmieniłbym zdanie i jednak się nie poddał. Ale moja skrzynka była pusta.

I dobrze. Nie będę jej już sprawdzał.

\* \* \*

Ted wrócił wreszcie z wycieczki do sklepu i mogłem się zabrać do roboty. Zewnętrzne drzwi były całkiem solidne i wykopanie paneli naruszyło krawędź przy zamku. Zdjąłem uszkodzone skrzydło z zawiasów, śledzony uważnym spojrzeniem szefa.

- Mam rozumieć, że wiesz, co robisz, tak?
- Powiedzmy. Ale na pewno wiem więcej niż ty.

– Rozumiem – powiedział i poszedł do restauracji.

Pracowałem powoli, metodycznie, co jest najlepszym sposobem radzenia sobie z buntem obiektów nieożywionych. Okazało się, że Ted ma wszystkie potrzebne narzędzia, co niewątpliwie pomogło, tak jak pomogła mi praktyka zdobyta przed kilkoma miesiącami podczas wymiany drzwi u Gary’ego. Kwestie bezpieczeństwa wraz ze zdrowym rozsądkiem domagały się wręcz, by zastąpić te w Pelikanie czymś solidniejszym, ale Ted był nieubłagany: wszystko ma wyglądać jak przedtem. Tradycja. Kazałem mu kupić przynajmniej ekstra wzmocnione szkło, a także metalowe pasy, którymi miałem wzmocnić zwykłe, standardowe drzwi.

Ciągle jeszcze przy nich pracowałem, kiedy wróciła Becki. Dojrzałem już do przerwy w waleniu młotkiem i piłowaniu, więc dla odmiany pomogłem jej przy kasie, wcale nie takiej znów lekkiej. W końcu pozwoliła mi nieść ją samemu, choć przez cały czas trzymała się blisko mnie, a potem w ramach podziękowania nawet poszła po coś do picia. Ja tymczasem ustawiłem i umocowałem kasę na dawnym miejscu.

W kuchni dopadło ją jakieś zajęcie i kiedy pojawiła się z Doktorem Pepperem z mnóstwem lodu, znów pracowałem przy drzwiach. Stała przez chwilę, przyglądając mi się w milczeniu.

– To było miłe z twojej strony – powiedziała po jakichś pięciu minutach.

– Co było miłe?

– Przecież wiesz. Dałeś kucharzom do zrozumienia, że twoim zdaniem nie mają z tym nic wspólnego.

– Bo nie mają.

Skoncentrowałem się na tafli szkła. Sprawdziłem, czy spoczywa bezpiecznie na przeznaczonym jej miejscu, po czym zamocowałem ją metalową obejmą. Kiedy się odwróciłem, Becki nadal wpatrywała się we mnie, unosząc lekko jedną brew. Uśmiechnąłem się do niej.

– Co? – spytałem.

– Nie zawsze byłeś kelnerem, prawda?

– Nie – przyznałem. – Ale teraz nim jestem.

Powoli pokiwała głową i wróciła do środka.

\* \* \*

W południe jeden z kucharzy przyniósł mi pełen talerz. Nie prosiłem o jedzenie i nie spodziewałem się go. Zwłaszcza tak dobrego: ręcznie klejonej empanady z mocno przyprawionymi krewetkami i rybami.

– Było pyszne – powiedziałem, kiedy wrócił po talerz. Powinieneś namówić Teda, żeby włączył to do menu.

Kucharz uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a ja chyba dobrze wiedziałem, o co mu chodzi. Wyciągnąłem do niego rękę.

– John – przedstawiłem się.

– Eduardo – powiedział, potrząsając nią.

– Ciasto dla młodego maestro gotowe?

Roześmiał się i wrócił do kuchni.

Zabrało nam to sześć godzin, ale wreszcie wszystko było zrobione. O szesnastej wymieniałem framugi zewnętrznych i wewnętrznych drzwi, naprawiłem także trochę innych zniszczeń. Becki uruchomiła system kasowy i kasę, co mnie mocno zaskoczyło; nie sądziłem, że to potrafi. Dzisiejszy dzień zdecydowanie rozszerzył mi horyzonty, bo do tej pory nie sądziłem, że tyle umie i jest taka rzeczowa. Chłopcy doprowadzili kuchnię do normalnego stanu, była nieskazitelnie czysta i gotowa na otwarcie. Ted przeprowadził inspekcję. Wypadła zadowolająco, więc wziął tyle piwa, ile mógł chwycić w obie garście, i wyniósł je na taras. Usiedliśmy razem; on, Becki, kucharze, a także Mazy, która zjawiała się wśród nas wprost z jakiegoś pachnącego kwiatami czarodziejskiego królestwa. Popijaliśmy bez pośpiechu, ciesząc się promieniami słońca, nie przesadnie ciepłymi, ale mimo to przyjemnymi. Ted nawet dość szybko przyjął do wiadomości, że choć więcej niż jeden z jego kucharzy ma na imię Eduardo, to żaden nie ma na imię Raul.

Po jakimś czasie Becki wstała i poszła po nową porcję piwa. Rozdała je wszystkim, także mnie. Zerknąłem na zegarek i ze zdziwieniem stwierdziłem, że zbliża się siedemnasta. Pół dnia pracowałem na słońcu, koszula kleiła mi się do pleców.

– Muszę wrócić do siebie i się przebrać. I to chyba zaraz.

- Podrzucę cię – powiedziała, widząc, że wstaje.
- Jestem ci bardzo wdzięczny – rzekłem, kiedy szliśmy już do samochodu.

Czekała na tarasie, aż skończę brać prysznic, a kiedy wszedłem do salonu, zobaczyłem, że wzięła sobie piwo z lodówki i popija je, patrząc na morze. Usiadłem na krześle obok.

- Muszę niedługo wracać – przypomniałem.

Skinęła głową. Teraz, dla odmiany, przyglądała się swoim rękom. Poczęstowałem ją papierosem. Zapaliliśmy i siedzieliśmy przez chwilę, nie rozmawiając.

- Ma poważne kłopoty? – zdecydowałem się przerwać milczenie.

Spojrzała na mnie. Skóra wokół jej oczu wydawała się nienaturalnie napięta.

- Skąd wiesz?

– Po co kraść poobijaną sokowirówkę, a zostawiać komputer? W kuchni zdrowo przesadzono z bałaganem, kasa wyglądała jak zaatakowana przez szympansa. Nie dla pieniędzy się do was włamano... więc gdzie było to coś? W szatni?

Skinęła głową.

- Marycha czy gorzej?

– Gorzej.

– Ile?

– Za jakieś dziesięć tysięcy – wyznała Becki niemal szeptem.

- Jezu, dziewczyno, tylko idiotka mogłaby schować

tyle kokainy w restauracji ojca.

– Nie wiedziałam, że ona tam jest. – Podniosła głos, rozgniewana. – To sprawka tego pieprzonego Kyle’a.

– Kyle? A skąd on wziął taki kapitał?! Tylko mi nie mów, że dostał od ciebie!

– Pożyczył... zna takich jednych...

Tylko cudem udało mi się nie roześmiać.

– Och, co za cwaniak! Więc teraz wisi nie tylko udział w narkotykach, których nie ma, i nie może ich sprzedać, ale też forszę, za którą je kupił. Dobra robota!

– Mniej więcej tak to wygląda. – Becki westchnęła głęboko i dopiła piwo jednym łykiem. – Nawet jeśli czujesz, że musisz wygłosić kazanie o szkodliwości narkotyków, to ja nie muszę go słuchać.

– Nie, skąd, narkotyki są fajne. To dzięki nim działające z ukrycia moralne zera zbijają fortuny na speprzaniu ludziom życia, a całe ryzyko biorą na siebie chcący ich naśladować kretyni w rodzaju twojego chłopaka.

– Lepiej już jedźmy. To będzie ciężka noc.

– Zakładam, że to ja będę robił pizzę?

Becki uśmiechnęła się krótkim, krzywym uśmiechem, a ja dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, że bardzo ją lubię i że pewnie niedługo może skrócić w ciemną ścieżkę w lesie, marnując sobie życie.

– Nawet nie wiem, gdzie on teraz jest.

Wstaliśmy z krzeseł.

– I nie możesz po prostu odwrócić się i odejść?

– Kocham go – powiedziała tak, jak wymawiają te słowa wyłącznie dwudziestojednolatki.

\* \* \*

Odwiozła mnie do Pelikana, ale zatrzymała się przy skrócie w drogę dojazdową.

– Znajdź go – poleciłem. – Niech poda ci nazwiska tych ludzi, którym mógł powiedzieć, gdzie ukrył towar.

– A potem? – spytała, patrząc mi w oczy.

– Potem. – Klepnałem dwa razy dach samochodu. Dodała gazu i odjechała.

Frontowe drzwi do Pelikana były otwarte, pracownicy z sali restauracyjnej szybko ustawiali stoliki na tarasie, ale nie skorzystałem z niego i wszedłem tylnym wejściem, które naprawiałem przez niemal cały dzień. Mocno pchnąłem drzwi, nim je otworzyłem. Wydały mi się bardzo solidne.

Dobrze jest naprawić drzwi. Ma się wrażenie, że coś jednak się zrobiło. Zaczynasz wierzyć, że wszystko można naprawić, choćbyś nawet wiedział, że tak naprawdę nie da się naprawić niczego.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Co robić, kiedy wszystko zaczyna się walić?  
Pomyślmy...

Przede wszystkim nie wpadać w panikę. To najważniejsze. Bo jeśli się wpadnie, to koniec. Nic już się nie da zrobić. Panika jest odporna na debaty, analizy, na rozpoznawanie poważnych, znaczących w terapii świadomościowej punktów. Panika nie słucha. Panika nie ma uszu, ma tylko głos. Panika jest jak pożar lasu, przeskakuje wąskie przesieki zdrowego rozsądku, szukając paliwa po drugiej stronie: gałęzi i krzaków. Wiatry lęków niosą ją w najdalsze zakątki umysłu.

Carol nie była nawet pewna, kiedy się to zaczęło ani dlaczego. Ostatnie kilka miesięcy było naprawdę dobrych. Po raz pierwszy poczuła, że znów ma miejsce na świecie. Mieszkanie stało się domem. Znalazła pracę, niepełny etat w bibliotece rządzonej przez przerażającą pannę Williams. Ustawiała krzesła w równych rzędach, wieszła plakaty, pomagała organizować grupy czytelnicze. Taka praca bardziej odpowiadała żadnym przygód staruszkom lub zachwyconym perspektywą kariery nastolatkom, zgoda, lecz jednak była to praca. Do biblioteki i z powrotem chodziła piechotą, a jednak udało jej się przytyć parę kilo bo odzyskała coś w rodzaju apetytu. Zawarła znajomości, a nawet, choć z wahaniem, wpłaciła emocjonalną zaliczkę na poczet kilku potencjalnych

przyjaźni. Generalnie przestała się zachowywać jak ktoś objęty programem ochrony świadków.

A czasami nawet... zapominała. I to było najlepsze chwile, kiedy nagle sobie przypominała, ponieważ były dowodem, że choć na krótko, ale jednak udawało jej się zapomnieć.

W którymś momencie, w ciągu kilku ostatnich dni, zaczęło się to zmieniać. Budziła się z uczuciem, że w ciągu nocy zapadła się w łóżko o parę centymetrów. Zamiast energicznie mydlić się pod prysznicem, stała zgarbiona, wpatrzona w plamy pleśni między dwiema płytkami glazury, zastanawiając się, jak mogła ich przedtem nie zauważyć i kiedy wreszcie dojrzeje do tego, żeby coś z nimi zrobić. A może zostawi je tak, jak są, będzie coraz gorzej i gorzej, aż wreszcie stanie się kobietą z tych, które mają brudne łazienki i nic nie można na to poradzić, tak jak nic nie można poradzić na niechlujne podwórko, ubrania i włosy. Chaos tropi nas wszystkich, wślizguje się w nasze życie przez najmniejsze szczeliny w nawet najbardziej trywialnym porządku, przez to, co zostawiło się na jutro. Gdy tylko uświadomisz sobie, ile trzeba się napracować, by wszystko wyglądało dobrze, przerażająco łatwo jest przestać wierzyć i zamiast wierzyć, zacząć liczyć.

Było lepiej, kiedy wychodziła z domu, ale i tak czuła, że traci impet. Książki wyslizgiwały jej się z rąk, w sklepach nie potrafiła znaleźć rzeczy, które chciała kupić. Na biodrze miała siniak, pamiątkę po uderzeniu, którego

nie pamiętała. W irytujący sposób przypominało jej to coś, co powiedział były mąż: wiesz, że opuszcza cię pogoda życia, kiedy świat przedmiotów martwych wszczyna bunt, jakby burza szalejąca w głowie niepokoiła jej podwładnych ze świata zewnętrznego.

Aż wreszcie, trzy dni temu, wróciła, by sprawdzić, czy zamknęła na noc drzwi.

Wiedziała, że są zamknięte. Widziała, że są zamknięte, widziała zasunięty łańcuch. Na litość boską, pamiętała przecież, jak je zamykała, nadal pamiętała chłód ogniw pod palcami. Pierwszego wieczoru pamięć wystarczała, drugiego musiała dwa razy upewniać się, że jej nie zawodzi, a trzeciego, ostatniego, wracała ośmiokrotnie, gwałtownie, z rozszerzonymi szaleństwem oczami, poprawiając łańcuch, obracając klucz w zamku aż do końca, aż nie mógł się dalej obrócić, i dopiero wtedy go wyjmując. Dziś to nie będzie dziewięć razy, nie tak to się liczy. Jeśli teraz się nie opanuje, zacznie liczyć próby w wielokrotnościach ósemek.

Szesnaście razy, dwadzieścia cztery razy...

By zrozumieć, do jakiego stopnia ludzie mogą utracić wiarę w rzeczywistość i w samych sobie, trzeba stać w zimnym przedpokoju, walczyć ze łzami wywołanymi nienawiścią do samego siebie, walczyć z nerwami, obserwować własne ręce sprawdzające prosty zamek w drzwiach dwadzieścia razy z rzędu.

Wiedziała, że granice czaszki to nie bastion. Myśli mogą przedrzeć się przez ich szczeliny i robią to. Jeśli

czujesz się w pewien szczególny sposób, to właśnie się przedały. Im bardziej otwierała się na panikę, tym prawdopodobniejsze było to, że ześlizgnie się znów tą samą drogą. Nie miała więc zamiaru panikować.

Na razie.

\* \* \*

Myślała niemal wyłącznie o tym, wracając z biblioteki do domu pod niebem gładkim i jednolicie szarym. Przede wszystkim zaparzyła sobie mocną kawę. Za godzinę ma wrócić do domu. Znajdzie się mnóstwo zajęć, nie będzie musiała myśleć. Oznaczało to także, że nie będzie w stanie zrobić niczego.

Myślała o Tylerze i przez chwilę czuła się nieco lepiej. Obiad może poczekać. Oboje nie przywiązują większej wagi do jedzenia. Przygotuje coś później, a na razie...

Przeniosła laptop z salonu na stół w kuchni. Wywołała przeglądarkę i zamarła z dłońmi nad klawiaturą.

Czuła, że musi coś zrobić... ale co? Na twardym dysku miała zapisane dziesiątki tysięcy znaków, PDF-ów nie do policzenia i dwieście witryn w bookmarkach. Problem polegał na tym, że żaden z twórców tych witryn nie wiedział, iż są one ważne. Byli jak ludzie chodzący ulicami i obserwujący bez szczególnego zainteresowania, że chodnik od czasu do czasu robi się biały, ale niemający

zielonego pojęcia, czym jest śnieg. Trzeba rozumieć system, by umieścić te informacje w kontekście. Ona rozumiała, a przynajmniej częściowo. Była także niegłupia, choć teraz wydawało jej się, że nigdy tego tak naprawdę nie wykorzystwała.

Były też chwile, w których doświadczała wrażenia wolności, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Dopuszczała do siebie myśl, że to wszystko może być nonsensem, zasłoną opadającą na oczy nie większą i nie groźniejszą niż ziarno piasku pod powieką. Tylko że nie miało znaczenia, ile metafor uda jej się wymyślić, w szkole to angielski był jej ulubionym przedmiotem. Kończyło się na tym, że wiedziała, iż wierzy. Jej wiara była mroczna, niewzruszona. Wiedza nie poprawiała samopoczucia, a wiara nie zmieniała prostego faktu: czuła wyłącznie strach.

Wiara jako lęk, nie lek, zabawne, jak podobne są te dwa słowa. Jak często zmuszamy się, by w coś wierzyć tylko dla tego, że nie chcemy się bać?

Skupiła uwagę na monitorze. Sprawdziała witryny z kanałami RSS, automatycznie powiadamiające o dodatkach, skreśleniach, nowych wpisach na blogach. Nic. Przetrąlowała część stron zachowanych w zakładkach, poświęconych mitologii, folklorowi, lokalnym ciekawostkom, anomaliom. Nadal nic.

Co się doskonale zgadzało. Jej emocje nie dowodziły zmian w eterze. Nie była mikrokosmosem w makrokosmosie świata, połową żalosego mitu (Boże,

znowu ta szkolna angielszczyzna!). To była sprawa osobista. Za każdym razem, kiedy szukała i nie znajdowała niczego nowego, czuła się coraz mniej komfortowo. To, z czego kiedyś czerpała otuchę, przekonanie, że nie jest sama, dostarczało dowodów, że wręcz przeciwnie, jest. I co teraz? Kiedy wie się, że coś jest nie tak, ale nie wie się, co, jak i dlaczego, co dokładnie można zrobić?

Nie wpadać w panikę. Tylko tyle.

\* \* \*

Jakiś czas później obudził ją dźwięk przypominający stukanie. Zamrugła, oprzytomniała, zlokalizowała ten dźwięk: ktoś pukał do drzwi. Oczywiście. Wstała i powoli, noga za nogą, wyszła z kuchni. Zaniepokoiło ją, że część czasu poświęciła myślom, o których sądziła, że ją opuściły. Myślom o tym, że może się zabić.

Otworzyła drzwi. Na progu stała Rona, uśmiechnięta, nastoletnia i wręcz niewyobrażalnie zdrowa.

– Mamusia! – krzyknął cienki głos gdzieś z dołu. Przykucnęła i pozwoliła Tylerowi się przytulić. Tyler doskonale przytulał. Wyprostowała się z dzieckiem w ramionach i uśmiechnęła szeroko do jego okazjonalnej opiekunki.

– Dziękuję, kochanie.

Czterolatek wił się i szarpał, próbując dosięgnąć zatrzasku. Zamki do drzwi, a także włączniki światła były

dla niego tym, czym kocimiętka dla kota. Fragmenty świata, które można kontrolować. Carol przypuszczała, że to jego pierwsze próby opanowania chaosu. Miała nadzieję, że nigdy się nie dowie, co to znaczy, kiedy świat kontratakuje.

– Nie ma za co. On jest taki słodki – powiedziała Rona. Jej dobry humor był niezwykły. Matka Tylera doskonale wiedziała, że są w jego życiu chwile, kiedy wcale nie jest słodki, ale w raportach dziewczyny nie pojawiały się o tym najmniejsze nawet wzmianki. – Piątek rano, prawda?

– Tak. – Carol całą uwagę poświęciła zatrząskowi, którym jej synek bezlitośnie poniewierał. Oznaczało to: „Do zobaczenia”.

– Pani Ransom... dobrze się pani czuje?

Podniosła głowę. Córka sąsiadów przyglądała jej się dziwnie.

– Znakomicie – powiedziała z szerokim fałszywym uśmiechem. I zamknęła drzwi.

\* \* \*

Przygotowując chłopcu coś do przegryzienia, na szybko i dla uspokojenia, poddała go policyjnemu przesłuchaniu. Chciała się dowiedzieć, jak spędził dzień. Przesłuchanie należało przeprowadzić natychmiast, bo to, co wydarzyło się w przedszkolu, po zaledwie paru godzinach stawało się dla niego nierealne lub

nieinteresujące, jakby było zjawiskiem efemerycznym, a przeszłość rozładowywała się z czasem jak akumulator. Uważała to za godne zazdrości.

Z zeznań Tylera wynikało, że robił „różne rzeczy” i że było „w porządku”.

Siedzieli na kanapie, przy książce dla dzieci – jedną z wymiernych korzyści pracy w bibliotece był nieograniczony dostęp do książek dla dzieci – i po kwadransie Carol stwierdziła, że zaczyna się rozluźniać. Dzieci czasami tak działają na człowieka. Są tak bardzo sobą, że jeśli dopuścisz, by wciągnęły cię na swoją orbitę, na jakiś czas zapominasz o własnym świecie.

Nagle rozległ się sygnał telefonu. Spojrzeli oboje na aparat. W ich domu telefon odzywał się bardzo rzadko.

– Ktoś dzwoni – powiedział Tyler.

– Słyszę, kochanie. – Carol wstała, podeszła do stołu i podniosła słuchawkę. – Tak?

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała kobieta. Od razu ją rozpoznała. Minęła chwila, nim zdołała wydobyć głos, a i tak stać ją było tylko na ochryply szept.

– Skąd masz ten numer?

– Mały ptaszek zaćwierkał mi do ucha. Czas wracać do domu. Możemy ci pomóc.

Carol odłożyła słuchawkę na widełki.

– Kto dzwonił? – spytał ją syn.

– Nikt, kochanie.

– To nikt może mówić?

– Tak. Czasami.



Kazała mu policzyć krowy na stronie leżącej przed nim książki. Zdążyła zamknąć się w łazience, nim dostała torsji.

Tej nocy sprawdziła zamek w drzwiach trzydzieści dwa razy. Poszła do łóżka, wiedząc, że jest za późno. Nikt przedostał się już za bramę. Uświadomiła sobie nagle, że na tym właśnie polega panika. Panika jest głosem świata szepczącym ci do ucha, gdy twoim życiem rządzi coś, czego w nim nie ma.

Tak mówił nikt. Zawsze. Przez cały czas.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Tego wieczoru mieliśmy tłok. Nie poinformowałem Teda, że nie zobaczymy naszego eksperta od pizzy, bo natychmiast zainteresowałby się, skąd to wiem, tylko czekałem, aż przyjdzie poprosić mnie o zastępstwo, i zachowywałem się tak, jakby była to rutynowa sprawa. Robiłem przy piecu, za kelnera i za barmana, tam gdzie byłem akurat potrzebny. Mieliśmy dwa komplety gości, doskonały wynik, jak na tę porę roku. Widziałem, jak Ted trochę się rozluźnia, uświadamiając sobie, że klienci pokryli przynajmniej część dzisiejszych nieoczekiwanych kosztów i ułagodzili chyba mroczne bóstwa przepływu gotówki.

Byłem ostatnim pracownikiem opuszczającym restaurację i znalazłem się pod ręką, akurat gdy Ted obrzucił zewnętrzne drzwi ostatnim podejrzliwym spojrzeniem przed zamknięciem ich na noc. Chrząknął z zadowoleniem.

– Dobra robota – pochwalił. – Powinienem jakoś ci się odwdzięczyć.

– Już się odwdzięczyłeś.

Przyglądał mi się przez chwilę.

– Podrzucić cię?

– Dobrze mi tak, jak jest. Chętnie się przespaceruję.

– Dziwny z ciebie facet. – Ted podszedł do pick-upa, ale jeszcze odwrócił się i powiedział: – Dzięki, John.

– Dla naszych klientów zrobimy wszystko.

Pokręcił głową i wszedł do samochodu, zwykły człowiek wracający w domowe pielesze, myślący o piwie i rozprostowaniu nóg przed jakimś późnym programem w telewizji. Człowiek niemający pojęcia, że z powodów zupełnie mu nieznanych jego świat stał się dziś nieco bardziej kruchy, niż był wczoraj. Ale o tym, jak sędzę, zawsze dowiadujemy się po fakcie.

\* \* \*

Odczekałem, aż odjedzie, a potem ze stosu krzeseł zdjąłem jedno i usiadłem. Obiecałem sobie, że poczekam pół godziny, najwyżej czterdzieści minut, ale minęło zaledwie dwadzieścia, kiedy usłyszałem samochód skręcający w drogę dojazdową do Pelikana. Nie ucieszyło mnie, że to samochód Becki, ale i tak wstałem i zrobiłem kilka kroków w jego stronę. Skoro nie chciałem tu być, nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem wcześniej. To, co się działo, działo się właśnie dlatego, a słowa też są działaniem. Lekcja, którą ludzkość jako taka, a ja w szczególności, przyswaja sobie szczególnie opornie.

Kyle siedział na miejscu pasażera. Spojrzał na mnie, odwrócił wzrok i nie odezwał się ani słowem. Jego ręce spoczywały na udach, bębnił w nie palcami przez cały czas, bez przerwy.

– Cześć, Kapitanie Głupek – przywitałem go. –

Dobrze się bawisz?

– Już przez to przechodziłam – westchnęła Becki.

– Więc co dla mnie ma nasz bohater?

Odwróciła głowę i spojrzała na swojego chłopaka.

– Rick. I może Doug.

– A kto to taki?

– Dupki. – W głosie Becki brzmiała gorycz. –  
Pojawiają się czasami na plaży. Byli na imprezie wczoraj  
w nocy.

Przyjrzałem się Kyle'owi.

– Skąd wiedzieli, gdzie trzymasz zapas?

– Po prostu wiedzieli, rozumiesz? Ja...

– Posłuchaj mnie, Kyle. Widzę, że coś już do ciebie  
dotarło, ale muszę wiedzieć, czy ci faceci dowiedzieli się  
wszystkiego, bo są tacy sprytni i wiedzą, jak gra się na  
ludziach twojego pokroju, czy może tylko tak wyszło,  
więc postanowili wykorzystać sytuację ot, tak sobie, bo  
nadarzyła się okazja. Zakładam tę drugą możliwość, bo to  
było amatorskie włamanie, ale wolałbym wiedzieć na  
pewno.

– Powiedziałem im. Jakoś tak się złożyło.

Becki przewróciła oczami i burknęła coś pod nosem.

– Dobrze. Wiesz, gdzie mieszkają?

– Tak.

Otworzyłem drzwiczki samochodu.

– No to jazda.

– Nie wtrącaj się? – prychnął Kyle. – To mój  
problem. Becki już mi to powiedziała.

– Skąd wzięłeś kokę?  
– Od takich jednych... z Portlandu.  
– A dziesięć tysięcy to niewiele... w skali biznesu. Ale oni zechcą odzyskać pieniądze. Dla nich pojęcie akceptowalnej straty nie istnieje. Jeśli poniosą stratę, źle wyglądają, a na to nie mogą sobie pozwolić. Jeśli nie odzyskają, co ich, rozszerzą działalność, z tobą jako muchą w środku ich sieci. Co oznacza, że następna w kolejce jest Becki. Becki nie ma tego, czego chcą, a to oznacza, że po niej kolej na jej tatę i jego biznes. – Popatrzył na mnie, mrugając. – Żaden człowiek nie jest wyspą. Rozumiesz teraz, co zrobiłeś?

Wiedziałem, że go prowokuję, że dumę już ma zranioną, ale albo teraz dostanie nauczkę, albo będzie gorzej, znacznie gorzej. Następnym razem.

– Tak – powiedział cicho.  
– Doskonale. – Wsiadłem do samochodu. – No to teraz sprawdzimy, czy uda nam się załatwić sprawę.

Pojechaliśmy do domu stojącego na północny zachód od Seaside, miasteczka między Marion Beach a Astorią. Jazda trwała czterdzieści minut. Powiedziałem Kyle'owi, żeby zadzwonił, zachowując się tak, jakby wszystko było w największym porządku, i umówił się z tymi dwoma na jutro. Poszło gładko, okazało się, że są w domu, co wzmocniło tylko moje przekonanie, że nie mamy do czynienia z geniuszami zbrodni. Możemy założyć, że są winni, że to także dupki, gotowe kłamać facetowi w żywe oczy, a potem się z tego śmiać. Jeśli czegoś nienawidzę,

to właśnie tego.

Poprosiłem Becki, żeby zaparkowała pięćdziesiąt metrów od ich domu. Wsiadłem i otworzyłem bagażnik. Rozejrzałem się i prawie natychmiast znalazłem coś nadającego się do użytku.

– W porządku. Kyle, idziesz ze mną.

Becki zareagowała natychmiast:

– A ja co...

– Zaufaj mi – poprosiłem ją. – Gdybyśmy mieli walczyć, postawiłbym na ciebie w każdych okolicznościach. Zostajesz, bo być może będziemy musieli szybko się stąd ewakuować. Jeśli tak, to najlepiej z nas poradzisz sobie za kierownicą, prawda?

To ją uspokoiło. Kyle wysiadł i spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– I co teraz?

– Chodź ze mną. Rób, co mówię.

Podeszliśmy do domu, idąc po drugiej stronie ulicy. W oknach się świeciło, co mogło sugerować, że ktoś jest w domu. Nic nie wskazywało jednak na to, by toczyła się tam szalona zabawa, mająca uczcić szczęśliwie zdobyte bogactwa.

– Zostań tu – szepnąłem.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy. Okrążyłem dom, starając się zachowywać jak najciszej. Chciałem sprawdzić, czy da się zobaczyć coś przez okna. Okazało się, że niewiele. Skądś dobiegała muzyka, ale nie tak głośna jak przy dobrej zabawie.

Jeden pokój wyglądał tak, jakby ktoś wrzucił do niego sklep ze starzyzną, po czym usunął wszystko warte więcej niż pięć dolców. Salon z dwiema kulawymi kanapami stojącymi pod właściwym kątem przed poobijanym telewizorem, nastawionym na MTV. I pojedynczy materac na podłodze zarzucony brudnymi ciuchami, a wokół porozrzucane puszki po napojach. Z drugiej strony: kuchnia, oświetlona jedną nagą żarówką, walczącą dzielnie z papierosowym dymem. Przy stole siedzą dwaj młodzi faceci. Z iPoda z podłączonymi głośnikami lecą hardrockowe ballady. Jest tu kilka butelek wina, wielkie torby chrupek i, z boku, popielniczka pełna białego proszku. Raj na ziemi w stylu obiboków.

A na szafce poobijana przemysłowa sokowirówka.

Cofnąłem się do miejsca, w którym Kyle mógł mnie już zobaczyć, i pokazałem mu, że ma zadzwonić do drzwi. Wahał się przez sekundę, po czym zszedł z chodnika.

Podszedłem do tylnego wejścia. Poczekąłem, aż odezwie się dzwonek. Dwaj faceci wymienili spojrzenia, a potem jeden z nich wstał i wyszedł z kuchni. Drugi wsunął popielniczkę z białym proszkiem do jednej z toreb po chrupkach.

Delikatnie nacisnąłem klamkę tylnych drzwi. Były zamknięte. Umiesz naprawiać i umiesz niszczyć. Po prostu wykopałem.

Facet przy stole ledwo zaczął się podnosić i już przy

nim byłem. Złapałem go za włosy, pchnąłem na krzesło i pokazałem mu łyżkę do opon, którą trzymałem w garści.

– Jesteś Rick czy Doug?

– Kim, do diabła...

– Nie – syknąłem i trąciłem go łyżką w kolano. – Tak to się nie będziemy bawili. Próbujemy jeszcze raz?

– Rick.

– Lepiej. Gdzie masz narkotyki, Rick?

– Co, do kurwy...

Nowy głos. Podniosłem wzrok. W drzwiach stał Kyle i ten drugi, założyłem, że Doug. Jego źrenice były zwężone bardziej niż źrenice kumpla. Patrzył na mnie, jakbym był reklamą organizacji charytatywnej prowadzącej zbiórkę dla chorych na raka, pojawiającą się ni w pięć, ni w dziewięć podczas dobrych programów rozrywkowych.

– Jest taka rzecz – powiedziałem do niego, bo nocne odwiedziny w Pelikanie to był jego pomysł. Zawsze można odróżnić tych rozkazujących i tych słuchających rozkazów, nawet kiedy ci rozkazujący wydają najgłupsze w świecie rozkazy. To ja dostarczyłem towar twemu przyjacielowi Kyle'owi.

– Cholera! – zaklął Doug z uczuciem.

– Właśnie. – Pchnąłem Ricka, zaplątanego w krzesło tak, żeby wraz z nim upadł ciężko w rogu.

– Cholera! – powtórzył jego kumpel, mrugając szybko. Chociaż był głupi jak but i naćpany, jednak dotarło do niego, że miły wieczór zrobił się nagle bardzo



niemiły.

Dałem sobie spokój z biciem. Zamachnąłem się łyżką i zmiażdżyłem najbliższe gniazdko elektryczne. Odłamki szkła rozsypały się po całym wnętrzu.

Kyle i Doug odskoczyli, osłaniając głowy. Rick walczył z krzesłem. Zamierzał wstać. Postawiłem mu stopę na piersi, może nawet przesadnie delikatnie? Znieruchomiał, leżąc, niemal z wdzięcznością.

– Powiedz mi, że nadal go masz... oczywiście z wyjątkiem tego, co obaj zdążyliście już wciągnąć.

Doug szybko skinął głową, nim zdążył pomyśleć, co robi. On jeszcze nie oberwał. Bardzo cenił taki obrót spraw i gotów był na wiele, by nic się nie zmieniło.

– Czekam.

Nie zawahał się. Pobiegł prosto do lodówki, wyciągnął szufladę na warzywa, wyszarpnął z niej brązową torbę i rzucił ją mnie, jakby parzyła. Zajrzałem do środka, po czym rzuciłem ją Kyle'owi. Podszedłem do Douga i spojrzałem mu w oczy.

– Wiesz, jakie miałeś szczęście?

Gorączkowo pokiwał głową.

– Mam nadzieję. Normalnie nasze spotkanie wyglądałoby zupełnie inaczej, ale Kyle zapewnił mnie, że jesteście w porządku, choć wcale na to nie wyglądacie. Mam tylko nadzieję, że nie obudzicie się jutro wściekli jak cholera i pewni, iż nie okazaliście należytej asertywności, i że nie uznacie za stosowne odegrać się na Kyle'u.

- Nie ma mowy – zapewnił Doug pospiesznie.
  - Doskonale. Bo jeśli spróbujesz, spalę ci dom. Rozumiesz? I nie mam na myśli tego taniego gówna, w którym teraz mieszkacie.
  - Hej, człowieku, przecież obiecałem. Jesteśmy w porządku.
- Skinałem głową na Kyle'a. Wyszliśmy.

\* \* \*

W połowie drogi do samochodu zatrzymałem się i położyłem rękę na ramieniu Kyle'a. Odwrócił się ostrożnie zaniepokojony.

Wyglądał na dwanaście lat.

– Nie muszę rozmawiać z tobą w ten sposób, prawda? spytałem.

Pokręcił głową. Szybko.

– Pozbądź się tego gówna. Jak najszybciej. Zapłać ludziom, od których je dostałeś, a potem zwróć pożyczkę. I nie próbuj więcej takich numerów. Nie dorosłeś do takiego stylu życia.

Wkurzysz kogoś o jeden szczebel wyżej w hierarchii stada i skończysz totalnie wypieprzony lub nawet martwy. Nie chcę okazać ci braku szacunku, broń Boże, to tylko profesjonalna rada kogoś, kto wie.

Kyle kiwał głową praktycznie przez cały czas, broda mu drżała.

– W porządku.

– Ten biznes tak właśnie działa. Na samej górze są ludzie produkujący narkotyki i zajmujący się ich dystrybucją na najwyższym szczeblu, cienie robiące największą forszę, których nikt nigdy nie złapie. Poziom niżej zajmują ludzie, od których kupiłeś towar. Też robią niezłą forszę, ale czasami wypadają z biznesu albo dostają kulkę i po nich przychodzi następna fala.

Na samym dole są ci, do których i ty chciałbyś należeć. Ci z ulicy. Trochę zarobią, ale zawsze kończą zaćpani albo w więzieniu, albo martwi, co tych wyżej gównem obchodzi. – Wziąłem go pod brodę i już miałem pewność, że uważnie mnie słucha. Naprawdę chcesz do nich dołączyć? Kurwić się dla jakiegoś dupka, który w tej chwili siedzi na jachcie większym niż największy dom, jaki masz szansę kiedykolwiek mieć?

Kyle pokręcił głową najbardziej przekonująco, jak potrafił.

– Nie.

Klepnąłem go w ramię.

– Doskonale. W takim razie załatwione. Wracamy do domu.

Doszliśmy do samochodu. Na widok torby Becki zapadła się z ulgą w siedzenie.

– Jak... Czy wszystko w porządku? – spytała.

– Załatwione – zapewniłem ją. – Twój chłopak doskonale się spisał.

Jechałem na tylnym siedzeniu. Po tym, co zaszło, powinienem czuć się doskonale... ale się nie czułem.

Przyglądałem się domom przemykającym za oknem, potem rzece, przez którą przejechaliśmy mostem, kierując się na południe, a potem wydmom i rozciągającemu się za nimi ciemnemu oceanowi.

Becki zahamowała przed moim domem o wiele łagodniej niż poprzednio.

– Dziękuję – powiedziała, ale trochę jak ktoś, komu wyświadczono przysługę. Potem pokręciła głową. – Do zobaczenia jutro – dodała i wrażenie ustąpiło. Częściowo.

Doszedłem do początku prowadzącej w dół dróżki i obejrzałem się za siebie. Samochód nie ruszył z miejsca, Becki i Kyle obejmowali się, pochyleni tak, że stykali się czołami. Becki gładziła go po głowie i szyi. Nic temu nie dorówna. Na całym wielkim świecie – nic.

Wszedłem do domu. Byłem zmęczony, czułem się tak, jakbym zrobił coś złego, i tak, jakbym mógł przejść tysiąc kilometrów w każdą stronę, ani razu nie znajdując powodu, by się odwrócić.

\* \* \*

Po prysznicu poczułem się lepiej. Wszedłem na balkon z papierosem i puszką coli. Chętnie wziąłbym także piwo, ale wiedziałem lepiej.

Czując, jak gorąca woda obmywa mi głowę, zdecydowałem, że nie ma się co przejmować. Gdybym nic nie zrobił, ludzie, na których mi zależy, znaleźliby się w znacznie gorszej sytuacji. To dobre uzasadnienie tego,

co się jednak zrobiło, równie dobre jak każde inne, prawda? I czy przypadkiem poprzedniej nocy nie gapiłem się na fale, czując się zepchnięty na margines życia?

Potrząsnąłem głową, porzucając takie rozumowanie. Wiem, czego może dokonać sen. To, co wymyka się spod wszelkiej kontroli o pierwszej w nocy, po siedmiogodzinnej utracie przytomności może stać się snem kogoś innego i obcego. Jutro będzie nie tylko nowy dzień. Nowy dzień czeka na nowego człowieka i zawsze, gdy idziesz spać, mówisz „do widzenia”, amen.

Wróciłem pod dach i nalałem sobie szklanek wody na noc. Mijając laptop, zawahałem się, lecz uznałem, że nie pożegnam dnia w sposób właściwy, nie sprawdzając poczty.

Nawet spamu nie było aż tak dużo i już miałem wyłączyć komputer, kiedy zobaczyłem ostatni e-mail, który przyszedł przed chwilą.

W polu temat: „!!PRZERWANE!!”.

Zakląłem, żałując, że zajrzałem do poczty. Teraz nie miałem wyboru, musiałem ją przeczytać do końca. Już stojąc, kliknąłem na list i przyglądałem się, jak wypełza na ekran.

*Proszę, odpowiedz.*

*Wiem, co się stało twojemu synowi.*

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rankiem obserwowałem wschód słońca, co nie znaczy, że tej nocy w ogóle nie spałem.

Przez godzinę po przeczytaniu e-maila chodziłem od laptopa na taras i z powrotem, próbując podjąć jakąś decyzję. W pierwszym odruchu chciałem wykasować e-mail, opróżnić kosz i udawać, że nigdy go nie dostałem. Ale po jakimś czasie zrozumiałem, że nie mogę go tak po prostu wyrzucić. Pozostał więc problem, co dalej? Pierwsze pytanie brzmiało: skąd nadawca znał mój adres? Szczególnie ten, bo szczerze mówiąc, mam ich kilka. Najnowszy i główny, na który dostaję nieczęste wiadomości od byłej żony, ten na Gmailu, który założyłem do szczególnego celu i którego od trzech lat nie sprawdzałem, choć prawdopodobnie/może nadal funkcjonuje, i wreszcie korporacyjny, pozostałość po byłym miejscu pracy. Przeszło, minęło dawno temu, ale samego adresu najwyraźniej nie dezaktywowano.

Ostatni e-mail przyszedł właśnie na tamten adres. Nadawca albo wiedział, albo dowiedział się, że kiedyś byłem związany z rzeczoną firmą. A raczej nadawczyni, najprawdopodobniej, ale nie mogłem przyjąć tego za pewnik, bo w sieci możesz być, kim tylko chcesz. Nie wyglądało na to, by kontaktowała się ze mną, bo wcześniej mnie znała, a nazwiska nie potrafiłem skojarzyć. Wpisałem je w wyszukiwarkę i znalazłem to,

co zawsze się znajduje: przypadkowe prywatne witryny, parę list pracowników oraz protokołów zebrań bibliotekarek i harcerek, a także linki do witryn genealogicznych.

W końcu udało mi się wymyślić jedno, i to właśnie zrobiłem.

Napisałem:

*Kim jesteś?*

Przyglądałem się tym dwóm słowom, nie słysząc nawet szumu fal, czując tylko, jak żołądek powoli podchodzi mi do gardła. Powinienem je wysłać czy nie powinienem? Na razie miałem wybór, mogłem odejść, nie sprawdzać poczty, żyć, jak żyłem.

Ale w końcu wcisnąłem „Wyślij”, a potem wyszedłem z domu.

\* \* \*

Piłem butelkowaną wodę, szklanka za szklanką. Co piętnaście minut wchodziłem do pokoju sprawdzić pocztę. Było już bardzo późno, więc wiedziałem, jak mało prawdopodobne jest, by odpowiedź nadeszła tej nocy... jeśli w ogóle miała być odpowiedź. Niezależnie bowiem od tego, jak jest w rzeczywistości, inwestujemy w pocztę elektroniczną oczekiwania z minionej epoki i spodziewamy się, że jeśli coś powiemy, ktoś, do kogo się

zwróciliśmy, natychmiast odpowie.

Nie doczekałem się odpowiedzi.

O trzeciej zamknąłem drzwi i wyłączyłem komputer. Rozbierając się, uświadomiłem sobie, że niezależnie od tego, co czuje się za dnia, rok powoli dobiega końca: w pokoju było zimno.

Położyłem się do łóżka sprawiającego wrażenie bardzo szerokiego. Słuchałem szumu krwi w uszach, starałem się o wszystkim zapomnieć i w końcu nie byłem już sobą.

Nie było odpowiedzi o świcie, nie było jej rano i późnym rankiem, nie było o szesnastej trzydzieści, kiedy przebrałem się w strój roboczy i wyszedłem do restauracji. W nocy padał ulewny deszcz, rankiem spacerowałem po piasku, wilgotnym, bezbarwnym, pokrytym drobnymi dziurkami niczym ślady po ospie i wyrzuconymi przez fale wodorostami. Idąc do Pelikana, byłem przekonany, że to samo może się zdarzyć także tej nocy. Jeszcze parę godzin i rozpada się na dobre, będzie łać z tym tępym uporem, z którego Oregon, jakże słusznie, słynie, a to oznaczało spokojny dzień pracy. Zresztą najprawdopodobniej i tak byłby spokojny i knajpka nie będzie już otwierana w niedzielne popołudnia. Sezon dobiegał końca.

Szedłem spacerkiem, przemawiając do siebie uspokajająco. E-mail był prawdopodobnie tworem oportunistycznego szaleńca mającego własną definicję aktualności newsa. Gdyby coś w nim było, to, moim



zdaniem, nadawca szybko znów by się ze mną skontaktował. Co robisz, kiedy wysłałeś taki e-mail i jest prawdziwy? Oczekujesz odpowiedzi, a kiedy nadejdzie, reagujesz na nią natychmiast. Mając ofiarę na haczyku, nie daje się jej czasu, żeby się z niego zerwała.

I tak zwyciężyło we mnie oryginalne przekonanie, że cała ta sprawa, od samego początku, nie miała najmniejszego znaczenia. Przez dobre dziesięć minut przypominałem sobie sekwencje zdarzeń od początku do końca i od końca do początku, za każdym razem dochodząc do tego samego wniosku. Próbowałem zatrzymać go przy sobie i dać sobie spokój.

Trzy kilometry z hakiem to spacer akurat w sam raz, żeby to i owo przemyśleć. A także na to, by uświadomić sobie, że nie jest się w najlepszym humorze. Ale do Pelikana dotarłem jako jeden z pierwszych i zaraz zabrałem się do roboty. W pewnym momencie za oknem przeszedł Eduardo. Pokazał mi paczkę marlboro. Wyszedłem zapalić z nim i jeszcze dwoma kucharzami. Było to doświadczenie miłe, ale też dziwne, w końcu minęło tyle czasu. Czułem się tak, jakbym wiódł teraz równoległą, choć nie tak znowu różną od poprzedniej egzystencję. Eduardo nieźle mówił po angielsku, dwaj pozostali nie, a mój hiszpański jest więcej niż kiepski. Skończyło się na czymś w rodzaju: jesteśmy tu razem, palimy sobie i w zasadzie to się nawet lubimy.

Wchodziłem do środka, kiedy zobaczyłem podjeżdżającą pod Pelikana Becki, co mnie zaskoczyło,

ale nie do końca. Z auta wysiadł Kyle. Uznał za stosowne przyjechać dobre czterdzieści minut przed czasem! Obserwowałem go przez chwilę, idącego w stronę restauracji, a potem spojrzałem na siedzącą za kierownicą Becki. Uśmiechnęła się, uświadamiając mi, że jednak, mimo wszystko, jakoś jej się ułoży. No i moja szybko rozwijająca się kariera producenta pizzy właśnie dobiegła końca. Przynajmniej na razie.

\* \* \*

Zaraz po otwarciu wyglądało to całkiem nieźle, ale po tym liczba gości systematycznie malała, aż została tylko jedna rodzina, jedząca w ciszy tak morderczej, że niemal zagłuszała grającą w tle muzykę. Po godzinie Ted wysłał Mazy do domu. Reszta ekipy, z rękami założonymi na plecach, dryfowała po sali niczym opuszczone przez załogę żaglowce na spokojnym morzu, chroniąc się na odpoczynek w kątach i obserwując niebo, coraz niższe i ciężkie, coraz mocniej świecące od wewnątrz fioletem.

– Będzie się działo – powiedział jakiś głos. – Wielkie „bum”!

Odwróciłem się. Za mną stał Kyle. Najwyraźniej miał bardzo zdecydowane poglądy na pogodę. Przez chwilę obaj przyglądaliśmy się chmurom.

– Wszystko w porządku? – przerwałem milczenie.

Skinął głową. Może to przez moją bujną wyobraźnię,

ale wydawał mi się starszy niż wczoraj, choć także nieco podminowany. Rozejrzał się i ściszył głos.

– Pracuję nad załatwieniem tego, co... wiesz. No i jeszcze jedna sprawa. Słyszałem, co do mnie mówiłeś. Do diabła, Becki powiedziała mi dokładnie to samo. – Spuścił wzrok. A przy okazji, dziękuję. Nie powiedziałem tego wczoraj, a powinienem.

– Miałeś kiepski dzień.

Kyle milczał, ale widziałem, że ma do powiedzenia coś jeszcze. Wreszcie zdobył się na odwagę.

– Skąd... skąd wiesz, jak robi się... jak się robi takie rzeczy?

– Niczego takiego nie zrobiłem, tylko pogadałem z dwoma facetami.

– Jasne, oczywiście. Pogadałeś.

– Tak to pamiętam.

– Przecież nawet nie wiedziałeś, z kim będziesz miał do czynienia. Po prostu wszedłeś do tego domu i graj, muzyko!

– Spytałem, co o nich sądzisz.

– Mogłem spieprzyć sprawę. Źle ich ocenić. Wprowadzić cię w błąd. To się zdarza, wiesz?

– Wszystko skończyło się dobrze, Kyle.

– Ale...

– Co Becki o tym myśli?

– Myśli, że bardzo nam pomogłeś i że powinniśmy zostawić sprawę, jak jest. Jakby nic się nigdy nie stało.

– Z pewnością nie zaszkodzi ci, jeśli będziesz słuchał

Becki... w tym i we wszystkim innym. Dobrze mieć przy sobie kogoś takiego. Masz fart.

– Jasne. – Kyle westchnął ciężko. – Przecież wiem.

– Oczywiście fart bywa czasami jak wrzód na tyłku. To jeden z wielkich kompromisów życia.

Chłopak przemyślał to sobie, uśmiechnął się i wrócił na stanowisko pracy, do pieca. Pół godziny później pojawiła się wesółą para Anglików. Ted nie chciał ich obsłużyć, bo oboje byli kompletnie pijani, i na tym noc się skończyła. Zamknęliśmy wcześniej, zaraz po dwudziestej pierwszej.

Kyle czekał na Becki. Wypaliliśmy skręta na tarasie, pożegnaliśmy się i poszedłem do domu.

\* \* \*

Zdażyłem, nim z nieba poląła się woda magazynowana tam w górze chyba od początku stworzenia. Rozłożyłem dach nad tarasem, wziąłem piwo, zapaliłem papierosa i obserwowałem deszcz, słuchając, jak drewno i płótno opierają się atakowi żywiołowym niczym nawale ogniowej broni krótkiej niewielkiej nacierającej armii. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że tylko zabijam czas.

Dopiłem piwo. Wszedłem do domu. Otwierając laptop, uświadomiłem sobie, że być może doczekałem tej nocy, kiedy będę zadowolony z e-maili otrzymanych wyłącznie od krętaczy i nachalnych sprzedawców

lekarstw, z barwnym dodatkiem pozostałości po wirusach, wypuszczonych na świat przez dzieciaki niezdające sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo są sfrustrowane niemożnością nawiązania kontaktu z realnym światem, w którym ma się do czynienia z rzeczywistym, autentycznym pocałunkiem rzeczywistej, autentycznej dziewczyny.

Wcisnąłem kombinację klawiszy. Czekałem.

Były tam, gdzie powinny być: cienie zrodzone z próżni, oferty nieoferujące niczego, puste żądania.

Ale nie tylko.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ta wiadomość była krótka.

*Jeśli nie odpowiem, proszę, zostaw wiadomość.  
Musimy porozmawiać. Ellen Robertson*

I numer telefonu.

Wytrąciło mnie to z równowagi. Przyglądałem się cyfrom, jakby były drzwiami z napisem „Niebezpieczeństwo”. Adres e-mailowy oznacza tyle, że jeśli odpiszesz nadawcy, to otrzyma wiadomość dość szybko, chyba że padnie serwer, filtr antyspamowy okaże się nadgorliwy albo zdarzy się coś innego, dziwnego i niezrozumiałego. Przeczyta ją, a po przeczytaniu odpowie, jeśli i kiedy będzie miał ochotę. Buforem komunikacji jest czas i prawdopodobieństwo. Numer telefoniczny to inna sprawa. Stara szkoła. Jeśli wybierzesz numer, masz duże szanse, że chwilę później zaczniesz rozmowę z rzeczywistym człowiekiem w rzeczywistym czasie.

E-mail wysłany został o dziewiętnastej dwanaście. Zegar na pulpicie informował mnie, że jest dwudziesta druga dwadzieścia cztery. Czy to za późno na telefon? Czy mam się tym przejmować? Czy kobieta, która w pełni świadomie wrzuciła mi w życie granat, ma prawo wybierać sposób reakcji? Przeskoczyła cyfra zegara.

Dwadzieścia pięć. I jeszcze raz. Dwadzieścia sześć. Im dłużej będę nad tym myślał, tym później podejmę decyzję.

Wyjąłem telefon i zadzwoniłem.

Po piątym czy szóstym sygnale ktoś odebrał.

– Halo? – powiedział kobiecy głos.

– Nazywam się John Henderson.

Milczenie trwało trzy, może cztery sekundy.

– Oddzwonię za chwilę. – Kobieta wyszeptała te słowa tak, że zlewały się w jedno. I przerwała połączenie.

Wziąłem papierosy i wyszedłem na taras. Nie mogłem usiąść, więc stałem, przyglądając się, jak pada deszcz.

Czekałem.

\* \* \*

Nie palę w zamkniętych pomieszczeniach i nie piję pod dachem, już nie. To jeden z wypracowanych przeze mnie sposobów na nierobienie czegoś nieustannie, bez przerwy.

Wypaliłem na tarasie dwa papierosy, nim odezwał się trzymany przeze mnie w ręku telefon.

– Tak? – powiedziałem i uciekłem do domu przed hałasem burzy.

– Mam tylko kilka minut – odezwał się kobiecy głos. Brzmiał tak, jakby mówiąc, spacerowała.

– Kim jesteś?

- Nazywam się Ellen Robertson.
- To już wiem. Ale...
- Potrzebuję twojej pomocy.
- Co to znaczy „pomocy”?
- Boję się – przyznała kobieta po chwili milczenia.
- Czego?
- Myślę, że to samo może spotkać mnie.
- Słuchaj, nie mam pojęcia, co, jak sądzisz, wiesz...
- Mieszkam koło Black Ridge. – Mówiła tak spokojnie, jakby nie słyszała moich słów. – Ty mieszkałeś kiedyś nieco ponad trzydzieści kilometrów stąd.

Zbiła mnie z tropu na chwilę, ale potem pomyślałem sobie: i co z tego? O tym, co się wydarzyło, pisały lokalne gazety, dostępne w bibliotekach dystryktu, a także, z całą pewnością, w Internecie.

- I co z tego?
- Czekał.

Znów usłyszałem ten dźwięk, przypominający szelest płaszcza, gdy ktoś idzie szybko. Trwało to może dwadzieścia sekund, a potem, kiedy znów zbliżyła telefon do ust, oddychała szybciej, ciężko.

– Muszę kończyć. – Jej głos się zmienił, brzmiał, jakby się czegoś obawiała, była zdenerwowana, a może nawet więcej? – Przepraszam, ale...

– Słuchaj – powiedziałem tak, jak od dawna nie mówiłem do nikogo, może z wyjątkiem Kyle’a poprzedniej nocy – nie wiem, kim, do diabła, jesteś, a to, co do mnie mówisz, nie ma – To ja potrzebuję pomocy. –



Głos tej kobiety znów stał się silny, nawet zbyt stanowczy, jakby przemawiała znad samej krawędzi hysterii. – Nikt mi nie uwierzy, może z wyjątkiem ciebie, ale teraz zrozumiałam, że ty też nie uwierzysz. Myślałam, że może wiesz, ale najwyraźniej nie wiesz, a ja nie mogę ryzykować kolejnego e-maila, ponieważ on teraz skanuje Wi-Fi. Jeśli powiem ci przez telefon, pomyślisz, że oszalałam i...

Nagle umilkła. Na dwie sekundy zapanowała absolutna cisza, po czym powiedziała szybko „do widzenia” i została już tylko straszna cisza przerwane połączenia.

\* \* \*

Oczywistą reakcją było znów do niej zadzwonić, ale to „do widzenia” zabrzmiało niewyraźnie, jakby oderwała telefon od ust i szybko schowała go do kieszeni. Mogłem udawać, że mam do czynienia z kobietą szaloną, pragnącą wykorzystać mnie w sposób, o którym nic jeszcze nie wiem, ale znam głos ludzi przerażonych i naćpanych. Pod koniec rozmowy ta kobieta była albo przerażona, albo naćpana, albo jedno i drugie. Nie mogłem tak po prostu wrzucić dzwoniącego telefonu w jej życie.

E-mail też nie wydawał się szczególnie dobrym wyjściem. Pomyśl, że „on”, kimkolwiek jest, prawdopodobnie mężem, ściąga e-maile wprost z eteru, brzmiał nieco paranoicznie (nie jest to takie łatwe, jak się

większości z nas wydaje), ale wysłanie e-maila to akt nieodwracalny. Zadzwonisz do kogoś i jeśli w słuchawce odezwie się obcy głos, zawsze możesz powiedzieć „przepraszam, pomyłka” albo nawet odłożyć słuchawkę, i niech cię szukają po numerze, którego ślad pozostawiłeś. Wysłanego e-maila nie odwołasz. To, co miałeś do powiedzenia, zostaje wypisane na ścianie i nie da się już tego zmyć.

– Kurwa! – krzyknąłem. Głośniejszego okrzyku ten dom nie słyszał, od kiedy w nim zamieszkałem. Nie miałem pojęcia, że będę krzyczał, dopóki nie usłyszałem własnego głosu, odbitego od ścian bezdźwięcznym echem. Nie podobał mi się tak głośny dźwięk wydobywający się z mojego własnego wnętrza. Schowałem telefon do kieszeni, wypadłem na taras, zbiegłem po schodach i przeszedłem mostkiem nad wydmami. Nadal lało, ale nie wiedziałem, dokąd iść i co robić.

\* \* \*

O ósmej rano wybrałem numer restauracji. Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu dałem sobie spokój i ponowiłem próbę pół godziny później. Wreszcie usłyszałem stuk podnoszonej słuchawki.

– Pelikan – powiedział nieznany mi głos.

– Z kim mówię?

– Eduardo. – Kucharz wydawał się ostrożny,

swobodne rozmowy telefoniczne nie należały do jego obowiązków. Kto dzwoni?

– To ja, John – przedstawiłem mu się. – Słuchaj, muszę coś znaleźć w komputerze.

– No, nie wiem. – Znów opadły go wątpliwości. – Ted chyba nie byłby szczęśliwy, gdybym zaczął się nim bawić.

– Wcale nie musi się o tym dowiedzieć.

– Nie znam się na komputerach.

Nie podniosłem głosu, choć wymagało to ode mnie sporego wysiłku.

– Eduardo, nie proszę o nic wielkiego. Powiem ci dokładnie, co zrobić. Potrzebny mi tylko numer telefonu z bazy danych.

– Czyj numer telefonu?

– Becki.

– Ach, przecież to proste – ucieszył się Eduardo. Wydrukowała go i zostawiła tu po włamaniu. Tu są wszystkie numery. Wszystko w porządku.

– Wspaniale. – Poczułem ulgę, nie chciałem go za bardzo przyciskać. – Podaj mi go i, skoro już przy tym jesteśmy, także numer domowy Teda.

Podyktował mi oba powoli i starannie. Podziękowałem mu i już odkładałem słuchawkę, kiedy usłyszałem, że coś powiedział.

– U ciebie w porządku?

– W porządku – odparłem.

Najpierw zadzwoniłem do Becki. Nie zakładałbym

się, że nie śpi, a już z pewnością, że okaże się taka przytomna i rzeczowa. Wysłuchała mnie w milczeniu i natychmiast zgodziła się spełnić moje dwie prośby. Pozostała jeszcze rozmowa z Tedem.

– Tylko mi nie mów, że to znowu to – powiedział, słysząc mój głos.

– Nie, w restauracji wszystko w porządku. Dzwonię z domu.

– No?

Powiedziałem mu, że wyjeżdżam na dzień, może dwa, i że Becki zgodziła się zastąpić mnie na sali, gdyby wymagały tego rezerwacje. Prawda wyglądała jednak tak, że pewnie nie będą wymagały.

Ted spokojnie wysłuchał moich wyjaśnień.

– O co chodzi? – spytał, kiedy skończyłem.

– Sprawy rodzinne.

– Nie wiedziałem, że masz jakieś sprawy... to znaczy nie wiedziałem, że masz rodzinę.

– Miałem... znaczy mam.

– Mogę w czymś pomóc?

– Bardzo ci dziękuję, ale nie.

– Jeśli to się zmieni, daj znać.

Było to bardzo miłe, ale chciałem już zakończyć tę rozmowę.

– Oczywiście, Ted, ale to nic wielkiego, tyle że trzeba się tym zająć zaraz.

– Zapamiętam twoje słowa – powiedział Ted.

Pół godziny później, spakowany do małej torby,

zamykałem drzwi domu. Jeszcze dziesięć minut i przyjechała Becki. Miała mnie podrzucić do Portlandu.

\* \* \*

Złapałem samolot o dwunastej czterdzieści, klasa biznesowa, bo tylko to udało się załatwić w tak krótkim czasie. Prawie cały lot spędziłem, gapiąc się na oparcie fotela przede mną i próbując skoncentrować się na myśli o tym, jak to dziwnie znowu wznieść się w powietrze. Dużo latałem... w przeszłości. Taka praca, a przedtem były inne powody i inne samoloty, takie, w których nie podawano gorących napojów. Lecąc do Yakimy, uświadomiłem sobie, że nie wszedłem na pokład samolotu od przeszło trzech lat.

A jednak zapiąłem pas, ręce zrobiły to bez udziału mojej woli. Posłusznie przesunąłem wzrokiem po laminowanej karcie wzywającej „udawajmy, że w wypadku nie zginiemy w płonącej kuli ognia”, a kawę z rąk stewardesy przyjąłem z obojętną swobodą doświadczonego lotnika.

Odległość między „kiedyś” i „teraz” zawsze jest o wiele mniejsza, niż sądzimy. Samolot nie wzniósł się jeszcze na pułap przelotowy, a ja już spoczywałem w nieustępliwych objęciach przeszłości i słuchałem, jak opowiada mi znowu tę starą historię.

Historię o tym, że kiedyś miałem syna i mój syn zmarł.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez okno kawiarni Kristina obserwowała matkę, która właśnie ruszyła Kelly Street z powrotem do swojej kryjówki. Zaczerpnęła powietrza i powoli wypuściła je z płuc.

Dzieci, co? Znowu. Na litość boską!

Prawdę mówiąc, było wprost niewiarygodne, jak mama ciągle krążyła wokół tego tematu, niewiarygodne w ograniczonym znaczeniu „nieprawdopodobnie nieznośne”. Dla niej istniał chyba tylko ten temat. Nie zgłaszała pretensji, że córka nie ma męża, nie ma nawet chłopaka, tylko dziecko... dziecko było jedyną ważną sprawą w mieście. Jakby ona sama była wcieleniem Matki Ziemi, wzorem troski i pieczenia ciast wprost z „Good Housekeeping”, i aż umierała, nie mogąc się doczekać, by jej macierzyński geniusz zaowocował w przyszłym pokoleniu. Jakby mężczyźni byli tylko dodatkową atrakcją, a liczyła się wyłącznie nieskończona linia kobiet (bo to wnuczki życzyła sobie jej mama, powiedzmy to wprost, wnuczki, a nie tak po prostu zostać babcią), a jej nie tak znowu opłakiwany mąż nie spłodził kogoś, kto by go kochał.

Jakby naprawdę nie zdawała sobie sprawy z tego, że bywały chwile, kiedy jej własna córka życzyła jej szczerze, choć jak dotąd nieskutecznie, nagłej śmierci.

\* \* \*

Zamówiła kolejną kawę. Dlaczego nie? Zaczyna o siedemnastej, więc dlaczego nie miałyby rozprawić się z kolejną filiżanką gorącego przedmiotu sprawiedliwego handlu, rozkoszując się jednocześnie bogactwem i urodą popołudnia w Black Ridge?

Po kilku minutach za oknem przejechał samochód. Jego koła mlaskały na mokrej nawierzchni. Po jakimś czasie w przeciwnym kierunku przejechał inny samochód. Ktoś powinien zadzwonić do gazety. Wiadomość na pierwszą pieprzoną stronę.

Minęło pięć minut. Na skos przez ulicę przeszła dziewczyna, którą Kristina знаła z liceum. Zmierzała do fryzjera. Tak na oko macierzyństwo było jej ulubionym zajęciem, oddała mu się sześć- lub może nawet ośmiokrotnie. Albo to, albo pilnie potrzebowała diety. Rzut oka na salon fryzjerski natchnął Kristinę myślą, że równie dobrze mogłaby, a może nawet powinna, zadbać o włosy, więc zadzwoniła i umówiła się za parę dni. Potem wrzuciła telefon do torebki i znów wpatrzyła się w okno. Minuty mijały, jakby szły tam, dokąd, jak im ktoś powiedział, nie warto iść.

\* \* \*

Najbardziej wkurzało ją to, że nawet nie wiedziała, po co wróciła, i tak naprawdę właśnie to było przyczyną,

że rozmowy z matką zaczynały się kiepsko, a potem było już tylko gorzej. Wiedziała, że jej powrót jest dla matki jak moralne zwycięstwo, a ona bardzo pragnęła wyjaśnić jej wszystko i mieć na swoją obronę coś innego niż czyste lenistwo lub gorzej. Nie chciała wierzyć, że było to nieuniknione.

Można powiedzieć, że matka wygrała w przedbiegach.

Tylko... dlaczego po dziesięciu latach wracasz tam, gdzie urodzili się twoi rodzice i ich rodzice, i ich dziadkowie? Przyjaciele? Nic z tych rzeczy, przyjaciele odeszli, albo w sensie geograficznym, albo w słodką kryjówkę ojcostwa. Ojciec? Nie żyje. Kochana mamusia? Boże, tylko nie to! Na bożonarodzeniowych kartkach jest dużo miejsca, więc mogła dobitnie przypominać jej o domniemanych obowiązkach i/lub, w ciężkich słowach, o tej jednej jedynej ważnej rzeczy na świecie: spłodzeniu dziecka.

Kristina wyjechała z miasteczka niespełna tydzień po swoich osiemnastych urodzinach. Do widzenia, dziękuję za tak niewiele, mam dość. Pracowała, płaciła podatki i wynajmowała mieszkania w pięciu stanach i trzech obcych krajach, wliczając w to sześć szurniętych miesięcy w Tajlandii: dziwna wysoka dziewczyna za barem i oczywiście, możecie postawić jej drinka, ale proszę, zrozumcie, nic w ten sposób nie zyskacie. Bywało ciekawie, bywało zabawnie, przeważnie po prostu pracowała, robiąc coś, po czym w pamięci nie



pozostawało nic szczególnego, nawet z naprawdę dobrych czasów i kłopotów, od których włosy stawały dęba. Mogła robić nadal to lub coś podobnego, mogła zostać w Vermoncie, w Chicago, w Barcelonie, znaleźć sposób na życie albo zwyczajnie wybrać coś z tego, czego próbowała, i jakoś się temu poświęcić, zamiast pozostawiać po sobie rząd mężczyzn gapiących się w zdumieniu na leżący na kuchennym blacie liścik. Nie, wróciła tam, skąd wyjechała, z własnej woli, więc nie miała nawet kogo winić za powrót. Wróciła i teraz z przerażeniem uświadomiła sobie, że od jej powrotu minęło dziewięć miesięcy. Przecież wcale nie chciała tu być!

A jednak (te słowa zaczynały przypominać gwoździe wbijane w mózg coraz głębiej i głębiej młotem, który trzymała w ręku)... jest właśnie tu.

\* \* \*

Przyjęła dolewkę od obsługującej ją dziewczyny, która mimo kolczyka w nosie i turkusowych włosów była tak gamoniowata, że aż chciało się podłożyć pod nią ogień (i nie tylko dlatego, że nie ukrywała niechęci do klientki, wywołanej tym, że jest szczupłą, no więc, kochanie, dowiedziałaś się właśnie, co się dzieje z biodrami, jeśli odżywasz się wyłącznie makowcem i serem). Zastanowiła się przelotnie, skąd u niej to kontrkulturowe zacięcie. Jakiś uroczy facet sprzed dwóch

lat, co to oczarował nastolatkę, postawił jej świat na głowie, a potem odjechał w siną dal? Wujek, fajniejszy od rodziców, ale po cichu wyciągający od nich pieniądze? A może sami rodzice, wożący małą dziewczynkę na szerokim biodrze mamusi tam i sam, z koncertu na protest i znów na koncert. Właściwie można powiedzieć, że Kristina niczym się od niej nie różniła. Myślisz, że jesteś sobą, ale w którymś momencie uświadamiasz sobie, że jesteś testową wersją beta Mamuśki 2. 0, a najgorsze, że to tak kurewsko oczywiste, iż nie dostajesz punktów za dojście do tego wniosku okrężną drogą.

Czyżby wreszcie dotarła do sedna? Wróciła do miasta, bo w głębi duszy doskonale wiedziała, że życie gdzie indziej to żadna odmiana, że góry, drzewa i krzywy wzór uliczek to miejsce, z którego pochodzi.

Nie, nie sądziła, by było właśnie tak, ale...

Pieprzyć to!

Wstała, nim zdążyła w myślach dokończyć zdanie. Zostawiła duży napiwek tylko po to, by wkurzyć biodrzastą kelnerkę, i wyszła na ulicę.

\* \* \*

Zrobiło się chłodno. Zima pukała do okien. Wiedziała, że już raczej nie pozbiera się i nie wyniesie w cholere przed świętami. W sumie zawsze lubiła miejscową jesień i zimę, ta część kraju była jakby dla nich stworzona, jeśli nie miało się nic przeciwko śniegowi

i przesadnie obfitemu sąsiedztwu drzew, więc może to być jakieś usprawiedliwienie. Może właśnie udowadnia, że można wrócić do domu, a potem wynieść się z niego na dobre? Taką przynajmniej miała nadzieję.

Po chodnikach spacerowali ludzie, niektórzy pozdrawiali ją skinieniem głowy, większość nie. Kristina szła przed siebie, szukając okazji do zrobienia czegoś, nim przyjdzie pora iść do pracy. Było zupełnie tak, jakby przez dziesięć lat żyła całkiem rozbudzona i przytomna, a teraz znów pozwoliła sobie na sen, czy może odwrotnie, nie wiedziała tego na pewno. Nie było tu dla niej niczego, a już z pewnością niczego, czego by chciała.

A jednak tu wróciła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wylądowaliśmy nieco po piętnastej. Dojazd do podnóża Gór Kaskadowych zabrał mi godzinę. Skrzyłem z dziewięćdziesiątki na północ i po przeszło pięćdziesięciu kilometrach lasów dotarłem do granicy samego Black Ridge. Nic łatwiejszego, niż wziąć całe miasteczko za granicę miasteczka, ale nawet jeśli wiedziało się, co jest grane i gdzie znaleźć jego główne atrakcje, przekroczenie dozwolonej prędkości sprawiało, że wyjeżdżałeś z niego, nim zorientowałeś się, że w ogóle do niego wjechałeś.

Black Ridge składa się z małych drewnianych domków stojących na działkach, przez które widzi się sąsiednią ulicę. Stoi na wysokości mniej więcej tysiąca metrów. Ciągnie się przez dwadzieścia chaotycznie rozmieszczonych przecznic w jedną stronę i dwanaście w drugą, a dalej są już lasy, wspinające się na górskie zbocza do dwóch największych na tym terenie jezior – Cle Elum i Kachess. Przy zadbanym skrzyżowaniach znajdują się sklepy z towarami żelaznymi i alkoholem, kilka restauracyjek, w których nikt nie zatroszczył się o powieszenie na ścianach rybackich sieci i nikt nie oszukuje nikogo co do jakości serwowanych dań, parę firm wynajmu samochodów, istniejących zapewne po to, by ludzie mieli jak stąd wyjechać. Najstarsza część miasta, osiemdziesięciometrowa uliczka po jego

zachodniej stronie, to królestwo domów o drewnianych frontach, w których schronienie znalazły sklep z antykami i wszelkiego rodzaju gratami, kawiarnia i antykwariat, bar szybkiej obsługi, pizzeria, kilka barów i niewiele więcej.

Jadąc w góry, precyzowałem plan. Po pierwsze, muszę znaleźć motel. Minąłem Super 7 i kilka starych zaniedbanych pensjonatów, nim nagle trafiłem na miejsce, które doskonale znałem. Wiedziałem, że tu będzie, mieszkałem tutaj blisko miesiąc, a jednak dziwnie było przekonać się na własne oczy, że jest coś, co nadal istnieje i wygląda tak samo, choć wszystko tak bardzo się zmieniło. Nie zamierzałem jednak skręcić na parking. Przy drodze biegnącej z miasta na północ znalazłem Marie Resort, staroświecki parterowy motel z samochodami przed dziewięcioma z jego dwunastu pokoi. Dach pokryty był rdzawoczerwoną dachówką, las otaczał go z każdej strony, wyjąwszy frontową. Pamiętałem go, choć słabo, z dawnych czasów, więc uznałem, że się nada.

Marie, zakładając, że to właśnie ona, okazała się niską krzepką kobietą o kwaśnej minie, wyglądającą na kogoś, kto doświadczył wszystkiego, co oferuje życie, i nie spodobało się jej nic poza możliwością krzyczenia na wszystkich za wszystko. Miała skórę koloru skwaszonego mleka, a upięte wysoko bladokremowe włosy wyglądały tak, jakby po raz ostatni myła je w poprzednim życiu. Podała cenę, spytała, jak długo zamierzam zostać, poza tym zachowała swoje opinie dla siebie, choć zawarcie

transakcji zajęło nam trochę czasu. Powiedziałem, że zamierzam zatrzymać się na jedną noc, może dwie. W pokoju na zapleczu hałasował telewizor, sądząc z tego, co słyszałem, nadawano właśnie odcinek serialu *Cops*. Marie oglądała się za siebie, być może czekała na głos przyjaciela lub krewnego, nieprzekonująco protestującego przeciwko zatrzymaniu. W końcu wręczyła mi wyjęty z szuflady klucz, patrząc mi przy tym prosto w oczy, po raz pierwszy od początku rozmowy.

Zmarszczyła czoło.

– My się znamy?

– Nie – zapewniłem ją. – Ja przejazdem.

Przestawiłem samochód pod dziewiątkę i wniosłem bagaże do środka. Było zimno. Umeblowanie składało się z dwóch podwójnych łóżek, samotnego niewygodnego krzesła, małego nocnego stolika i prehistorycznego telewizora, stojących na dywanie, który, sądząc po fakturze, jeśli w ogóle bywał czyszczony, to wyłącznie przy użyciu kostki mydła. Nie pofatygowałem się zajrzeć do łazienki, dostępnej z ciasnego korytarzyka od tyłu, z obawy, że wpędzi mnie w depresję. Za jedyną dostępną klientowi rozrywkę mogła służyć niechlujnie oprawiona lista tego, czego mu nie wolno. Absolutnie nic nie zachęcało do pozostania. Przejrzałem listę rozmów wychodzących w komórce, wybrałem numer, który dostałem e-mailem. Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Witam, pani Robertson – powiedziałem z fałszywą,

profesjonalną serdecznością. – Jestem John z Henderson Bookstore. Informuję panią, że mamy już zamówioną przez panią pozycję. Może pani zgłosić się po nią w każdej chwili. Życzę miłego dnia.

Przerwałem połączenie, czując się jak idiota. Bo właśnie zadzwoniłem do kobiety, stosując podstęp rodem z książki o chłopcach Hardy'ego. Bo byłem teraz w Black Ridge. Bo w ogóle byłem. Wystarczy?

Wyszedłem z motelu. Jeśli nie masz pojęcia, gdzie w tej chwili powinieneś się znajdować, najlepiej jest przenosić się nieustannie z miejsca na miejsce.

\* \* \*

Przez następną godzinę spacerowałem po mieście. Rankiem musiało mocno popadać. Jeszcze trochę i miejscowi zaczną wypatrywać pierwszych śniegów. Black Ridge nie było miejscem, w którym spędziłem szczególnie dużo czasu, nie znałem go, a poza tym miasteczko wcale nie wysiliło się na serdeczne powitanie. Wilgotnymi ulicami sunęły ospałe pick-upy. Ludzie wchodzili do domów i wychodzili z domów. Nastolatki wędrowały po chodnikach zgarbione, jakby pojęcie trójwymiarowej przestrzeni narzucano im siłą. Kilku pośredników sprzedaży nieruchomości w podwórkach wystawiało na sprzedaż dobra, które wydawały się dostępne od dłuższego czasu. Więcej biznesów zwijało się, niż się rozwijało. Black Ridge, przynajmniej z

zewnątrz, sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się w połowie kiepsko prowadzonej wyprzedaży.

A gdy tylko podniosło się wzrok ponad linię domów, widać było przyczajone tuż za nimi szeregi drzew i z każdą chwilą ciemniejsze, coraz niższe chmury, schodzące z gór, jakby chciały przypomnieć ludziom, kto tu tak naprawdę rządzi. Są na naszej planecie miejsca, które udało się ludziom podbić i gdzie mogli nawet żyć w przekonaniu, że jest czymś więcej niż mechanizmem podtrzymywania życia dla naszego gatunku, ale stan Waszyngton bynajmniej do nich nie należy, a wszechobecne góry poświęcają nam bardzo niewiele uwagi. Po niemal trzech latach na wybrzeżu miło było znów je zobaczyć.

A tymczasem mój telefon nie dzwonił.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że przyglądam się tym niewielu kobietom na ulicy, zastanawiając się, czy któraś z nich jest tą przeze mnie poszukiwaną. Tego oczywiście nie mogłem rozstrzygnąć. Nieznajomi są na ogół jak statyści, faktura tła w życiu, ale kiedy zaczynasz się im przyglądać, zmieniają się i każdy wygląda tak, jakby mógł być kimś szczególnym.

Wiatr przestał dąć w moje żagle na Kelly Street. Flauta to jedyny powód, dla którego turysta zostawał tu dłużej, niż wymaga tego wizyta na stacji benzynowej i zjedzenie hamburgera. Kupiłem sobie kawę i gruby batonik muesli miejscowej produkcji w lokalu o nazwie Write Sisters, obsłużony przez pogodną dziewczynę o



nieprawdopodobnie niebieskich włosach. Usiadłem na ławie na zewnątrz, popijałem kawę i przyglądałem się ulicom. Nigdzie nie działo się zbyt wiele, z wyjątkiem Mountain View Tavern prawie dokładnie naprzeciwko. Ale nawet klienci baru sprawiali wrażenie zubożniałych, pozbawionych iskierki życia. Wydawało się, że i mężczyźni, i kobiety, i ci wchodzący, i wychodzący, poruszają się sztywno, jakby wszyscy byli lekko zalani i szli w dół zbocza, które tylko oni są w stanie dostrzec.

Black Ridge zawsze było i pozostało dziurą. Oboje z Carol prawie nigdy tu nie przyjeżdżaliśmy. Zakupy robiliśmy albo w Roslyn lub Sheffer, wiochach leżących najbliżej naszego domu, albo w Cle Elum, większym, ale też niepretendującym do nazwy rozrywkowej stolicy świata. Od czasu do czasu ruszaliśmy na wyprawę przez przełęcz Snoqualmie, a więc do Seattle, zabierającą nam jakieś trzy godziny. Po drodze było kilka miasteczek, Snoqualmie Falls, Snohomish, Birch Crossing, wartych zobaczenia, jeśli nie wybrzydzało się zbytnio przy wyborze miejsc wartych zobaczenia.

Black Ridge nie było naszym wspólnym miejscem i między innymi dlatego dwa i pół roku temu na jakiś czas zamieszkałem w motelu właśnie tutaj. Niemal cały czas spędziłem zamknięty w pokoju, nie całkiem trzeźwy, albo na krześle na tylnym dziedzińcu, przyglądając się nieużywanemu basenowi... i nie bardzo trzeźwy. Taki stan był wówczas moją specjalnością, ale tamten rozdział życia miałem już za sobą, nie żywiłem więc szczególnej

sympatii do klientów Mountain View. Nie wiedziałem, czy Ellen Robertson nie należy przypadkiem do kobiet lubiących wczesne barowe popołudnia, więc przyglądałem się wejściu, choć bez napięcia.

A przynajmniej tłumaczyłem sam sobie, że warto czekać, chociaż, szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co powinienem robić i dokąd pójść, no i oczywiście nie miałem pojęcia, jak Ellen wygląda. Dopóki do mnie nie zadzwoni, będę tylko siedzącym na ławce idiotą. Piłem americano, jak długo się dało, ale światło zaczęło się wreszcie zmieniać i zrobiło się chłodno. Wstałem i niemal w tej samej chwili dostrzegłem idącą po przeciwnej stronie ulicy młodą kobietę o ciemnych włosach, otuloną czarnym płaszczem i wyglądającą jak chudy kruk. Weszła do tawerny energicznym krokiem, bez cienia wahania. Kiedy sięgała do klamki, zobaczyłem kawałek jej bladego policzka i czoła.

Czy to Ellen? Nie, prawdopodobnie nie.

Znikła, a po chwili za plecami usłyszałem krzyk. Odwróciłem się. Szybkim krokiem zbliżał się do mnie potężnie zbudowany mężczyzna. Zamarłem, zastanawiając się, co też mnie czeka.

– Na miłość boską – powiedział – a ty co tu robisz, do cholery?

– Zdaje się, że to coś w rodzaju powitania?

– Jezu przenajświętszy, John, przecież minęło... Schudłeś.

– No, owszem. – Napiąłem mięśnie, przygotowując

się na jeden ze słynnych uścisków Billa Rainesa. On z całą pewnością nie schudł. Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, był wielki i muskularny, ale zawsze drzemał w nim jeszcze większy facet, a Bill robił wszystko, by pomóc mu wydostać się na wolność. Należał do tych dużych przyjaznych gości, rozczulająco głupio żartując na temat pogody.

Wreszcie jakoś się rozdzieliliśmy.

– A niech mnie – powiedział. – Jak ci leci, ale szczerze?

Tylko wzruszyłem ramionami.

– No jasne. Carol jest z tobą?

– Nie. Ja po prostu tędy przejeżdżam.

Rozmawialiśmy przez parę minut. Okazało się, że Bill nadal mieszka w północnej części miasta, nadal pracuje w rodzinnej kancelarii prawniczej w Yakimie i właśnie ma spotkać się z klientem, którego sprawę rozbijając szczerze nazwał beznadziejną. Ja powiedziałem mu, że mieszkam i pracuję w Oregonie, nie wtajemniczając go w szczegóły, nie wyjaśniałem też, dlaczego jestem w mieście. Spytałem go o żonę, bo tak należy.

– Jest wspaniała – powiedział, zerkając na zegarek. No ale znasz Jenny. Ani chwili spokoju. Posłuchaj, cholera, przepraszam, Johnny, ale muszę już lecieć. Zrobiło się idiotycznie późno. Jesteś wolny wieczorem?

– Prawdopodobnie nie.

– Cholera! Ale zadzwoń, jeśli coś się zmieni. Jen

akurat wyjechała. Upijemy się jak za dawnych czasów. Dawno nie piliśmy. To po prostu musiało się zdarzyć.

– Co racja, to racja – przyznałem.

– No to w porządku. – Bill przez chwilę stał nieruchomo, jakby zabrakło mu energii na zrobienie kroku, ale zaraz klepnął mnie w ramię. – Kurka, naprawdę muszę już lecieć. No to do zobaczenia. Może. Tak?

– Właśnie tak.

Odprowadziłem go wzrokiem. Prawie podbiegł do samochodu, pomachał mi i ruszył, a ja wróciłem do motelu, wsiadłem do wozu i pojechałem zrobić to, co przez cały czas miałem w głowie. Co być może było nawet powodem, dla którego zdecydowałem się tu przyjechać.

Być może nigdy nie spotkam pani Robertson, być może to, czyją spotkam, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia, ale było coś, czego mogłem dokonać, i nadszedł właśnie odpowiedni czas. Pora brać się do roboty.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sto metrów od bramy zacząłem zwalniać. Samochód toczył się przez chwilę siłą bezwładu, a potem zatrzymał. Przez ostatnie dziesięć minut jazdy miałem wrażenie, że drzę, początkowo łagodnie i jakby niedostrzegalnie, ale coraz mocniej, aż wreszcie musiałem z całej siły zaciskać dłonie na kierownicy, by utrzymać kontrolę nad samochodem. Gdy tylko wyłączyłem silnik, przestałem się trząść. Odczekałem chwilę, chcąc mieć pewność, że znowu nie wpadnę w dygot, po czym wysiadłem.

Byłem w tej chwili piętnaście minut na północny wschód od Black Ridge. Pojechałem drogą do Sheffer, wspinającą się coraz wyżej, a potem zjechałem z niej na drogę lokalną, skracającą i prowadzącą wprost w góry. Parę kilometrów za rozjazdem praktycznie się kończyła, a dokładniej zmieniała w drogę gruntową, wiecznie błotnistą, pozostającą pod światłą opieką straży leśnej. Podeszedłem do zamkniętej na kłódkę bramy, oparłem się o nią i zapatrzyłem na podjazd.

Czy to wystarczy?

Przez ostatnie dwa lata często wyobrażałem sobie, że jestem właśnie tu, ale w tych makabrycznych snach na jawie brama zawsze była otwarta i zawsze byłem wcześniej umówiony. A także miałem pewność, że postępuję słusznie, że podjąłem się wielkiego dzieła. Jak to się zdarza aż za często, i w tym przypadku życie nie

dogoniło fantazji.

Wyjąłem telefon. Znałem numer domowy, założywszy, że nie został zmieniony. Być może...

Odwróciłem się, słysząc dźwięk silnika. Samochód zbliżał się i jednocześnie zwalniał. Był to wypielegnowany SUV z rodzaju tych lekkich, eleganckich, kupowanych przez ludzi właściwie niepotrzebujących mocnych samochodów, ale świadomych, że ich styl życia wymaga właściwych akcesoriów. Zatrzymał się parę metrów za mną. Szyba od strony kierowcy zjechała w dół i ujrzałem pogodną twarz mężczyzny około pięćdziesiątki.

– Bob cię wystawił?

– Nie rozumiem...

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Nie zrozum mnie źle, jest doskonałym pośrednikiem od nieruchomości. Sprzedał nam nasz dom, mieszkamy półtora kilometra dalej. Rok temu przeprowadziliśmy się z Black Ridge, a on okazał się znakomity, jeśli chodzi o, no wiesz, formalności. Ale punktualność to nie dziedzina, w której celuje.

– Nic nie szkodzi. Podjechałem tylko tak sobie. Taki kaprys.

Mężczyzna skinął głową, jakby doskonale rozumiał, o czym mówię, chociaż wyglądał mi na kogoś, kto ostatni raz zrobił coś powodowany kaprysem jakieś pięć, sześć lat temu, a pewnie i tak był to statystycznie potwierdzony kaprys, polegający na przesunięciu rezerwy finansowej w

gotówce z jednego portfela niskiego ryzyka do drugiego portfela niskiego ryzyka.

– Sam miałem oko na ten dom – powiedział. – Dla nas okazał się trochę za mały, ale jest piękny, naprawdę piękny. Ma bezpośredni dostęp do Murdo Pond, ale jestem pewny, że Bob zdążył ci już o tym powiedzieć.

– Jest na rynku od tak dawna?

– To ty nic nie wiesz? – Mężczyzna wysunął łokieć przez otwarte okno. Usiadł wygodniej, bo opowieść tego wymagała. Miał na sobie gruby czarny golf i w ogóle wyglądał, jakby jeszcze nigdy nie było mu zimno. – W porządku, jestem pewny, że Bob kiedyś ci o tym opowie, jest bardzo bezpośredni, ale ta posiadłość stała przeważnie pusta od dwóch... teraz to już nawet trzech lat. Coś się tu najwyraźniej wydarzyło, wprowadzili się nowi ludzie, na krótko, jakoś się im nie spodobało, no i ciągle próbują sprzedać dom. – Puścił do mnie oczko. – No więc wydaje mi się, że Bob może trochę manewrować ceną... chociaż nie usłyszałeś tego ode mnie.

– Co?

– Nie rozumiem.

– Pytam, co się wydarzyło? Nim obecni właściciele kupili dom.

– Nooo... – Mężczyzna zawahał się, najprawdopodobniej uznał, że powiedział za dużo, narażając w ten sposób na szwank przyjaźń z Bobem-od-nieruchomości, z którym pewnie chętnie plotkował od czasu do czasu na targu w Sheffer. Ale z

drugiej strony nie mógł nie odpowiedzieć, bo to już byłoby nieuprzejme. – Właściwie to chyba chodzi o to, że ktoś zginął. Dziecko. Małe dziecko.

Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, dlaczego zmuszam się do tej rozmowy.

– Naprawdę?

– Jasne. I rozumiesz, z tego, co wiem... no, nikt nie ma pewności, co tu się naprawdę stało. Zdaje się, że nikt z rodziny nie został o nic oskarżony, ale, , słyszałem, że dzieciak dobrze pływał, a jednak utonął, rozumiesz, a byli przy tym tylko rodzice. W takich okolicznościach zadaje się pytania, nie?

– Jasne – powiedziałem zdławionym głosem. – I ludzie chyba to właśnie robią.

– Tylko że minęły trzy lata, a dom to dom, w dodatku ten jest idealną inwestycją na tym rynku, bo przecież nie robi się nowych jezior. Chyba nie boisz się duchów?

– Nie. – Uśmiechnąłem się szeroko.

Musiało jednak być coś nie tak z tym uśmiechem, bo facet zaraz cofnął łokieć.

– Odrobina dodatkowych informacji nigdy nikomu nie zaszkodziła – powiedział, jakby chciał się wytłumaczyć. Ale nie słyszałeś tego...

– Nie słyszałem tego od ciebie. Rozumiem.

– No to świetnie. Fajnie. Miło było poznać.

– Nawzajem. A tak przy okazji, nie świeci ci się jedno tylne światło pozycyjne. Wymień żarówkę. Jak najszybciej.



– Aha. – Obrzucił mnie ostatnim zdziwionym spojrzeniem i boczna szyba z cichym szmerem podjechała do góry.

Stałem nieruchomo, przyglądając się, jak odjeżdża. Odczekałem, aż zniknie za zakrętem, a potem podszedłem do bramy, wspiałem się na nią i zeskoczyłem po drugiej stronie.

\* \* \*

Idąc podjazdem, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przedtem nim szedłem. Jest oczywiste, że podjazdem się nie chodzi, tylko jedzie samochodem, stąd nazwa. Więc nie byłem przygotowany na to, że będę szedł w górę te pięć minut, które zajęła mi droga od bramy, ale kiedy wyszedłem zza ostatniego zakrętu, widok stał się nagle aż nadto znajomy, jak scena ze snu śnionego ostatniej nocy.

Tylko że były też różnice.

Trawa naokoło domu bardzo urosła, brzozy przy dalszej ścianie bardzo się do siebie zbliżyły, a rosnące między nimi olchy i derenie bardzo zagęściły. Zszedłem ku środkowi trawnika, a mokre źdźbła ocierały się o moje dżinsy. Odwróciłem się w stronę domu.

A dom wyglądał, jakby spał. Okna zabito deskami, na których nalepiono wielkie ostrzeżenia o działającym systemie alarmowym. Założywszy, że obecni właściciele, w odróżnieniu od Teda, płacili w terminie, każde

włamanie przez okno lub dotknięcie drzwi wysyłało sygnał do firmy ochroniarskiej w Cle Elum. Zresztą dla wandalów droga byłaby zbyt długa. Jak dla każdego.

Stałem wpatrzony w trójkąt, który sylwetka domu rysowała na ścianie drzew i ciemniejącym niebie, i nagle poczułem, jak serce zaciska mi się w piersi, a ścięgna szyi napinają tak mocno, że aż widać je przez skórę.

Tak naprawdę nie chciałem podchodzić, a jednak podszedłem, do schodów przy przeciwległej ścianie, prowadzących na otaczający parter taras. Zrobiłem kawał drogi i wcale nie marzyłem o tym, by w Oregonie żałować, że poskapiłem sobie tych paru metrów. Była to głupota, oczywiście, przecież mieszkałem tu jeszcze trzy miesiące po wypadku, ale wbiegając po schodach, niemal uwierzyłem, że czuję powiew powietrza, że właśnie minął mnie młodszy mężczyzna, biegnący i szukający swojego synka. Ale to tylko powiał wiatr. Tylko wiatr.

Przeszedłem powoli na drugi kraniec tarasu, po drodze przyglądając się zabitym deskami drzwiom i oknom. Ktoś odwalił kawał dobrej roboty, zabezpieczając dom, chociaż w ten sposób bardzo utrudnił jego sprzedaż. Widok z okien był jego największym atutem handlowym, a nie wszyscy dysponują wyobraźnią wystarczającą, by go sobie przedstawić, stojąc w trumnach o wysokich katedralnych sufitach. Zainteresowałem się przelotnie finansową sytuacją rodziny, którą stać na taką nieruchomość i na to, by się z niej wyprowadzić, a potem jeszcze trzymać ją na rynku, niesprzedaną, przez kilka

ładnych lat. A także tym, dlaczego się wyprowadzili. Ja ją kochałem. Każdy pokój miał w sobie coś: widok z okien, kształt, położenie względem wnętrza, z którego właśnie się wyszło, i co powodowało, że chciało się w nim pozostać.

Być może właściciel nie miał problemu z samym domem, tylko z miejscowymi, którzy zrobili ze sprawy prywatny, mały, soczysty skandalik, ze Scottem jako własną JonBenet Ramsey, a Carol i mną w roli niedbałych, jeśli nie gorzej, rodziców, którym nie udało się, niestety, niczego udowodnić. Dlaczego na tym im akurat zależało, nie miałem pojęcia, ale dobrze się stało, że facet od SUV-a podjechał, kiedy podjechał. I jeszcze, że wracając, nie złożyłem nostalgicznej wizyty w Roslyn lub Sheffer, bo ktoś mógłby mnie rozpoznać i powiedzieć coś, czego by potem żałował.

Obszedłem dom. Z tyłu, na najdalszej ścianie, znalazłem jedno okno wyglądające tak, jakby ktoś chciał się przez nie, być może, włamać. Udało mu się podważyć deskę w rogu i na tym poprzestał. Było to okno małego schowka na końcu domowego magazynku. Przez chwilę miałem przed oczami jego widok z dawnych czasów: półki wypełnione produktami kupionymi w miejscowych sklepikach. Zapasy baterii i wody w butelkach. Carol zawsze wydawała się przekonana, że kres cywilizacji jest wyłącznie kwestią czasu i lepiej się na niego przygotować. Zapach schnących prześcieradeł.

Kiedy wróciłem na front, zatrzymałem się mniej

więcej w połowie tarasu. Stawałem tam najczęściej po pracy albo pijąc pierwszą tego dnia kawę. Stojąc właśnie w tym miejscu, zapytałem Carol, gdzie jest Scott.

Przez sam ten fakt powinna to być chwila wielkiej wagi albo bardzo straszna, ale z jakiegoś powodu nie była. Była smutna. Trawnik zarósł, wyglądał na samotny i opuszczony. Ręcznie wykonane meble ogrodowe gdzieś znikły, a ja nie pamiętałem, czy zabrała je żona, czy też zostawiliśmy je nowym właścicielom. Chyba to drugie, ale tak czy inaczej znikły z naszego życia.

Spojrzałem na las. Pamiętałem, jak tamtego dnia pomyślałem, że ścieżki sprawiają wrażenie nieco zaniedbanych. Teraz już całkiem zarosły i spod paproci nie widać było ziemi. Sześćdziesiąt metrów od domu widziałem ruiny chaty, zabytku z czasów pionierów. Uświadomiłem sobie, że jeśli o niego nie dbać, dom zniknie szybciej nawet niż ta chata. Ta myśl mnie przygnębiła.

Zszedłem z tarasu. Ruszyłem w dół zbocza, ku ostatniemu miejscu, o którym wiedziałem, że powinienem je odwiedzić. Resztki dziennego światła, odbijające się od powierzchni jeziora, czyniły z niego jaskrawobłękitną smugę. Wchodząc na pomost, nie zwolniłem kroku, zatrzymałem się dopiero na jego końcu. Tu, na dole, niewiele się zmieniło. Miałem przed sobą jezioro w kształcie litery L, kraniec jego prawej odnogi ginał mi z oczu. W tej części linii brzegowej tylko nasz dom miał do niej bezpośredni dostęp, wszędzie w zasięgu wzroku las

schodził aż nad wodę i na płyciznach widać było pływające liście, przesiąknięte wilgocią skrawki brązu, ciemnej zieleni i złota.

Stojąc tak, byłem w pełni świadom, że jeśli w ogóle, to ze wszystkich miejsc na świecie właśnie tu powinienem stracić nad sobą kontrolę. Przecież to tu mój syn po raz ostatni odetchnął, przemówił, tu jeszcze żył. Ale nawet na pomoście nic się nie zdarzyło. Czułem się fatalnie, ale moje oczy pozostały suche.

O tamtym popołudniu mogę myśleć wyłącznie w trzeciej osobie. Nie „ja” zrobiłem to albo czułem tamto, a mimo dystansu, jaki starałem się wytworzyć pomiędzy tamtym a mną, wspomnienia występują w czasie rzeczywistym. Od chwili gdy wybiegam na pomost, wszystko dzieje się tak, jakby działo się w tej chwili. Być może to nic innego jak kolejny mechanizm obronny, próba przeniesienia uczuć w krainę fantastyki, w moim umyśle tworzącej się wciąż od nowa. Wszystko jest lepsze od przypisania temu zdarzeniu autentycznego miejsca i czasu.

Ale takie miejsce istnieje. Pewnego popołudnia trzy lata temu syn zginął na moich oczach. Wskoczyłem do wody, a potem stałem dokładnie tu, gdzie stoję teraz, trzymając w ramionach coś, dla czego cztery godziny temu kroilem sandwicha, świadomy, że osoba, dla której położyłem na kromkach chleba szynkę i ser, a potem okroilem je na ulubione trójkąty, odeszła, nie ma jej już, a to zimne ciężkie coś, co po niej pozostało, to kłamstwo,

tylko kłamstwo.

Jaka jest różnica między tymi dwoma stanami? Nikt tego nie wie, nikt nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Z pewnością nie wiedzieli o tym lokalny doktor i coroner. Mogli powiedzieć mi tylko tyle, że Scott wpadł do wody martwy, ale nie jak i dlaczego.

Przykro mi, panie Henderson. Po prostu umarł.

To przez tę różnicę nasz gatunek składa ofiary, tworzy rytuały, w najciemniejszych głębiach nocy powtarza formuły. Bogowie są w tym procesie tylko fantomami, publicznością dla pokornie wygłaszanych metafor, rozbijających się o nieustępliwy mur rzeczywistości. Musimy mieć kogoś, kto wysłucha naszych modłów, bo potrzebują słuchacza, by stać się prawdą, a więc bogowie muszą istnieć, bogowie muszą być łaskawi, bo jeśli nie, nie spełnią naszych życzeń, a w takim razie po co w ogóle się do nich modlić? Zamknięty krąg rozumowania, jak przy każdej formie neurozy, twarda skorupa otaczająca pustkę.

Jeśli bogowie istnieją, są głusi lub obojętni. Dokonują tego, czego dokonują, i odchodzą.

\* \* \*

Wiedziałem już, że pora na następny krok, jakikolwiek miałby być. Najprawdopodobniej zjem coś w Black Ridge, spędzę spokojny wieczór w motelu, a potem odleczę do Portlandu, złapię okazję i wrócę do Marion

Beach. Bill Raines był dobrym przyjacielem, ale ja doskonale wiedziałem, że nie mam nastroju na noc picia i wspomnienia dawnych czasów. Z wielu powodów.

Odwróciłem się od Murdo Pond i wówczas zdarzyło się coś, co sprawiło, że znieruchomiałem. Powiał wiatr, liście otaczających dom drzew, ocierając się o siebie, wydawały dźwięk przypominający szeleszczący oddech kogoś, kto niezbyt dobrze się czuje. Woda jeziora uderzała o podpory pomostu jak język oblizujący wnętrze wyschniętych ust. Kombinacja tych dwóch odgłosów brzmiała niepokojąco, przez moment powietrze wydawało mi się nie tak chłodne, jak powinno być, a potem, nagle, zrobiło się bardzo zimne. Pomyślałem, że przecież nikt na świecie nie ma pojęcia, gdzie jestem, i choć ta myśl na ogół poprawiała mi samopoczucie, to z pewnością nie teraz. Chociaż kiedyś byłem właścicielem pomostu, lasu i stojącego w tym lesie domu, w tej chwili miałem nieodparte wrażenie, że nie jest to miejsce dla mnie.

Z zachodu, od strony gór, nadleciał silniejszy podmuch wiatru, prawdopodobnie przyczyna chłodu, który tak nagle poczułem. Gdzieś w lesie rozległ się przeciągły jęk i trzask, to pewnie drzewo, wyschnięte, żegnające się ze światem, gięło się może przedostatni raz w życiu? Nadal stałem jak wmurowany. Okazało się, że nie mam najmniejszej ochoty wracać między drzewa albo w pobliże domu. Ugiwały się pode mną nogi, jakby pod pomostem poruszało się coś więcej niż łagodne, wywołane wiatrem fale. Ugiwały się coraz bardziej, aż

poczułem wibrację, jakby...

– Ty durniu – powiedziałem głośno. Włożyłem rękę do kieszeni dzinsów. To wibrowała moja komórka. Przyłożyłem ją do ucha. – Halo?

Dzwoniła Ellen Robertson.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do Mountain View dotarłem nieco po dwudziestej. Było to jedyne miejsce w Black Ridge, którego nazwę zapamiętałem, a bardzo chciałem pokazać, że to ja kontroluję sytuację, choćby pozornie. Nie zaproponowałem motelu, bo nieznanym kobietom nie zaprasza się do motelu. Pani Robertson zgodziła się, nie spytała, gdzie jest bar, za to oznajmiła, że przyjdzie między dwudziestą i dwudziestą drugą, nie może powiedzieć, o której dokładnie, i nie będzie mogła zostać długo.

Wróciłem przez pomost i trawnik, przelazłem przez bramę. Dom wyglądał jak opuszczony dom, nic więcej, ale nie szedłem ani odrobinę wolniej, niż to było absolutnie konieczne. A jednak dotarwszy na szczyt wzgórza, odwróciłem się i powiedziałem mu „do widzenia”, po czym zacząłem schodzić podjazdem, wcale nie czując, że robię coś ważnego.

\* \* \*

Kiedy wszedłem, bar wydał mi się pusty. Samotni klienci siedzieli w rogach jak namiotowe śledzie, a przy samym barze, ulubionym miejscu zawodowych pijaków, mających tu łatwy dostęp do alkoholu i namiastki serdeczności w postaci rozmowy z barmanem, nie było

nikogo. Założyłem, że trafiłem na zmianę barmanów i że Mountain View nie dorobiło się prawdziwie stałych klientów lub może Black Ridge powoli tonie i pijacy zauważyli to pierwsi. Marilyn Manson lecący z szafy grającej nie poprawiał sytuacji, bo nie wszystkich cieszy obcowanie z muzyką sprawiającą takie wrażenie, jakby chciała człowieka skrzywdzić.

Stałem i czekałem dobre kilka minut, nim usłyszałem, że ktoś wychodzi z pomieszczeń służbowych. Odwróciłem się i zdziwiłem na widok kobiety, na którą zwróciłem uwagę wcześniej, popijając kawę na ławce, po przeciwnej stronie ulicy.

Kobieta przyjrzała mi się i uniosła brew.

– Mam kłopoty? – spytała.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziałem. – Chcę się tylko napić piwa.

Opuściła brew, klepnęła krany i powiedziała, czym dysponuje.

– A co jest popularne?

– Pieniądze i szczęście – strzeliła bez chwili wahania.

Ale tego nie nalewamy.

Wskazałem środkowy.

– Mogę zapalić?

– Oczywiście. Niczego się nie boimy.

Przechyliła się i wyciągnęła rękę po popielniczkę. Przyglądałem się jej. Uznałem, że dobiega trzydziestki. Była wysoka, szczupła, miała wysokie czoło i wyraziste rysy oraz włosy ufarbowane na czarno, zręcznie przycięte

tak, by sprawiać wrażenie możliwie największego nieładu. Do tego jasna cera i szybkie, zręczne ruchy.

– Zapłaci pan czy otworzyć rachunek?

– Zapłacę, ale nie zaraz. Czekam na kogoś.

– Naprawdę? A kogo?

Zawahałem się. Puściła do mnie oko. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem, by robiła to kobieta.

– W porządku. Rozumiem.

– Nie rozumie pani. Chodzi o mojego starego przyjaciela.

– Jak pan sobie życzy.

Jeden z namiotowych śledzi podszedł po kolejne piwo.

Skorzystałem z okazji i wspiąłem się na stołek przy blacie biegnącym pod wychodzącym na ulicę oknem. Wyjąłem papierosa. Minęło dużo czasu, od kiedy paliłem, a nawet piłem drinka pod dachem, a praktyki te nie kojarzyły mi się najlepiej. Czy podpaliłście sobie kiedyś zwisające na policzki włosy bardzo pijani i próbujący zapalić kolejnego papierosa, choć poprzedni dymił w przepelnionej popielniczce? Niepiękny to widok. Nikomu nie zaimponuje.

Ale to było kiedyś.

\* \* \*

Piłem mniej więcej rok. Zaczyna się od tego, że wybierasz, nieświadomy podejmowania świadomej

decyzji, przejście przez supermarket tą, a nie inną drogą między półkami. Za pierwszym razem po prostu się zdarzyło, za drugim idziesz tak, jak przedtem, a potem to już robisz zakupy jak zwykle.

Kiedyś należałem do tych mężczyzn, którzy nie pili w domu, nie pili w samotności i w ogóle nie pili za dużo. A potem przestałem należeć. Mała różnica. Wielka różnica. Po prostu się stało.

Korzyść z picia nie polega na tym, że pomaga zapomnieć, choć w istocie trzyma rzeczywistość na odległość wyciągniętej ręki. Przede wszystkim nadaje lekką, radosną pyszałkowatość temu, o czym myślisz, co bywa bardzo pożądane, jeśli zajmują cię nieprzyjemnie twarde fakty. Picie nie było problemem, nie czyniło mnie agresywnym ani napastliwym, tylko zalanym i nachalnym. Prawdziwym problemem okazały się kace. Nie udało mi się przejść na zawodowstwo, kiedy to człowiek planuje następny ranek, zaczynając z blaskiem, więc cztery albo i pięć razy w tygodniu grzeźłem z głową w odwodnionej rozpacz, nienawidząc samego siebie, aż za bardzo świadom, że sprawiam zawód pamięci Scotta, nie będąc zaradnym, odpowiedzialnym dorosłym, tak wspinałbym jak on w moich marzeniach.

Z kacem potrafię poradzić sobie, wyłącznie uciekając w głąb siebie, co w praktyce oznacza, że przede wszystkim nie jestem w stanie słuchać innych. Carol potrzebowała słuchacza. Jej sposobem radzenia sobie z tym, o czym nie potrafiliśmy rozmawiać, co nie podlegało

interpretacji, od kiedy dowiedzieliśmy się, że lekarze nie mają pojęcia, dlaczego w mózgu Scotta puścił bezpiecznik, a godziny spędzone w Internecie też nie przyniosły rozwiązań, były próby rozmawiania o wszystkim innym. Zupełnie jakby wierzyła, że jeśli zamknie w słowach trywialny chaos świata, obsesyjnie dzielony na najdrobniejsze cząstki, pozostanie zamknięty, niezdolny do wyrządzenia nam kolejnych krzywd.

W rezultacie piłem coraz więcej, bo pomagało mi to znieść lawiny słów. Kace stawały się coraz gorsze i cięższe, ochota do słuchania malała i w końcu doszło do tego, że Carol mówiła przez cały wspólnie spędzany przez nas czas, doskonale wiedząc, że jej nie słucham, niezdolna zrozumieć, że zaczynam nienawidzić jej za wypełnianie otaczającego mnie świata hałasem uniemożliwiającym mi wyleczenie się w ciszy i spokoju. Skutek był taki, że spędzaliśmy wspólnie coraz mniej czasu, więc zrozumienie, o czym mówi i dlaczego, przychodziło mi z coraz większym trudem, aż wreszcie stwierdziłem, że w ogóle nie rozumiem, co chce mi powiedzieć, a potem jeszcze i to, że przestałem być choćby częścią jej opowieści.

Zrozumiałem wszystko w pełni, do końca, dopiero kiedy ode mnie odeszła. Ze wszystkiego, co próbowała mi przekazać, udało jej się przekazać to jedno. Było to cztery miesiące po śmierci Scotta. Obudziłem się późnym rankiem w pewien weekend w domu, który wydawał mi się pusty i o wiele za cichy. Łaziłem po nim w szlafroku,

dość niepewnie, aż stało się dla mnie jasne, że brakuje w nim kilku ważnych rzeczy: przede wszystkim żony i dziecka. Udało mi się w końcu znaleźć list, rzucony na blat biurka w moim gabinecie. W skrócie brzmiał tak: „Świat się zawalił, ciebie diabli wzięli, ja się stąd wynoszę”.

W ciągu kolejnych sześciu tygodni zrobiłem to, co powinienem zrobić znacznie wcześniej, coś, do czego zrobienia Carol próbowała mnie wielokrotnie skłonić. Sprzedałem dom. Przesłałem jej trzy czwarte sumy, jaka została po spłacie kredytu hipotecznego i uregulowaniu innych należności. Połowa dla niej, jedna czwarta dla Tylera. Zawsze uważałem, że to dziwne imię dla dziecka, no ale nie ja je wybrałem. Długo na niego czekaliśmy i jeszcze przed narodzinami został synkiem mamusi, w jakiś sposób od razu dając nam to dobitnie do zrozumienia. Kochałbym go tak czy inaczej, chociaż to Scott był moim synem. Nie czułem się już ojcem i nie potrafiłem udawać, że się nim czuję.

Po raz ostatni spotkałem się z Carol w półroczu tego, co się zdarzyło. W restauracji, mniej więcej w połowie drogi między Renton, gdzie mieszkała ona (blisko brata, po tej samej stronie Gór Kaskadowych co Seattle), a Black Ridge, w którym, w motelu, mieszkałem ja. Sprawiała wrażenie spiętej i zdenerwowanej, ale Tyler nie zareagował gwałtownie ani na moją nieobecność, ani na to, że znów pojawiłem się w jego życiu. Dowiedziałem się, że od chwili gdy wraz z matką opuścił nasz dom,

przesypia całe noce. Byliśmy małżeństwem prawie siedem lat, żyliśmy oddzielnie miesiąc, a jednak tego popołudnia proporcje wydawały się odwrócone i od początku było jasne, że żadne z nas nie chce pojednania.

– Ciągłe pijesz? – spytała zajęta, z czego być może nie zdawała sobie nawet sprawy, układaniem równo sztućców.

– Nie – skłamałem. Piłem w sposób nieco mniej zorganizowany, jakby demon wiedział, że odwalił kawał dobrej roboty, i był gotów do dokumentnego spieprzenia życia kolejnej ofierze. Moja pozycja pozostawała jednak bardzo niepewna, nie zamierzałem narażać procesu trzeźwienia, rozprawiając o nim właśnie z Carol. Opuszczając mnie, zaznaczyła wyraźnie, że to nie jej, lecz mój problem, a miało upłynąć jeszcze sześć miesięcy, nim uznałem, że w pełni panuję nad sytuacją.

Podniosła głowę. Wiedziałem, że doskonale zrozumiała, jaka jest prawda i co oznacza. To było w porządku. Miło nawet poczuć się przez chwilę kimś żonatym, kimś, kogo ktoś zna. To była chyba jedyna rzecz mogąca sprawić, bym tak się poczuł. Dawnymi czasy uśmiechnęłaby się samymi oczami. Teraz jej oczy były mroczne, smutne i stare.

Dwadzieścia minut później wstaliśmy. Cmoknęliśmy się ceremonialnie w policzki. Od tamtej chwili nie widziałem ani jej, ani Tylera. Być może mogła zrobić coś więcej, coś powiedzieć. Nie poradziłem sobie w tej i w innych sprawach. Choć byliśmy dobrym małżeństwem

przy ładnej pogodzie, nie mieliśmy pojęcia, jak poradzić sobie ze sobą nawzajem, kiedy pogoda się pogorszyła. Problem w tym, że małżeństwo jest językiem, językiem mówionym, niemającym tradycji pisanej. Kiedy zaczniesz go kodyfikować, umiera. Jest w nim także dużo szalbierstwa, a werbalizowanie obnaża wszystkie sztuczki. To cholernie ryzykowne wiedzieć, jak to jest zrobione, oczywiście założywszy, że nadal chcesz podziwiać magika, żyć tym życiem, chociaż wiesz.

Byliśmy małżeństwem na dobrą pogodę, a pogoda zrobiła się bardzo zła. Prawdę mówiąc, kiedy tego wieczoru siedziałem na plastikowym krzeselku przed motelem, nie robiąc nic, tylko przez trzy godziny gapiąc się na pusty basen i systematycznie upijając, miałem wrażenie, że niebo zmieniło się w grubą pokrywę burzowych chmur, które nigdy się nie rozwieją. W końcu straciłem przytomność i obudziłem się, siedząc na krześle, o czwartej, przemoczony przez padający deszcz.

Następnego ranka się wyprowadziłem. Przez parę miesięcy podróżowałem, nie mając żadnego określonego celu, starając się pokryć przeszłość warstwą widoków i dźwięków. W końcu wylądowałem w Oregonie. To miejsce o luźnej strukturze. Można wtopić się w nią i żyć, jeśli chcecie to nazwać życiem, niezaczepianym przez innych, nie przesadnie. Jeszcze trochę piłem, a potem przestałem.

Zacząłem przesypiać noce.



\* \* \*

O dwudziestej pierwszej trzydzieści zacząłem się irytować. Piłem niespiesznie, ale i ta odrobina, którą wypilem, zaczęła nieprzyjemnie przypominać dawne czasy. Ulica za oknem wydawała się pusta, zimna, a bar też nie należał do przytulnych.

– Jeszcze jedno?

Podniosłem wzrok na barmankę, opartą o bar niespełna dwa metry ode mnie, wyglądającą przez okno ze spokojną obojętnością tubylca.

– Chyba tak – powiedziałem. – Ale... chciałbym wiedzieć, gdzie trzeba stanąć, żeby mieć widok na góry?

– Na zewnątrz. – Dziewczyna odwróciła się do mnie, a ja uświadomiłem sobie, że jej spojrzenie jest zimne, dobrze dopasowane do pogody. – Trzeba także trochę wykręcić szyję albo przejść przez skrzyżowanie. Dlaczego pan pyta? Chce pan nas podać do sądu za nazwę?

Wyciągnąłem rękę.

– Jestem John – przedstawiłem się.

Uścisnęła ją po męsku. Potrząsnęła. Dłoń miała dużą i suchą.

– Kristina. Przyniosę ci to piwo. Hej... chwileczkę... z nią się umówiłeś?

Wyrząłem przez okno. Biznesy po przeciwnej stronie ulicy zdążyły już się zamknąć, z wyjątkiem pizzerii, a latarnie na Kelly Street starały się raczej

udawać autentyczne zabytki, niż rzucać światło na chodnik. Na deptaku, pod jedną z nich, stała kobieta.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem bez zastanowienia.

– Jasne. Tak to już bywa między starymi przyjaciółmi, – Na litość boską! – Pokręciłem głową, strasznie zażenowany. – Co ja właściwie piję?

– Elixir prawdy. Strzeż się. – Kristina uśmiechnęła się i poszła po piwo.

Przyglądałem się kobiecie stojącej po przeciwnej stronie ulicy. Przez ładnych kilka minut nie poruszała się, ale potem podjęła decyzję. A kiedy weszła na chodnik, pozbyłem się resztek wątpliwości: to z nią się umówiłem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Obróciłem się na stołku, żeby mogła dostrzec moją twarz, gdy tylko wejdzie.

– Ellen? – spytałem.

Nie odpowiedziała, nawet na mnie nie spojrzała, tylko podeszła do sąsiedniego stołka. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i skrzyła do stolika pośrodku sali. Odetchnąłem głęboko, podszedłem, usiadłem naprzeciwko niej.

– To nie jest dobre miejsce – przywitała mnie.

Nie rozpięła płaszcza. Mówiła tak, jak przez telefon, głosem ostrym i zdecydowanym. Była średniej budowy, miała lśniące jasne włosy, piwne oczy, charakterystyczne kości policzkowe oraz miłe symetryczne rysy, z takich, których firmy kosmetyczne chętnie używają do promocji produktów. Ona sama umiała się umalować i albo Black Ridge miało lepszych fryzjerów, niż skłonny byłem przypuszczać, albo chodziła do fryzjera gdzie indziej. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat.

– Wydawało mi się sympatyczne – zaprotestowałem grzecznie. – Gdybym gdzieś po sąsiedzku znalazł Hiltona, to oczywiście...

– Mówię o tym, że nie jest dobre dla mnie.

– Więc chodźmy gdzie indziej.

Pokręciła głową.

– Mam mało czasu.

W tym momencie pojawiła się Kristina z piwem.

– Dla pani? – spytała z lekkim uśmiechem. Ellen pokręciła głową.

Odczekałem, aż zostaniemy sami.

– Zacznijmy od tego... „nie mogę mówić”, „nie mam czasu” i tak dalej... Co to właściwie znaczy? Przecież to ty chciałaś się ze mną zobaczyć, nie pamiętasz?

Nie odpowiedziała od razu, tylko wypła mały łyk piwa z mojej szklanki i odstawiła ją dokładnie na podkładkę. Trochę mnie to zirytowało.

– Jestem w trudnej sytuacji.

– Oho!

– Mój mąż zmarł cztery miesiące temu – powiedziała spokojnie, unicestwiając wszystkie założenia, które zdążyłem przyjąć.

– Przykro mi to słyszeć.

Skrzywiła usta w krótkim uśmiechu z tych, które stosuje się, kiedy ktoś składa kondolencje – grzeczne, lecz zbyt banalne, by zrobiły komuś jakąkolwiek różnicę.

– Nie był biednym człowiekiem – zaznaczyła.

– Jasne. I...

– Ma rodzinę w okolicy.

Z każdą chwilą spędzoną w towarzystwie tej kobiety upewniałem się, że nie ma dla mnie niczego interesującego, ale jednocześnie wiedziałem, że nie wydziela informacji po kawałku dla samej przyjemności, a przynajmniej nie tylko. Mocno zaciskała dłonie, kostki palców miała białe. Wypiłem łyk piwa, postawiłem

szklanek między nami, pośrodku stołu. Zauważyła to, ale nie wykorzystwała okazji od razu.

– Jak niebiednego miałaś męża?

– Osiemnaście milionów dolarów. – Zabrzmiało to bardzo rzeczowo. – Nie licząc domu. Żaden był z niego Bill Gates, ale i tak mieliśmy intercyzę. Nikt nie spiera się z tym, jak rozdzielono pieniądze, może tylko z tym, że coś tam dostałam, ale to był w końcu pomysł Gerry’ego i nic nie mogli z tym zrobić, bo przecież przez cztery lata byliśmy małżeństwem.

– Skąd jesteś?

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Z Bostonu. Dlaczego pytasz?

– Jak spotkałaś pana Robertsona?

– Na wakacjach. A jakie to ma znaczenie?

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Na razie wygląda na to, że nic nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Więc jeśli nie chodzi o pieniądze, to o co?

– Obawiam się, że jestem w niebezpieczeństwie.

– Owszem, słyszałem. Słyszałem także, jak wspomniałaś o śmierci mojego syna, dlatego przyleciałem tu z dość daleka. Podoba mi się przekonanie, że nie zmarnowałem kilkuset dolarów i mnóstwa czasu, ale na razie nie stało się nic, co mogłoby mnie w nim utwierdzić.

– Coś się jednak stało. Gerry’emu.

– Umarł.

– Owszem, nie żyje. – Zabrzmiało to tak, jakbym zasugerował coś innego.

– Jak to się stało?

– Biegał. Codziennie po południu przebiegał dziesięć kilometrów. Zaczynał około czwartej. Mniej więcej dwadzieścia po piątej pomyślałam: To dziwne, o tej porze zazwyczaj jest już w domu. Wyszłam na ganek. Zobaczyłam, że rzeczywiście, wrócił i siedzi na krześle, na którym siadał zwykle po bieganiu. Ale zwykle też wołał, no wiesz, że już jest. Pomyślałam, że nie ma sprawy, i już właściwie wracałam do domu, kiedy uznałam, że to jednak dziwne, powinien przecież coś powiedzieć, słyszał, że wychodzę. Wcześniej... wcześniej trochę się pokłóciliśmy. Nic wielkiego, ale wołałam się upewnić, czy z nim wszystko w porządku. No więc podeszłam do niego. Pił wodę z butelki. Był zgrzany i, no wiesz, zasapany, jakby biegał szybciej albo na dłuższy dystans niż zwykle, ale odwrócił się, uśmiechnął. A potem...

– Atak serca?

Skinęła głową.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem.

Było mi przykro. Jakkolwiek obojętne były mi problemy tej kobiety, są ci, którzy stracili kogoś bliskiego, i ci, którzy nie stracili. Jeśli należysz do tej pierwszej grupy, rozumiesz, że nasi drodzy zmarli ciągną nas za sobą, jakbyśmy byli przywiązani sznurem do ich karawanu. Spytajcie kogoś, kto stracił matkę, co czuje w Święto Dziękczynienia. Ale pewnego dnia uświadamiasz sobie, że nadal żyjesz, polewasz indyka sosem zrobionym

przez kogoś innego i dziękujesz Bogu, że w ogóle masz indyka i sos. Jeśli chcesz zachować zdrowe zmysły, oczywiście.

– Wszystko w porządku?

Zorientowałem się, że gapię się na własne ręce. Podniosłem wzrok, napotkałem spojrzenie Ellen. Wydawała się nieco mniej spięta niż przed chwilą.

– Nic mi nie jest. Więc...

– Nie wszyscy wierzą, że tak właśnie było.

– Dlaczego?

– Nie wiem! Kochałam Gerry'ego! Byliśmy szczęśliwi.

– Ile dostałaś?

To pytanie chyba ją zirytowało.

– Dwa miliony dolarów. Wystarczy?

Wzruszyłem ramionami. Czy wystarczy, żeby zabić? Tak. Ale ludzie zabijają dla kapci albo iPod'a i można argumentować, że dodanie zer to jeszcze nie motyw. Pieniądze nie są ani koniecznym, ani wystarczającym warunkiem zabójstwa, a dwa miliony to nie tak dużo, jak się wydaje.

– Ellen – powiedziałem stanowczo, piwo mi się kończyło, cierpliwość także – przyjechałem, ponieważ...

– Chodzi o dom – przerwała mi.

– O dom? – powtórzyłem niepewnie. Jakaś część umysłu nadal zajmowała mi wizyta w moim domu, przez chwilę byłem pewny, że o nim właśnie mówi. – Twój dom? O co chodzi?

– Jest jednym z trzech stojących nad jeziorem. Te trzy są stare, ale przebudował je bardzo znany architekt, nie pamiętam nazwiska. Zjeżdża się do nich z drogi na Roslyn i Sheffer. Oboje z Gerrym mieszkaliśmy w tym średnim, najmniejszy mają służący, a największy należy do dzieci Gerry’ego. Był już żonaty, jego pierwsza żona zmarła dziesięć lat temu. Nie zapisał mi go w testamencie, bo był własnością rodziny od zawsze, ale mogę w nim mieszkać, jak długo zechcę. Nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Mam to czarno na białym.

– I chcesz w nim mieszkać? – spytałem z niedowierzaniem.

– Bo mi się tam podoba. I... miałam w życiu chwile, kiedy dość brutalnie przestawiano mnie z miejsca na miejsce. To nie ma prawa się powtórzyć. Ale od śmierci Gerry’ego nic już nie jest w porządku.

– O co ci chodzi?

– Myślę, że jednak się napiję.

Rozejrzałem się, ale w zasięgu wzroku nie było Kristiny. Wstałem, żeby podejść do baru, gdy odezwał się mój telefon. Spojrzałem na wyświetlacz, spodziewając się zobaczyć imię Becki, ale dzwoniący wyłączył się, a numeru nie rozpoznałem.

– Kto dzwonił?

Ellen patrzyła na mnie wyczekująco. Roześmiałem się, maskując zakłopotanie jej bezczelnością.

– Nie mam pojęcia.



Telefon odezwał się znowu. Pojawił się ten sam numer. Już miałem odebrać, ale Ellen złapała mnie za rękę i obróciła tak, by móc spojrzeć na wyświetlacz.

Nigdy przedtem nie widziałem kogoś białego jak prześcieradło. Być może w ogóle nie zdarza się to w życiu, przynajmniej nie dosłownie, ale ludzie, używając tego określenia, mają na myśli właśnie to, co stało się z jej twarzą. Poderwała się na równe nogi, zaczęła coś mówić, a potem po prostu wybiegła. Znikła, nim uświadomiłem sobie, co się naprawdę dzieje, a kiedy wypadłem na ulicę, znikła za jakimś rogiem i już nie udało mi się jej znaleźć.

\* \* \*

Wszedłem do środka. Siedzący w kątach ludzie rozmawiali albo wpatrywali się w piwo. Kristina znów stała za barem.

– Powiedziałeś coś nie tak?

Spojrzałem na nią gniewnie.

– Dość oczywisty ten żart, nie uważasz?

Nie spuściła wzroku. Po raz pierwszy naprawdę zwróciłem uwagę na kolor jej oczu, bladozielonych, niemal szarych, jak górska skała widziana przez warstewkę porastającego ją mchu.

– Wyglądasz mi na kogoś, kto w swoim czasie miał okazję zaprzyjaźnić się z paroma barmanami – powiedziała spokojnie – więc wiesz, że scenariusz

ogranicza nam ilość kwestii. Płacisz?

– Przykro mi – mruknąłem, chociaż wcale nie było mi przykro. – To był długi dzień, jestem zmęczony i wkurzony. To oczywiście nie twoja sprawa i nie twój problem.

– Takich najbardziej lubię. – Kristina nie była już taka lodowata. – To co, jeszcze jedno?

Skinąłem głową. Napełniła mi szklanę.

– I co? Ellen po prostu wstała i wyszła?

– Znasz ją?

– Właściwie nie. Przychodziła tu od czasu do czasu z Gerrym Robertsonem.

– Mężem?

– No, tak.

– Z kimś jeszcze?

– Nie. Z całą pewnością nie. Sympatyczna z nich była para, chociaż taka maja z grudniem... no, może listopadem. Gerry przekroczył sześćdziesiątkę, ale widać było, że są ze sobą blisko i w ogóle nie był głupim facetem.

To, co powiedziała, brzmiało szczerze, ale czegoś mi jednak nie mówiła.

– Ale?

– Jesteś może prywatnym detektywem?

– Nie. Jestem kelnerem.

Roześmiała się.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jeśli masz na zapleczu kilka pełnych

talerzy, z przyjemnością rozniosę je po sali. Będziesz miała dowód.

– Nie serwujemy jedzenia. Nie po tym, jak znowu paru klientom się zmarło.

Tym razem ja się roześmiałem i przez chwilę mogło się wydawać, że wpadliśmy sobie w oko, co czasem zdarza się po kilku zbędnych piwach.

– Więc... czego mi nie mówisz?

– No, chodzi o to, co powiedziałaś wcześniej, nawet jeśli to nie była prawda. Nie jesteście starymi przyjaciółmi?

– O co ci chodzi?

– Odnoszę wrażenie, że ona nie ma starych przyjaciół. To, co robiła przed Black Ridge, to jej interes. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Rozumiałem, chociaż nie byłem pewny, czy to coś znaczy i czy mnie w ogóle obchodzi. Dopilem piwo, wyszedłem w ciemność, chłodną i coraz chłodniejszą. Czuć było zapach nadchodzącego deszczu.

\* \* \*

Dopiero w motelu, kiedy podłączyłem telefon do ładowarki, zauważyłem na wyświetlaczu nową ikonę. Ktoś nagrał wiadomość.

Z Mountain View wracałem szybko, telefon miałem w kieszeni płaszcza i wiedziałem, że mogłem nie usłyszeć, jak dzwoniła Ellen. Nie chodziło o to, żebym

koniecznie chciał wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. Piętnaście minut dzielących bar od pokoju motelowego pozwoliło mi pomyśleć i zdecydować, że jutro wsiadam w samolot i wracam do Portlandu, być może, tylko być może, zbacząc z kursu, żeby przez góry dostać się do Renton. Jeśli Carol zgodzi się na spotkanie, nie stchórzy przed myślą, że nagle, po trzech latach, naruszę spokój jej świata i sąsiadów. Pewnie mi się nie uda, ale szukałem sposobów, by cała ta podróż nie wydawała się aż tak głupim pomysłem.

W każdym razie cokolwiek Ellen miałyby do powiedzenia, raczej nie będzie to nic, co zmieni moją decyzję: ograniczyć straty i zniknąć. Więc co tam, mogę jej wysłuchać.

Wywołałem wiadomość z palcem wiszącym nad przyciskiem kasowania. Ale kobiecy głos, który się do mnie odezwał, nie był głosem Ellen.

– Nie ufaj jej – powiedział. – Ona kłamie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mieszkając w jednym miejscu, tworzysz je i po pewnym czasie może stać się twoim zastępczym dzieckiem: losem, odpowiedzialnością, radością, krzyżem pańskim. Brooke rozumiała to tym lepiej, im starsza się stawała. Zastanawiała się właśnie nad tym, stojąc w głębi pokoju dziennego i przyglądając się przez okno czarnej, aksamitnej ścianie lasu.

Opuścić takie miejsce jest ciężko, zwłaszcza jeśli jego podbój oznaczał walkę, ciężką pracę, upór i tępą determinację, których przeciętna rodzina nie może spodziewać się w jednym pokoleniu, a już na pewno nie raz za razem. Potrzeba silnej krwi, by stworzyć coś nowego, powołać do życia miasto. Dopiero pokolenia oddzielania ziarna od plew odpowiedzą na pytanie, kto tu rządzi i zawsze będzie rządził.

\* \* \*

Nauczył ją tego dziadek, w dawnych dobrych czasach jej dzieciństwa. Nim zdarzyły się złe rzeczy, nim wkroczyła na szerokie pola dorosłości. Używał słowa *omphalos*, oczywiście greckiego, oznaczającego pępek. Czyli, innymi słowy, sieć. Dziadek dożył pierwszych dziecięcych kroków Internetu, ale zasadę zrozumiał o wiele wcześniej i znacznie lepiej niż ci, którzy teraz

trwoniał czas, kupując, komunikując się i chwając przed ludźmi, którzy, gdyby ich towarzystwo było rzeczywiście pożądane, zapewne nie siedzieliby godzinami przed komputerem.

Prawda świata, zdaniem dziadka, polegała na tym, że wszystko w nim jest powiązane i może przechodzić przez ten sam punkt. Ty sam. Ja.

Ilustrując to twierdzenie, wybierał jakiś przypadkowy przedmiot, mogło to być pudełko zapalek, mógł to być pączek. Pokazywał pudełko z tektury, zrobionej z papieru, zrobionego z drewna. Prowadziło to do dyskusji o bogactwie gatunków drzew, sposobach wytwarzania papieru i jego poprzedników, o wadze wyrebu dla osadnictwa na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku w ogóle, a Black Ridge w szczególności. Biznesu, który uczynił podstawą swego dobrobytu jego ojciec Daniel. Następnie przechodził do druku na pudełku, do kolorów i ich tradycyjnego użycia: czerwony na Boże Narodzenie, czarny stosowany w przypadku śmierci. Mówił też o typografii, o tym, jak umieszcza projekt w czasie, z czego wywodził kolejne tematy, od użycia darmowych próbek w reklamie po początki druku i prehistorię samego słowa drukowanego.

Nim dochodził do tego, do czego w ogóle służą zapalki, jak ważny był tytoń dla początków kolonizacji Ameryki, jak wykorzystano go w rytuałach tubylczych plemion przed kolonizacją... mijała godzina, a potem ktoś wchodził do pokoju i czar pryskał. Brooke podnosiła

głowę, mrugała nieprzytomnie, tak bardzo zasłuchana i tyle uwagi poświęcająca rozplątywaniu skomplikowanego węzła wzajemnych relacji, że nieświadoma własnego istnienia.

Można to było robić ze wszystkim. Pączki prowadziły do cukru (uprawa, rafinacja, znaczenie dla rozwoju Afryki i Karaibów, skład chemiczny, związki pokrewne) i procesu wypiekania (kluczowa pozycja pszenicy na rynkach światowych, modyfikowanej genetycznie i niemodyfikowanej, kulturowe znaczenie praśnego chleba), historia korporacji Krispy Kreme (wraz z zachowaniem fajnego logo w stylu lat pięćdziesiątych, versus kompanie takie jak Holiday Inn, które wreszcie poddały się dyktatowi graficznej lemoniady i oddały się w jarzmo kwadratu... ).

W tym momencie dziadek wstawał i po krótkich poszukiwaniach wyjmował z szuflady stare pudełko zapalek z logo Holiday Inn z Massachusetts, stojącego niedaleko miasteczka, z którego rodzina Robertsonów wyruszyła w długą pionierską drogę na Zachód.

Kręgi zamykały się, by po chwili znów się rozgałęzić. Pająk przebiegał przez sieć, która było jego dziełem.

Gdy dorastała, dziadek zachęcał ją do inicjowania analizy i ograniczał się do podpowiedzi, gdy zdarzało się jej stracić wątek. Kiedy raz uświadomisz sobie, że jesteś związany ze wszystkim we wszechświecie, doceniasz to, że wszystko w nim ma znaczenie.

Że tak naprawdę to wszystko dotyczy ciebie.

\* \* \*

I przez cały ten czas, przez wiele, bardzo wiele godzin poświęconych tej grze, dziadek nigdy jej nie dotknął. Wiedziała, że tego bardzo chce, a rosnąca świadomość jego pragnień wraz z faktem, że nigdy im się nie poddał, sprawiły, że kochała go jeszcze bardziej.

Nie można powstrzymać się od czucia tego, co się czuje. Uczucia są jak koty (dziadek lubił powtarzać to zdanie). Możesz je kochać, możesz podziwiać, mogą doprowadzać cię do szaleństwa, ale w żaden sposób nie możesz nic z tym zrobić. Koty i uczucia działają poza królestwem kontrolowanym przez człowieka. Ale dysponując wolą zmiany, możesz działać coś (albo nie działać niczego) w tym świecie. Tego także nauczyła się od dziadka na długo przedtem, nim poznała szarlatanów pokroju Aleistera Crowleya i jego nastolatków, będących dla niego pretekstem do odwołania się do najniższych ludzkich uczuć. Znudzone dzieciaki, z determinacją babrające się we własnym gównie tylko po to, by bulwersować otaczających nas wiecznych rodziców.

Mężczyzna ma być kręgosłupem, nie krwią. Ma być silny, ma być jak z żelaza, to drzewo w lesie, wokół którego rośnie wszystko inne. Niektórzy ludzie działają, inni organizują. Niektórzy dysponują siłą, czystą, bywa, że aż za wielką, inni potrafią nią kierować, używać jej do



zdobycia przewagi.

Kował wykuwa miecz.

Rycerz mieczem walczy.

Dziadek był silnym mężczyzną. Jego ojciec także. Ojciec Brooke... nie, już nie tak silnym. Miłym, oczywiście, ale mili nie stawiają murów zdolnych przetrwać dwieście lat. Ostatnio tym, co martwiło ją, nie pozwalało spać po nocach, był los rodu. Powstrzymała jego degenerację, ale to nie wystarczało. Nadszedł czas, by znów doprowadzić do spotkania w czyimś imieniu. Jej brat zawsze zgadzał się spróbować, przynajmniej tyle.

Jednak w tej chwili nic nie mogła z tym zrobić, więc wstała i nieco dłużej przyglądała się lasowi, póki nie zatarła się różnica między nim a nią. Żyjesz w określonym miejscu, a jeśli żyjesz w nim wystarczająco długo, miejsce zaczyna żyć w tobie.

\* \* \*

W końcu odezwał się dzwonek do drzwi. Słyszała dobiegające z dołu echo kroków Clarisse, która poszła je otworzyć. Potem rozległ się spokojny męski głos, cichnący, gdy mężczyznę zaproszono do salonu. Pora na interesy.

Mijając lustro, spojrzała w nie i to, co zobaczyła, całkiem jej się spodobało. Była wysoka, zgrabna, wyrafinowana, z gęstymi kasztanowatymi włosami, czystymi niebieskimi oczami i sylwetką, która nie musi

bać się upływu czasu. Wyglądała jak kobieta z gatunku, który z lubością nawiedza butik i wernisaże, a także przewodniczy lokalnym klubom tenisowym. Rzeczywiście przewodniczyła. Ludzie wiedzą tylko to, co widzą, a więc powinna wyglądać na inną, niż jest w rzeczywistości, to najbardziej podstawowy rodzaj magii. Nikt nie musi wiedzieć o dobrze ukrytych krzywdach i dokonanych w duszy zniszczeniach.

Zeszła na parter głównymi schodami, przecinającymi dom, jej dom, ich dom, po prostu dom. Korytarz doprowadził ją do salonu. W pokoju, na brzeżku wygodnego krzesła, siedział mężczyzna w okularach i płaszczu sprawiającym wrażenie drogiego.

– Richard?

Mężczyzna szybko skinął głową.

– Rick. To znaczy Richard. Czyli Rick. Jestem przyjacielem...

– Wiem o tobie wszystko, co muszę wiedzieć – przerwała mu Brooke. – Inaczej by cię tu nie było.

Mężczyzna zamrugał. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony, by kobiety zwracały się do niego w taki sposób. Może z wyjątkiem żony. Sprawiał wrażenie człowieka zdolnego poradzić sobie w każdej sytuacji, pewnego siebie, dającego partnerce powody, by od czasu do czasu przywoływała go do porządku.

– Oczywiście. Tak jest. Słusznie.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Rick?

– Mówiono mi – mężczyzna ostrożnie dobierał słowa

że możesz sprawić, żeby coś się stało.

– Stało?

– Żeby... żeby ludzie coś robili. Zmieniali zdanie.

– Czasem. Owszem.

Mężczyzna odetchnął głęboko, na chwilę odwracając od niej wzrok. Większość z nich podczas pierwszej wizyty robiła coś takiego, zastanawiając się, po raz ostatni, czy rzeczywiście chcą przekroczyć tę linię.

– Mam problem – powiedział szybko, jednym tchem.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ranek wstał czysty i rześki, nieodpowiadający stanowi mojej głowy po nocy spędzonej w łóżku, w którym punkty zbyt twarde i zbyt miękkie dzieliły zaledwie centymetry. Poza tym wiał wiatr, gałęzie drzew ocierały się o dach motelu, zgrzytając na dachówkach. Trochę po trzeciej zrobiło się to tak nieznośne, że zacząłem rozważać pomysł obcięcia ich. Leżałem nieruchomo w ciemności i chłodzie, przywołując siłę, która pozwoliłaby mi wstać z łóżka, aż osiągnąłem stan zawieszenia pomiędzy „już prawie śpię” i „prawie się obudziłem”.

W końcu ściany pokoju pojaśniały.

Po wzięciu prysznicza nie poczułem się lepiej, nie pomogło mi także długie przyglądanie się sobie w lustrze. Wydawało mi się dziwne, że nie można wyjść z domu wprost na plażę. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak bardzo przywiązałem się do nowego życia. Być może trzeba wrócić do domu, by uświadomić sobie, że teraz jest się już gdzie indziej. Ale na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku rzadko znajdujesz się daleko od kogoś, kto ma ochotę i może sprzedać ci kubek kawy, uznałem więc, że musi mi ona zastąpić morskie fale.

Po pięciominutowym spacerze znalazłem na parkingu otwierający się biznes typu latte-z-minibusa. Pogadałem chwilę z jego właścicielem, przysadzistym facetem, od

którego dowiedziałem się, że moja opinia o ludzkości, choć nie taka znów entuzjastyczna, w porównaniu z opinią innych da się nazwać pozytywną. Poznawszy poglądy faceta na lokalną politykę, homoseksualistów i rodowitych Amerykanów, wpadłem w depresję i postanowiłem jednak wrócić do motelu. Po drodze wyjąłem telefon i jeszcze raz wysłuchałem wiadomości: dwóch zdań wygłoszonych z ogromnym przekonaniem. Nie lubię ludzi przekazujących tego rodzaju wieści, kimkolwiek, do cholery, są, i już wcale nie byłem taki pewny, że wyjadę z miasteczka dziś rano. Połączyłem się z numerem, z którego ją wysłano. Szedłem spacerem, słuchając sygnału. Wreszcie ktoś odebrał.

– Dom państwa Robertsonów – powiedział pełen szacunku kobiecy głos, nie ten, który słyszałem wcześniej.

– Przepraszam, pomyłka.

Rozłączyłem się. Nie byłem zaskoczony. Pasowało mi to do Ellen i tego, że rozpoznała numer, kiedy się wyświetlił na ekranie mojej komórki. Ale oznaczało to też, że ktoś zyskał dostęp do jej komórki, a ona nic o tym nie wiedziała. Jak inaczej wyciągnęliby mój numer z jej połączeń?

Cokolwiek jeszcze mogło lub nie mogło być prawdą o Ellen Robertson, jedno wydawało się pewne; ktoś próbuje spieprzyć jej życie. Mój problem? Niekoniecznie.

Ale...

\* \* \*

Na parkingu zobaczyłem kobietę idącą w moim kierunku. Nie od razu rozpoznałem w niej właścicielkę motelu.

– Dzień dobry – przywitała mnie, uśmiechając się szeroko. – Dobrze spałeś?

– Nieźle – odparłem zbity z tropu.

Z czystymi włosami, spływającymi miękko na ramiona, w bawełnianej sukience, a nie starych džinsach i podkoszulku, w niczym nie przypominała kobiety, którą spotkałem wczoraj. Nawet skórę miała inną, nie białą i suchą, lecz ciemniejszą, ciepłą w odcieniu, i grzbiet nosa usiany piegami, tak charakterystycznymi dla rudzielców.

– Jesteś pewny, że cię nie znam? – spytała, przechylając głowę. – To znaczy, oczywiście, mieszkasz w moim motelu...

Oboje roześmieliśmy się wesoło.

– ... ale chodzi mi o to, czy nie znam cię skądinąd.

– Nie sędzę.

– Cała ja. – Kobieta się uśmiechnęła. – Zawsze coś mi się miesza. I co, zdecydowałeś już, czy zostaniesz na drugą noc?

– Jeszcze nie. To zależy od kilku czynników. Musisz wiedzieć od razu, teraz?

– Ależ skąd. – Głos kobiety brzmiał pogodnie. – Pięć osób wyjeżdża nagle, więc cokolwiek zrobisz, będzie dobrze. Mogę czekać i do południa, byleby Courtney

miała czas posprzątać pokój. Numer dziewięć, tak?

– Numer dziewięć, tak jest. Mogę zadać ci pytanie?

– Strzelaj.

– Interesuję się trochę starymi domami. Słyszałem, że domy Robertsonów to coś.

– O, do diabła, oczywiście! Hazel wynajęła do nich tego faceta... zapomniałam nazwiska, ale był naprawdę słynny. Przyjechał skądś, ze wschodu. Chyba z Wisconsin.

– Hazel?

– Pierwsza żona Gerry'ego Robertsona.

– Znasz ich? Robertsonów?

– Przecież wszyscy ich znają. Henry Robertson pierwszy zajął teren, który stał się potem Black Ridge. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

– Zastanawiałem się, czy warto ich odwiedzić. Rozejrzeć się. Myślisz, że by mnie przyjęli?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Prawdę mówiąc, wątpię. Gerry mógłby, a Hazel z pewnością by to zrobiła. Była naprawdę dumna z tego, jak mieszkali, zajmowała się tym całe lata... i sporo wydała. Roboty skończyły się zaledwie pięć lat przed jej śmiercią. Smutne.

– Co się stało?

– Wypadek samochodowy. Na przełęczy Snoqualmie, dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem dziewięćdziesiątego ósmego. Zjechała z drogi i samochód spadł ze skarpy. Szukali go prawie dwa dni. Zdaje się, że

nie zginęła na miejscu. W jej oczach błysnęło coś i zgasło. – Ale... zawsze warto spróbować, nie? Wiesz, gdzie to jest?

– Właśnie miałem cię o to zapytać.

Od razu wskazała mi drogę ze wszystkimi szczegółami, to też odróżniało ją od kobiety, którą była wczoraj po południu. Pewnie miała zły dzień. Końcowe fragmenty jej instrukcji właściwie do mnie nie dotarły, bo moją uwagę przyciągnęło wyłaniające się zza motelu i truchtające w naszym kierunku zwierzę.

– Kawał psa – powiedziałem z podziwem.

Marie odwróciła się i roześmiała.

– Święte słowa. Półkrwi wilk, tak mi przynajmniej mówiono, choć jestem pewna, że to niemożliwe. Genetycznie niemożliwe. Wzięłam go, kiedy był jeszcze szczeniakiem, i zawsze zachowywał się wspaniale. Psiak jak złoto.

Pies podszedł do nas i zmierzył mnie spojrzeniem. Przy swej właścicielce wydawał się jeszcze większy. Był wielki, szary i cichy. Jak burzowa chmura.

– Cześć – przywitałem go.

Nigdy nie byłem wielbicielem psów. Ten miał ciemnobrązowe oczy, prawie czarne. Wlepił je we mnie na chwilę, po czym odwrócił wzrok. Czuję się zmierzony, zważony, oceniony. Marie poklepała go czule po karku.

– Samotna kobieta potrzebuje obrońcy, prawda?

– No jasne – przytaknąłem. – I dziękuję.



– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, po prostu daj mi znać. I odezwij się, kiedy już zdecydujesz, czy zostajesz, czy nie.

Jeszcze raz poklepała psa i oboje odeszli w stronę drogi.

\* \* \*

Piętnaście minut później przystanąłem przy żelaznej bramie stojącej nieco w bok od szosy 903, w połowie drogi między Black Ridge i zjazdem do naszego starego domu. Do dziewiątej zostało jeszcze trochę czasu. Kawa i spacer po kawę trochę mi pomogły, ale ciągle czułem się obudzony mniej więcej w trzech czwartych. Wsiadłem, wcisnąłem guzik dzwonka po lewej stronie bramy. Czekałem cierpliwie, aż odezwał się męski głos:

– Tak?

– Nazywam się Ted Wilson. Przyjechałem...

– Czego chcesz?

Opowiedziałem mu tę samą historyjkę, którą sprzedałem Marie na parkingu motelu. Potem znowu musiałem czekać długą chwilę, aż usłyszałem terkot i brama zaczęła się otwierać.

– Wchodź – powiedział głos.

Wsiadłem z samochodu i ruszyłem podjazdem. Wkrótce dotarłem do dużego trawnika otaczającego dekoracyjny staw, nad którym stały dwa ciężkie, ale ładne domy pomalowane na biało, w stylu sugerującym wpływy

georgiańskie, i trzeci, będący w istocie chatą z pretensjami. W stawie nie pływały liście otaczających go drzew, trawa została niedawno skoszona, nawet podjazd wyglądał tak, jakby kamyki, którymi był wysypany, dobierano pod względem wielkości i koloru.

Zbliżyłem się do większego z domów, wszedłem na ganek i zadzwoniłem do drzwi. Niemal natychmiast otworzyła je przede mną chuda starsza kobieta, przepasana fartuchem. Wszedłem za nią do dużego holu, przyjąłem jej blady uśmiech i patrzyłem, jak znika w bocznych drzwiach, a potem przez mniej więcej dziesięć minut czekałem, przyglądając się wiszącym na ścianach obrazom. A kiedy wreszcie usłyszałem kroki na schodach, stałem akurat naprzeciwko drewnianej płyty zagruntowanej na kremowo, na której ozdobnym kaligraficznym pismem napisano jakiś wiersz. Odwróciłem się. Zobaczyłem mężczyznę mniej więcej w moim wieku, może parę lat młodszego, ale za to jakieś trzydzieści kilogramów cięższego. Ubrany był w drogie, luźne, bawełniane spodnie, białą koszulę i szarozielony sweter w serek. Wyglądał w tym wszystkim tak, jakby dekorator wnętrz udzielił mu instrukcji na temat strojów najlepiej pasujących do tego wnętrza.

Zmierzył mnie od stóp do głów. Nie poczuł chyba na mój widok tego, co ja poczułem na jego widok.

– Cory Robertson – powiedział, podając mi mięką, ciepłą dłoń. – Więc jesteś wielbiciele architekтуры?

– Właśnie.

– Kto ci o nas powiedział?

– Kobieta z motelu, w którym się zatrzymałem. Wspomniałem w rozmowie, że interesuje mnie stara architektura, więc zapytała mnie, czy słyszałem o domu Robertsonów. Czy też raczej domach, mam wrażenie. Pomyślałem więc sobie, że warto przyjechać i sprawdzić, czy jest jakaś szansa, żeby się rozejrzeć.

– Czy to zawodowe zainteresowania?

– Ach, skąd. Materiał w „Digest” w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym był wystarczająco dokładny. Moje zainteresowania są czysto osobiste.

Oprowadził mnie po swej siedzibie. Okazała się obszerna, zadbana, ze zmianami spójnymi i nieobliczonymi na tani efekt. Pięć minut w kawiarence internetowej dostarczyło mi informacji, dzięki którym zachowywałem się, jakbym wiedział, na co patrzę, pozwoliło mi także wtrącić w odpowiednim momencie nazwisko architekta.

Piętro podzielone było na dwa odrębne skrzydła, po obu stronach szerokiego podestu. Ellen wspomniała, że mieszkają tu dzieci Gerry’ego, używając liczby mnogiej, a więc Cory miał prawdopodobnie rodzeństwo, zajmujące część, której mi nie pokazał. Jego skrzydło było czyste, oszczędnie urządzone, a jedynym dowodem na to, że jego lokator ma osobowość, było kilka oprawionych zdjęć, na których, w towarzystwie jak on odzianych w ciasne marynarki i myśliwskie kapelusiki patrycjuszowskich

przyjaciół, jak on z postcoitalnym uśmiechem na ustach, stał nad trupami przeróżnych stworzeń bożych. Jeden z tych jego towarzyszy wydał mi się znajomy.

Wróciliśmy na podest. Tu przez okna widać było część terenu po bokach, między innymi kryty basen, korty tenisowe i zaczynający się za nimi las. A także domostwo po drugiej stronie stawu, o oknach zasłoniętych żaluzjami.

– Czy drugi dom też przeszedł renowację? – spytałem.

– Tak. I to znacznie dalej idącą, szczególnie od tyłu.

– Cudownie! Mógłbym mu się przyjrzeć?

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – odrzekł gładko Cory. – Tę część posiadłości zajmuje lokatorka, w tej chwili nieobecna. Nie czułbym się dobrze, ingerując w jej prywatność.

– Oczywiście. Więc tamten dom jest wynajmowany?

– Coś w tym rodzaju. Lokatorka wkrótce się wyprowadza.

– Dziwi mnie to – wyznałem. – Gdybym miał szczęście tu mieszkać, dużo byłoby trzeba, by skłonić mnie do wyprowadzki.

Cory tylko się uśmiechnął.

– Byłeś bardzo miły – powiedziałem, idąc za nim do wyjścia głównymi schodami.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Ktoś, komu w życiu sprzyjało szczęście, powinien dzielić się nim w miarę możliwości.

– To bardzo wielkoduszne – przyznałem, choć wielkoduszność tego faceta nie sięgała najwyraźniej drugiej żony jego ojca.

W holu na dole moją uwagę znów przyciągnął wiszący na ścianie poemat. Cory zauważył, że mu się przyglądam, i wyrecytował głośno:

*Porty, do których nie wpłyniesz,  
Nieprzebyte drogi,  
Idź, stwórz je swoim życiem,  
Oznacz śmiercią swą.*

– *Brzemie białego człowieka* – powiedziałem.  
– Doskonale. Dziadek był jego wielbicielem.  
– Rudyarda Kiplinga czy imperializmu jako takiego?  
– Kiplinga. – Cory uśmiechnął się niezbyt przekonująco. – Ale kiedy jego dziadek przybył tu z żoną i czwórka małych dzieci, to można wierzyć albo nie, miejscowi wymagali odrobiny ucywilizowania.

Pozostał na ganku i wydawało mi się, że obserwuje, jak odchodzę podjazdem, ale kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że nie ja go interesuję, lecz drugi duży dom. Wydawało mi się też, że w jednym z okien na piętrze poruszyły się zasłony, ale na niebie kotłowały się chmury i w końcu mógł to być tylko odbłask zmiennego światła.

\* \* \*

Usiadłem za kierownicą. Nie byłem pewny, czego się właściwie dowiedziałem i co właściwie powinienem myśleć o Corym Robertsonie. Jako człowieka znanego w okolicy i bogatego cechowała go automatyczna i przesadna pewność siebie, nawet arogancja, ale był także w naturalny sposób uprzejmy i w ogóle trudno było sobie wyobrazić, by ktoś mógł uważać go za niebezpiecznego. Nieco inaczej zachowywał się, gdy mówił o rychłej wyprowadzce lokatorki i cytował wiersz, który, choć w swoim czasie podyktowany najlepszymi intencjami, wynikający z radosnego paternalizmu, nierównającego się przecież rasizmowi, mógł służyć jako narzędzie obrony terytorialnych praw ludzi „cywilizowanych” z własnego nadania przed wszystkimi ludźmi „niecywilizowanymi”.

Zastanawiałem się także, czy Cory zdaje sobie sprawę z tego, że jeden z wersów można odnieść bezpośrednio do jego matki.

Odeszła z tego świata samotna, unieruchomiona we wraku samochodu, który spadł do rowu z drogi, jednej z wielu, przebitych przez te góry przez ludzi pokroju jej dziadka i pradziadka.

*I oznacz śmiercią swą.*

Coś mi mówiło, że on to właśnie zrobił.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jadąc z powrotem do motelu, kilkakrotnie próbowałem połączyć się z Ellen Robertson, ale nie odbierała. Na miejscu przede wszystkim spakowałem się, co zabrało mi jakieś dwie minuty. Gdybym pośpieszył się trochę, jadąc do Yakimy, mógłbym zdążyć do Pelikana akurat na wieczorny szczyt, ale to byłoby już kuszenie losu, a poza tym wydawało mi się jakoś nie w porządku przynajmniej nie spróbować spotkać się z Carol, skoro już tu jestem. Ale wtedy dotarłbym do Marion Beach za późno, a poza tym powinienem był uprzedzić, że będę w pracy.

Najpierw powinienem zadzwonić do byłej żony. Sama myśl o tym spowodowała, że poczułem się jednocześnie zmęczony i zdenerwowany. Po raz ostatni rozmawialiśmy ze sobą pięć miesięcy temu, krótko i uprzejmie wymieniając się nowinkami, których miałem dla niej niewiele, a ona podobnie, choć może niewiele było tych przeznaczonych dla mnie. Rozmowa z ludźmi, których się kiedyś kochało, odbiera człowiekowi poczucie rzeczywistości. Przepaść między kiedyś i teraz jest zbyt głęboka i zbyt dziwaczna, by można ją było zignorować, a poczucie obcości jest dziwne w przypadku kogoś, kto był przeciwieństwem obcego. Mimo to wybrałem numer komórki Carol, w myśli ćwicząc beztroski ton głosu, taki, jakim zwykłem wpraszać się na kawę.

– Cześć, to ja – powiedziałem, kiedy odebrała. Mój głos nie brzmiał tak, jak powinien i jakim go ćwiczyłem. Nie zareagowała, więc dodałem: – John.

– Och, witaj. – Jej głos z kolei był rutynowo ciepły, jakbym to przed nią, nie Ellen, udawał księgarza zawiadamiającego o nadejściu wcale nie tak niecierpliwie oczekiwanego woluminu. Dokładnie taki, przepełniony starannie odmierzoną dorosłością, zniechęcał mnie do dzwonięcia do niej częściej.

– I ty witaj, jak leci?

U niej wszystko było w porządku. I u Tylera oczywiście też wszystko było w porządku. U jej brata już nie wszystko było w idealnym porządku, bo poślizgnął się na mokrej podłodze w supermarkecie i skręcił nogę w kostce. Od słowa do słowa to, że George waha się, czy podać supermarket do sądu, czy nie, zdominowało rozmowę, zajmując znacznie więcej czasu antenowego niż sprawy mojej byłej żony i mojego jedyne go syna razem wzięte. Wyszedłem na dwór, zapaliłem papierosa. To pomagało wytrzymać. Czy na świecie istnieje coś nudniejszego niż rodzina byłej towarzyszk i życia? To jakby pokazywano ci fabrycznie nowego betamaxa i kazano podziwiać wierność obrazu.

– Chodzi o to – powiedziałem, kiedy temat się wyczerpał – że jestem w okolicy i myślałem, że może...

– Jesteś tutaj!?

– Tak. To znaczy nie w Renton, tylko w Black Ridge.

– I co tam robisz? – spytała Carol po chwili



milczenia.

– Minęło trochę czasu. Chciałem zobaczyć dom.

– Byłeś w domu?

– Tak. W tej chwili nikt w nim nie mieszka.

– Ale dlaczego pojechałeś do domu?

– Bo nadszedł właściwy czas. – Poczułem się zepchnięty do defensywy i zirytowany, słyszałem własny, ostrzejszy niż do tej pory głos. – Niedługo wracam na południe, ale skoro już przyjechałem, pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać.

– Właśnie wychodzę do pracy.

– W porządku, może być po południu. Polecę z Sea-Tac...

– Popołudnie to też nie jest dobry pomysł.

– Carol, mam prawo zobaczyć się z synem.

– Naprawdę? Po trzech latach?

– Po trzech, dziesięciu, nawet po dwudziestu. O co chodzi? Jest coś, czego mi nie mówisz?

– Rozwiedliśmy się, John. Nie muszę ci nic mówić. Nie muszę się z tobą spotykać i nie mam ochoty.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć, ale zaraz coś przyszło mi do głowy.

– Pieprz się, Carol.

Ale Carol zdążyła się już chyba rozłączyć.

Jeszcze dobrych kilka minut stałem bez ruchu, ściskając telefon tak mocno, że aż bolało. Bywa, że rozmowa między małżonkami nie spełnia powszechnie obowiązujących standardów rozsądku i uprzejmości. To,

tylko w większym stopniu, dotyczy również byłych małżonków, mówiących sobie ot tak, po prostu, rzeczy, które w każdej innej sytuacji prowadziłyby do walki na noże. Ale między nami nigdy do tego nie doszło. Próbowałem przewidzieć, czy obejdzie mnie, jeśli Carol będzie miała innego mężczyznę, ale nie potrafiłem podjąć decyzji. Na jakimś poziomie może i tak, ale przecież jestem dużym chłopcem i pewnie potrafiłbym przyjąć nawet taką informację, a ona powinna o tym wiedzieć.

Znów do niej zadzwoniłem, ale nie odebrała. Nie widziałem powodu, żeby zostawiać jej wiadomość.

\* \* \*

Wkładałem torbę z rzeczami do bagażnika, kiedy z kieszeni przemówił do mnie telefon.

– Byłeś tu – powiedział kobiecy głos.

– Tak – przyznałem bez wahania. – I ty też byłaś, Ellen, choć kiedy spytałem, czy mogę obejrzeć twój dom, Cory powiedział mi coś wręcz przeciwnego.

– Ale dlaczego tu byłeś?

Dość miałem kobiet zwracających się do mnie w ten sposób, przynajmniej tego ranka.

– Ponieważ wczoraj wieczorem ktoś zostawił mi wiadomość – warknąłem. – Po tym, jak ci odbiło i uciekłaś z baru.

Głos był kobiecy, ale dzwoniło z domu Robertsonów. Dowiedziałem się, że nie powinienem ci

ufać, bo kłamiesz.

Cisza. Zdążyłem uznać, że to dlatego, iż ją złapałem i nic nie może zrobić, po czym uświadomiłem sobie, że słyszę coś i że to rozpaczliwy, choć cichy płacz.

– Ellen, wracam do domu – powiedziałem.

Nic się nie zmieniło. Płakała. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła jedenasta. Miałem małe szanse na powrót przed początkiem wieczornego szczytu, ale chyba nie dlatego zmieniłem zdanie. Sądzę, że intelektualnie połączyłem obie rozmowy, klęskę w dyskusji z Carol i tę, w jedno i czułem, iż muszę coś zrobić, przynajmniej z tą ostatnią. Gniew i cierpienie kobiety różnią się od gniewu i cierpienia mężczyzny. Jest w nich coś ostatecznego, jakby odnosiły się do podstawowego warunku istnienia świata. W zależności od tego, jakim jesteś gatunkiem mężczyzny, odczuwasz potrzebę uratowania sytuacji, ale też podnieca cię (a w głębi duszy nie chcesz dowiedzieć się, jak odróżniać te gatunki) pomysł, by uczynić ją jakże interesująco gorszą.

– Spotkaj się ze mną – zaproponowałem. – Porozmawiajmy. Nie musimy rozmawiać w Black Ridge. Mam samochód i mapę.

– Mogę ci zaufać? – spytała Ellen po chwili milczenia.

– Tak – powiedziałem.

\* \* \*

Odniosłem bagaż do pokoju i przystanąłem przy recepcji motelu, by zawiadomić, że mimo wszystko zostaję na jeszcze jedną noc. Marie nie było, za ladą stała dziewczyna o długich kasztanowatych włosach, przeglądająca listę rzeczy do zrobienia, jakby nie potrafiła rozpoznać języka, w jakim ją spisano.

– Cześć – rzuciłem.

Podniosła na mnie wzrok. Powoli. Zamrugła. Mogła mieć szesnaście, może siedemnaście lat i była bardzo ładna. Z fartuszka, który miała na sobie, wywnioskowałem, że jest pokojówką. Wyglądała, jakby przez tydzień nie spała. Nie imprezowała, ale właśnie nie spała.

– Dzień dobry – odparła.

Powiedziałem jej, czego chcę, ale chyba nie do końca mnie rozumiała. Nie sprawiało to wrażenia niedostatków inteligencji, już raczej wyglądało tak, jakby informacja ode mnie wychodząca po prostu do niej nie dotarła. W końcu poczułem się zmuszony do sięgnięcia za kontuar, chwycenia kawałka papieru i zapisania, o co mi chodzi, i to wołami. Dziewczyna nie poczuła się urażona, nie jestem pewny, czy w ogóle zwróciła uwagę na to, co robię. Pożegnałem się uprzejmie i odszedłem. Obserwowała mnie, jakbym był chmurą przepływającą wysoko nad jej głową.

Po wyjściu zadzwoniłem do trzeciej kobiety. Tak bardzo zależało mi na upewnieniu się, że Becki nie będzie miała problemu z zastępstwem na jeszcze jedną noc, że

dopiero kiedy skończyłem wyjaśnienia, dotarło do mnie, jak bardzo jest spięta.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Tak – powiedziała. – No, mniej więcej.

– Tylko mi nie mów, że Kyle znów zrobił jakieś głupstwo.

– Nie wiem – przyznała po niemal nieuchwytej chwili milczenia. – Ale... dziwnie się zachowuje. Jest jakiś podminowany i... cholera, przecież to nie twój problem, Wędrowcze. Co u ciebie? I gdzie ty właściwie jesteś, do jasnej cholery?

– W takim czymś, co się nazywa Black Ridge. W stanie Waszyngton.

– Dobrze ci idzie? Z tymi rodzinnymi sprawami?

– Nieźle. Słuchaj, wracam jutro wieczorem. W porządku?

– Dobrze by było – westchnęła i się rozłączyła.

Szedłem do samochodu, myśląc, że w życiu takiego faceta jak ja, który od trzech lat każdej, dosłownie każdej nocy śpi sam, jest trochę za dużo kobiet.

\* \* \*

Miałem półtorej godziny do zabicia przed spotkaniem z Ellen. Skorzystałem z tego, by zjeść coś w Write Sisters. Jeśli nie myślimy o tym, że jedzenie dobrze nam robi, nie smakuje aż tak źle. Potem postanowiłem wypić kawę. Miałem przy tym pewne trudności z

przyciągnięciem uwagi niebieskowłosej kelnerki. W końcu musiałem wstać i podejść do lady. Obsługiwała ekspres, jakby miała z nim do czynienia pierwszy raz w życiu. Nie wytrzymałem.

– Wszystko w porządku?

Wzruszyła ramionami.

– Brzuch mnie trochę boli, to wszystko.

– Byłaś u lekarza?

– Po CO? Kazały mi brać pigułki, i tyle.

– Tak zarabiają na życie – stwierdziłem i w nagrodę otrzymałem bardzo blady uśmiezek.

Pijąc owoc jej trudów, przeglądałem broszurkę zawierającą historię miasta. Liczyła sobie dziesięć lat, a jedynym wymienionym w niej biznesem, który znałem z doświadczenia, był Marie Resort. Wszystkie inne zdążyły się już pozamykać.

Black Ridge powstało jak wiele osad w regionie i poznanie jego dziejów nie wymagało wiele czasu i wysiłku. Tereny należały do osiedlających się tu okresowo Indian z salickiej grupy językowej. Biali nabyli je sprytnie, namawiając niedysponujących nawet odrobiną władzy członków plemion do składania podpisów na traktatach pokojowych. Po tym już każdy Indianin, pojawiający się na ziemi, do której prawo miał białe, mógł być uznany za nielegalnego osadnika i całkiem legalnie z niej usunięty. Co praktykowano na dużą skalę.

Biali przybywali grupami i grupkami, w dużych odstępach czasu, aż wreszcie w 1872 roku Henry

Robertson podzielił swoją posiadłość na działki, wyznaczył ulice i wraz z Johnem Evansem, Nikolasem Golsonem, Joshuą Kellym i Danielem Hayesem, hodowcą, zarejestrował miasto. Niektóre z tych rodzin przybyły z Massachusetts razem, niektóre niedługo po sobie. Rodzina Kellych znikła po kilku miesiącach, rozpląnęła się gdzieś, na wschodzie, a Golsonów rok później wygnano za drobną kradzież, jednak reszta osadników nieźle prosperowała. Głównym i najbardziej dochodowym biznesem niemal natychmiast stał się handel drewnem, miasteczko bogaciło się i nabierało pewności siebie do tego stopnia, że w 1903 roku zyskało prawa samorządowe. Te kilka przecznic, w których granicach byłem, stało się wówczas jego centrum: krótkie, krzywe, krzyżujące się uliczki, sprawiające wrażenie, jakby ktoś wyrysował je kijem na piasku.

W tym momencie przerwałem lekturę i wyjrzałem przez okno. Miałem kłopoty z wyobrazeniem sobie jedenastu saloonów, niezmordowanie prowadzących hałaśliwą, a bywało że i niebezpieczną działalność, stojących wzdłuż błotnistych uliczek, a także wąsatych mężczyzn będących klientami kobiet o zmęczonych twarzach. Albo żywotność pierwszych osadników wsiąkła w ziemię jak przelana krew, albo ich duchy, niesione wiatrem, dawno pogubiły się w otaczających miasteczko lasach.

Przez jakiś czas członkowie lokalnych plemion obu płci odgrywali jakąś rolę w historii – zazwyczaj udzielali

pomocy, ale czasem tracili cierpliwość i przetrzepywali skórę jakiemuś co bardziej nieznośnemu białemu chłopcu, aż wreszcie i oni znikli z historii wraz ze, szczerze mówiąc, wszystkim, co można byłoby uznać za interesujące. Black Ridge dziś sprawiało wrażenie zmęczonego, pozbawionego siły i zdolności jej ukierunkowania, zupełnie jakby wyczerpywały mu się baterie. Zaciekało mnie tylko to, że Henry Robertson zdecydował się wybudować sobie dom ładny kawałek dalej, w lesie, który do dziś pozostał lasem, a nie w samym centrum, jak to mieli w zwyczaju Ojcowie Założyciele, na przykład Henry Yesler z Seattle. Dom Evansów nadal stał i od lat siedemdziesiątych pełnił funkcję miejskiej biblioteki. Obok znajdowała się oryginalna działka Hayesów, zajęta przez bank i parking, na którym niedawno kupiłem kawę. Rodzina Kellych wprawdzie nie wytrzymała tu dłużej niż sześć miesięcy, ale i tak dała nazwę głównej ulicy, więc dlaczego Robertson odsunął się prawie siedem kilometrów na bok? Wyglądało na to, że nigdy się tego nie dowiem... i że tak czy inaczej, nie ma to żadnego znaczenia.

Dodałem cenę broszurki do rachunku, zapłaciłem i wyszedłem. Kelnerka, jeśli się zmieniła, to na gorsze. Miałem tylko nadzieję, że nie jadła na lunch tego, co można było dostać w lokalu, a jeśli jadła, to nie to, co zamówiłem.

\* \* \*



Ellen wyznaczyła miejsce: punkt widokowy pomiędzy Cle Elum i Sheffer. Między drzewami ustawiono osiem stolików piknikowych, na żwirowym parkingu stał już jeden samochód.

Czerwony, sportowy. Miałem nadzieję, że należy do niej, ale też – biorąc pod uwagę, jak bardzo niepokoiła ją możliwość obserwacji – wydawało się raczej nieprawdopodobne, by pozostała w nim po przyjeździe. Wysiadłem i zobaczyłem postać stojącą na granicy drzew, kilka metrów za najdalszym stołem. Uświadomiłem sobie, że Ellen nie wie przecież, jakim samochodem jeżdżę, i nie może mnie wyraźnie widzieć, ruszyłem więc w jej kierunku powoli i ostrożnie.

– Ellen?! – zawołałem. Nie doczekałem się odpowiedzi.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i uświadomiłem sobie, że musi być głębiej w lesie, niż początkowo sądziłem, albo może cofnęła się, kiedy ruszyłem w jej stronę, bo to, co wziąłem za jej postać, okazało się tylko jeszcze jednym drzewem.

– Ellen, to ja, John Henderson.

Musiała mnie widzieć niezależnie od tego, gdzie była, zatrzymałem się więc i czekałem. Mniej więcej po minucie wyłoniła się z miejsca, w którym spodziewałem się ją zobaczyć.

Była blada, wydawała się zmęczona.

– Jesteś sam? – spytała.

- Sam. Dlaczego nie miałbym być sam?
  - Bo czasami ludzie nie są.
  - Ale ja jestem. – Rozłożyłem ręce i obróciłem się, jakbym chciał objąć nimi cały świat. – Nawet te ciche głosy przestały już do mnie przemawiać.
- Przygryzła wargi i wreszcie się uśmiechnęła.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Usiedliśmy po przeciwnych stronach stolika. Ellen przyjechała w dzinsach i grubym kasztanowatym swetrze, jej fryzura i makijaż nie były już aż tak nieskazitelne, dzięki czemu w myślach odliczyłem jej parę lat.

– Więc skąd właściwie jesteś? – spytałem ją.

– Przecież już ci mówiłam.

– Nie z Bostonu. Wykorzystajmy najbliższe dwie minuty na przeprowadzenie testu. Ktoś próbował przekonać mnie, że nie jesteś godna zaufania. Wolałbym wierzyć, że nie mówił prawdy. Więc? Skąd jesteś?

– A ty skąd wiesz?

– Mam dobre ucho. Mówisz z doskonałym akcentem, ale im dłużej cię słucham, tym wyraźniej słyszę, że samogłoski bywają zbyt zaokrąglone, a i dobór słów od czasu do czasu szwankuje. Tutaj nikt nie ma prawa niczego zauważyć, ale ja spędziłem sporo czasu z kimś, kto naprawdę pochodzi z Bostonu.

– I jesteś ekspertem?

Czekałem.

– Rumunia – powiedziała w końcu z nutką wyzwania.

– Ale mieszkasz tu od dłuższego czasu, prawda?

– Osiem lat. Przedtem byłam trochę w Anglii, przed Anglią we Francji, ale teraz mieszkam tutaj. Ja też mam dobre ucho. Chciałam dobrze zarabiać, więc ciężko

pracowałam nad akcentem. Mój francuski też nie jest zły.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści cztery. To nie jest taktowne pytanie. W żadnym języku.

Zaskoczyła mnie tak, że aż się uśmiechnąłem.

– W porządku. Posłuchaj, byłaś wobec mnie uczciwa, więc odpłacę ci tym samym. Przykro mi, jeśli przechodzisz teraz trudne chwile, ale to będzie nasza ostatnia rozmowa, chyba że przekonasz mnie, iż masz informacje dotyczące bezpośrednio śmierci mojego syna.

– A ty? Skąd jesteś? Tak naprawdę? – spytała.

– Z Newport Beach – odparłem, zapalając papierosa. Kalifornia.

– Nie o to mi chodzi. – Wyjęła papierosa z mojej paczki, bez pytania, i wzięła zapalniczkę ze stołu. – W gazetach pisali, że byłeś prawnikiem.

– Słusznie. Byłem.

– Ale nie zawsze, jak sądzę.

– Teraz ty jesteś ekspertem?

Nie uśmiechnęła się, po prostu czekała, tak jak ja przedtem, patrząc mi prosto w oczy. Już prawie w niczym nie przypominała kobiety, którą poznałem w Mountain View Tavern. Przypomniałem sobie słowa Kristiny.

– Najpierw służyłem w wojsku. Potem byłem prawnikiem. W międzyczasie robiłem różne inne rzeczy.

– Aha. Jakie na przykład? Przysłuchiwałeś się, jak mówią ludzie, i co?

– Było, minęło.

– Jak Rumunia.

Więc jej powiedziałem. Jako nastolatek miałem przechłapanie, więc wstąpiłem do wojska, by uciec od beznadziejnie poplątanego życia, które już przed sobą widziałem. Odsłużyłem pięć lat, nikt mnie nie postrzelił, wystarczyło parę szwów tu i tam. Wystąpiłem z armii wkrótce po poznaniu Carol. Postawiłem na Tajne Służby w przekonaniu, że przynajmniej nie będę musiał wyjeżdżać z kraju często i na dłużej. Ta służba, mimo fascynującej i imponującej nazwy, czyni człowieka kimś pomiędzy szeregowym federalnym a ochroniarzem i polega głównie na staniu tu i staniu tam. Wytrzymałem dwa lata, podczas których ani razu nie spotkałem prezydenta, ani razu nie spotkałem nawet wiceprezydenta i ani razu nie zostałem postrzelony. Po dwóch latach zjechałem z pasa szybkiego ruchu, bo zaproszono mnie do współpracy z wydziałem mającym niewyraźne powiązania z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. A przez cały ten czas, wieczorami i w weekendy, studiowałem prawo. Zacząłem, kiedy dowiedziałem się, że żona jest w ciąży. Uświadomiłem sobie wówczas, że wkrótce dotrę do punktu, kiedy przestanie mnie bawić codzienne obcowanie z bronią i to, że o moich losach oraz bezpieczeństwie decydują siły, nad którymi nie mam żadnej kontroli.

No więc odszedłem. Znalazłem pracę w małej, starej kancelarii w Yakimie, której właścicielem był ojciec kumpla z wojska, Billa Rainesa. On też tam już pracował

i radziłem sobie całkiem nieźle. Mieli bogatych klientów, więc nietrudno było zafakturować tyle godzin, by żyć na przyzwoitym poziomie. Pracowałem głównie w biurach, odbierając zaprzysiężone zeznania oraz porządkując inne niespodziewane odkrycia, wspomagając w ten sposób Billa i jemu podobnych. Zaledwie parę razy zdarzyło mi się stanąć z kimś oko w oko, rzucić komuś wyzwanie w imieniu własnym, klienta firmy, a także jej samej. W takich sytuacjach nasi przeciwnicy przeważnie się wycofywali, a jeśli nie, przeważnie przegrywali i przyjmowali to dzielnie, choć zdarzyła mi się dziwna sprawa i adwokat przeciwnej strony o mało mnie nie postrzelił. Okazało się, że ma poważny problem z kokainą, a co gorsza, nie umie przegrywać.

Składało się to w sumie na przyzwoite, spokojne, godne szacunku życie. Powinienem żyć tak dalej, zostać współnikiem, utyc i zdobyć imponującą wiedzę o winach. I żyłbym, gdyby nie jedno popołudnie.

W tym momencie zamilkłem, wiedząc, że i tak powiedziałem więcej, niż zamierzałem. Ellen umiała słuchać. Wpatrywała się we mnie, a jej spojrzenie, dalekie od wścibstwa, sprzyjało zwierzeniom.

Przemyślała sobie to, co usłyszała, i zaczęła mówić.

\* \* \*

Spotkali się w Paryżu, w gwarne wiosenne popołudnie, w Cafe de Flore, w której, z konieczności,

przypadł im ten sam stolik. Dwoje obcych sobie ludzi odwiedzających interesujące miejsca w Saint-Germain, stawiających ptaszek na liście przy nazwie jednej z kawiarni, w której pionierzy egzystencjalizmu w ponurej dumie popijali cafe cremes. Ona była osobistą sekretarką członka dyrekcji banku w Bostonie, Robertson odbywał czwartą doroczną podróż za granice Stanów Zjednoczonych, licząc od śmierci żony, i ciągle nie potrafił dobrze się bawić. Nim odszedł na emeryturę w wieku pięćdziesięciu paru lat, był dyrektorem finansowym firmy w Yakimie, mieli więc wspólne tematy, a w każdym razie prawie wspólne. Powiedzmy, że znaleźli wspólny temat: umówili się także na kawę następnego dnia, zjedli razem kolację, a po kolacji...

Słuchając jej, doszedłem do wniosku, że Kristina prawdopodobnie miała rację w jeszcze jednej sprawie. Kiedy Ellen mówiła, jak oboje z Gerrym utrzymywali swój związek, rozmawiając przez telefon, śląc e-maile, spędzając wspólnie weekendy, jak oświadczył jej się w Nowym Orleanie dokładnie w piątą rocznicę śmierci żony, o powodach, dla których wybrał właśnie ten dzień, o tym, że raczej pogodził się z przeszłością, niż ją zanegował, i jak to było, kiedy wreszcie wprowadziła się do niego, do domu, który oglądałem dziś rano, nie miałem wątpliwości, że jest kobietą czującą głęboko, prawdziwie i że jej uczucie było odwzajemnione. Bo i dlaczego nie? Ludzie, których dzieli dziesięć, dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat, różnią się od siebie (a przynajmniej należy

mieć nadzieję, że się różnią i że ci starsi przywiązują wagę do tego, jak żyją), ale prawdopodobnie mniej niż czteroletnie dziecko od dwuletniego. Jeśli nie jesteś ani stary, ani młody, to z całą pewnością jesteś głupcem.

Po czym nastąpiły cztery lata szczęścia w zaciszu domowym i podczas zagranicznych podróży w najlepszym stylu, gwarantowanym przez platynowe karty kredytowe; szczęścia, na którym cieniem kładły się, co oczywiste, dzieci Gerry'ego. Przybrało to jednak dość niezwykłą formę. Cory i Brooke Robertsonowie powitali nowego członka rodziny w rodzinnej posiadłości z serdecznością niemal nie do zniesienia. Ellen kręciło się od niej w głowie, póki nie uświadomiła sobie, że uważają ją za jeszcze jedno dziecko tatusia. Nie spodziewała się oczywiście, że jako rówieśniczka będzie traktowana niczym typowa groźna macocha, nie oznaczało to jednak, by miała zgodzić się na odgrywanie roli cudem odnalezionnej siostrzyczki, tak jakoś przy okazji dzielącej dom (i łóżko) z ojcem tych dwojga.

Po dyskusji z Brooke, podczas której wyraźnie dała do zrozumienia, że to nie tak, ich stosunki się ochłodziły, jednak zdaniem Ellen nie bardziej, niż jest to przyjęte. Życie toczyło się dalej, rodzina co niedzielę spotykała się w większym domu na obiedzie.

– Więc o co się kłóciliście? – spytałem. Ellen spojrzała na mnie zmieszana, więc wyjaśniłem: – Sama mi przecież powiedziałaś, że pokłóciłaś się z Gerrym. Tuż przed jego śmiercią.



Zgasiała papierosa na stoliku i wyrzuciła niedopałek między drzewa.

– Poszło o dzieci. Ale nie jego dzieci.

– Chciałaś mieć dziecko?

– To trwało już od pół roku. Chociaż właściwie od dziewięciu miesięcy, a zaczęło się wieczorem w dniu naszej czwartej rocznicy. Wtedy doszło do pierwszej awantury. Mam... no dobrze, sama ci powiedziałam... mam trzydzieści cztery lata. Podniosła palec i pokiwała nim na boki. – Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

– I Gerry mógł zostać ojcem?

– Och, chyba tak, oczywiście. Był bardzo żywotnym mężczyzną.

– Szczęściarz z niego, ale czy nie odrobinę za starym, by cieszyć się karmieniem butelką o trzeciej nad ranem? Zwłaszcza że odrobił pańszczyznę trzydzieści parę lat temu?

Spojrzała na mnie gniewnie. W tej jednej chwili byłem dla niej reprezentantem wszystkich mężczyzn świata.

– Nigdy nic mi nie powiedział! Kiedy braliśmy ślub, nie uprzedził; „Nie będziemy mieli dzieci”. Kłóciliśmy się, to nie było nic poważnego, ale zdarzało się coraz częściej.

Coś takiego potrafię sobie wyobrazić, przecież byłem kiedyś żonaty. Na własnej skórze poznałem, na czym polega nieubłagany kobiecy nacisk. I z doświadczenia wiedziałem, jakiej broni używają mężczyźni: udawanej

obojętności i uników, których skutkiem może być wyłącznie pogorszenie sytuacji.

– No więc... tego dnia...

– Ten sam temat, te same słowa. Poszedł pobiegać. Ja przez pewien czas tylko chodziłam po domu, a potem czymś się zajęłam. To nie była żadna poważna awantura.

Broda jej zadrżała, wpatrzyła się w blat stołu. Spędziłem wiele bezsennych nocy, tłumacząc sobie, że byliśmy ze Scottem w dobrych układach, także przez te kilka dni, które okazały się jego ostatnimi, że ostatniego wieczoru czytałem mu na dobranoc z prawdziwą przyjemnością, a nie tylko z poczucia obowiązku, więc doskonale wiedziałem, co to jest mowa ciała.

– To lepiej, że potrafiliście się pokłócić – powiedziałem. – Kiedy ludzie przestają się do siebie odzywać... dopiero wtedy robi się naprawdę źle.

Ellen spojrzała na mnie i lekko się uśmiechnęła. Odpowiedziałem uśmiechem, ale poza tym siedziałem nieruchomo i tylko patrzyłem na nią jak ktoś, kto będzie milczał, chyba że skłoni się go do mówienia.

– To jego twarz... dlatego do ciebie zadzwoniłam.

– Nie rozumiem.

– Ludzie mówili o tym, jak wyglądał twój syn. Z nim było tak samo.

Raport koronera o przyczynie śmierci Gerry'ego Robertsona był jasny i prosty. Dobra forma, jak na wiek, i brak przypadków chorób układu krążenia w rodzinie niewiele, niestety, tłumaczyły.

– Byłam w Sheffer – mówiła Ellen – dwa tygodnie po pogrzebie. Nie wiem, po co tam pojechałam, nie pamiętam. Pewnie po prostu po to, żeby coś zrobić. Próbowałam zjeść lunch. Usłyszałam, jak ktoś mówi coś o „domu Hendersonów”. I o tym, co się tam wydarzyło.

Zakląłem. Nie podobało mi się, że moje życie stało się ulubionym tematem miejscowych plotkarzy.

– Ten ktoś był mężczyzną po pięćdziesiątce? W drogich okularach?

Ellen zmarszczyła brwi.

– Nie, kobietą. Dlaczego pytasz?

– Nieważne. I...

– Ta kobieta powiedziała, że słyszała to od policjanta, który tam wtedy był. Mówiła o nim Phil.

Skinąłem głową. Pamiętałem Phila Corlissa z wydziału Policji black Ridge. Po śmierci Scotta to on i jego szef pierwsi pojawili się na miejscu, ale później oddali sprawę większemu wydziałowi z Cle Elum. Ze wszystkich gliniarzy, których widziałem tamtego dnia i w ogóle aż do końca tygodnia, tylko o nim myślałem, że nigdy nie próbował dojść, jak i dlaczego skrzywdziłem syna. Nikt nie zaproponował i chyba nikt nie rozważał nawet pomysłu wsadzenia mnie i Carol na tylne siedzenie radiowozu, a potem popracowania nad nami w pokoju bez okien, ale wszyscy z wyjątkiem Corlissa wyglądali tak, jakby ta myśl co najmniej przeleciała im przez głowę. Tak, widywałem Corlissa i jego szefa, ale ten drugi był na miejscu zbyt krótko, bym zapamiętał jego nazwisko.

– Ta kobieta mówiła, że Phil powiedział jej coś o tym, jak... słuchaj, czy ty...

– Nic mi nie jest. Po prostu powiedz, do czego zmierzasz. Moja cierpliwość nie jest niewyczerpana.

– Zastępca powiedział, że twarz twojego chłopca wyglądała dziwnie. Jakby się czegoś przestraszył.

Milczałem.

– No więc... poszłam do biblioteki. Przejrzałam gazety z tamtego okresu. Dowiedziałam się, co się stało, i zaczęłam się zastanawiać.

– Nadal nie rozumiem...

– Gerry nie dostał ataku serca – powiedziała Ellen. Mój ojciec... on przeszedł atak serca. Byłam przy nim, miałam wówczas czternaście lat. Powiedział, że dziwnie się czuje. Potem, przez kilka godzin, wszystko było w porządku, ale widziałam, że ściąga brwi i dotyka ramienia, o tak. – Prawą ręką pomasowała lewe ramię. Mocno. – Potem przestał, ale powiedział, że czuje się chory. Przez godzinę nic się nie działo, ale potem znów masował sobie ramię. I pierś. Ciągłe powtarzał, że wszystko jest w porządku. Wstał po jakieś pastylki na niestrawność i wtedy jakby stracił władzę w nogach. Opadł na kolano, taki... skrzywiony. Chciał coś powiedzieć, a ja wyraźnie widziałam, że wie, co się z nim dzieje. Wiedział, że ma atak serca. Z Gerrym było zupełnie inaczej.

– Czyli jak?

– Zawołałam go po imieniu. Odwrócił się i

uśmiechnął do mnie. To był cudowny uśmiech, od razu wiedziałam, że nasza wcześniejsza kłótnia jest zupełnie bez znaczenia. Miałam powiedzieć mu coś miłego, kiedy nagle zorientowałam się, że wcale na mnie nie patrzy.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Patrzył nie na mnie, lecz przeze mnie, tam gdzie zaczyna się linia drzew. Był jakiś taki... zagubiony. I ten dziwny zapach. Jego pot pachniał zupełnie inaczej. Patrzył na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Jakbym go przestraszyła.

Gwałtownym gestem sięgnęła do torebki i coś z niej wyjęła.

– Mam zdjęcie – powiedziała.

– Sfotografowałaś go?

– Później. Kiedy zostawili mnie z nim samą. Podała mi fotografię. Zobaczyłem ostro oświetloną twarz sześćdziesięcioparoletniego mężczyzny o łagodnych rysach i rzadziejących włosach. Oczy miał zamknięte. Wyglądał na martwego. To wszystko.

– Zmienił się – stwierdziła, jakby usiłowała się bronić.

Byłem zawiedziony. I wściekły.

– Jasne, Ellen. Oczywiście. Wyraz twarzy zmienia się, nie pozostaje taki sam na zawsze. Chryste, czy ty sobie ze mnie kpisz?

– W ogóle nie chodzi o jego twarz, tylko o to, co powiedział.

– A co on takiego powiedział, Ellen?

– „Co, do diabła... kim jesteś?”. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, na co patrzy. To był pogodny, słoneczny dzień, widać było wszystko aż po linię drzew, niczego nie dostrzegłam, tylko... rozumiesz... drzewa za dużym domem. Znowu spojrzałam na niego, chciałam spytać, o czym mówi, ale... już nie żył.

– No więc dostał wylewu albo udar odciął dopływ krwi do mózgu i miał kłopoty ze wzrokiem.

– Czy to się stało Scottowi?

– Nie wiem, dlaczego sądzisz, że wiesz, co się stało mojemu synowi. – Rozgniewało mnie, że wymawia jego imię. Gazety informowały po prostu o jego śmierci, więc co każe ci myśleć...

– Kobieta z kawiarni powiedziała temu komuś, z kim rozmawiała, że policjant powiedział, iż twój syn wyglądał po śmierci na przerażonego. Gerry też tak wyglądał. Strach znikł z jego twarzy. Zobaczył coś, co spowodowało jego śmierć.

Koroner wygładził jego rysy, żeby to ukryć. Żeby nikt nie wiedział.

Gapiałem się na nią szeroko otwartymi oczami.

– Ellen, przecież... przecież to nonsens.

– Ktoś mu coś zrobił – powiedziała Ellen z naciskiem. I teraz próbują zrobić to mnie.

– Ale co?

– Obserwują mnie przez cały czas. Nocami wchodzą do domu. Wszędzie za mną chodzą i chowają się, kiedy się odwracam.

– Kto!? Cory i Brooke?  
– Nie. Nie o nich chodzi.  
– Jesteś pewna? Ktoś zadzwonił do mnie właśnie stamtąd.

Jak inaczej mogli znaleźć mój numer, jeśli nie w twoim telefonie, a to oznacza, że naprawdę kręcą się po twoim domu. I kogo miałaś na myśli, mówiąc, że ktoś przechwytuje twoje e-maile?

– No... tak, to sprawka Cory'ego. Chcą, żebym się wyprowadziła. Ale chodzi nie tylko o nich. Jest jeszcze ktoś. Próbują ukarać mnie za śmierć Gerry'ego... za coś, czego nie zrobiłam.

– Kto?! – powtórzyłem. Podniosłem głos, niemal krzyczałem. – Jak myślisz, kto ci to robi?

Wyszeptała coś, czego nie dosłyszałem. Coś brzmiącego jak „trigger”.

– Mówiłaś coś?

Prychnęła z gniewnym obrzydzeniem, wstała i pobiegła do samochodu. Dogoniłem ją, gdy szarpnięciem otwierała drzwi.

– Ellen, posłuchaj. Potrzebujesz pomocy. Naprawdę. Śmierć kogoś, kogo się kocha, może strasznie namieszać człowiekowi w głowie. Możesz mi wierzyć, wiem o tym doskonale.

– Nic nie wiesz! – krzyknęła. Jej oczy błyszczały, może z gniewu, a może od łez?

Zatrzasnęła drzwiczki i odjechała.

\* \* \*

Wróciłem do stolika po papierosy, ale zamiast zabrać paczkę, usiadłem i zapaliłem kolejnego. Byłem rozczarowany, ale też czułem ulgę, bo dowiedziałem się wreszcie, co takiego Ellen musiała mi powiedzieć. Byłem rozczarowany, ponieważ to, co musiała mi powiedzieć, było gównem bez znaczenia.

A także trochę się na nią złościłem. Rozmawiając z Carol, nie byłem w stosunku do niej uczciwy. Nie postanowiłem przecież, że odwiedzę nasz dom. W ciągu kilku ostatnich lat wielokrotnie postanawiałem z najgłębszym przekonaniem, że nigdy się w nim nie pojawię. Ani nawet w jego pobliżu. I dotrzymałbym postanowienia, gdyby Ellen Robertson się ze mną nie skontaktowała. Od chwili powrotu na północny zachód czułem, że moje nowe życie staje się swoim własnym cieniem, jakby erozji uległ sam czas między wtedy a dziś, początkiem zaś tego procesu była właśnie wizyta w naszym domu. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były idiotyczną, niebezpieczną stratą czasu. Pora powrócić do przyszłości.

Wsunąłem niedopałek do paczki. Tego zwyczaju nabrałem, jeszcze nim fanatycy zdrowia przededefiniowali palenie, czyniąc z niego coś w rodzaju masowej zbrodni. Jednocześnie przypomniało mi się, że Ellen wyrzuciła swój. Wstałem i ruszyłem na poszukiwania. Nie spodziewałem się, że go znajdę, kierowało mną raczej



poczucie szlachetnego oburzenia, jakby śmiecenie było jednym więcej dowodem pozwalającym uznać ją za głupią sukę.

Wybrałem najbardziej prawdopodobną trajektorię niedopałka lecącego ponad trawą między drzewa. Uświadomiłem sobie, że właśnie tu zauważyłem ją od razu po przyjeździe. I rzeczywiście, niedopałek leżał tam, gdzie spodziewałem się go zobaczyć, koło porośniętego mchem kamienia. Podniosłem go, cofnąłem się o krok i nagle coś rzuciło mi się w oczy.

Zawahałem się, a potem wszedłem nieco głębiej między drzewa. Ziemię pokrywała tu mieszanina, której można było spodziewać się w takim lesie o tej porze roku: spadłe liście w setce odcieni brązu, trawa bardziej szara niż zielona, tu i tam kamienie ozdobione plamami soczyście zielonego mchu. Ale oprócz tego, na powierzchni jakiejś ćwierci metra kwadratowego, leżały patyki i małe gałązki. Podniosłem głowę. No tak, wokół rosły niemal wyłącznie jodły, czyli drzewa niezrzucające raczej tego rodzaju rzeczy. W zasięgu wzroku miałem także olchy oraz brzozy zwisłe i papierowe, płaczące, ale nie tu, nie tak blisko.

Ludzkie umysły tworzą wzory. Bywa, że wzory te sprowadzają nas na manowce. Przyglądając się temu przypadkowemu zbiorowi przedmiotów, pomyślałem przelotnie, że jednak tworzą kształt, choć nie potrafiłem od razu określić jaki. Po prostu wydawało się, że nie leżą przypadkowo.

I było coś jeszcze. Słaby zapach. Zapach ziemi, lecz wyraźnie słodszy, jakby gdzieś w pobliżu padło jakieś małe stworzenie.

Nagle zakrakał ptak. Drgnąłem zaskoczony. Uświadomiłem sobie, że gapię się na zwykłe jesienne śmiecie, i poczułem się głupio. Z rozmachem kopnąłem gałązki, rozrzucając je w promieniu dobrych trzech metrów. Poszedłem do samochodu.

Pora wracać do domu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pracując w bibliotece, często widzi się ludzi, którzy wyglądają znajomo. Czytaczy pochłaniających dwie, a nawet trzy powieści dziennie, bezustannie przeszukujących skarbice w poszukiwaniu nowych zdobyczy. Młode matki świadome, że przy ludziach nie są aż tak wybuchowe, przyprowadzające dzieci, by mogły się pobawić poobijanymi plastikowymi zabawkami. Mężczyzn szukających pracy, a co najmniej udających, że jej szukają, spędzających całe dni w towarzystwie gazet lub książek napisanych przez tych, którzy odnieśli finansowy sukces i uznali za stosowne powiększyć nieco rozmiar swego szczęścia, sprzedając bestsellery pod tytułem *Dziesięć powodów, dla których ty jesteś ofermą, a ja nie*.

Carol nie sądziła jednak, by mężczyzna, na którego zwróciła uwagę, należał do którejś z tych kategorii.

Nie było go tu, kiedy pojawiła się w pracy o wpół do jedenastej, co do tego prawie nie miała wątpliwości, choć zdenerwowanie po rozmowie z eksmężem jeszcze nie minęło. Ta rozmowa była zdecydowanie ostatnią rzeczą, której spodziewała się tego ranka, a wiadomość o tym, że jest w Black Ridge, wytrąciła ją z równowagi. Spędziła cudownie uspokajające chwile, porządkując książki i przygotowując przy komputerze plakat dla klubu czytelników. Swoją drogą to zdumiewające, że ludzie

stosujący system klasyfikacji, umożliwiającą odszukanie którejś z nich, zapominają o nim, gdy trzeba odłożyć ją na miejsce.

Podniosła wzrok znad drukarki wypluwającej pierwszy szkic i wówczas w dziale literatury faktu dostrzegła mężczyznę. Zauważyła tylko, że jest krepcej budowy, a krótko ostrzyżone ciemne włosy ma przyprószone siwizną, poza tym nic.

Nie myślała o nim aż do chwili, gdy godzinę później, prawie zapomniawszy o rozmowie z Johnem, znowu zobaczyła mężczyznę, tym razem w dziale nowości wydawniczych. I znów widziała go tylko przelotnie, z tyłu, tocząc wózek ze zwróconymi książkami do sekcji dziecięcej.

Godzina to wcale nie tak długo jak na bibliotekę, sporo ludzi spędza w niej znacznie więcej czasu, ale oni należą do zdefiniowanych kategorii. Na początku swojej kariery bibliotekarki Carol zmuszona była wysłuchać nużąco długiego wykładu panny Williams (w tej chwili u dentysty, dzięki Bogu). Jej światopogląd charakteryzował się wysokim poziomem nieufności. Nie ufała właściwie nikomu, a już zwłaszcza tym, którzy używali biblioteki „nieodpowiednio”. Szli do toalety, nie poświęciwszy wystarczająco dużo czasu studiowaniu książek, chronili się w niej przed chłodem, a przede wszystkim należeli do kategorii, którą nazywała „ogładaczami”. Ogładacze krążyli pomiędzy regałami, od czasu do czasu zdejmowali z półki jakąś książkę, przerzucali kartki, ale oczy zajęte

mieli czymś innym: kobietą przy sąsiednim regale, zdejmującą książkę z półki nisko nad podłogą; pochyloną młodą matką, pomagającą dziecku i niezastanawiającą się, co też czyni to z dekoltem jej bluzki; a przede wszystkim, powtarzała z naciskiem, którymś z dzieci.

\* \* \*

Ten mężczyzna w niczym nie przypominał oglądacza. Carol nie zauważyła, by choć raz rzucił ukradkowe spojrzenie. Albo wyczuł, że ktoś go obserwuje, choć kiedy to się zdarzało, oglądacz na ogół zniknął z godną podziwu szybkością, albo też był najzwyczajszym w świecie facetem, który postanowił spędzić wśród książek niezwykle długi poranek powszedniego dnia. Może jest bezrobotny, może ma urlop, a może istnieje inny powód?

Dopiero teraz, przyglądając mu się uważnie, Carol zaczęła mieć wrażenie, że jednak kiedyś go widziała, ale nie w Renton. Po raz pierwszy od czasu, gdy dostała pracę, zaczęła żałować, że nie ma w pobliżu panny Williams. Jeśli nawet od razu by się nim nie zajęła, wystarczyłoby wskazać go palcem, wycofać się i z bezpiecznego miejsca obserwować wybuchy granatów. W założeniu na dyżurze powinny być zawsze dwie osoby, ale cięcia budżetowe i tak dalej, więc dzisiejszy problem był jej i tylko jej problemem.

Założywszy, że w ogóle można mówić o problemie, a

nie tylko o igraszkach wyobraźni. Carol zaczęła się niepokoić. Nie kochała tego uczucia. Wolałaby nie niepokoić się w pracy, w środowisku, w którym zaczęła czuć się bezpieczna i doceniona. Choć tak naprawdę wcale nie była tu sama. Przy oknie siedziały trzy matki, w dziale literatury faktu dwóch facetów, a trzeci przerzucał, raczej na próżno, strony lokalnej gazety z ogłoszeniami „Potrzebna pomoc”.

Carol wyszła z biurka. Postanowiła znaleźć mężczyznę i wdzięcznie zaoferować mu pomoc słowami, które już formowały się w jej myślach.

Ale mężczyzny nie było tam, gdzie widziała go po raz ostatni.

Odwróciła się zdezorientowana. Przed dwoma minutami widziała tył jego głowy i ramiona właśnie tu, w dziale „Sztuka, albumy”, a jednak zdążył zniknąć. Nie mógł wyjść z budynku, musiałby przejść obok niej dokładnie wtedy, gdy głowę miała zaprzątniętą wyłącznie nim. Przecież nie mogła aż tak się zamyślić! Już się tak nie zamyśla. No, zazwyczaj nie.

Wycofała się z działu sztuki i rozejrzała dookoła. Oprócz ludzi, których skatalogowała, nim zdecydowała się poszukać tego mężczyzny, nie widziała nikogo, tylko...

Tak, to on. Dział historii Ameryki. Widziała nogi pod jednym z niższych regałów, wyciągnięte w pozycji sugerującej, że ich właściciel siedzi przy stoliku. W tym momencie Carol zaczęła złościć się na siebie. Jakiś facet

ma tak mało do roboty, że celebrytuje wizytę w bibliotece, też mi wielka sprawa. Może i panna Williams ma obsesję na punkcie ludzi takich jak ci, ale ona nie. Nie ma mowy.

A już z pewnością się ich nie boi.

Przeszła szybko głównym przejściem do korytarza między regałami, prowadzącego do sekcji historii Ameryki. Udzieli facetowi pomocy, niech go cholera, udzieli mu pomocy, nawet gdyby wcale jej nie chciał.

Zobaczyła go siedzącego przy stole, przyglądającego się swoim wielkim pulchnym dłoniom, swobodnie złożonym na brzuchu. Nie czytał książki. Widząc to, Carol uświadomiła sobie, że mogła jednak popełnić błąd.

– W czym mogę panu pomóc?

Mężczyzna podniósł na nią wzrok. Miał bardzo jasne, bładoniebieskie oczy. Ubrany był swobodnie: dzinsy, biała koszula, czarna kurtka. Wszystko to wydawało się na niego za małe i w ogóle odnosiło się wrażenie, że ten strój nie jest w jego stylu.

– Przepraszam pana, czy mogę panu w czymś pomóc?

Za drugim razem jej głos zabrzmiał tak, jak powinien, był mocny, pewny i wystarczająco głośny, by dotrzeć do innych części biblioteki.

– Nie, Carol. Niczego od ciebie nie potrzebuję. W każdym razie nie tutaj.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej

małą kopertę, bladokremową, taką, do jakiej wkłada się kartki z życzeniami. Zobaczyła swoje imię i nazwisko, Carol Henderson, wypisane ozdobnym charakterem pisma, ale nie zdecydowała się jej wziąć.

– Kim jesteś, do diabła?

Mężczyzna wstał i odszedł, po drodze kładąc kopertę na biurku. Przeszedł obok chwilowo pustego biurka dyżurnej bibliotekarki, przy którym czekała matka ze stosem książek, wyszedł na ulicę, skręcił w lewo i znikł.

– Proszę pani... – Matka dostrzegła zbliżającą się Carol. Carol zawahała się, schowała kopertę do kieszeni i zabrała się do książek. Otworzyła ją dopiero po odejściu młodej kobiety. W środku znalazła arkusik błyszczącego papieru rozmiaru mniej więcej piętnaście na dziesięć centymetrów. Dopiero gdy go odwróciła, zorientowała się, że to fotografia. Fotografia przedszkola w Renton, zrobiona z przeciwnej strony ulicy, ukazująca wchodzącego do budynku Tylera.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później już była na miejscu. Wcześniej od razu zadzwoniła do panny Hackett, od której dowiedziała się, że z jej synem wszystko jest w porządku, a jednak gdy zobaczyła go samotnego w kącie, pracownice kolorującego obrazek, przez chwilę uważała to za optyczną iluzję, tak była pewna, że Tyler znikł.

Panna Hackett natychmiast do niej podeszła.



– Wszystko w porządku? – spytała.

Carol nie wyjaśniła jej, dlaczego dzwoni, i nie tłumaczyła, dlaczego przybiegła do przedszkola i ciągle jest czerwona z wysiłku.

– Tak – powiedziała teraz. – Tak... wszystko w porządku.

– Więc dlaczego sprawdzałaś, czy Tyler jest z nami? Przez telefon?

Panna Hackett miała czternaście lat, a przynajmniej Carol tak się wydawało. Mówiła z pewnością siebie osoby, której cały świat mieści się między idealnie równoległymi liniami szkolnego zeszytu. Kogoś, przeciw komu nie obrócił się jeszcze wszechświat, atakujący niczym wiemy psiak chory na wściekliznę, gryzący do krwi, do kości.

– Mój były mąż przyjeżdża z wizytą – skłamała Carol. Niespodziewaną wizytą. Chciałam sprawdzić, czy Rona już go przypadkiem nie odebrała... znasz Rone, prawda?

Panna Hackett skinęła głową. Oczywiście, że ją znała. Zdjęcia wszystkich upoważnionych do odebrania dziecka rodziców i przede wszystkim nierodziców wisiały w schludnych rzędach na ścianie pokoju dla personelu. Carol powinna o tym wiedzieć.

Niezrażona tym Carol parła przed siebie.

– Dziś po południu to ona zabiera go na spotkanie z innymi dziećmi, a ja nie bardzo wiem dokąd.

Udzielała za wielu informacji naraz i doskonale o

tym wiedziała. Panna Hackett spojrzała na ścienny zegar wskazujący bardzo wyraźnie, że minie jeszcze trochę czasu, nim grupa Tylera zostanie zwolniona i wróci do groźnego świata. Musiała także myśleć, co do tego nie było wątpliwości, że każda kompetentna matka doskonale wie, gdzie jej dziecko ma się bawić z innymi dziećmi, i zgłasza koordynaty GPS właściwemu komisariatowi policji.

– Nawet cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała, odwracając się i wysuwając jedną z szuflad. – Chciałam cię o coś zapytać.

Carol wcale nie chciała, by ktoś ją o coś pytał. Chciała tylko wziąć Tylera na ręce i wyjść. Ale to nie wyglądałoby najlepiej.

– Pytaj, oczywiście.

Panna Hackett podała jej plik dziecięcych rysunków.

– Czy to ty go tego nauczyłaś?

Carol przerzuciła szybko pięć, sześć rysunków. Nie wiedziała, o co właściwie chodzi i o co pyta stojąca przed nią nastolatka. O to, czy matka nauczyła go mazać kolorowymi kredkami po kawałku papieru? Przecież robią to wszystkie dzieci poniżej piątego roku życia.

Więcej uwagi poświęciła ostatniej kartce, na której i tak nie zobaczyła niczego szczególnego, może oprócz niezręcznie naszkicowanego kilkoma kreskami, patykowatego czegoś przypominającego psa, przeciętego czerwonymi kreskami.

– Nie... nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– No to popatrz – powiedziała panna Hackett, nie kryjąc zapału, energicznymi gestami przekładając rysunki. – Mówię o tym, że ten wzór się powtarza...

– Niestety, akurat teraz nie mam czasu. – Carol pomachała na Tylera, który podskoczył i natychmiast do niej podbiegł. Oddała rysunki wychowawczyni. – Może jutro?

– Oczywiście... chociaż Tyler nie przychodzi do nas w piątki, prawda? Mogę sprawdzić, ale...

– Oczywiście. Ależ jestem głupia... więc w poniedziałek?

Carol obdarzyła pannę Hackett lodowatym uśmiechem, rzucając jej wyzwanie: niech powie to, co oczywiście myśli. Że matka Tylera nie nadaje się na matkę. Że oszalała.

Ale panna Hackett niczego takiego nie powiedziała. Carol wzięła synka za rękę i wyprowadziła go z sali.

\* \* \*

– Nic mi nie jest, skarbie – powiedziała. Tyler zadał jej to pytanie nie po raz pierwszy, za to po raz ostatni miał otrzymać na nie grzeczną odpowiedź. – Tylko pomyślałam, że miło będzie pobawić się razem w domu. Jak myślisz?

Przechodząc przez plac zabaw, zwolniła kroku. Dokładnie przyjrzała się ludziom po przeciwnej stronie ulicy. Nie było wśród nich mężczyzny z biblioteki, ale

przecież nie mogła mieć pewności, że to on zrobił zdjęcie.

Weszli na chodnik i wtedy stanęła, rozglądając się. Wszyscy wyglądali normalnie. Wszyscy oprócz niej.

Odwróciła się. Panna Hackett stała w oknie sali z rękami skrzyżowanymi na piersi. Carol ani drgnęła. Odpowiedziała jej spojrzeniem.

– Nie przyglądaj mi się w ten sposób – powiedziała bardzo cicho.

Panna Hackett patrzyła na nią chwilę dłużej, po czym odwróciła się i znikła w mroku, za zasłoną chmur odbitych od szyby przedszkolnego okna.

\* \* \*

Bawili się przez całą drogę do domu, licząc kroki w grupach po osiem. Zaraz po wejściu do salonu Carol zauważyła światełko błyskające na automatycznej sekretarce. Skasowała wiadomość, nawet jej nie słuchając. Nikt nie słucha, kiedy nikt nie dzwoni, a gdy ludzie pchają ci się w życie i wręczają ci zdjęcia będące w istocie pogroźkami, ich też nikt nie słucha.

Spełniła prośbę o pół godziny oglądania DVD, chciała pomyśleć i potrzebowała na to trochę czasu. Tyler zasiadł na podłodze, by obejrzeć swój ulubiony fragment *Iniemamocnych* (po raz mniej więcej pięćdziesięciomilionowy), a ona wyglądała na ulicę, rozważając możliwości.

Pierwsza: wyjechać.

Druga: zostać.

Podjęcie decyzji nie zabrało jej dużo czasu. Zmęczyło ją uciekanie. Nigdzie się nie wybiera.

\* \* \*

Nieco później uświadomiła sobie, że ciągle stoi przy oknie, a Tyler pytają, czy może znów obejrzeć DVD. Co oznaczało, że tkwiła tak nieruchomo ile? Dwadzieścia pięć minut? Więcej? Próbowwała przypomnieć sobie, o czym myślała. Nie potrafiła.

Cofnęła DVD do tego fragmentu, kiedy rodzina Iniemamocnych stawiała się superbohaterami (jej syn był śmiertelnie znudzony innymi, których udawali, bo byli normalni i jeszcze nie nauczyli się, co w życiu najistotniejsze), po czym poszła do łazienki przemyć twarz. Poczula się lepiej. Przeszła do kuchni, by zaparzyć uspokajającą ziołową herbatę, którą miała zwyczaj kupować w sklepie ze zdrową żywnością, dosłownie kilka kroków od biblioteki. Smakowała dziwnie, ale przystojna, energiczna dama prowadząca sklep przysięgała, że może pomóc, więc pijała ją kilka razy dziennie. Wsypując herbatę na sitko, zauważyła, że niewiele już zostało. Odwróciła się do ściany i wiszącej na niej małej tablicy, żeby dołączyć herbatę do listy weekendowych zakupów.

Udało jej się przyłożyć dłoń do ust, nim zdążyła krzyknąć.

Ktoś napisał coś na jej tablicy wielkimi literami,

pewną ręką, podkreślając trzy słowa:

**WRACAJ DO DOMU**

## CZEŚĆ II

*Wiara zaś jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy.*

List do Hebrajczyków 11, 1

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Późnym rankiem byłem w naprawdę paskudnym humorze. Kilka rozmów telefonicznych przesądziło o tym, że do samolotu wsiądę dopiero jutro rano. Kolejna próba rozmowy z Carol przez komórkę zakończyła się niepowodzeniem, co skłoniło mnie do zostawienia na automatycznej sekretarce telefonu stacjonarnego wiadomości, której już żałowałem. Mógłbym pojechać do Yakimy i być na lotnisku jutro, odpowiednio wcześniej, mógłbym znów zmienić plany i polecieć z Seattle albo prowadzić mniej więcej siedem godzin do Marion Beach, ale nie potrafiłem wyobrazić sobie, po co miałbym to wszystko robić.

Więc jeździłem pustymi leśnymi drogami, aż w końcu uświadomiłem sobie, że dokądś jednak zdążam. Kiedy wróciłem do Black Ridge, przejechałem przez miasto do jego wschodniej części i zaparkowałem przed posterunkiem policji stojącym przy ruchliwej drodze przecinającej je w tym miejscu i prowadzącej do Yakimy. W środku zobaczyłem tegoż mężczyznę około czterdziestki, siedzącego za biurkiem i bawiącego się długopisem. Jego odznaka mówiła, że jest zastępcą szeryfa o nazwisku Greene.

– Złapałem może zastępcę Corlissa?

Pokręcił głową, nawet na mnie nie patrząc.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał.



– Chcę z nim porozmawiać.

– O czym?

– O tym, że powinien trzymać gębę na kłódkę.

Zastępca przestał się bawić długopisem. Nagle zdałem sobie sprawę, że oddycham ciężiej, niż powinienem, i mocno zaciskam ukryte w kieszeni kurtki dłonie.

– W czym mogę panu pomóc?

To był nowy głos. Odwróciłem się i zobaczyłem starszego mężczyznę, który właśnie wyszedł z biura na zaplecze. Był wysoki, szeroki w ramionach, siwiejące włosy miał krótko ostrzyżone. Wiedziałem, kim jest.

– Poznajesz mnie? – spytałem.

Przez chwilę przyglądał mi się spokojnie, a potem powiedział: „Tak”.

– I nie przeszkadza ci, że twoi ludzie plotkują o martwych dzieciach?

Szeryf powoli uniósł brwi. Zastępca Greene przyglądał się nam z miną faceta wyczuwającego, że zwykły, przeciętny dzień może nagle stać się całkiem interesujący.

– Zamierzałem właśnie napić się kawy – powiedział szeryf – Chodź. Pogadamy.

\* \* \*

Usiedliśmy w barze nieco dalej przy tej samej ulicy. Szliśmy tam kilka minut, podczas których udało mi się

nawet rozluźnić zaciśnięte dłonie. Wiedziałem, że reaguję przesadnie, że odreagowuję frustrację w jedyny dostępny mi sposób. Szeryf Pierce spokojnie wysłuchał, co miałem mu do powiedzenia, a ja w trakcie opowieści zorientowałem się, że nie jest tego dużo. Mimo to chyba zrobiłem mu przykrość.

– Phil Corliss to dobry człowiek – powiedział. – Jestem pewny, że nie miał nic złego na myśli, prawdopodobnie założył, że ta kobieta, kimkolwiek jest, nie będzie gadała o ich rozmowie. Może mówimy o jego siostrze? Straszna gaduła, ale są ze sobą zżyci, więc nie zdaje sobie z tego sprawy. Pogadam z nim.

– Będę bardzo wdzięczny. Twój zastępca zachowywał się bardzo przyzwoicie. Nie życzę mu źle. Tobie wydaje się to pewnie głupie, przecież już nawet tu nie mieszkam. Ale...

– Wcale nie wydaje mi się głupie. – Szeryf pokręcił głową energicznie. – Interesy porządnych, przestrzegających prawa ludzi to ich sprawa i niczyja inna. Nawet nie moja, dzięki Bogu. Gdzie teraz mieszkasz?

– W Oregonie. A moja żona w Renton.

– Separacja?

– Rozwód.

Skinął głową.

– Zdarzyła wam się straszna rzecz. Wcale się nie dziwię, że do tego doszło.

Nagle, na chwilę, ogarnął mnie wielki smutek.

Kochaliśmy się, ja i Carol. Nie powinniśmy okazać się lepsi, niż się okazaliśmy? Czy przynajmniej ja nie powinienem okazać się lepszy? Czy była jakaś inna droga pozwalająca ominąć katastrofę ostatnich trzech lat? Ta myśl jakoś odebrała mi energię, pożałowałem, że nie mogę tak po prostu wstać i wyjść, nim ktoś znowu coś powie.

Szeryf tymczasem uznał za stosowne ruszyć z miejsca naszą rozmowę.

– Zdecydowałeś się wrócić dopiero teraz?

– Tak.

– Odwiedzasz przyjaciół? – Spojrzałem na niego, a on się uśmiechnął. – Przepraszam, to taki zwyczaj.

Coś mi to przypomniało. Otóż w pierwszych godzinach po śmierci Scotta Pierce był dla nas kimś w rodzaju zastępczego ojca, jedyne, jakiego wówczas mieliśmy. Spokojny, odpowiedzialny, ktoś taki stawał na drodze wiodącej nieuchronnie wprost w otchłań, którą tego rodzaju wydarzenie otwiera pod stopami. Ta myśl z kolei przypomniała mi prawdziwego ojca, którego od tamtej chwili nie widziałem. Trzy lata. Prawie jedna dwunasta mojego życia. Jak można uznać to za normalne?

– Nie – powiedziałem, zawahałem się i pomyślałem: A co, do diabła. – Ktoś się ze mną skontaktował. Kobieta. To ona podsłuchiwała rozmowę, o której mówiliśmy. Sugerowała, że może wiedzieć coś o tym, jak zginął mój syn.

Pierce spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi.

- I co, wiedziała?
  - Nie. Straciła bliskiego człowieka, i to chyba wytrąciło ją z równowagi. Znasz Robertsonów?
  - Oczywiście. Dorastałem w tym mieście.
  - Mówię o drugiej żonie Gerry’ego, Ellen. Szeryf skinął głową.
  - Owszem, wiem o niej.
  - W śmierci jej męża było może coś dziwnego?
  - Nie. Biegał i pompa siadła. I dlatego staram się zawsze chodzić powoli. Nie widzę powodu, by wyciągać pomocną dłoń do śmierci.
  - Bardzo mądrze. I co, to wszystko?
  - Bywa i tak. Dowiedziałeś się w końcu, co się zdarzyło twojemu chłopcu?
  - Nie – przyznałem. – I nie sądzę, żebym kiedykolwiek się dowiedział.
  - Całkiem możliwe, że nie ma się czego dowiadywać. Tak też bywa. Zdarza się, to wszystko, co można powiedzieć. Policjanci szybko się tego uczą.
- Uścisnąłem mu dłoń i odszedłem ulicą. Mógł dopić w spokoju kawę.
- Zabiłem kilka godzin, spacerując po mieście. Nie miałem takiego zamiaru. Prawdę mówiąc, zabłądziłem. Nieczęsto mi się to zdarza, mam dobre poczucie kierunku, a Black Ridge nie jest znowu takie wielkie. W odróżnieniu od niemal wszystkich osiedli swoich czasów było jednak dziełem kogoś, kto nie wierzył we władzę absolutną kąta prostego. Czułem zmęczenie, jakby z

każdym krokiem energia wyciekała ze mnie wprost w ziemię. Całe miasto odczuwało podobnie i zapewne nie bez powodu. Światło lamp drżało, a kiedy mijalem wyglądający dość obskurnie barek przy bocznej ulicy, światła w środku zgasły nagle jak zdmuchnięte, by po chwili znów się zapalić. Przez okno widziałem samotnego klienta i wymieniające spojrzenia kelnerki. Nie sposób było powiedzieć, co wyrażały, jeśli takie rzeczy zdarzały się tu często.

Nim wróciłem do motelu, zrobiło się ciemno. Usiadłem na łóżku i zacząłem skakać po kanałach telewizyjnych, które najwyraźniej wymyślono nie dla takich jak ja. Nie potrafiłem przekonać samego siebie, że jestem głodny. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że ściskam w ręku telefon i zastanawiam się, czy zadzwonić do ojca, i myślę o tym, co dobrego mogłaby taka rozmowa przynieść.

Ojców często portretuje się jako obojętnych, wpatrzonych w dal, zawsze dalekich i niedostępnych. Dopiero kiedy urodziło mi się dziecko, zrozumiałem, że to dlatego, iż ojcowie mają prawo być zmęczeni, znudzeni, że mogą grzęznąć w życiu, którego tak do końca nie pojmują. Nasza kultura przesycona jest rodzicielskim porno, przekonaniem, że dzieci to fontanny nieustannej radości, że nasza miłość do nich nie powinna znać granic ni kordonów, z całkowitym pominięciem tego prostego faktu, że od czasu do czasu ma się ochotę walić w ścianę głową, swoją albo ich. To właśnie

powstrzymywanie tej ochoty sprawia, że więź międzypokoleniowa jest tak silna, co nie oznacza braku ochoty walenia. Wręcz przeciwnie.

Choć o tym wiedziałem, rozmowa z ojcem wydawała mi się trudna. Nie zawsze tak było. Kiedy byłem dzieckiem, w niedzielne ranki chodziliśmy na spacer. Spotykaliśmy się w kuchni punktualnie o dziesiątej. To była nasza chwila jak z Normana Rockwella. Dziś podejrzewam, że ten rytuał stanowił wynegocjowane ustępstwo wobec matki, wymagającej chwili „cholernego” spokoju, ale niezależnie od prawdziwych a nieprzyjemnych przejawów dorosłości to były nasze wspólne chwile. Ojciec wybierał różne ulice i różne miejsca, w których przez nie przechodziliśmy, przez co zawsze obecny był element zaskoczenia. Tylko ostatni przystanek zawsze był ten sam: drogeria, gdzie ojciec zamawiał kawę. Pan Franks pytał, jaką sobie życzy, na co odpowiadał zawsze, że ma być „gorąca i mokra”. Żaden z nich nie uśmiechał się przy tej wymianie zdań. Długo trwało, nim zrozumiałem, że to taki ich dorosły żart, a nie dowód, że obaj mają nie po kolei w głowie.

Przedtem był jeszcze przedostatni przystanek, salon Forda Waltera Azary. Ojciec znał właściciela na tyle, by witać się z nim skinieniem głowy, ale kiedy zatrzymaliśmy się przed parkingiem, nie próbował zacząć rozmowy. Jeśli nie mijaliśmy go wcześniej i ojciec nie wiedział, czy jest na terenie, czy go nie ma, czas spędzony na oglądaniu samochodów wydawał się

naładowany elektrycznością, jakbyśmy robili coś nie do końca legalnego. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć dlaczego. Czy nie stawiano ich na parkingu od frontu właśnie po to, by ludzie mogli je podziwiać?

We wczesnych latach siedemdziesiątych naprawdę wspaniałymi fordami były mustangi, które tata oglądał, nie spiesząc się, poświęcając czas i uwagę wszelkim szczegółom oprócz nalepki na przedniej szybie, tej z ceną. Mnie przyciągało kilka wystawianych przez Walta starszych wozów, wśród nich de luxe z 1956 roku w kolorze kanarkowożółtym i crown victoria z tego samego okresu, kremowo-brązowy. W tamtych czasach ciągle jeszcze widywało się na drogach te dostojne giganty, sypiące rdzą, poruszające się niepewnie, jakby peszył je nowy, prostszy, zmały nagle świat linii prostych. Ale wozy Azary były w doskonałym stanie, co zawdzięczały czarodziejskiemu darowi głównego mechanika Jima.

Oglądałem je tydzień po tygodniu, przesuwałem dłońmi po sterczących płetwach i gładkich płaszczyznach, błyszczących i niemal parzących w letnim upale, chłodnych i eleganckich przez resztę roku. Próbowałem wypełnić próżnię między chwilą, kiedy wszystkie samochody wyglądają właśnie tak, i tą, gdy pozostają tylko ich ocalałe, snujące się po drogach resztki, ale nie leżało to w moich możliwościach. Nie rozumiałem jeszcze, czym jest czas i jak to możliwe, że przychodzi moment, gdy coś lśniącego nowością – samochód, praca, żona – staje się tylko jeszcze jednym elementem stanu

posiadania, potem usuwa ci się sprzed oczu, już o tym nie myślisz, aż wreszcie staje się czymś, co tylko bez przerwy psuje się i zmienia ci życie w piekło. Ale człowiek się uczy, uczy się nawet tego.

Chodziliśmy na te niedzielne spacerunki przez dobrych kilka lat. Nie pamiętam pierwszego, więc nie mogę powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Ale wiem, kiedy skończyło. Miałem dwanaście lat. W domu już od jakiegoś czasu wyczuwało się dziwną atmosferę. Nie wiedziałem, co oznaczała, tata wydawał się jakiś nieobecny. Nadal spacerowaliśmy jak zwykle, ale kiedyś zapomniał powiedzieć „gorąca i mokra” i pan Franks musiał po prostu nalać mu kawy. Pamiętam plusk, z jakim wpadała do filiżanki, widziałem, jak spojrzał na tatę. W następnym tygodniu okazało się, że ojciec pamięta swoją kwestię, więc więcej o tym nie myślałem. Tak to jest z dziećmiakami.

Potem pewnej niedzieli szliśmy do Azary i coś się zmieniło. Był chłodny jesienny ranek, parking wydawał się pusty, pamiętam, że czułem ulgę, bo już wtedy odbierałem napięcie pojawiające się w zachowaniu ojca, gdy ktoś znajdował się w pobliżu. Zeszliśmy z chodnika, ja oczywiście ruszyłem prosto do dinozaurów, ale nim jeszcze wszedłem na chodnik, poczułem, że coś jest nie tak. Odwróciłem się. Tata stał na środku ulicy. Nie patrzył na parking, nie patrzył na mnie, ale gdzieś w pustkę.

– Tato? – Ojciec milczał. – Idziesz?

Pokręcił głową. Najpierw pomyślałem, że żartuje, ale



zaraz poznałem, że nie, po tym jak stoi, już na pół odwrócony do ulicy.

– Ale dlaczego? – Nie pojmowałem, dlaczego nie idziemy na parking. Przecież zawsze tam chodziliśmy.

– Nie mam ochoty oglądać cudzych samochodów.

Poszedł do drogerii. Po chwili ruszyłem za nim. Zamówił kawę, zażartował sobie z panem Franksem i roześmiał się bardzo głośno.

Następnej niedzieli o dziesiątej poszedłem do kuchni, ale go tam nie zastałem. Wyjrzałem przez okno. Zamiatał liście na podwórku. Czekałem kilka minut, ale wyglądało na to, że zajmie mu to trochę czasu, więc wróciłem do pokoju i czytałem książkę.

W ciągu kilku następnych lat od czasu do czasu chodziliśmy na spacer, czasami nawet tą samą drogą, ale to już nie było to samo. Kiedy jesteś dzieckiem, tyle rzeczy się zmienia, przez cały czas, więc trudno powiedzieć, co jest ważne, a co nie. Minęło dziesięć lat, nim zacząłem żałować tego zwyczaju i zastanawiać się, dlaczego nie kontynuowaliśmy przechadzek.

Mając dwadzieścia parę lat, jesteś taki cholemię pewny, że wszystko wiesz, a poza tym chętnie wykonujesz wielkie gesty.

Pewnego dnia wróciłem do domu na weekend i próbowałem namówić ojca na spacer. Najpierw wyglądało na to, że nie pamięta, o czym mówię, ale w końcu jakoś wyciągnąłem go z domu.

Dwóm dorosłym droga zajęła całe dziesięć minut.

Tam, gdzie był niegdyś salon Forda Waltera Azary, znajdowała się teraz hurtownia przecenionych dywanów. W drogerii, czyli Starbucks, uśmiechnąłem się szeroko i poprosiłem o kawę, gorącą i moką. Obsługujący nas kawiarz i mój tata spojrzeli na mnie, jakbym miał nie po kolei w głowie.

W końcu jednak do niego zadzwoniłem. Rozmawialiśmy dziesięć minut i jak na takie rozmowy było całkiem nieźle.

Potem poszedłem do hamburgerowni przy Kelly Street, kupiłem hamburgera i wróciłem z nim do pokoju. Oglądałem telewizję, dopóki nie zasnąłem.

Co byśmy robili bez telewizji? Przypuszczam, że po prostu żyli. A czasami nie ma się na to nastroju.

\* \* \*

Drgnąłem i obudziłem się, jakby ktoś uderzył mnie w twarz. Nie od razu zorientowałem się, że dzwoni telefon. Zadzwonił znowu, ostro, nieprzyjemnie. Zlokalizowałem go, stał przy łóżku. Usiadłem, namacałem słuchawkę. W pokoju było ciemno, świecił tylko ekran telewizora i czerwone cyferki na budziku przy łóżku. Poinformowały mnie, że jest pierwsza piętnaście. Padało, krople deszczu głośno uderzały o dach. Wiał silny wiatr.

- Tak – wychrypiałem w słuchawkę. – Kto mówi?
- Popelniasz błąd – powiedział kobiecy głos.
- Ellen? – spytałem, choć już wiedziałem, że to nie

ona.

Ten głos był głębszy, ochrypły od papierosów, rozkazujący.

– Złe rzeczy już się zdarzyły – dodał. – Jeśli wplądziesz się w to, co cię nie dotyczy, będzie gorzej.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Nie znasz mnie. – Śmiech kobiety był głęboki i gardłowy. Rozłączyła się.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W biurze motelu nie było śladu życia, ale i tak waliłem w drzwi, przyciskając się do nich i szukając osłony przed deszczem. Po paru minutach gdzieś z tyłu zapaliło się światło. Zobaczyłem Marie owijającą się szlafrokiem. Otworzyła wewnętrzne drzwi i przyjrzała mi się przez zamknięte zewnętrzne, siatkowe.

– O co chodzi? – mówiła niewyraźnie, odurzona snem. Włosy z tyłu głowy sterczały jej nieporządnie. – Chyba jest późno?

– Ktoś dzwonił do mnie, do pokoju – powiedziałem. – Jest jakiś sposób, żeby znaleźć jego numer przez waszą centralkę?

– Skąd – odparła, sprawiając wrażenie zagubionej. – To linie bezpośrednie od czasu – ziewnęła szeroko – gdy można wynająć pokoje na kilka miesięcy.

– A jak ktoś mógłby znaleźć interesujący go numer?

– To wcale nie jest takie trudne. – Wyglądała na lekko nieprzytomną jak ktoś, kto wspomaga falę senności pigułką lub dużą szklanką czegoś naprawdę mocnego. – Jest zapisany w pokoju. Nie wiesz, kto do ciebie dzwonił?

– Przykro mi, że cię niepokoiłem.

Zamrugła nieprzytomnie, odwróciła się i niepewnie popęzła w mrok. Ja wróciłem do pokoju, no i oczywiście znalazłem swój numer telefonu dopisany ręcznie u dołu oprawionej listy rzeczy, których nie wolno. Powinno to

ułatwić poszukiwania, ale kiedy dotarłem do telefonistki, dowiedziałem się, że zadzwoniono do mnie z numeru zastrzeżonego.

Podczas rozmowy praktycznie jeszcze spałem, nie potrafiłem przypomnieć sobie słów, ale doskonale pamiętałem, co zostało powiedziane. Uderzyło mnie też, że ktokolwiek dzwonił, był pewny, że mnie zastanie. Od chwili przyjazdu do Black River nie powiedziałem nikomu, gdzie się zatrzymałem, nawet Ellen. Poza tym, choć było późno, to przecież wcale nie aż tak późno. Nie musiałem już być w pokoju. Albo dzwoniący założył, że mnie złapie, albo...

Wyszedłem z motelu. Wiatr przybrał na sile, był bardzo zimny. Plastikowa torba przeleciała po parkingu zygzakiem, na moment przylepiła się do lampy, a potem wzleciała wyżej i znikła w koronach drzew. Miałem nieodparte uczucie, że jestem jedyną żywą istotą w promieniu wielu kilometrów, jestem sam, jestem za granicą miasteczka, najcieńszej warstwy cywilizacji nałożonej na sterczące jak okiem sięgnąć ostre głązy. W pobliżu parkowały jeszcze trzy samochody, ale nie wyczuwałem obecności ich właścicieli. W środku nocy człowiek ma wrażenie, że ukradkiem zagląda za kulisy, nawet jeśli nie obudził go zniecacka co najmniej dziwny telefon. Świat wydawał się zbyt nieruchomy, a ludzkie twory wybijały się nienaturalnie z tła.

Nagle, po drugiej stronie ulicy, zauważyłem coś, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nieco jaśniejsza

plama na tle linii drzew lub tuż za ich pierwszym szeregiem. Znieruchomiałem, wyteńczyłem wzrok, aż w oczach mi zaiskrzyło, ale nie dostrzegłem nic więcej. Może była to plastikowa torba zwiana na odmianę ku ziemi?

Przeszedłem przez ulicę, czując, jak napina mi się skóra na karku. Brnąłem w błocie krok za krokiem, wszedłem między krzaki, czując, jak ich chłodne gałęzie czepiają się moich dżinsów. Nadepnałem na jedną z nich. Trzasnęła przeraźliwie głośno w otaczającej mnie ciszy.

Wszedłem między drzewa. Zamarłem.

Powietrze przesycił wilgotny, bogaty zapach jakby wody, w której zbyt długo stały kwiaty. A potem dostrzegłem... coś. Nie wiedziałem co, ale z całą pewnością między drzewami poruszało się coś, może cień. Niewystarczająco wysokie, by być człowiekiem, a przynajmniej człowiekiem wyprostowanym. Mózg zareagował, wywieszając flagę ostrzegawczą; „uwaga, niebezpieczne zwierzę”, ale nie sądziłem, bym to je zobaczył. Po chwili ujrzałem to samo albo coś innego, bledszego niż poprzednio, jakby promienie księżyca odbiły się w ruchomej mgle. I może to było najbliższe prawdy?

– Jest tam kto?

Nie miałem zamiaru przemówić, a mój głos nie zabrzmiał tak, jak powinien. Odbił się słabym echem od drzew i ciszy, wsiąkł w ziemię. Sekundę później usłyszałem cichy okrzyk, może płacz. Mógł dobiegać zza

moich pleców, z miasta, ale nie sądziłem, by tak było. Z głębi lasu, zgoda.

Stałem nieruchomo przez kolejnych parę minut, ale nie zobaczyłem i nie usłyszałem nic. Powoli wycofałem się z lasu. Już na drodze znów zobaczyłem torbę. Więc jednak spadła na ziemię, chociaż z całą pewnością nie tam, gdzie coś widziałem.

Wróciłem do motelu, zamknąłem drzwi i padłem na łóżko. Leżałem na wznak przez czas, który wydawał mi się bardzo długi, spięty, czekając na sygnał telefonu. Nie doczekałem się. Słyszałem tylko deszcz i wiatr, i gałęzie znów ocierające się o dachówki tuż nad moim pokojem. Ale kiedy wczesnym rankiem wyjeżdżałem z parkingu, odezwała się moja komórka.

Spojrzałem na wyświetlacz i zjechałem do krawężnika, by odebrać.

– Powiedz mi, że dzisiaj wracasz – powiedziała Becki, nie czekając, aż się odezwę.

– Nie sądzę.

– John, byłoby naprawdę bardzo dobrze, gdybyś wrócił.

– Nie mów mi, że macie aż taki tłok. Eduardo może piec pizze, a jeśli nie on, to każdy z nich...

– Pizze to nie problem. – Jej głos brzmiał bardzo ponuro. – Problemem jest mój pieprzony chłopak.

– Co znowu wymyślił?

– Wszystko spieprzył. Tylko tak można to ująć. Wszystko spieprzył.

Miałem wrażenie, że Becki jest bliska hysterii, co było tak niewyobrażalne, że zacząłem uważnie słuchać.

– Myślałem, że wszystko jest już załatwione.

– Ja też. Ale on... on podszedł do tego naprawdę głupio.

– Podszedł do czego?

– Znalazł podwykonawców. Dał trochę towaru pewnym ludziom, którzy mieli upłynnić go szybciej.

– Na litość boską! Uprzedził cię, co ma zamiar zrobić?

– Tak. Powiedziałam mu, że moim zdaniem do skrajna głupota, ale i tak zrobił, jak chciał. Bo on sam... on sam zużył odrobinę za dużo produktu na własne potrzeby. Nie myśli już normalnie i naprawdę trudno do niego dotrzeć.

– Ci faceci go okradli?

– Nie. To nasi przyjaciele, prawdziwi przyjaciele, nie dupki jak Rick i Doug. Ale próbowali sprzedać parę sztuk przed barem dla gejów w Portlandzie, trafili na wydział przestępstw ulicznych, czyli gliny, i te gliny skopały im dupy. Poza tym stracili towar.

– Ile?

– Za jakieś cztery tysiące. A faceci, którzy pożyczili mu pieniądze, zaczynają... są... źle się dzieje, John. Naprawdę miałam nadzieję, że jednak dziś się pojawisz. Zaczynam się bać. Pogadałabym z tatą, ale on zawsze był tak bardzo przeciwko... przeciwko narkotekom. I przeciwko Kyle'owi. Moim zdaniem na dziewięćdziesiąt



dziewięć procent to on wezwał policję i wydał Kyle'a.

– A ci od narkotyków zaczęli go naciskać, tak?

– Zaczęli, i to mocno. Zadzwonili wczoraj wieczorem, a on za bardzo się boi, żeby im powiedzieć, że stracił towar, więc poprosił o kilka dodatkowych dni, żeby wyprostować sprawy, i zaraz spanikował. On... on stracił kontrolę nad sytuacją, John. Dziś o trzeciej nad ranem musiałam mu tłumaczyć, że nie może zaskarżyć wydziału przestępstw ulicznych za to, iż ukradł mu jego narkotyki. Przysięgam na Boga!

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Dla niej było już za późno, nie mogła rzucić Kyle'a, odwrócić się i odejść. Było już za późno, by tłumaczyć jej to, co oczywiste: że dostawcy mają układ z policją w Portlandzie, a ich przyjaciele zostali wyrolowani, bo nie byli częścią tego układu. I za późno, by tłumaczyć Kyle'owi, że jego dostawcy pilnują go od pierwszego dnia. I czekają. Nie dajesz kupy narkotyków byle dupkowi w nadziei, że go dla ciebie sprzeda, nie mając planu B, a ich plan B mógł od samego początku być planem A.

Nagle uświadomiłem sobie, że Becki milczy złowieszczo, i moje serce zrobiło się nieco cięższe.

– Co jeszcze? – spytałem.

– Kyle zawsze mi mówił, że oni nie wiedzą, gdzie mieszkamy, ale sąsiad powiedział mi, że paru czarnych obserwowało nasz dom. Dwukrotnie. Więc... więc jednak wiedzą.

– Jesteś pewna, że to byli oni?

- A kto? Co ja mam robić, John?
- Podaj mi numer swojego konta bankowego.
- Co?
- Zrób to teraz. Porozmawiamy później.
- Nie rozumiem.
- Po prostu zrób, co mówię.

Zaniknąłem telefon i wyjechałem na drogę. Prawdopodobnie powinienem pozbyć się jej nieco taktowniej, ale chciałem sprawdzić, czy w jednej sprawie mam rację.

Istniała tylko jedna osoba (oprócz Becki, oczywiście), w której problemy, można powiedzieć, zostałem wplątany. Ellen. Wczoraj spotkałem się z nią, rozmawialiśmy prawie godzinę. Jeśli ktoś rzeczywiście śledził ją po drodze, czego wydawała się pewna, nasze spotkanie mogło skłonić dynastię Robertsonów do włączenia się w sprawę. Śledzącemu nietrudno by było pojechać za mną do motelu, w którym mieszkałem, i poznać numer telefonu mojego pokoju.

Cory miał siostrę.

Pomyślałem, że to pewnie Brooke Robertson nagrała pierwszą wiadomość na moją komórkę, a potem zadzwoniła w środku nocy.

Zamierzałem sprawdzić, czy mam rację, i wyjaśnić jej oraz każdemu, komu mogło należeć się wyjaśnienie – że groźenie mi nie jest najlepszym pomysłem na świecie.

Na drodze, pięć kilometrów przed skretem, trafiłem na korek. Na początku wydawał się niegroźny, ale po

niespełna kilometrze mogłem już tylko pełznąć przed siebie, a potem stanęliśmy na dobrych dziesięć minut. Wykorzystałem okazję, zadzwoniłem, ale po rozmowie zacząłem szybko tracić cierpliwość i rozważałem już, czy nie zawrócić, poszukać innej drogi, kiedy znów ruszyliśmy, bez żadnego oczywistego powodu. Nie zauważyłem błyskających za mną świateł, póki zbliżający się gliniarz na motocyklu sygnałem nie zepchnął mnie na bok.

Zjechałem na prawo, jak najdalej mogłem, czyli niedaleko, bo zaledwie centymetry dzieliły mnie od kamiennego murku. Nagle zorientowałem się, o co chodzi, a chwilę później zobaczyłem przyczynę zamieszania i o mało nie wpadłem na jadący przede mną samochód.

Na poboczu leżał zgnieciony wrak sportowego samochodu, z którego wycinano ciało Ellen Robertson.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zabrali ją do szpitala okręgowego Hope Memorial. Dobrze go znałem, siedziałem tam kiedyś w poczekalni, zdenerwowany do szaleństwa, kiedy Scottowi zakładano szwy tuż poniżej kolana. Zawdzięczał je sterczącemu z pomostu zbuntowanemu gwoździowi. Tamtego wieczoru pokonałem pomost na czworakach, z młotkiem w ręku, a kiedy skończyłem, miałem cholerną pewność, że już nigdy nie dojdzie do podobnego nieszczęścia. Pamiętam, jak siedziałem w poczekalni, przyciskając mu do nogi złożoną gazę, a mój przeraźliwie blady synek opisywał, jak spojrział na ranę natychmiast po tym, jak poczuł gwóźdź przebijający ciało, zobaczył, że jest „pusta”, a potem wypełniła ją krew z uszkodzonych tkanek i wreszcie wylała się na deski. Pamiętam, że uśmiechałem się, dodając mu odwagi, kiwałem głową pewny, że zaraz zwymiotuję. Nie reagowałem w taki sposób w znacznie, ale to znacznie groźniejszych sytuacjach z czasów, kiedy jeszcze nosiłem mundur.

Dowiedziałem się, dokąd wiozą Ellen, bo krzyknąłem przez okno do sanitariuszy. Miałem nadzieję, że ich odpowiedź jest dowodem na to, iż mimo krwi na twarzy i swetrze nie ma rozłupanej czaszki, złamanego kręgosłupa i zmiażdżonych wnętrzności, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Z drugiej strony też stał korek, więc objazd zajął mi trochę czasu: z powrotem przez

przedmieścia Cle Elum i boczną drogą przez północną część Black Ridge, całkiem niedaleko domu Billa Rainesa, co wywołało u mnie przelotne poczucie winy. W szpitalnej recepcji, kiedy tam w końcu dotarłem i przedstawiłem się jako „przyjaciel”, poinformowano mnie, że Ellen „łatają”. Użyli tego słowa, co nieco mnie pocieszyło. Czekałem na parkingu oparty o maskę mojego wynajętego wozu, kiedy zobaczyłem wielki samochód wjeżdżający od drugiej strony. Zaparkował po prawej, drzwi po obu stronach otworzyły się jednocześnie. Od strony pasażera wysiadł Cory Robertson, od strony kierowcy kobieta mniej więcej jego wzrostu i w podobnym wieku, ubrana w eleganckie czarne spodnium. Ruszyli oboje w stronę wejścia, dosłownie noga w nogę.

Uznałem, że powinienem jeszcze raz sprawdzić, co z Ellen.

\* \* \*

Kiedy wysiadłem z windy na drugim piętrze, przede wszystkim zobaczyłem Cory’ego próbującego dyskutować z apodyktyczną pielęgniarką. Prawdopodobnie dowiedział się tego, czego dowiedziałem się i ja: że goście nie są tu mile widziani i sytuacja nie zmieni się przed upływem mniej więcej godziny. Zatrzymałem się i przyglądałem temu obrazkowi, podziwiając stalową wolę broniącej wejścia kobiety. Jeśli naszemu krajowi kiedykolwiek zagrozi

inwazja, do obrony przed nią wystarczy obsadzić wybrzeże szpitalnymi recepcjonistkami. Nikt ich nie pokona. Cory odwrócił się wreszcie i odszedł. Doprowadzony do rozpaczy uznałem, że dobrze zrobię, jednym uderzeniem zabijając dwie muchy.

Wyszedłem na korytarz, dając im dużo czasu na obserwowanie, jak podchodzę. Kobieta nie zwróciła na mnie uwagi, Cory spojrział na mnie bez zainteresowania, a potem drugi raz, z zainteresowaniem.

– A co ty tu robisz?

– Odwiedzam przyjaciółkę. Ty?

– Myślałem... myślałem, że jesteś u nas przejazdem.

– Okoliczności się zmieniły.

Odwróciłem się do kobiety. Choć po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ją, kiedy wysiadała z samochodu, podobieństwo rodzinne wydało mi się uderzające. Jednak twarz Cory'ego już zaczynała obwisać, a twarz tej kobiety zachowała ostrość rysów, jej ciało zaś, szczupłe i sprężyste, utrzymywało formę dzięki godzinom spędzonym na własnym korcie i pływaniu we własnym basenie. Na szyi nosiła mały kluczyk na złotym łańcuszku.

– Cześć – powiedziałem, wyciągając do niej rękę. Jestem John Henderson. Ale to dla ciebie żadna tajemnica, oczywiście.

Nie przywitała się ze mną, nie uczyniła nawet najmniejszego ruchu, by ująć mą dłoń. Po prostu przyglądała mi się z czymś, co można określić słowami

„łagodne rozbawienie”.

Cory spojrział na mnie niepewnie.

– A mnie powiedziałeś, że nazywasz się Ted jakiś tam.

– Skłamałem.

– Więc kim, do diabła, jesteś?

– Nie wymieniacie informacji? Wydawało mi się, że twoja siostra doskonale wie, kim jestem, kiedy w środku nocy zadzwoniła do mojego pokoju w motelu.

Widziałem, że to go ruszyło.

– Wszedł pan do mojego domu, podając fałszywe nazwisko i fałszywy powód – powiedział głosem człowieka trzy razy starszego.

– Przyznają się do winy. A ty powiedziałeś, że trzeci dom na twojej posesji stoi pusty, chociaż „lokator” cały czas był na miejscu.

– A co cię to obchodzi?

– Bo ją pieprzy, oczywiście – powiedział ochryply głos.

Spojrzałem z niedowierzaniem na Brooke.

– Co?

Uśmiechnęła się do mnie, i to był naprawdę ciepły uśmiech.

– Cóż, to przecież ciągnie się od paru miesięcy, Cory. Jestem pewna, że nasza domowa wschodnia Europejka potrzebuje kogoś, kto znów zatkałby jej dziurkę.

Na to nie potrafiłem zareagować.

Brooke lekko przechyliła głowę.

– Proszę mi powiedzieć, panie Henderson... czy to, że ona jest morderczynią, dodaje pieprzyka sytuacji, jakoś specjalnie podnieca?

– Nie tu – upomniał ją łagodnie brat. – Wygląda na to, że minie trochę czasu, nim będziemy mogli odwiedzić naszą biedną przyjaciółkę. Proponuję, żebyśmy wrócili później.

– Doskonały pomysł, braciszku. – Brooke spojrzała na mnie. – Jestem pewna, że jeszcze się spotkamy. – Puściła oko. – Będę na to czekała z niecierpliwością, przystojniaku.

Oboje odwrócili się i odeszli.

\* \* \*

Czterdzieści minut później pojawił się zmęczony lekarz z wiadomością, że mogę porozmawiać z Ellen, byle krótko. Skierowano mnie do sali chorych. Pólsiedziała na łóżku, oparta o poduszki, patrzyła w okno, przyglądając się gęstniejącym chmurom. Stałem pośrodku sali mniej więcej minutę, nim wreszcie zwróciła na mnie uwagę.

– Są tam? – spytała.

– Nie. Zakładając, że masz na myśli Cory'ego i Brooke. Byli, ale wyszli.

– Spotkałeś ją?

– Można tak powiedzieć. Z pewnością było to starcie.



Podszedłem do łóżka. Spod bandażu na jej policzku wyglądał potężny siniec.

– Jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Co ci się właściwie stało?

– Dwadzieścia szwów.

– Widziałem samochód. Zdumiewające, powinno być znacznie gorzej.

– Mam szczęście.

– Nie jesteś zaskoczona, widząc mnie tutaj?

– Pielęgniarka powiedziała mi, że na korytarzu czeka jakiś mężczyzna. Wydawało mi się, że to raczej nie Cory, a jeśli nie on, to musiałeś być ty.

– Próbowалаś coś zrobić dziś rano?

Ellen spuściła wzrok i spojrzała na swoje ręce.

– Nie – powiedziała. Nie byłem pewny, czy mogę jej wierzyć. – Choć może powinnam? Może tak byłoby szybciej?

– Ellen, co się dzieje?

– Powiedziałam ci. A przynajmniej próbowałam.

Obszedłem łóżko i usiadłem na krześle od strony okna.

– Powiedz mi to jeszcze raz.

\* \* \*

Powiedziała, że wszystko zaczęło się nazajutrz po pogrzebie. Aż do tego dnia Robertsonowie okazywali jej

współczucie, jakby była jedną z nich. Rzecz jasna, nie zdążyli się jeszcze dowiedzieć, że ich ojciec zostawił ściśle instrukcje pozwalające ich macosze mieszkać na terenie posiadłości, jak długo zechce. Dowiedzieli się i wtedy wszystko się zmieniło.

Najpierw Brooke i Cory przestali z nią rozmawiać i w ogóle zauważać jej obecność. Mijali ją koło domu albo na ulicy Black Ridge, zachowując się, jakby nie istniała... i to skłoniło Ellen do spędzania czasu gdzie indziej, na przykład w Sheffer, gdzie w pewnym momencie podsłuchiwała rozmowę o śmierci Scotta. Pokojówka, niegdyś sprzątająca jej dom, przestała sprzątać i znikła. Wi-Fi na terenie posiadłości nagle przestało działać i wymagało hasła, którego nie знаła, po czym, po dwudziestu czterech godzinach, zaczęło pracować jak gdyby nigdy nic. Mniej więcej w tym czasie zaczęła podejrzewać, że Cory, który między innymi prowadził interesy z lokalnymi firmami technologii informatycznych, może kontrolować jej związki z wielkim światem. Kiedy próbowała dodzwonić się do Robertsonów, telefon przestawał działać. Pukała do drzwi. Nie otwierano jej, jakby nikogo nie było w domu.

Okazało się, że skazanie na niewidzialność nie wystarczy, by zmusić ją do wyprowadzki, doszło więc do eskalacji. Przestała dostawać pocztę. Nigdy nie było jej dużo, ale od czasu do czasu pisała do niej matka. Nie dochodziły już jej listy, rachunki, katalogi, rzeczy, dzięki którym człowiek czuje się związany ze światem. Po

kłopotach z bankiem, zgłaszającym pretensje, że nie spłaciła kart kredytowych, choć nie dostała wyciągu, musiała zacząć realizować wszystkie opłaty przez Internet.

– Wiem, że to nie brzmi zbyt poważnie – przyznała.

Ale ja mam wyobraźnię. Wspierają nas przecież te najprostsze, trywialne sprawy. Myślisz, że doskonale radzisz sobie z kryzysem, aż pewnego ranka stwierdzasz, że nie masz chleba albo że nie podobają ci się buty, i od razu walisz głową w ścianę i płaczesz, i nie możesz przestać.

Tymczasem działały się i inne rzeczy. W środku nocy ktoś pukał do drzwi. Najpierw kilka razy zeszła na dół, ale za drzwiami oczywiście nikogo nie było. Za piątym czy szóstym razem doszła do wniosku, że to śmieszne, przestała schodzić... po czym pewnego ranka zauważyła, że z pokoi na parterze giną rzeczy, a już na pewno ktoś je przestawia, jakby brak reakcji upoważniał go do otworzenia drzwi własnym kluczem i buszowania po domu. Zabrano przedmioty niemogące raczej budzić pożądaną, a w każdym razie nie wszystkie. Znikło trochę rodzinnych pamiątek, owszem, ale także stolik, który Ellen kupiła za pięć dolców na wyprzedaży garażowej, poobijany rondel, a wreszcie wszystkie mydła z głównej łazienki, mieszczącej się na tym samym piętrze, na którym Ellen miała sypialnię. Więc znów zaczęła reagować i gdy któreś z Robertsonów, którekolwiek, dobijało się do niej, zbiegała ze schodów, wymyślając mu

z wściekłością. Ale nikogo nie złapała na gorącym uczynku, a rzeczy nadal ginęły.

Pewnego dnia Ellen zdecydowała się na przeprowadzenie próby. Do dwudziestej trzeciej oglądała telewizję, potem wyłączyła odbiornik oraz wszystkie światła w domu. Jednak nie położyła się do łóżka, tylko usiadła na podłodze w korytarzu otulona kocem i czekała. Trzymała wartość przez całą noc, wspomagając się kawą, papierosami i czasopismami.

Około drugiej ktoś zaczął nagle walić w drzwi, przerażająco głośno; pojawił się znikąd, bez ostrzeżenia. Nie zareagowała. Pozostała skulona na podłodze, ściskając w rękę kuchenny nóż, gotowa go użyć, czekając, aż ktoś je otworzy. Pozostały jednak zamknięte, chociaż dotrwała tak do świtu. Poszła na górę tuż po siódmej, w dziwnie zwycięskim nastroju, jakby zdołała odwrócić falę, przejąć inicjatywę.

I odkryła, że nie ma szczoteczki do zębów. Przez dwie godziny przewracała dom do góry nogami. Szczoteczka znikła.

Cóż, kupić nową nie problem, i tak też zrobiła, lecz gdy tego wieczoru zamykała drzwi, nie czuła się już u siebie, nawet nie miała wrażenia, że tu mieszka. Fakt, że wszystkie okna i inne miejsca dające dostęp do wewnątrz zostały zabezpieczone, tylko podkreślał to uczucie.

Pukanie do drzwi nadal się powtarzało. Po jakimś czasie dziwne dźwięki dobiegały także spod okna jej sypialni, z szafy, spod łóżka... tak jej się przynajmniej

wydawało. Nigdy wystarczająco głośne, by nie mogły wydobywać się z reagujących na temperaturę instalacji czy desek podłogi, ale wystarczająco głośne, by nie dać jej spać. Mleko przynieszone po południu ze sklepu kwaśniało i psuło się przed wieczorem, chyba że winę za jego smak ponosiła woda albo nowy gatunek kawy, który kupowała, by każda filiżanka nie przypominała jej o mieszance, którą lubili oboje, ona i Gerry.

Potem przyszła noc, kiedy tuż przed pójściem do łóżka podniosła żaluzję jednego z okien sypialni, które teraz przez cały czas pozostawały zasłonięte, i zobaczyła wielkiego czarnego ptaka wiszącego nad basenem. Wydawało się, że się nie porusza mimo silnego, zmiennego wiatru kołyszącego gałęziami. Nagle znikł, a chwilę potem usłyszała, że coś porusza się w koronach drzew. Coś większego.

Ellen opuściła żaluzję. Noc spędziła, siedząc skulona na brzegu łóżka. Powiedziała mi, że właśnie wtedy zorientowała się, co widzi.

– Co takiego? – spytałem.

– To była strzyga – szepnęła i tym razem nie sposób było wziąć ją za kogoś z Bostonu.

– Co?

Odwróciła się i zapatrzyła w okno.

\* \* \*

Problem z żalem polega na tym, że nigdy nie

wiadomo, co z człowiekiem robi. Wypływa ze studni tak głębokiej, że może nawet zmieniać rzeczywistość, a co najmniej zniekształcić w sposób, w jaki dotknięta nim osoba postrzega świat. Czułem, słyszałem i widziałem rzeczy, o których z całą pewnością wiedziałem jedno: były ułudą. Twarz dostrzeżona na ulicy lub placu zabaw, radosny okrzyk dobiegający skądś, dwie przecznice dalej, brzmiący tak znajomo, że aż nie do wiary, by krzyknął ktoś obcy... a potem biegniesz sprawdzić z rozpaczliwą nadzieją i znajdujesz obce dziecko, nawet niepodobne do twojego. Śmierć otwiera ranę tak bolesną, tak krwawiącą, że gotów jesteś wbijać idealnie kwadratowe kołki w idealnie okrągłe rany, byle tylko załatać rozdarcie wszechświata, który stał się dla ciebie przerażająco bezsensowny.

Słyszałem, jak Scott krzyczy. Widziałem twarz matki nieżyjącej od dziesięciu lat. Ale tak naprawdę to przecież nie słyszałem i nie widziałem żadnego z nich.

Ale nie był to najważniejszy moment na wtajemniczenie Ellen w te sekrety. Szybko sama do tego dojdzie, a przynajmniej taką miałem nadzieję, bo z doświadczenia wiem, że nie sposób zmienić czyjegoś światopoglądu, stając naprzeciwko niego z dowodami jego błędów. Wiara to przeciwieństwo wiedzy.

Więc zamiast coś tłumaczyć, zadałem pytanie;

– Brooke nazwała cię morderczynią. Skąd jej to przyszło do głowy?

– Twierdzi, że skrzywdziłam jej ojca. Że zmarł

przeze mnie. Właśnie za to mnie karzą.

– Raport koronera nie pozostawiał wątpliwości. Atak serca. Jak mówiłaś.

– Skąd wiesz?

– Kręcę się tu i tam. Więc dlaczego cię napastują?

– Nie wierzą w atak serca.

– Skąd wiesz, skoro z tobą nie rozmawiają?

– Rozmawiałam z nią trzy tygodnie temu. To było na Kelly Street. Miałam zamiar... myślałam o tym, żeby wpaść do baru, do Mountain View. Żeby po prostu gdzieś być, porozmawiać, rozumiesz chyba. Nagle pojawiła się przede mną Brooke. No i straciła nad sobą panowanie.

– To znaczy?

– Zaczęła na mnie wrzeszczyć przy ludziach, których znałam, którzy rozmawiali ze mną, kiedy żył Gerry, a teraz omijali nas, jakby nic się nie stało. Wrzeszczała, że zapłacę za to, co zrobiłam. Od tamtej pory było coraz gorzej. Nie potrafię jasno myśleć, wokół mnie jest tylko chaos...

– Ellen, nic cię tu nie trzyma. Dlaczego nie wyjedziesz?

Dlaczego nie zaczniesz żyć gdzieś indziej?

– Jak ty? Po tym, co stało się z twoim synem?

Nie odpowiedziałem.

– I co, pomogło? Uciekłeś. Co znalazłeś? Nie można tak po prostu odejść. Próbujesz, ale zabierasz ze sobą to, przed czym uciekasz. Zabierasz w sercu.

– Ta „strzyga” to coś z twojego kraju? Z Rumunii?

Skinęła głową zirytowana.

– Więc jak może być tu, w Ameryce?

Spojrzała na mnie, jakbym był naprawdę głupi.

– W Rumunii mamy też coś, co nazywamy *abore*. I *munte*, i *noapte* też. Dziwne, ale okazało się, że tu też je macie.

– A co to takiego?

– Drzewa. Góry. I noc.

Powoli traciłem cierpliwość.

– Doskonale mówisz po angielsku, Ellen, więc jak po angielsku nazywamy tę strzygę? Mniej więcej.

Przekrzywiła głowę i spojrzała mi w oczy.

– Czarownica, w porządku?

Odetchnąłem ciężko i poprawiłem się w krześle. Miałem ochotę powiedzieć jej o widzianych przeze mnie twarzach i usłyszanych głosach, ale wiedziałem, że nic nie osiągnę. Gdybym był na jej miejscu, zapewne też traciłbym kontakt z rzeczywistością... założywszy, że byłbym wystarczająco trzeźwy, by mieć kontakt z czymkolwiek.

– Myślisz, że oszalałam, tak?

– Nie – odparłem. – Myślę za to, że Gerry Robertson nie powinien umrzeć wkrótce po tym, jak znalazł kobietę kochającą go tak bardzo, jak ty go kochałaś. I kochasz. Straszna szkoda.

– I myślisz, że to wszystko? Po tym, co ci powiedziałam?

– Wychodzę – powiedziałem, wstając. – Ale



przedtem chciałem ci zadać jeszcze jedno pytanie. Jeśli to, co, jak sądzisz, się dzieje, dzieje się naprawdę, jakie znaczenie ma to dla Scotta? I dla mnie? Dlaczego ktoś miałby chcieć coś mi zrobić?

– Nie wiem – przyznała Ellen. – Chyba że ty też jesteś za coś karany.

– Za co?

Uśmiechnęła się chłodno.

– To już ty powinieneś wiedzieć. Powiedz mi, co zrobiłeś?

Powiedziałem, że powinna odpocząć, i wyszedłem z pokoju. Byłem już w połowie korytarza, kiedy usłyszałem okrzyk: „Co zrobiłeś?!”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Powiedziałem dyżurnej pielęgniarce, że pani Robertson prosi, by nie wpuszczano do niej gości bez zapowiedzi i bez uzyskania jej pozwolenia. Zgodziła się z satysfakcją kogoś, kto wie, że to zadanie może wykonać i że wykonanie go sprawi jej przyjemność.

Idąc do windy, minąłem uchylone drzwi, przez które dostrzegłem przycupniętą na łóżku dziewczynę. Była to niebieskowłosa kelnerka z Write Sisters. Zawahałem się, uznałem, że to nie moja sprawa, a potem mimo wszystko zrobiłem krok w stronę jej pokoju.

– Wszystko w porządku?

Albo mnie nie usłyszała, albo zgodziła się z moją pierwotną oceną sytuacji.

Samochodu Cory'ego i Brooke nie było już na parkingu. Kusiło mnie, by pojechać do ich domu i kontynuować przerwana rozmowę. A jednak wiedziałem, że to nie najlepszy pomysł, i czasami, choć nieczęsto, ta wiedza wystarczy, by mnie powstrzymać.

W tym samym rzędzie co mój stał także policyjny radiowóz. Podszedłem bliżej. Za kierownicą siedział zastępca Greene, gliniarz siedzący za biurkiem posterunku w Black Ridge.

Otworzył okno.

– Co pan tu robi? – spytał grzecznie.

– Odwiedzałem przyjaciółkę.

– Nie sądzę, by szeryfowi podobało się, że wtrąca się pan w cudze sprawy.

Podszedłem jeszcze bliżej.

– To wiadomość od ciebie czy od niego?

– A jakie to ma znaczenie? – Spojrzał na mnie spokojnie i obojętnie, a jego oczy miały zaskakującą barwę, kontrastując z bladością jego twarzy. – Na pana miejscu posłuchałbym... to wszystko.

Włączył silnik i odjechał powoli, prawdopodobnie nie zdając sobie sprawy, że wyrzuciłem go z pamięci, nim zdążył wyjechać na drogę.

Włączyłem telefon i okazało się, że mam wiadomość w poczcie głosowej. Wysłuchałem jej zmuszony do uśmiechu kombinacją głębokiej wdzięczności, zdumienia i przekleństw, których natężenie i różnorodność niemalże rozsadzały ograniczenia potocznej angielszczyzny. Odpowiedziałem SMS-em: *O zwrocie porozmawiamy później. Na razie dopilnuj, by dotarli, do kogo mają dotrzeć. DZISIAJ. I trzymaj swojego chłopaka na pieprzonej krótkiej smyczy, póki nie wrócą.*

Wysłałem go do Becki, wsiałem do samochodu i ruszyłem do Black Ridge. Skręcając w drogę, minąłem wjeżdżający na parking samochód, który już kiedyś widziałem: ciemnozielonego SUV-a. Stał obok mnie pierwszego dnia w miasteczku, tuż przed tym, nim pojechałem zobaczyć stary dom.

Ale ja myślałem o czymś innym.

\* \* \*

Ranek zrobił się późny, a ja głodny. W każdym razie tak myślałem, choć kiedy zacząłem rozglądać się za odpowiednim miejscem, stwierdziłem, iż żadne nie wygląda zachęcająco. W końcu zatrzymałem się w uliczce naprzeciwko motelu, w którym, w ukryciu, spędziłem kilka tygodni, próbując zapać ból i nieszczęście. Po dwóch kiepsko przespanych nocach oczy i mózg miałem wysuszone. Przez pół godziny tylko siedziałem, nic więcej.

Tymczasem ludzie wchodzili do motelu i z niego wychodzili. Spacerowali chodnikami. Ulicą jechały samochody, po niebie płynęły chmury. Przez jakiś czas padało, potem przestało, a potem znów spadł deszcz. Robiło się coraz zimniej, powoli, lecz nieuchronnie. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że to uczucie w żołądku to początki na razie łagodnej paniki. Czym spowodowanej? Tego nie wiedziałem. Nagle uświadomiłem sobie, że gapię się na drzwi pokoju numer cztery, po chwili już nawet czułem się tak, jakbym był uwięziony w środku, jakby świat poza tym pokojem stał się innym wielkim pokojem, z którego, być może, nigdy nie znajdę drogi ucieczki. Wiedziałem, co to oznacza, choć minęło trochę czasu, od kiedy tak się czułem. Wiedziałem, co to oznacza, kiedy ciało zaczyna wierzyć, iż zostało zamknięte w pomieszczeniu bez drzwi, jakby człowiek został żywcem pogrzebany. Wiedziałem także,

że Mountain View Tavern jest całkiem wygodna, a tamtejsze piwo z beczki naprawdę przypadło mi do gustu.

Zamiast do baru pojechałem jednak do kawiarni na Kelly Street. Siedziałem, gapiąc się przez okno i próbując dojść, jaką nauzkę mogę wyciągnąć z tego, co powiedziała mi Ellen. Jeśli w ogóle coś powiedziała. Byłem pewny, że szczoteczka do zębów leży gdzieś w domu i że umysł wyprowadzony z równowagi, a była klinicznie wyprowadzona z równowagi podczas każdego naszego spotkania, nie potrafi zmierzyć czasu potrzebnego na wymydlenie kostki mydła. Inne przedmioty mogli zabrać Robertsonowie, jak przypuszczała, ale mogły też zniknąć w zawierusze zwykłego życia.

Potrzebowała pomocy psychologa, powinna się wyprowadzić i zacząć od nowa. Powinna znaleźć własne Marion Beach. Ale zamiast tego miała Cory'ego i Brooke, co doprowadzało mnie do furii. Zacząłem dostrzegać w niej coś z człowieka, który, mniej więcej w tym samym czasie po śmierci kochanej osoby, zamknął się w motelowym pokoju i dokonał całkiem przyzwoitej próby wjechania w ścianę. Mimo jej zaprzeczeń podejrzewałem, że dzisiejszy wypadek wcale nie był wypadkiem i że Ellen była bliska skoczenia w stworzoną przez siebie przepaść. Gdyby w swoim czasie znalazł się przy mnie ktoś skłonny mnie popchnąć, bardzo prawdopodobne, że dziś nie byłoby mnie wśród żywych.

Usłyszałem pukanie. Podniosłem głowę i zobaczyłem

Kristinę stojącą przed kawiarnią i pukającą w okno. Choć ciągle czarne i nieco potargane, jej włosy w jakiś niewytłumaczalny sposób stały się dłuższe. Puściła do mnie oko, pomachała na dzień dobry i do widzenia jednocześnie, odwróciła się i poszła do pracy. Piłem kawę, jak długo mogłem, potem zapłaciłem i poszedłem tą samą drogą.

\* \* \*

Bar był bardzo zatłoczony. Obsługiwał mnie jakiś inny facet.

Minęło dobre pół godziny, nim Kristina pojawiła się przy moim stoliku, by wyczyścić popielniczkę. Skrzywiła się, wyrzucając niedopałki do puszki, którą przyniosła.

– Nie palisz?

Pokręciła głową.

– Zabawne. Wyglądasz mi na palącą. W moich ustach to jest komplement.

– Paliłam. Kiedy mieszkałam tu przedtem. Rzuciłam po wyjeździe, razem z innymi rzeczami.

– Narkotykami? Alkoholem? Uprzejmą rozmową?

– Tak. Słyszałam o Ellen. Z nią wszystko w porządku?

– Trochę się poobijała. Dlaczego zakładasz, że coś o tym wiem?

– Słyszałam, że byliście ze sobą dość blisko. I tyle. Nie chciałam...

– Widziałaś nas tu razem zaledwie przedwczoraj wieczorem – zauważyłem. – Wyglądaliśmy, jakbyśmy się mieli ku sobie?

– Właściwie nie.

– Ale po czterdziestu ośmiu godzinach już wybieramy porcelanę i zamawiamy kwartet smyczkowy?

– Słuchaj, niech będzie, jak chcesz, dobrze? Tak naprawdę to przecież nie mój interes. Chcesz jeszcze piwa?

Powiedziałem, że chcę, i czekałem, gapiąc się w okno, aż wróci z kolejną szklanką. Postawiła ją na stoliku, natychmiast odwróciła się, by odejść, ale powstrzymałem ją gestem.

– Przepraszam – powiedziałem – ale chciałbym się dowiedzieć, dlaczego sądzisz, że między nami coś jest.

– Wcale nie jest powiedziane, że tak sądzę. I szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. Ale rano u fryzjera po drugiej stronie ulicy przedłużano mi włosy i przy okazji usłyszałam, jak ktoś mówi, iż to dobrze, że Ellen odżyła, że już sobie znalazła kogoś do towarzystwa, chociaż minęły zaledwie cztery tygodnie i tak dalej, i tak dalej.

– Czy to była Brooke Robertson? – spytałem spokojnie.

– Nie chcę się w nic wplątać. To małe miasteczko. Jedni gadają, inni słuchają. To wszystko.

– Ależ wręcz przeciwnie, słuchaj uważnie, co ta kobieta ma do powiedzenia – poprosiłem. – Tylko jej nie uwierz. Moim zdaniem coś z nią jest nie tak.

– Możliwe. Całkiem możliwe. Ale zastanawiam się, czy z całego tego naszego gadania może wyniknąć coś dobrego. Oceny są różne.

– Przepraszam za to, co było. Jeszcze raz.

– Przyjęłam. A teraz odchodzę. Znajdę sobie bardziej towarzyskiego klienta.

– To nie powinno być trudne, nawet tutaj. – Poczekałem, aż się odwróci, i dodałem: – Naprawdę płacisz komuś, żeby twoje włosy wyglądały tak, jak wyglądają?

Pokazała mi język i znikła.

\* \* \*

Cztery piwa później coś strzeliło mi do głowy – co rzadko jest dobrym pomysłem na początek zdania – i wyszedłem z baru zatelefonować. W informacji podano mi numer i poprosiłem, żeby mnie z nim połączono.

– Pierce – usłyszałem po krótkiej chwili oczekiwania.

– Mówi John Henderson.

– Jesteś w barze?

– Nie, przed barem. Masz dobry słuch.

– Owszem, mam. Rozmawiałem z zastępcą, Corlissem, jeśli w tej sprawie dzwonisz. Więcej tego nie zrobi. Ma także skłonić siostrę do zachowania dyskrecji.

– Dziękuję, ale nie o to mi chodzi. Chcę cię poprosić o przysługę.

– Tak?



– Kobieta, o której ci wspomniałem, żona Gerry’ego Robertsona... miała dziś wypadek.

– Słyszałem.

– Odwiedziłem ją w szpitalu. Wygląda na to, że Brooke i Cory Robertsonowie bardzo utrudniają jej życie. Zastanawiam się, czy ktoś od was, z policji, mógłby może z nimi porozmawiać? Wyrazić nadzieję, że pogrążona w żałobie wdowa może liczyć na wsparcie, którego w tej chwili bardzo potrzebuje.

– Nie jestem pewny, czy tego rodzaju rzeczy leżą w naszych kompetencjach. Przykro mi.

– Mnie też. Może byłoby wam łatwiej, gdyby Robertson nie był taką wielką lokalną szycią?

– Nie podobają mi się implikacje wynikające z tego pytania.

– W takim razie przepraszam. I chyba sam odbędę z nimi taką rozmowę.

– Wątpię, czy to mądry pomysł.

– Uprzejma rozmowa dorosłych, odpowiedzialnych ludzi to przecież, dzięki Bogu, nie twój interes.

– Panie Henderson... – Pierce westchnął ciężko – słuchaj, rozmawiałem z kimś, kto był świadkiem tego porannego wypadku. Rozprawiał o tym u Harry’ego, głośno, musiałem poprosić go, żeby przestał.

– Tutejszych mieszkańców cechuje niezwykle silna potrzeba dzielenia się informacjami – zauważyłem. – Właściwie można ją nazwać przymusem.

– Tylko dlatego, że to jest prawdziwe, rzeczywiste

miejsce. Chcesz kamiennego milczenia, przejedź na drugą stronę gór. Ten starszy gość, a znam go od lat, był przyjacielem ojca i nie należy do ludzi, którzy lubią przesadzać. Jechał z naprzeciwka i wszystko widział. Twierdzi, że samochód Ellen, jadąc pod górę, zygzakował po całej drodze, że on sam musiał zwolnić i zjechać na bok, jak daleko się da. Nie prowadziła szybko, ale zataczała się od pobocza do pobocza, no i widział, że ścisnęła kierownicę i cały czas potrzasała głową. Jak po narkotykach, tak to ujął.

– Jestem pewny, że lekarz dyżurny na izbie przyjęć przy gotował raport toksykologiczny, który powinieneś bez problemu dostać i...

– Chryste, przecież wiem – przerwał mi Pierce, zirytowany. – Zadzwoń. Powiedzieli, że jest czysta. Chemicznie owszem, ale umysłowo? Uważasz, że to normalne, prowadzić mokrą górską drogą, potrzęsając głową jak szalowiec?

Musiałem przyznać, że nie.

– A potem nagle spojrzała wprost przed siebie, a samochód zjechał z drogi i potoczył się po zboczu.

Na to już nic nie powiedziałem. Przez okno widziałem, jak obok mojego stolika pojawia się Kristina, widzi, że mnie nie ma, ale w szklance jest jeszcze piwo, odwraca się i odchodzi.

– No więc owszem, być może twoja przyjaciółka potrzebuje pomocy...

– Na miłość boską, ona nie jest żadną „moją

przyjaciółką”. To też coś, co chciałbym...

Szeryf nie dał mi dokończyć.

– ... ale nie sądzę, by to Robertsonowie byli jej prawdziwym problemem, i każdy, kto zechce z nimi zadrzeć, naruszy porządek publiczny, a to już należy do moich kompetencji. To wykroczenie. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Rozumiem doskonale.

– Doskonale. No to dobranoc. Życzę ci bezpiecznego lotu do domu.

Zamknąłem telefon i włożyłem go do kieszeni. Przez parę minut stałem bez ruchu, a potem uświadomiłem sobie, że wieczór zbliża się wielkimi krokami, jest zimno, a ja ciągle jeszcze nie jadłem.

Wróciłem do baru. Zamówiłem kolejne piwo, choć płomień w mojej głowie wygasł. Piłem powoli, siedząc przy barze w pustoszejącej sali i rozmawiając z Kristiną.

Cud nad cudy, ale o nic się nie pokłóciliśmy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zostawiłem samochód na Kelly Street i do motelu wróciłem piechotą. Postąpiłbym tak, gdziekolwiek bym był, ale idąc przez miasteczko, uświadomiłem sobie, że jest także inny powód. Zastanawiałem się, czy ktoś mógł obserwować mnie w barze, liczyć wypite piwa, a kiedy usiądę za kierownicą, zadzwonić do Pierce'a lub któregoś z jego zastępców. Kto mógłby zrobić coś takiego? Nie miałem pojęcia. Żadne z Robertsonów nie tkwiło przy barze z ołówkiem i kartką, czekając, aż przekroczę granicę przyzwoitości. Nie sądziłem też, by mieli na liście kogoś z pracowników, a z pewnością nie Kristinę, sprawiającą wrażenie osoby niełatwo się podporządkowującej. Cały ten pomysł był zresztą głupi od samego początku i nawet gniewało mnie, że poświęciłem mu swój cenny czas. Jednak szedłem piechotą.

Na ulicach było pusto, cicho, a chociaż wybiła zaledwie dwudziesta druga, prawie wszystkie mijane po drodze domy były wystarczająco ciemne, by uznać je za siedziby zmarłych. Dla odmiany nie padało, niebo było czyste, niemal granatowe, za to zerwał się wiatr i wiał coraz mocniej.

Otworzyłem drzwi pokoju. Okazało się, że ktoś coś pod nie wepchnął. Cienką brązową kopertę. Podniosłem ją i obejrzałem się, sprawdzając, czy gdzieś w cieniach

ktoś się kryje. Po drodze nie widziałem nikogo, ale czy rzeczywiście kogoś, kto mi ją dostarczył, nie interesuje, czy otrzymałem przesyłkę... czymkolwiek jest?

Wszedłem do pokoju i rozerwałem kopertę. Był w niej jeden arkusik papieru w dwóch trzecich pokryty drukiem, z reprodukcją marnej jakości zdjęcia na samym dole. Tekst dotyczył morderstwa popełnionego w Berlinie w 1995 roku. Ofiarę, niejakiego Petera Ridenhauera, znaleziono martwego w jego mieszkaniu. Przyczyną śmierci były liczne rany kłute. Od dłuższego czasu był on obserwowany w związku z podejrzeniem o przemyt kobiet, które zwabiał pokusą dobrze płatnej pracy w najbogatszych krajach Europy, by po odebraniu im paszportów zmuszać je do uprawiania prostytucji, zwyczajowo przełamując ich opory dużymi dawkami heroiny, której sam był dostawcą. Niektórym po latach udawało się wrócić do domu, wiele umierało z przedawkowania bądź po prostu zniknęło. Od każdej oczekiwano, że przyjmie do dwunastu klientów dziennie, wśród nich tych, których wyrafinowanych gustów nie chciały zaspokajać dziewczyny uprawiające zawód z własnej woli. Główną podejrzaną była jedna z jego dziewczyn, którą widziano wślizgującą się do jego mieszkania w dzień morderstwa. Dziewczyna ta wyjechała z Niemiec i zniknęła, a choć sprawa pozostawała otwarta, nie wydawało się, by komukolwiek zależało na jej rozwiązaniu.

Podejrzana nazywała się Ilena Zaituc. Zdjęcie

przedstawiało kobietę będącą bez najmniejszych wątpliwości młodszą wersją tej, którą dziś rano odwiedziłem w szpitalu.

Otworzyłem drzwi drżącymi rękami i wyszedłem na parking. Stałem pośrodku i podniosłem kartkę nad głowę.

– Pomyłka – powiedziałem, wyjmując zapalniczkę. Nie krzychałem, ale to jedno słowo wypowiedziałem czystym donośnym głosem, i choć mnie samemu wydał się gardłowy, wiedziałem, że dotrze daleko. – Jeśli chcieliście, żebym przez coś takiego źle o niej myślał, to bardzo się pomyliliście.

Przyłożyłem ogień do kawałka papieru, a kiedy się zajął, puściłem go z wiatrem i obserwowałem, jak się unosi. Płomyk chwiał się, to rozbłyskiwał, to przygasał niby maleńki, lecz groźny duszek.

I wtedy wydało mi się, że wśród drzew po drugiej stronie drogi rozległ się jakiś dźwięk. Mógł to być śmiech, mógł go wydać ptak, a może tylko trzasnęła gałąź szarpnięta nagłym podmuchem wiatru. Zrobiłem kilka kroków w tym kierunku, rozłożyłem szeroko ramiona, po czym przycisnąłem je do boków.

– Jestem do usług – powiedziałem głosem, który mnie samemu wydał się obcy.

Ale nic się nie stało.

\* \* \*

Miałem ochotę zadzwonić do Pierce'a, ale wiedziałem, że nie przyniesie to niczego dobrego. Pomyślałem, że mógłbym złożyć wizytę Robertsonom, ale wiedziałem, że nie jest to właściwy czas, nie po takiej dawce alkoholu. Kto wie, jak długo ukrywali informację o Ellen, nie robiąc tego, co przecież oczywiste? Gdyby tylko chcieli się jej pozbyć, zawsze mogli po prostu ją wydać. A więc chodziło o coś innego, a nie najprostszy sposób osiągnięcia pożądanego rezultatu. Ellen miała rację, była karana powoli, z wyrafinowaniem, i dopiero wówczas, gdy nadszedł odpowiedni moment. Innymi słowy: napastowanie. Wykorzystanie w chwili słabości. Rozkoszowanie się odbieraniem komuś tego, co łączy go ze światem rzeczywistym, cząstka po cząstce. Winnych należało potraktować w taki sam sposób. Dokładnie taki sam.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, o czym myślę. Próbowałem odsunąć od siebie ten pomysł tak, jak odsuwa się kolejnego drinka, tego, który – wiesz na pewno – otworzy drzwi piwnicy wystarczająco szeroko, byś nie miał już żadnego powodu, żeby do niej nie wpaść. Więc tylko siedziałem w ciemności na łóżku w motelowym pokoju, pijąc garnkami kiepską kawę i przekraczając, mam nadzieję, granicę wyznaczającą brak porannego kaca.

W końcu zasnąłem.

\* \* \*

I obudziłem się trzy, może cztery godziny później.

W pokoju było ciemno choć oko wykol. Głowę miałem spuchniętą, pulsującą od kofeiny i resztek alkoholu. Odwodnienie sprawiało, że czułem się, jakbym zardzewiał. Miałem wrażenie, że przykleiłem się do krzesła, zmieniałem w drewno lub nawet w kamień. Nie mogłem choćby drgnąć.

W końcu jakoś dopełzłem do łóżka, ale hałas nie dał mi zasnąć. Wiatr wzmógł się tak, że aż wył, w dach bębniły krople deszczu. Te dźwięki były przynajmniej stałe, takie, które po pewnym czasie można zepchnąć poniżej progu uwagi, ale z całą pewnością nie sposób było zignorować trzasku gałęzi uderzających o tylną ścianę motelu.

Wstałem, zatoczyłem się i dotarłem do drzwi. Nacisnąłem klamkę, popchnąłem drzwi... i wiatr o mało nie uderzył mnie nimi w twarz, wykręcając nadgarstek tak boleśnie, że aż krzyknąłem. Mimo to wyszedłem na dwór, dotarłem jakoś do końca rzędu domków i skręciłem za róg. Chroniłem się pod okapami dachów na tyle, na ile to możliwe, ale i tak szybko przemokłem. Mimo to, a może właśnie dlatego, parłem przed siebie na tyły hotelu. Doskonale wiedziałem, że irracjonalna furia, która zawładnęła mną w tej chwili, niewiele ma wspólnego z miotanymi wiatrem gałęziami, ale oprócz nich nie było nic, na czym mógłbym ją wyładować. Skurwysyny zdenerwowały mnie tej nocy po raz ostatni.



Skulony dotarłem mniej więcej na tyły mojego pokoju. Nie zamierzałem pchać się dalej, interesował mnie tylko ten kawałek ściany. Jeśli ktoś ma ochotę, niech sam odwala swoją porcję brutalnego ogrodnictwa. Podniosłem głowę... i zamarłem.

Stałem jedną stopą na pasie betonu biegnącym wzdłuż całego budynku, a drugą na mokrej trawie. Przed sobą po lewej miałem ścianę budynku, po prawej zaczynał się las. Dzieliło je jakieś półtora metra.

Stałem i gapiłem się, póki nie nabrałem całkowitej pewności, że widzę dokładnie to, co zdaje mi się, że widzę. Choć wiatr rzeczywiście szarpał gałęziami, i to zapewne silniej niż kiedykolwiek od czasu, gdy po raz pierwszy odwiedziłem Black Ridge, nie mogły się one ocierać o ścianę mojego pokoju.

Nie sięgały tak daleko.

Nie sięgały dziś i nie sięgną nigdy, choćby nie wiem co.

Pochyliłem się i stwierdziłem, że coś jednak musiało ocierać się o gonty. Na drewnie pozostały wyraźne ślady. Najoczywiej w świecie świeże, z ostatnich kilku dni. Rysy były ciągle czyste i wyraźnie widoczne. Rysy. Niektóre krótkie, inne mające nawet trzydzieści centymetrów. Biegące we wszystkie możliwe strony. Nie tworzyły wzoru, w każdym razie nie taki, jaki potrafiłbym rozpoznać, a jednak przypominały w jakiś sposób układ gałązek, który całkiem niedawno widziałem na ziemi w lesie.

Odwróciłem się i spojrzałem na las. Przy słabym świetle lamp na dachu motelu widać było zaledwie pierwsze rzędy drzew, wyglądające jak powierzchnia czarnego lustra, w które pozornie łatwo byłoby wejść. Za łatwo.

W tym momencie usłyszałem sygnał telefonu dobiegający z motelu. Z mojego pokoju. Zawahałem się, ale obiegłem budynek, ślizgając się i omal nie przewracając w kałuże. Telefon przestał dzwonić, gdy tylko znalazłem się w pokoju. Odezwał się ponownie po jakichś dwóch minutach.

– Brooke – powiedziałem zdławionym głosem – nie powinnaś się tak bawić.

Nikt się nie odezwał. Telefon dzwonił przez resztę nocy co godzinę, nikt się nie odzywał, słyszałem tylko sygnał uszkodzonej linii, a dźwięki były niczym wykrzyczane krótkie słowa dobiegające z bardzo, bardzo daleka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sześćdziesiąt dwa razy. Sześćdziesiąt trzy.

Sześćdziesiąt cztery.

Stała w lodowato zimnym holu. Miała na sobie tylko majteczki i biustonosz. Drżała. Przebierała nogami, robiła jeden mały krok do przodu i zaraz się cofała. Doskonale pamiętała, gdzie kiedyś widziała takie ruchy. W zoo, dawno temu, w późnych latach siedemdziesiątych. To było biedne zoo, Guantanamo ssaków. Samotny niedźwiedź o matowym futrze, zamknięty w za małej klatce, najwyraźniej od dawna nieczyszczony. Przy wyjściu tata złożył skargę. Zrobił całkiem przyzwoitą awanturę. Po powrocie do domu może nawet napisał list? Obiecał, że napisze, a przeważnie dotrzymywał słowa. Ale wtedy było już za późno. Carol już widziała misia stojącego na tylnych łapach, uczeponego zardzewiałej siatki, poruszającego się dziwnymi, drobnymi kroczkami starca, w tył i w przód, w przód i w tył. Misia zagubionego w swojej wewnętrznej ciemności, misia w zwolnionym tempie ulegającego niekończącemu się atakowi paniki.

Gapiała się na niego, ściskając rękę ojca, wiedząc, że widzi coś bardzo niewłaściwego, że zwierzęta nie powinny tak wyglądać.

Zwierzęta nie.

Nawet ona.

Prawie trzydzieści lat później, ale wcale nie czując się starsza, zmusiła się do zrobienia kroku wstecz, oddalenia od zamka drzwi. Po raz kolejny. Za chwilę miała wybić druga. Spędziła tu półtorej godziny.

Nie pierwszy raz liczyła do sześćdziesięciu czterech.

Od spotkania z mężczyzną w bibliotece nic się nie wydarzyło. Nikt nie zadzwonił. Nikt nie zostawił jej żadnego liściku. Nie sądziła jednak, by miało to oznaczać, że dali sobie z nią spokój. Nie zawiadomiła policji. Niezawierający elementu groźby telefon i zdjęcie, które mogła przecież zrobić sama, uznają za gównowo warte, więc zareagują lekceważeniem lub, co byłoby jeszcze gorsze, litością. Można by pomyśleć, że reakcją na niepokoje samotnego rodzica powinna być przede wszystkim troska, ale nie ma tak dobrze. Zwłaszcza gdy samotnym rodzicem jest kobieta.

Dlaczego trzydziestoparoletnia kobieta żyje samotnie, jeśli nie dlatego, że coś z nią jest nie tak? Jeśli nie dlatego, że jest za trudna albo za dziwna, by zdecydował się na nią jakiś facet.

Litery na tablicy też niczego by nie zmieniły, nawet gdyby ich nie zmasała w takim pośpiechu, nim uświadomiła sobie, że jest to akt niewiarygodnej wręcz głupoty.

Gdy tylko zdobędzie coś konkretnego, wtedy oczywiście zawiadomi gliniarzy. Na razie jednak może tylko być twarda. Nie wpadać w panikę. Trzymać chaos na wyciągnięcie ręki, co przecież robiła przez trzy lata

bez niczyjej pomocy. Wytrzymać. Nie żądać niczego od nikogo, wyłącznie od siebie. Bo za pomoc innych płaci się czasami zbyt wysoką cenę.

\* \* \*

Jeśli w ogóle ktoś coś o tym wie, to z pewnością ona.

Zmusiła się więc do rejterady korytarzem. Potrafiła się do tego zmusić, bo przysięgła bogom, że nie udaje wiary w to, iż drzwi są zamknięte na zamek. Że nie próbuje tylko zyskać na czasie, a za chwilę zacznie od nowa. Z nowym zapalem i wewnętrzną dyscypliną. Wydawało jej się, że kiedy pod nią przechodziła, żarówka w lampie u sufitu zaczęła migotać, ale to było tylko zmęczenie. Tylko ból pulsujący w głowie, całej głowie, dosłownie od ucha do ucha...

... och, kogo próbuje oszukać!

Pieprzona żarówka naprawdę migiała.

Zauważył to nawet Tyler, kiedy kilka godzin temu szedł spać. Powiedziała mu, że żarówka pewnie przepaliła się lada chwila, które to stwierdzenie spowodowało pewne zamieszanie, jako że samo pojęcie „przepalenia” kojarzyło mu się z ogniem, nie z elektrycznością. Na dobranoc była więc opowieść o szczęśliwej żarówce imieniem Leroy, w której długo palił się elektryczny ogień, oświetlający śliczny domek szczęśliwej mamusi i jej kochanego synka, i o tym, jak Leroy, po przepracowaniu dla nich całego długiego życia, ustępuje

miejsca swojemu jaśniej płonącemu kochanemu synkowi, tra la la...

W tej chwili Tyler spał, ale praktyka kilku ostatnich nocy uczyła ją, że obudzi się raczej prędzej niż później. Od jakiegoś czasu potrafił spać jak zabity, a teraz znowu zrywał się w środku nocy i wszędzie go było pełno. Mogło to tylko oznaczać, że...

Żarówka migotała. Szuflady w kuchni zrobiły się jakieś oporniejsze, trudniej je było wysunąć. Pod krzesłami było ciemniej, niż powinno być.

Czy była to prawda nie tylko w jej wyobraźni? Nie miała pewności. Z wyjątkiem żarówki. Żarówka musiała migotać, chyba że sam Tyler istnieje wyłącznie w jej umyśle, ale w tę stronę nie pójdziemy, nie teraz, nie tej nocy, nigdy.

Oczywiście zawsze istniała możliwość, że żarówka lada chwila wyzionie ducha. Niewykluczone.

Ale nie robiło to żadnej różnicy. Ostatnie dni były jak upadek w głąb studni, wprawdzie nieskończenie głębokiej – dla spadającego to dobra wiadomość, prawda, kochanie? – ale za to z całą pewnością najeżonej na dnie zaostrzonymi kołkami. Jedyne sposoby, by się na nie nie nadziać, to zaprzeczyć się, powstrzymać lot. Jak się tylko da.

Stała w kuchni w pełni świadoma, że jej stopy nadal się poruszają. Nie miała pojęcia, jak je zatrzymać. Ruch był teraz ich stanem naturalnym, tak jak z sercem, które wie tylko, jak bić. Jeśli go nie powstrzymasz, oczywiście, ale wszystkie kuchenne noże, owinięte ciasno ściereczką,

spoczywały w dalekim zakątku ogrodu. Od wczorajszego popołudnia. Były czasy, kiedy... ale to były inne czasy. Przeszła ten etap i to nie jej wina, że wszystko zaczęło się od początku. Zrobiła, co mogła, otoczyła się murem, to John wszystko spieprzył. Dzwoniąc do niej? A może jadąc tam? Wracając?

Nie wiedziała. Trzeba myśleć racjonalnie, to pierwsze. Można przegryzać się przez sprawę z terapeutą (założywszy, że cię na niego stać), a on będzie tylko mądrze kiwał głową, robił notatki, a potem powie, że widzi i rozumie, jak mogło to skupić jej świadomość na bezgranicznym żalu, z którego nigdy się nie oczyściła, wypisze rachunek na sto dolców i jestem bardzo szczęśliwy, że mogłem pani pomóc.

Ale ona wiedziała to, w co wierzyła. Co mówiła jej wiara. Bo przecież czy to wszystko nie zaczęło się przed telefonem Johna? Wydawało jej się, że tak. Że w supermarkecie nie znajdowała już rzeczy tam, gdzie powinny być, że budziła się z uczuciem, iż w nocy udusiła się niemal na śmierć... Przed jego telefonem. Kiedy już tam był, ale ona jeszcze o tym nie wiedziała.

Bo, oczywiście, był jeszcze jeden telefon, od kobiety, którą Carol знаła od małości. Mogła winić Johna, ile chciała, ale ta zabawa powoli zaczynała robić się nudna. Mogła go nienawidzić za to, co się stało wtedy, ale nie za to, co dzieje się dziś.

Tak czy inaczej, to się musi skończyć.

Musi się skończyć raz na zawsze. Koniec z

uciekaniem, z kryciem się, a przede wszystkim z robieniem tego, co inni ludzie chcą, żeby robiła. Na razie zamek może iść się pieprzyć. Skoro i tak nie przesypia nocy, drzwi mogą być otwarte, prawda?

Ha!

\* \* \*

Dziesięć minut później, uzbrojona w ciepły szlafrok i wielki kubek mocnej kawy, siedziała w kuchni z grubą księgą bardzo trudnych puzzli sudoku. Pozostało jej tylko doczekać ranka, wyglądać normalnie, gdy Rona przyjdzie po Tylera, a potem postanowić, co dalej. W blasku dnia wszystko wydaje się łatwiejsze. Promienie światła są jak pręty klatki chroniącej nas przed tym, co na zewnątrz. Chociaż trochę. Przeważnie.

Ma jeszcze coś do zrobienia?

Och tak, oczywiście, musi ocalić swoje zdrowe zmysły. No właśnie.

Była w połowie trzeciego puzzla, kiedy usłyszała cichy brzęk szyby tłuczonej w oknie z tyłu domu.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rano przede wszystkim poszedłem do biura motelu. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. Właścicielka była na miejscu, za ladą.

– Wyglądasz na człowieka ceniącego to, co ma – zauważyła.

– Przepraszam?

– Chyba że dzisiaj się wymeldowujesz? Chodzi mi o to, że zostajesz dłużej, niż zamierzałeś.

Szukałem na jej twarzy – i nie znalazłem – wyrazu świadczącego o tym, że ta uwaga miała być podchwytliwa.

– To miłe miasteczko – powiedziałem.

– Jasne, oczywiście.

– Od dawna tu mieszkasz?

– Od urodzenia.

Kiwnąłem głową i wróciłem do tematu będącego jednocześnie powodem mojej wizyty.

– Pies?

– Tak?

– Twój pies. Gdzie śpi? W nocy. Ma budę?

Roześmiała się.

– Do diabła, nie. Próbowалаm, kiedy jeszcze był szczeniakiem. Wył jak... no, sam wiesz, przecież mówiłam, że to podobno półkrwi wilk. Można było w to uwierzyć.

– A teraz?

Kiwnięciem głowy wskazała zaplecze za biurem.

– Zajmuje trzy czwarte mojego łóżka. W co lepsze noce. Dlaczego pytasz?

– Chyba coś słyszałem w nocy, za budynkiem. Pomyślałem, że to może on.

– Hm... nie, no nie wiem, co by to mogło być. Kiedyś niedźwiedź, może. Może. Ale od lat nikt nie widział niedźwiedzia blisko miasta. Od lat... no wiesz... od zawsze.

– Więc pewnie to był tylko wiatr.

– Najprawdopodobniej. W nocy nieźle się rozhulał. Nie dał ci spać?

– Coś nie dało.

\* \* \*

Silnik nie zapalił.

Zaraz po rozmowie z Marie poszedłem na Kelly Street. Cel miałem prosty, chciałem pojechać wprost do domu Robertsonów, ale kiedy wsiadłem i przekręciłem kluczyk w stacyjce, nic się nie stało.

Wysiadłem. Obrzuciłem samochód wściekłym spojrzeniem, stosując jedyne narzędzie do naprawy zbuntowanych pojazdów mechanicznych, z jakiego potrafiłem zrobić użytek. Ojciec wiedział, jak się robi takie rzeczy, ale ja nie odziedziczyłem po nim tego daru, zresztą współczesne wozy nie tak znowu chętnie poddają

się optymistycznemu podejściu do naprawy z użyciem klucza francuskiego. Otworzyłem maskę, by sprawdzić, czy stało się coś, co mogę zrozumieć (ukradziono silnik?), i jeszcze bardziej zawstydziłem się swojej głupoty.

A potem poszedłem do Write Sisters wiedziony myślą, że nie muszę przynajmniej marznąć, czekając, aż ktoś przyjedzie zrobić coś z tą kupą złomu. Kobieta za barem, której wcześniej nie widziałem, patrzyła, jak wchodzę do środka.

– Problemy z samochodem? – spytała.

– Nie zapala.

– Zabawne. Melanie miała to samo. Ja nie prowadzę dodała szybko. – To groźne dla naszej planety.

– Słusznie. Niestety, często o tym zapominam. Chociaż, biorąc pod uwagę, że mieszkam w Oregonie, będę musiał spalić jeszcze trochę węgla w tym tygodniu.

– Właśnie o to chodzi. – Dziewczyna zapaliła się do tematu. – Ludzie nie powinni tyle podróżować. Każdy z nas powinien być częścią własnego środowiska, kochać je, dbać o nie, a wreszcie do niego powrócić. To jest właściwy sposób na życie.

– Naprawdę? – spytałem, z trudem kontrolując brzmienie głosu. – I co się wtedy stanie? Jak to zmieni świat?

– Nie wiem. Ale uważam, że to dobry pomysł.

– Americano poproszę. Z mlekiem.

Podczas gdy robiła mi kawę, zapewne używając do tego ziaren z plantacji za domem i mleka od krowy

pasającej się na piętrze, ja rozmawiałem z firmą wynajmującą samochody. Po długich negocjacjach odniosłem wreszcie wrażenie, że ktoś kiedyś zrobi jednak coś w tej sprawie. Spojrzałem na dziewczynę stawiającą przede mną filiżankę.

– Sekundkę... mówiłaś, zdaje się, że ktoś miał podobny problem z samochodem. Że nie chciał zapalić.

– Melanie. Z salonu. Właściwie to mieszka dwie minuty spacerem stąd, więc jej samochód stoi tu na ulicy praktycznie cały czas. Pojawiła się z samego rana, miała pojechać zrobić ciasto na urodziny córki, za parę dni dziewczynka kończy dwanaście lat, nieprawdopodobne, ale jej samochód nie zapalił. Czeka na przyjazd Briana Jacksona. Może chcesz, żeby rzucił okiem i na twój?

– Brian to mechanik?

Skinęła głową, nie kryjąc dezaprobaty.

– Mogę wziąć tę kawę na wynos?

Przełała mi ją do jednorazowego kubka, a mnie tymczasem coś się przypomniało.

– Pracuje tu jeszcze jedna dziewczyna, ma niebieskie włosy...

– Jassie Cornell?

– Nic jej nie jest?

Dziewczyna spojrzała na mnie zdziwiona.

– Kiedy się ostatnio widzieliśmy, nie wyglądała najlepiej.

– Dziwna sprawa – przyznała. – Dziś rano nie miałam nawet pracować, ale jeszcze nie przyszła.

– Może jej też rozkraczył się samochód?

– Jasne, oczywiście. Jakby umiała prowadzić. Jest zdeklarowaną weganką.

Uśmiechnąłem się jak ktoś, kto usłyszał coś oczywistego i zrozumiałego, zabrałem papierowy kubek i wyszedłem na ulicę.

Kwadrans później niedaleko salonu fryzjerskiego zaparkowała biała półciężarówka. Facet, który z niej wysiadł, wszedł do salonu i po chwili pojawił się na ulicy, trzymając w ręku kluczyki.

Usiadłem na ławce. Przyglądałem mu się, zapewne Brianowi, jak wsiada do niebieskiego forda, robi coś w środku, a potem wysiada i podnosi maskę. Pogryzałem kupiony w kawiarni batonik muesli, który tego dnia wydawał mi się zleżały i gorzki. Mechanik spędził sporo czasu, grzebiąc pod maską forda, ale nie wywołał efektu, który by w jakiś sposób sygnalizował możliwość inicjacji procesu wewnętrznego spalania. W końcu do niego podszedłem.

– Ma pan jakieś pojęcie, w czym problem? – spytałem.

– Żadnego – przyznał, odwracając głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale nie wyjmując jej spod maski. – My się znamy?

– Mam samochód tam, po drugiej stronie ulicy. Też nie zapalił.

– Jeden z tych dni. Ktoś do niego przyjedzie?

– Tak.

– Uch. – Wyprostował się. Sprawiał wrażenie urażonego. – Może będzie miał więcej szczęścia. Pewnie immobilizer nawalił albo coś. Chyba będę musiał odholować go do warsztatu.

Wsiadł do forda, żeby spuścić ręczny hamulec. Przy okazji włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go, ot tak, żeby niczego nie zaniedbać. Silnik zaskoczył natychmiast. Wyłączył go, zapalił powtórnie. I tym razem mu się udało.

Spojrzeliśmy na siebie.

– Uch – powtórzył.

Poszedł do salonu, by przekazać Melanie wiadomość, że jej samochód najwyraźniej działa, odmówił przyjęcia pieniędzy i odjechał białą półciązarówką. Ja poszedłem do swojego wozu, otworzyłem go i wsiadłem. Włożyłem kluczyk w stacyjkę, przekręciłem i silnik zapalił jak gdyby nigdy nic.

– Uch – sapnąłem głośno.

\* \* \*

Zacząło się trzysta, może czterysta metrów za zjazdem.

Najpierw nie poświęciłem temu większej uwagi, pomyślałem tylko, że ktokolwiek sponsoruje oczyszczanie tego fragmentu górskiej drogi, nie robi sobie dobrej reklamy, ale kiedy do kawałków papieru dołączyły porozrzucane, co prawda w sporej odległości, fragmenty

ubrań, dotarło do mnie, że musiało zdarzyć się coś szczególnego. Może to walizka spadła komuś z bagażnika na dachu, wiatr rozniósł jej zawartość na cztery strony świata, a kierowca niczego nie zauważył?

Nagle dostrzegłem błysk fioletu i zjechałem na pobocze. Wysiadłem, zostawiając silnik na chodzie. Przeszedłem na drugą stronę, ku temu czemuś, co zaczepiło o szkarłatny dereń. Wiedziałem, z czym mam do czynienia, nim pochyliłem się nad krzakiem. Widziałem to parę dni temu. Sweter był brudny i przemoczony przez padający nocą deszcz. Wydzielał też dziwny zapach przebijający przez nieprzyjemną woń wilgotnej wełny. Jakby słodki. Fragmenty garderoby zaścielały zbocze opadające aż do płynącego dołem strumienia, zaplątane w gałęziach drzew.

Pojechałem dalej. Aż do celu towarzyszyły mi porozrzucane rzeczy, w tym dwie małe poobijane walizki, a ja nie wierzyłem już, by to wszystko wypadło z samochodu. Nikt nie zapakowałby małego drewnianego stolika do walizki, a jednak przy drodze leżał właśnie taki stolik, potrzaskany na kawałki wielkości zapalek, w towarzystwie resztek przeróżnych bibelotów i pozostałości oprawionej ślubnej fotografii.

Zaparkowałem przed bramą. Oparłem się o dzwonek, mocno i na długo. Brama po chwili się otworzyła. Powinienem pomyśleć, że jest coś dziwnego w tym, iż nikt nie broni mi wstępu, ale byłem wściekły i nie pomyślałem.

\* \* \*

Brooke Robertson stała przed największym domem. Znów była ubrana w czarne spodnium. Nogawki głośno łopotały na wietrze.

– Dzień dobry, panie Henderson – powitała mnie. – Co za przyjemna niespodzianka.

– Wcale nie musi być taka przyjemna.

– Jakież to podniecające!

Na trawniku leżały ubrania, wśród nich bluzka, którą Ellen miała na sobie podczas naszego pierwszego spotkania w Mountain View. Drzwi do jej domu były szeroko otwarte.

Spojrzałem na stojącą przede mną kobietę.

– Ludzie, co się z wami, do cholery, dzieje? – spytałem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – usłyszałem w odpowiedzi.

– Doprawdy?

Brooke się uśmiechnęła.

– Wyglądasz na zmęczonego. Problemy ze snem? Odkryłam, że bardzo pomaga na to dawka odpowiednio zwierzęcego seksu. Niewątpliwie znasz ten sposób?

– Telefon, dzwoniący w motelowym pokoju przez całą noc, niewiele pomaga.

– Jestem pewna...

– ... że nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jasne, nie



masz pojęcia. Jeśli chodzi o rozumienie opinii wyrażanych przez rozmówców, jesteś nieco opóźniona w rozwoju.

– Przeważnie po prostu ich nie słucham. Rzadko słyszy się coś interesującego. Szczególnie od mężczyzn w twoim typie. Zaryzykowałabym twierdzenie, że twoją specjalnością jest raczej działanie.

Powiedziała to w sposób, który wcale mi się nie spodobał.

Zrobiłem krok w jej stronę, wiedząc – i w ogóle się tym nie przejmując – że lada chwila mogę zacząć zachowywać się w sposób dla mnie niedopuszczalny.

– A może skupiłabyś się ten jeden jedyny raz i...

Ktoś zawołał mnie po imieniu. Brooke, idealnie spokojna, spojrzała ponad moim ramieniem na dom Ellen. Odwróciłem się. W moim kierunku szedł przez trawnik Cory Robertson, a za nim szeryf Pierce, trzymający w *ręku* bładoniebieską koszulę.

– Stoisz raczej blisko niej – zauważył szeryf, kiedy się do mnie zbliżyli. – Mam nadzieję, że nie doszło do kłótni. Zwłaszcza po naszej ostatniej rozmowie.

– Co ty tu, do diabła, robisz?

– Wykonuję swoją pracę.

– Ellen cię wezwała?

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– No... nie, oczywiście, że nie.

– W nocy zdarzyło się tu coś dziwnego – powiedział Cory. – Zadaniem szeryfa jest odkryć co.

– Dziwne? Jasne. Weszliście do domu Ellen, porozrzucaliście jej rzeczy. Leżą dobry kilometr wzdłuż drogi. Dlaczego? Naprawdę uważacie, że sobie na to zasłużyła?

– To nie tak – zaprotestował Cory.

Spojrzałem na Pierce'a.

– Naprawdę masz zamiar dopuścić, by uszło im to płazem?

– Zdaje się, że podchodzisz to sprawy nie od tej strony co trzeba – powiedział spokojnie Pierce. – Nie wszystko, co widzisz, należy do Ellen. – Pokazał mi męską prążkowaną koszulę od garnituru.

– A tak w ogóle to nie twoja sprawa – dodał Cory, odbierając od niego koszulę – ale oboje z siostrą spędziliśmy tę noc u przyjaciół w Yakimie. Kiedy wróciliśmy rano, drzwi obu domów były otwarte i... nooo... – Urwał i szerokim gestem wskazał trawnik.

– A gówno!

Spojrzeli na mnie jak rodzice i nauczyciel, będący świadkiem nieodpowiedniego zachowania, niepewni, które z nich ma obowiązek mnie skarcić.

– Więc kto waszym zdaniem mógł to zrobić? – nie ustępowałem. – Ellen? Siłą woli, ze szpitala?

– Nie z aż tak daleka. – Niemal czułem na karku uśmiech Brooke, ale nie sprawiłem jej przyjemności i nie odwróciłem się.

– Ellen nie ma w szpitalu – poinformował mnie Pierce po krótkiej chwili milczenia. – Wczoraj wieczorem

wypisała się na własne żądanie. Nikt nie wie, gdzie przebywa.

– Chyba że ty wiesz – mruknęła Brooke.

Przyglądałem się szeryfowi.

– Drzwi domu, w którym mieszkała, otwarto kluczem wyjaśnił. – Do domu Cory’ego i Brooke ktoś się włamał.

– Podstęp, który mógł wymyślić przeciętny ośmiolatek. A jeśli weźmiemy pod uwagę, do czego doszło, to czy nie powinno cię choć trochę obchodzić, gdzie jest w tej chwili Ellen Robertson?

Pierce mnie zignorował.

– Zbadam tę sprawę – obiecał Cory’emu. – Dzwon, jeśli coś się wydarzy.

Cory skinął głową. Był taki spokojny, tak wielkodusznie wybaczał innym niestosowność ich zachowania, że miałem ochotę dać mu po mordzie. Szeryf musiał to wyczuć.

– Pan Henderson ma tu coś do załatwienia? – spytał.

– Nic o tym nie wiem – odparł Cory.

– Więc pewnie zechcesz wrócić ze mną do bramy. – Szeryf delikatnie wziął mnie pod ramię.

– Jasne – wtrąciła Brooke. – Spadaj, koleś. Mamy dużo sprzątanania.

Uwolniłem ramię, odwróciłem się i odszedłem. Doszliśmy do drogi. Na Pierce’a czekał już policyjny wóz. Za kierownicą siedział zastępca Greene. Brama zasunęła się za nami. Przez całą drogę milczeliśmy, ale wreszcie szeryf spojrzał na mnie i powiedział:

– Nie będziesz sprawiał problemów, prawda?  
– Zależy, czy i kiedy weźmiesz się do prawdziwej policyjnej roboty.

Odwrócił się i przebiegł spojrzeniem wzdłuż drogi.

– Panie Henderson, to, co zdarzyło się pańskiemu synowi, było bardzo smutne, ale nie daje to panu prawa do robienia, co się panu podoba. Usługi świadczone krajowi też.

– Ktoś uznał, że zeszłej nocy powinienem obejrzeć pewną kartkę – powiedziałem. – O tym też chyba powinieneś wiedzieć.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– O Rumunkę o imieniu Ilena, podejrzewaną o zabicie europejskiego handlarza żywym towarem. Dziesięć lat temu. Miejsce jej pobytu pozostaje nieznane. Kartkę tę wsunięto mi pod drzwi pokoju. Potem ktoś dzwonił, co godzina, przez całą noc. Sądzisz może, że Ellen Robertson mogła zrobić jedno i drugie? Jeśli nie, to dowód, że nie ona jest tu problemem.

Szeryf obejrzał jeszcze drzewa, aż wreszcie spojrzął na mnie.

– Pamiętaj, co powiedziałem.

Wsiadł do samochodu. Przez chwilę rozmawiał z zastępcą, po czym odjechali.

\* \* \*

Otworzyłem drzwiczki i już miałem usiąść za

kierownicą, kiedy usłyszałem kobiecy głos powoli recytujący cyfry.

Brooke stała może pół metra od bramy, od strony posiadłości. Ręce skrzyżowała na piersi, a na jej usta powrócił ciepły uśmiech. Dostrzegła, że zwróciłem na nią uwagę, i powtórzyła cyfry w trzech oddzielnych seriach.

– I co z tego? – spytałem.

– Teraz znasz numery trzech telefonów: naszego domowego, komórki Cory’ego i mojej. Zapisz je sobie. Z łatwością dowiesz się, że żaden z nich nie służył hipotetycznemu nękanii cię zeszłej nocy.

Skinąłem głową.

– Pewnie uważasz, że jesteś strasznie cwana, Brooke. Ale w rzeczywistości jest to tylko dowód, że działasz z premedytacją.

– Nie wiem, kto do pana dzwonił, panie Henderson, ale daję słowo, że nie byłam to ja.

Wiedziałem, że postępuję w sposób, który może jej przynieść korzyść, ale wcale mnie to nie obeszło.

– O co tu właściwie chodzi? Powiedz mi, co tak naprawdę jest problemem.

– Nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić. A w ogóle to pewnie powinnam ci podziękować, bo twój przyjazd najwyraźniej posunął sprawy w pożądanym kierunku. Nie sądzisz, że twoja obecność jakoś wyprowadziła Ellen z równowagi? Być może zawróciłeś jej w głowie swoją surową męskością.

– Nie, serio – naciskałem. – Nie chodzi przypadkiem

o to, że jest ładniejsza od ciebie? No bo przecież z pewnością to zauważyłaś. I Cory też. Ciężko było żyć w towarzystwie bardziej atrakcyjnej kobiety? – Brooke roześmiała się wesoło. – A co gorsza, młodszej. Czy o to właśnie chodzi?

Sięgnąłem do samochodu i wziąłem coś z siedzenia pasażera. Podszedłem do bramy. Nie próbowała się cofnąć, nawet nie drgnęła. Stałem naprzeciwko niej, rozpiąłem sweter i sprawdziłem metkę.

– Dior. Drogie, prawda? Zakładam, że masz o tym jakieś pojęcie. Przypuszczam, że w swoim czasie tata kupował ci mnóstwo takich rzeczy. A kiedy pojawiła się Ellen, przestał, prawda? Wyleciało mu z głowy, bo urządził sobie nowe życie. Bo przecież to, że robimy się coraz starsi, ty też się starzejesz, Brooke, mimo ćwiczeń i tak dalej, nie przeszkadza, że w sercu wciąż mamy dziesięć lat. Zwłaszcza przy ludziach, którzy dali nam życie.

Twarz stojącej naprzeciwko mnie kobiety znieruchomiała.

– Czy to może być aż tak proste? Ellen jako młodsza siostrzyczka, która pojawiła się znikąd i skradła ci miłość tatusia?

– Jesteś bardzo nudnym i bardzo głupim mężczyzną.

– Już mi to mówiono. Więc... co powinienem zrobić z tym swetrem? Znaleźć Ellen i oddać go jej czy uważasz, że należy do ciebie? Jak Black Ridge wraz ze wszystkim w promieniu stu kilometrów?

– Być może takie siłowe metody sprawdzały się w twoim dawnym zawodzie, tutaj nie znaczą jednak nic.

Nie zareagowałem, co jest najłatwiejszym sposobem ukrycia, jakie wrażenie wywołuje tego rodzaju uwaga rzucona podczas rozmowy dwa razy w ciągu pięciu minut. Teraz, kiedy już przestała się uśmiechać, Brooke wyładniała. Przywoływała wspomnienie czarno-białych fotografii, które widuje się od czasu do czasu: grupa pionierów, kobiety siedzą surowe, zamknięte w sobie, mężczyźni stoją, co ma dowodzić ich dominacji, choć żaden z nich nie przeżyłby tygodnia bez żony. Można by nawet uznać ją za atrakcyjną, gdyby nie oczy, ciemne, płaskie, jakby wymalowane na odłamku skały.

Odwróciłem się i zamierzałem odejść, kiedy powiedziała:

– To ona spowodowała śmierć mojego ojca.

– Nie wierzę ci. – Ale jej głos się zmienił. Słońce zaszło, nagle zrobiło się jakby cieplej. I zapach wydzielany przez sweter też stał się nieco intensywniejszy. Był suchy, ale nadal słodki.

– Nie znasz ludzi tak, jak ja ich znam. I nie rozumiesz, jak wszystko się łączy.

– Sądzę, że spotykasz dokładnie takich ludzi, na jakich zasługujesz.

– Bardzo głęboka uwaga. Podoba mi się. Więc powiedz mi, co zrobiła twoja biedna żona, żeby na ciebie zasłużyć?

Brooke odwróciła się i odeszła podjazdem,

dołączając do obserwującego nas w milczeniu brata.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Gdzie jesteś, do cholery?

– Nie wiem.

Ellen nie odbierała telefonów przez prawie dwie godziny, a ja nie miałem ochoty na gierki, po prostu nie byłem w nastroju.

– Co to znaczy „nie wiem”?

– Nie... nie jestem pewna.

Udało mi się dowiedzieć, że po wypisaniu się ze szpitala, nieco po dwudziestej wczoraj wieczorem, wezwała taksówkę z miasteczka. Zamierzała wrócić do domu, ale po drodze uświadomiła sobie, że nie zniesie Robertsonów, więc kazała kierowcy jechać do Black Ridge.

– Równie dobrze mogłaś kazać mu zawieźć się do mnie.

– Nie wiedziałam, gdzie mieszkasz.

– Miałaś numer mojej komórki.

– Uznałam, że to nie byłby najlepszy pomysł.

Wysiadła, no i jakoś tak znalazła się w barze po przeciwnej stronie miasta niż Kelly Street i Mountain View. Wypiła więcej, niż zjadła, więc wkrótce poczuła się źle. Mężczyzna przy barze zaczął okazywać jej względy, doszło do wymiany zdań wymagającej interwencji barmana. Mężczyzna zniknął w ciemnościach nocy, Ellen zaś wypiła jeszcze trochę i poszła do motelu.

Rano obudziła się wcześnie, a wymeldowała na autopilocie. Chyba nie za dobrze wiedziała, co robiła aż do tej pory.

– No więc co teraz widzisz? – spytałem.

– Różne rzeczy.

– Boże... jak się nazywają?

Bezdźwięcznie, apatycznie wymieniła kilka nazw.

– Co? Czy przed chwilą powiedziałaś „Write Sisters”?

– Tak – wybełkotała.

– Odwróć się. Ta kawiarnia stoi prawie dokładnie naprzeciw baru, w którym się spotkaliśmy. Tego, do którego chodziłaś z Gerrym.

Ellen milczała.

– Słuchaj, obawiam się, że wyszłaś ze szpitala trochę za wcześnie. Odwiozę cię.

– Tam nie jestem bezpieczna.

– Zaufaj mi – powiedziałem bez zastanowienia. – W tej chwili w szpitalu jesteś znacznie bezpieczniejsza niż w domu.

Choć nieco zagubiona, te słowa rozszyfrowała bezbłędnie.

– Dlaczego? O co ci chodzi?

Nie miałem wyboru, musiałem powiedzieć, co się tam wydarzyło.

– Więc teraz wierzysz, że jestem w niebezpieczeństwie?

– Nigdy nie miałem powodu wątpić, że Brooke i

Cory źle ci życzą. Nie po tym, jak ich spotkałem. Słuchaj, wypij kawę. Zaczekaj na mnie.

– Nie wracam do szpitala.

– Ileno, zrób, o co cię proszę.

Zapadła cisza, a kiedy wreszcie Ellen mi odpowiedziała, jej głos dobiegał jakby z bardzo daleka.

– A więc wiesz?

– Mnie nie robi to żadnej różnicy.

– Zrobi. Tak jest zawsze.

\* \* \*

Zaparkowałem na Kelly Street i niemal natychmiast dostrzegłem postać, kobietę, skuloną przy kawiarnianym stoliku pod oknem. Wszedłem do środka. Spieszyłem się.

Kawiarnia była prawie pełna. Po drodze minąłem mechanika. Siedział sam, pogrążony w lekturze miejscowej gazety. Niedbale skinął mi głową.

Byłem już przy jej stoliku. Miałem wrażenie, że Ellen potrzebowała chwili, by mnie rozpoznać.

– Czekałam – powiedziała – ale nadal... nie jadę...

– Napijesz się czegoś?

Pokręciła głową. Podszedłem do lady, by zamówić kawę. Niebieskowłosa dziewczyna wróciła jednak do pracy i właśnie zmagala się z ekspresem. Miałem wrażenie, że się garbi. Musiałem dwa razy powtórzyć zamówienie, nim wymamrotała, że przyniesie kawę.

Wróciłem do stolika i uważnie przyjrzałem się Ellen.

– Prawdę mówiąc, nie wyglądasz za dobrze – stwierdziłem.

– Jakie to urocze.

– Nie chodzi mi o wygląd zewnętrzny. Bóle głowy? Zaprzeczyła.

– Jestem trochę oszołomiona, to wszystko. Chyba powinnam coś zjeść.

– Nie. Masz wstrząśnienie mózgu – orzekłem autorytatywnie. – Powinnaś wrócić do szpitala.

– Co powiedziałam, kiedy wszedłeś?

– Nie mam zamiaru zaciągnąć cię tam siłą. Nie jestem twoim tatusiem. Po prostu mówię, co myślę. Od ciebie zależy, co zrobisz z dostarczoną ci informacją.

– Jak wyglądałam w szpitalu?

– Całkiem nieźle. No, prawie. Mówiłaś różne dziwne rzeczy, ale tak to już z tobą jest.

– A teraz myślisz, że mam wstrząśnienie mózgu?

– Objawy mogą pojawić się z opóźnieniem. Właśnie dlatego zatrzymuje się ludzi na obserwację i dlatego powinnaś być właśnie tam. Musisz poczuć się naprawdę silna, żeby stawić czoło Brooke i Cory'emu.

– Stawić im czoło?

– Oni nie tylko zabawiali się twoimi rzeczami. Zawiadomili też policję.

– Nie mogę z nimi walczyć. Jeszcze nie zrozumiałeś? Nie chodzi tylko o nich.

– To wiem. Szeryf już cię szuka, przekonany albo udający przekonanego, że odpowiadasz za akt

wandalizmu wobec ludzi, których honor nakazuje mu bronić. Poza tym zna twoje nazwisko.

Ellen nie wyglądała na skoncentrowaną, ale ostatnie zdanie jednak do niej dotarło. Spojrzała na mnie. Wyglądała żałośnie.

– Jak? Jak się dowiedział?

– Trzeba było wbić mu do głowy, że jesteś...

– Ty... to ty mu powiedziałaś.

– Tak.

– Więc teraz wszyscy wiedzą. Ty wiesz, on wie...

– Nie będzie o tym gadał. To porządny chłop...

– Wszyscy wiedzą – powtórzyła posepnie. – Już nie ma Ellen. Witaj z powrotem, Ileno.

– Ellen...

Nagle zrobiło się chłodniej, jakby wiatr wiejący z ulicy znalazł sobie drogę przez szczeliny wokół drzwi i usiadł przy naszym stoliku. Ellen nie patrzyła mi w oczy.

I ani śladu mojej kawy. Spojrzałem za bar. Niebieskowłosa chyba ani drgnęła od chwili, gdy wszedłem. Założyłem, że coś jednak robi, bo w powietrzu wyczułem słodki zapach, prawdopodobnie syropu, choć dziwnie mocny. Cichy dźwięk kazał mi się odwrócić.

– Ellen... przestań, na litość boską!

– Co mam przestać?

– Ręce!

Spuściła wzrok, wyraźnie zdziwiona, i zobaczyła, że powoli przesuwając paznokciami jednej ręki po grzbiecie drugiej tak mocno, iż zadrapania krwawiły.

Cofnęła palce, przyjrzała się zadrapaniom, wzorowi długich linii przecinających się pod najbardziej niesamowitymi kątami. Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie potrafiłem też rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Wydawał mi się zwykłą ciekawością.

– Powinnaś wrócić do szpitala, Ellen.

Pokręciła głową.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Co ty mi chcesz powiedzieć? Że Ilena cię do tego zmusza? Powinnaś jednak...

– Ja jestem Ileną, ty dupku! – przerwała mi Ellen głośno. – Co ty sobie myślisz? Że to była jakaś głupia suka uwielbiająca samookaleczenie? Biedna, mała, rumuńska dziwka nie potrafi obronić się przed brzydkimi facetami, więc się tnie?

Wśród klientów kawiarni nie brakowało takich, którzy nie potrafili subtelnie podnieść wzroku znad lokalnych gazet.

– Może trochę ciszej? – zaproponowałem spokojnie. Gerry wiedział?

Odetchnęła ciężko i się uspokoiła.

– Nie od razu.

– Nie jest to informacja, od której zaczyna się znajomość, rozumiem.

– Powiedziałam mu później, ale przed ślubem.

– Wszystko?

– Rzeczy, o których nikt nie powinien musieć mówić komukolwiek. Szczególnie osobie, którą kocha.

– Nic go to nie obeszło?

– Oczywiście, że obeszło. Chciał cofnąć się w czasie i znaleźć człowieka, który tak mnie skrzywdził. Powiedziałam mu, że to tak nie działa i że nie potrzebuję ochrony, ale... jego ochrona mi nie przeszkadza. Zrobił to w sposób, dzięki któremu nie czułam się tak, jakby coś mi zabierał. A jeśli chodzi o to, co się zdarzyło w Berlinie, to powiedział, że jest ze mnie dumny.

– Ja też byłbym z ciebie dumny.

– Ty nie masz powodu. – Czułem, że Ellen znów się ode mnie oddała. – Ostatnio nie byłam tak silna. Ani taka dobra.

– Co masz na myśli?

– Ludzi zawsze interesuje numer jeden, prawda?

Przez chwilę wydawało się, że powie coś jeszcze, ale nie, zamknęła się jak ostryga.

– A to uczucie, że jesteś obserwowana, jesteś w niebezpieczeństwie, pojawiało się jeszcze za życia Gerry'ego?

Pokręciła głową.

– Ale czasami było mi bardzo smutno, bez powodu. To dlatego tak się pokłóciliśmy o dziecko, właśnie tamtego dnia. Ja tylko... no, wydawało się, że wszystko idzie nie tak. Jakby umierało. A jeszcze przez kilka nocy źle spałam. Ale to nie to samo. – Umilkła, wahała się przez chwilę. – Czy rozumiałeś to, o czym mówiłam ci w szpitalu? – spytała w końcu.

– Jak to „rozumiałeś”?

– Czy zrozumiałeś, że nic z tego tak naprawdę się nie wydarzyło?

Spojrzałem na nią zdumiony.

– Jak to? Zdaje się, że powiedziałaś mi, iż to czarownica?

– Tak. Właśnie tak. Sprawiają, że wierzysz w rzeczy, które nie są prawdziwe. Że widzisz to, czego nie ma. Mówiłam ci o różnych rzeczach, ale one tak naprawdę wcale się nie zdarzyły. Żadna z nich.

Poczułem się nieprzyjemnie zaskoczony, ogłupiały. Jeśli już uznałeś, że ktoś oszukuje samego siebie, to chcesz sam mu o tym powiedzieć.

– I... ?

– Wszystko to działo się wyłącznie w mojej głowie. Ellen wahała się przez chwilę, po czym chyba podjęła decyzję. – Miało przestać, ale nie przestało. Byłam głupia, wierząc, że kiedykolwiek się skończy. Że w ogóle może się skończyć. A wczoraj wieczorem... wczoraj wieczorem usłyszałam stukanie w okno mojego pokoju w szpitalu.

– Stukanie? – Pomyślałem o odgłosie drapania w ścianę motelu. – I co to było?

– Gerry.

– Gerry?

– Siedział na parapecie. Od zewnątrz. Jak wielki ptak.

Poczułem, jak napina mi się skóra na karku.

– Wiesz, że jego tak naprawdę nie było, prawda? Że miałaś pokój na drugim piętrze.



Wzruszyła ramionami.

– Co... co robił?

– Patrzył na mnie, jakby nigdy mnie nie kochał. – Odwróciła wzrok. – Właśnie dlatego musiałam wyjść ze szpitala. Ale już jest za późno.

– W dniu śmierci. – Spróbowałem wrócić do spraw, które byłem w stanie zrozumieć – Myślisz, że mógł zmienić zdanie na jakiś temat? Sama mówiłaś, że...

Za naszymi plecami rozległ się przeraźliwy krzyk. Odwróciłem się. Jakaś kobieta cofała się od lady, za którą stała obsługująca nas dziewczyna. Nie poruszyła się, tkwiła w miejscu pochylona nad ekspresem do kawy. Biła z niego para... o wiele za gęsta.

Klientka wrzeszczała. Niebieskowłosa odwróciła się powoli. Twarz miała białą jak papier, czerwone ręce trzymała przed sobą, a kiedy wyszła z lady, widać było, że z nich też bije para. Zerwałem się i zrobiłem krok w jej stronę. Patrzyła na mnie tępo.

Zatrzymałem się, wyciągając ręce, pokazując, że nie chcę zrobić jej krzywdy. Przypomniałem sobie jej imię – Jassie – I wymówiłem je głośno. Znowu spojrzała na mnie nieprzytomnie, sprawiając wrażenie, jakby znajdowała się gdzieś poza rzeczywistym światem.

– Dlaczego nie masz twarzy? – spytała nagle, cofając się.

Nie wiem, jak mogła źle ocenić moje intencje, przecież chciałem tylko jej pomóc, lecz nagle rysy jej twarzy rozciągnęły się przeraźliwie pod wpływem czegoś,

co z pewnością było straszne; usta wykrzywiły się i opadły, jakby zaczęły się topić, w wytrzeszczonych oczach zabłysło śmiertelne przerażenie i skrajna nieufność. Wyglądało to tak, jakby dziewczyna zorientowała się nagle, że nikt z nas nie jest rzeczywisty, a wszyscy chcemy ją skrzywdzić. I nadal próbowała się przede mną cofać, wcale nie w kierunku drzwi, tylko wielkiego panoramicznego okna.

Chciałbym wierzyć, że się potknęła, ale nie sądzę, by tak rzeczywiście było. Wpadła na jedno z pustych krzeseł, ale nie krzesło popchnęło ją i pochyliło do przodu. Sama to zrobiła. Podeszła do okna, a potem rzuciła się na nie, głową do przodu.

Opadła gardłem na ostrą dolną krawędź, przycisnęła ją do niej bezwładność i ciężar ciała. Górna część szyby opadła w wielkich, groźnych odłamkach na jej plecy, kark i głowę, a potem uderzyła w ziemię, rozbijając się na drobne kawałki. Towarzyszył temu taki dźwięk, jakby prawie wszystkie naturalne odgłosy świata rozległy się jednocześnie, a potem została tylko martwa cisza.

\* \* \*

Kilka osób zerwało się z miejsc i uciekło z kawiarni. Reszta zamarła, wpatrzona w resztki okna oraz ciało, leżące częściowo wewnątrz, a częściowo na zewnątrz, jakby wyrzucone na plażę oceanu, którym była kałuża krwi, rosnąca pod nim tak szybko, że przypominało to

oglądanie przyspieszonego filmu.

W swoim czasie widziałem chwilę śmierci częściej, niżbym chciał, ale okazało się, że można ją rozpoznać już za pierwszym razem. Ludzie zaczęli szlochać, mówić i krzyczeć. Parę osób chwyciło komórki i zaczęło poszczekiwać na operatorów. Ellen przyglądała się leżącym twarzą w dół zwłokom z wyrazem tępej rezygnacji. Kobieta, która krzyknęła pierwsza, wrosła w chodnik tuż przy wejściu, bezradnie machając rękami, najwyraźniej niezdolna się poruszyć. Podszedłem do niej szybko.

– Co się stało? – spytałem.

Nie była w stanie zrozumieć, co mówię, oprzytomniała nieco, dopiero gdy delikatnie położyłem rękę na jej ramionach i spytałem po raz drugi: „Co właściwie się tam zdarzyło?”.

– Ja tylko pytałam, czy dobrze się czuje – powiedziała kobieta obronnym tonem. Patrzyła w stronę kawiarni, ale wyraźnie omijała wzrokiem rozbite okno. – Nie przychodziłam przez parę dni, Jassie zawsze była taka przyjazna i w ogóle, pomyślałam, że wygląda na zmęczoną albo jakby straciła na wadze, więc spytałam, czy dobrze się czuje. Nie odpowiedziała, a potem zobaczyłam, że... – Urwała, spojrzała na mnie i spytała; – Kim pan jest? Czy my się w ogóle znamy?

Słyszałem już wycie syren zbliżających się szybko policyjnych radiowozów. Ludzie zaczęli wychodzić z mieszczących się po sąsiedzku biznesów, gromadzić się

na chodniku, powoli, z pochylonymi głowami, jakby podchodzili do pudła, które zakazano im otwierać, a jednak ciekawość okazała się silniejsza. Z kawiarni też wylał się już tłumek i kręcił się pod ścianą. Z Mountain View wyszły dwie osoby: młody barman i starszy od niego mężczyzna, którego rozpoznałem.

Barman zachował się jak większość, natomiast starszy facet pochylił się gwałtownie do przodu, jakby miał zwymiotować już, w tej chwili, po czym odwrócił się i odszedł sztywno, lecz szybko, zasłaniając rękami twarz.

Kiedy wróciłem do kawiarni, Ellen nie było już przy stoliku. Znikła. Radiowóz wypadł zza rogu na Kelly Street i zahamował z piskiem opon. Wyskoczyli z niego szeryf i zastępca szeryfa Greene. Zastępca rzucił okiem na rozbite okno i powiedział z niesmakiem: „Jasna cholera”. Szeryf ocenił sytuację jednym długim spojrzeniem i oczywiście dostrzegł mnie. Podczas gdy jego człowiek zaczął usuwać ludzi z drogi, ruszył w moją stronę.

– Masz się stąd wynieść. Natychmiast – powiedział cicho, lecz bardzo wyraźnie. – Albo cię aresztuję. Rozumiesz?

– Czy to jakiś dowcip?

– A czy wyglądam ci na dowcipnisia?

Nie wyglądał.

– Widziałem tę dziewczynę w szpitalu – poinformowałem go mimo wszystko. – Jassie. Tego dnia,

kiedy Ellen Robertson miała wypadek. Była sama w pokoju, siedziała na łóżku, łzy ściekały jej po policzkach.

Zza rogu wyjechał kolejny radiowóz. Pierce zerknął na wyskakujących z niego kolejnych dwóch gliniarzy. W jednym z nich rozpoznałem Phila, z którym zetknąłem się przelotnie trzy lata temu. Usłyszałem kolejną, jeszcze daleką syrenę. Prawdopodobnie karetka.

– Zapamiętam – obiecał mi Pierce. – A ty wynoś się z miasteczka albo, przysięgam na Boga, pożałujesz.

Cofnąłem się o krok.

– Proszę bardzo, spróbuj.

Przeszył mnie płonącym spojrzeniem, jakby rozważał powiedzenie czegoś jeszcze, ale w końcu odwrócił się, by jakoś uporządkować chaos rządzący ulicą za jego plecami.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Mogłem zrobić tylko jedno: odwiedzić reklamę życia prawdziwego mężczyzny, mieszkającego może półtora kilometra dalej. Minąłem zjazd pół kilometra za drogą do naszego domu, zatrzymałem się przy sąsiednim, prowadzącym w przeciwną stronę, ale nie dostrzegłem samochodu, którego szukałem. Opóźniona reakcja na to, co zdarzyło się w kawiarni, spowodowała, że ruchy miałem gwałtowne i nieopanowane.

Dwie minuty później trafiłem na podjazd po prawej. Zjechałem w niego koło skrzynki na listy ze schludnie wypisanym z boku nazwiskiem „Collins”. Pomyślałem, że przez cały czas, kiedy tu mieszkaliśmy, nigdy nie pojechałem z Carol tą drogą tak daleko. Nie miałem pojęcia dlaczego. Jasne, w okolicy było mnóstwo interesujących rzeczy do zobaczenia, wszystkie w dowolnym innym kierunku, ale i tak wydało mi się to dziwne. Zapewne są takie drogi, którymi nie pojedziesz, póki nie zmusi cię do tego jakaś siła pozostająca poza twoją kontrolą.

Podjazd skręcał w prawo. Kończył się okręgiem przed domem dwa razy większym i nawet w połowie nie tak atrakcyjnym jak nasz. Przed budyneczkiem nieudolnie udającym szopę stały rzędem trzy samochody: małolitrażowy, kombi i ciemnozielony SUV. Coś na każdą okazję.

Zaparkowałem, blokując wszystkie trzy.

Zadzwoiłem. Drzwi frontowe otworzyły się po kilku minutach.

Facet, którego widziałem wychodzącego z Mountain View, odzyskał już nad sobą kontrolę. Żonie i dzieciom, które słyszałem pokrzykujące i bawiące się gdzieś w głębi, mógł nawet wydawać się całkiem normalny.

Prawie zdążył przywitać mnie przyjacielskim uśmiechem dobrego sąsiada, nim jego twarz znieruchomiała.

– Cześć – przywitałem go. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz... – przerwałem na ułamek sekundy i mówiłem dalej ... ale spotkaliśmy się kilka dni temu przy tym domu na sprzedaż, może półtora kilometra stąd.

– Pamiętam – odparł sztywno, wiedząc, że spotykamy się nie po raz ostatni i że ja też dobrze o tym wiem. Oczywiście.

– Richardzie, kto przyszedł?

Kobieta, która wyszła z kuchni, uśmiechnęła się do nas promiennie. Chuda jak szczapa, mniej więcej w wieku męża, sprawiała wrażenie pozytywnie nastawionej do świata.

– Właśnie sobie pomyślałem, że ten dom niespełna dwa kilometry stąd warto jednak wziąć pod uwagę. – Uśmiechnąłem się do niej, ale cały czas mówiłem do jej męża. – No i chciałbym zadać kilka pytań dotyczących okolicy, nim ściągnę rodzinę, żeby się tu rozejrzała.

– Jakich pytań? – spytał Collins.

– Niech pan wejdzie, proszę. – Jego żona zrobiła krok w moim kierunku. – Właśnie zaparzyłam kawę.

– To bardzo uprzejme z pani strony, dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie mam czasu. Proszę tylko o krótką rozmowę.

Przewróciła oczami, jakby to była tylko jeszcze jedna z tych zabawnych rzeczy, które przytrafiają się jej przez całe życie, i nie tracąc pogody ducha, zniknęła w głębi domu. Wycofałem się z progu i gestem poleciłem gospodarzowi iść za mną.

– Czego chcesz? – spytał cicho.

– Rozmowy. Nie wyjdę, póki nie porozmawiamy.

Zatrzymał się w połowie drogi do mojego samochodu.

– Dalej nie trzeba – oznajmił.

– Zechcesz mi powiedzieć, co się zdarzyło w Black Ridge?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Widziałem cię na Kelly Street. Usłyszałeś, że na ulicy coś się dzieje i byłeś wystarczająco blisko, by zobaczyć kolor włosów dziewczyny, która właśnie przebiła głową szybę. Zamiast pogapić się albo odwrócić i zwyczajnie odejść, uciekłeś. Uciekałeś dokładnie jak ktoś, kto ucieka, ale nie chce, żeby to, co robi, wyglądało na ucieczkę. Właśnie o tym mówię.

– Byłem... cóż, to mogło wyprowadzić człowieka z równowagi.

– Tak po prostu czy może istniały jakieś osobiste



powody?

Znałeś Jassie?

– Nie. To znaczy, oczywiście, znałem ją z widzenia. Piłem u nich kawę chyba ze sto razy.

– Z widzenia i nie lepiej, tak?

– Oczywiście. – Udawał, że jest oburzony, ale za mało w nim było siły.

– Czy masz zwyczaj pić alkohol o tej porze dnia? Rano? Nie wyglądasz mi na takiego.

– Bo... no, mam dużo na głowie. Interesy.

– Rozumiem. Czy to interesy sprowadziły cię wczoraj do Hope Memorial?

– Co? – Patrzył na mnie, zdumiony.

– Byłem tam z wizytą. Wyjeżdżałem, kiedy ty wjeżdżałeś. Dziwne, ale zaledwie parę minut wcześniej widziałem Jassie Cornell. W sali chorych.

– Wolałbym, żebyś już poszedł.

– Och, tego jestem pewny. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Nim Jassie się zabiła, zrobiła jedną rzecz. Wiesz jaką?

Wpatrywał się we mnie, miał ściągniętą twarz.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego myślisz...

– Podstawiła ręce pod odpływ ekspresu do kawy. Włożyła je w strumień gorącej pary i trzymała tak długo, aż pojawiły się na nich bąble. Byłem niespełna pięć metrów od niej, ale przysięgam, że czułem zapach palącej się skóry. Dziwne, prawda?

Przełknął z wysiłkiem, oczy miał ślepe, jak ze szkła.

– Masz miłą żonę – powiedziałem. – Może nawet zbyt miłą? Wiem, jak to jest.

– Opuść moją posiadłość. Już. Albo zadzwonię na policję.

– Policja jest jeszcze pewnie przed kawiarnią. Mają tam sporo roboty. Przyjadą, ale trochę to potrwa. A ja już tu jestem. – Milczałem chwilę, czekając, aż dotrze do niego znaczenie moich słów. – Ale masz rację. Pozwoliłem sobie zająć ci zbyt dużo czasu.

Otworzyłem drzwiczki samochodu, ale nim wsiadłem, odwróciłem się i spojrzałem na niego. Nie ruszył się z miejsca.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedziałem. – Chodzi o rodzinę mieszkającą kiedyś w tym domu na sprzedaż.

Milczał. Czekał.

– Chodzi o mnie. To mój syn zmarł.

Z odległości trzech metrów słyszałem, jak przełyka.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś przestał rozpuszczać plotki na ten temat. Bo wiesz, takie plotki to miecz obosieczny. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinął głową. Niemal niedostrzegalnie.

\* \* \*

Kiedy zaczęło padać, siedziałem na końcu pomostu nad Murdo Pond. Zaczęło się od mgły zbierającej się wśród drzew, opadającej i stopniowo gęstniejącej w formę kropli. Wydawało się, że padając na powierzchnię

jeziora, znikają, jakby woda była tak ciężka i gęsta, że te krople wchłaniała.

Po terenie, na którym stał nasz dom, kręciłem się od przeszło godziny. Palilem papierosa za papierosem. Było już późne popołudnie. Temperatura spadła o kilka stopni, a wyglądało na to, że zrobi się teraz zimniej. Deszcz miał wkrótce przestać padać i jeśli nic się nie zmieni, lada chwila będziemy mieli śnieg. Kurtka została w samochodzie. Drżałem jak osika. Trochę z powodu zimna, ale nie tylko, chociaż czułem, jak przenika z wody na pomost, i niemal widziałem je, gromadzące się na powierzchni jeziora.

Siedziałem i myślałem o twarzach.

Po pierwsze, o twarzy, którą widziałem we wstecznym lusterku, odjeżdżając spod domu stojącego dalej przy tej samej drodze, którą jechało się do naszego domu.

I o twarzy Jassie tuż przed tym, nim rzuciła się na okno, odchodząc przez nie z naszego świata.

Wiem, że kiedy skupisz się na czymś, co tkwi głęboko w twoim umyśle, szczególnie na wspomnieniu, zaczynasz wierzyć w najdziwniejsze wiążące się z tym rzeczy. Wyobrażenie zmienia się, przekształcane przez rozważający je umysł, tworząc coś przypominającego rzeczywistość, lecz znajdującego się poza jej granicami, stojącego okrakiem nad szarą strefą oddzielającą świat od tego, jak go postrzegasz. Wiem też, że znajdujemy prawidłowości tam, gdzie ich nie ma. Mimo to wierzę, że

wiedziałem, co widzę.

Na twarzy mężczyzny malował się czysty strach. Przerazenie kogoś, kto źle postąpił i doskonale o tym wie.

Na twarzy dziewczyny, leżącej teraz na stole gdzieś tam, zimnej, obojętnej na nieważne rozmowy mężczyzn i kobiet, których pracą było odczłowieczenie jej ciała przed pogrzebaniem go bezpiecznie w ziemi, widziałem coś znacznie trudniejszego do nazwania. A jednak dokładnie pamiętałem, skąd znam ten wyraz twarzy, i już nie lekceważyłem, nie aż tak, tego, co mówiła Ellen, a przynajmniej jej opisu Gerry'ego w chwili śmierci.

Twarz Jassie Cornell wyglądała jak buzia Scotta w moim ostatnim wspomnieniu. To obraz, do którego w ciągu ostatnich trzech lat wielokrotnie wracałem pamięcią nocami.

Nikommu nigdy nie uda się wejść w głowę kogoś innego. Jedyne, czego możemy dokonać, to czytanie tego, co widać na zewnątrz. Mimo wszystko wierzyłem głęboko, że o czymkolwiek myślała młoda kelnerka w ostatnich chwilach życia, było to bardzo podobne do myśli mojego Scotta stojącego niemal dokładnie w miejscu, w którym teraz siedziałem, patrzącego nad moim ramieniem tak, jakby wszystko, co w swoim przekonaniu poznał i zrozumiał przez cztery lata, zostało w jednej chwili unicestwione, jakby nagle poznał jakąś ohydłą prawdę o stworzeniu i wszystkim, co ono obejmuje.

Nie wiedziałem, co wiąże te trzy sprawy. Mogło być przypadkiem, że Gerry Robertson dostał ataku serca tuż

przed tym, nim być może pogodził się z tym, że jego żona pragnie mieć dzieci. A mogło nie być.

Szczegóły tego, co łączyło niebieskowłosą kelnerkę z kawiarni i mężczyznę z wielkim domem i trzema samochodami, też pozostawały przede mną ukryte, a tajemnica śmierci Scotta była tajemnicą taką jak przedtem. Wzbogaciłem się za to o znajomość pewnych szczegółów. Po pierwsze, prawdopodobnie dwoje innych ludzi zginęło podobnie jak on. Po drugie, w mojej głowie odbijało się echem słowo użyte przez Ellen;

„Kara”.

Kara dla mężczyzny, który w każdej chwili mógł osłabić pozycję finansową dzieci. Kara dla sprytnego faceta w średnim wieku, pijącego samotnie, późnym rankiem.

I może jeszcze dla kogoś.

Wstałem przy wtórze trzasku przemarzniętych stawów. Czuję się stary i samotny. Były sprawy, o które chciałem spytać Ellen, ale nie mogłem się do niej dodzwonić. Siedziałem na pomoście, nic nie robiąc, tak długo, jak mogłem, aż widok jeziora stał się nieznośny. Miąłem mój dom, nie poświęcając mu nawet spojrzenia.

Było dwóch mężczyzn, z którymi musiałem pogadać.

\* \* \*

Zapinając pas bezpieczeństwa, usłyszałem sygnał telefonu. Miałem nadzieję, że Ellen wreszcie

zdecydowała się nawiązać ze mną kontakt, ale to nie była ona.

– Cześć – rzuciłem rażno. – To naprawdę nie jest najlepszy moment.

Płakała, zachłystując się szlochem. Rzadko tak ktoś płacze, z wyjątkiem małych dzieci.

– Uspokój się, Becki. O co chodzi?

W ciągu dwudziestu czterech godzin, które upłynęły od czasu, gdy wysłałem jej dziesięć tysięcy dolarów z sumy pozostałej mi po rozwodzie, Kyle zdołał pobić własny rekord. Są faceci chętnie otwierający drzwi, których inni, mądrzejsi od nich, nawet nie zauważają. On, zdaje się, czerpał satysfakcję z wywalania ich z zawiasów.

Zamiast wykorzystać gotówkę, spłacić długi i odnowić życie na ziemi, kupił więcej narkotyków, tym razem od gości z Astorii. Sprzedali mu towar. Poszli za nim zaułkiem i towar zabrali. Od tamtej pory Kyle topił smutki w kolejnych barach, używając pozostałości oryginalnych funduszy wspartych resztką moich pieniędzy. Zaczął zachowywać się nieprzewidywalnie i gwałtownie. Nie spał przez trzy noce; Becki przedstawiła stan jego umysłu jako usprawiedliwienie decyzji, którą podjęła.

Słuchałem jej, prawie nic nie czując. Wszyscy są pewni, że poradzą sobie z narkotykami: gwiazdy rocka na próbach, twardzi chłopcy z rogów ulic, gospodynie domowe z receptą od zaprzyjaźnionego lekarza w ręku.

Narkotyki przez jakiś czas przyglądają im się z rozbawieniem, choć pobłażliwie, a potem wyprowadzają ich z pokoju i spuszcza im łanie. Byłem wściekły na Kyle'a, to jasne, ale nie uważałem za swój obowiązek wtrącania się w układ, który miał zamiar zawrzeć z Iosem. W pewnym momencie nie rozmawiasz już z człowiekiem, lecz z narkotykiem, a w tym stanie wszyscy mówią to samo tak samo, ponieważ narkotyki są groźne, upiorne, złośliwe, amoralne, całkowicie poza granicą ludzkiego pojmowania.

Nagle wychwyciłem między chlipnięciami inny dźwięk, i to sprawiło, że zwróciłem na Becki baczniejszą uwagę.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Nie, nic – zaprzeczyła szybko, ale ja doskonale wiedziałem, co słyszę. Tak mówi ktoś, kogo coś boli.

Nie chciała mi nic powiedzieć, ale w końcu to od niej wyciągnąłem. Ostatniej nocy, najprawdopodobniej wtedy, gdy przyglądałem się rysom na tylnej ścianie motelu, z niespokojnego snu wyrwał ją sygnał domofonu. Założyła, że Kyle wreszcie wrócił na ziemię. Wskoczyła z łóżka, by zrobić mu awanturę, a potem przytulić, a może jedno i drugie?

Ale to nie był jej chłopak.

Chcieli, by Kyle dostał ich wiadomość, gdy tylko przekroczy próg, kiedykolwiek miałyby to nastąpić, więc poświęcili uwagę przede wszystkim twarzy. Nie zrobili rzeczy oczywistej w przypadku dwóch mężczyzn, ale

tylko dlatego, że, jak wynikało z relacji, byli zawodowcami. Na dłuższą metę to raczej zła wiadomość.

Byłem spokojny, ale nie w ten dobry sposób. Byłem spokojny jak warstwa lodu formująca się na powierzchni głębokiego, zimnego jeziora.

– Kyle o tym wie? – spytałem.

– Powiedziała mu dziś rano, przez telefon.

– Więc dlaczego nie jest w domu, przy tobie?

Na to pytanie Becki nie odpowiedziała.

– Spakuj torbę i przenieś się do ojca – poleciłem jej.

– Oszalałeś? Nie może mnie teraz zobaczyć.

– Jeśli się dziś nie przeprowadzisz, to może nigdy cię nie zobaczy.

– John, wyglądam, jakbym zjechała po schodach na twarzy. Kiedy tata to zobaczy, osobiście skreśli Kyle'owi kark.

– To jego prawo.

– John, nie mogę dopuścić...

– Becki, masz zrobić, co powiedziałem. – Znowu się rozpląkała. – Zdumiewa mnie, że ci ludzie jednak ci odpuścili. To się więcej nie powtórzy. Rusz się. Zabierz wszystko, co przedstawia dla ciebie jakąś wartość. I nie zostaw niczego z adresem rodziców i ich numerem telefonu. Albo twoim. Kiedy wyjdiesz z domu, przede wszystkim upewnij się, że nikt cię nie śledzi. Nie wracaj.

– Ja... no, nie wiem...

– Słuchaj, mogę ci pomóc, tylko jeśli mi na to pozwolisz. Powiedz mi, że zrobisz, co każę. Obiecuj, że to



zrobisz.

Powiedziała, że robi.

– Kiedy już dotrzesz do taty, zadzwoń do Kyle’a.

– Nie odbiera od rana. Od kiedy powiedziałam mu...  
co się stało.

– Więc zostaw wiadomość. Powiedz, że rozmawiałaś ze mną. Powiedz, że sprawy finansowe da się wyczyścić, ale uważam cię za przyjaciółkę i skłonny jestem zrobić bardzo wiele, by cię chronić. Wyjaśnij, że jeśli natychmiast do mnie nie zadzwoni, ja porozmawiam z nim znacznie poważniej, niż jest sobie w stanie wyobrazić. Masz wyraźnie podkreślić słowo „porozmawiam”. Zrozumie, co mam na myśli.

Słyszałem, jak Becki pociąga nosem, przeciera oczy i w ogóle próbuje zebrać się do kupy. Niemal widziałem, jak rozgląda się po mieszkaniu, notując w pamięci, co jest warte zabrania, a co nie.

– Powiem mu. Jasne.

– Pamiętaj, wynoś się stamtąd – powtórzyłem nieco łagodniej. – Zaraz, natychmiast. Już tam nie mieszkasz.

– Dobrze. – Zawahała się. – Mówiłeś szczerze? Że skłonny jesteś dużo zrobić...

– Becki, muszę już kończyć.

Zamknąłem telefon i wyjechałem na drogę.

\* \* \*

Najpierw wróciłem do Black Ridge. Podjechałem

pod biuro szeryfa. Szeryf kazał mi czekać czterdzieści minut.

Wysłuchał relacji o śmierci Jassie, nie robiąc żadnych notatek. Podziękował, że poświęciłem mu swój cenny czas. Spytałem, czy znane mu jest obecne miejsce pobytu Ellen Robertson. Odparł, że nie. Spytałem go, co by zrobił i dokąd się udał, gdyby był ofiarą wypadku samochodowego, a ludzie, w założeniu mający się nim opiekować, przewrócili mu dom do góry nogami. Poinformował mnie, że moja interpretacja wydarzeń jest błędna.

– Co ci ludzie mają zrobić, żeby gliniarze przestali wreszcie przymykać oko na ich wyczyny?

– Coś konkretnego. Żeby można było rozpocząć śledztwo.

– Kartka z informacją o przeszłości Ellen, przeszłości, którą najoczywiściej w świecie ją torturowali, nie wystarczy?

– Przypominam ci, że nigdy tej kartki nie widziałem.

– Mam nadzieję, że nie nazywasz mnie kłamcą.

– Nie, chociaż mam prawo rozważyć taką możliwość. Bez kartki nie mogę nic zrobić. Spaliłeś ją. Można też dowodzić, że skoro pani Zaituc, jeśli Ellen rzeczywiście nią jest, podejrzewana jest o morderstwo dokonane w Europie, Robertsonowie okazali jej życzliwość, nie informując o tym władz.

– Chyba rzeczywiście mógłbyś próbować tego dowieść. Założywszy, że nie wsadziłeś języka w tyłek tej

rodziny za głęboko i ciągle jeszcze jesteś w stanie wypowiadać się w sposób zrozumiały.

– Panie Henderson, nam zamiar wyjaśnić panu pewne sprawy w sposób najprostszy z możliwych. – Wyjął kartkę z podajnika drukarki stojącej na regale przy jego biurku. Założył, że to jest Black Ridge – powiedział. Długopisem zaznaczył wielki krzyż pośrodku. – To rodzina. – Postawił mały krzyżyk przy dolnej krawędzi kartki. – To ja. – Postawił nasadkę długopisu mniej więcej pomiędzy znakami. – A to jesteś ty.

– Zgubiłem się – przyznałem.

Podniósł kartkę z jednego końca. Nasadka przewróciła się, zjechała po papierze i blacie biurka i spadła na podłogę.

– Teraz wszystko jasne?

– Minąłeś się z powołaniem – powiedziałem. – Szkoły w całym kraju modlą się o tak wielki talent pedagogiczny. Potrafisz wyjaśniać jak nikt.

– Bo też na tym polega moja praca. Na wyjaśnianiu spraw. Bez przerwy. Do znudzenia. Ludziom, którzy nie są w stanie zrozumieć od razu. – Spojrzał na mnie chłodno. – Mamy tu społeczność, panie Henderson. Nie jest pan jej częścią. Wiem, że rozumiałeś, iż właśnie taki był cel naszej małej demonstracji. Ja jestem. Robertsonowie także, wraz z grupką ludzi, których rodziny osiedliły się tu dawno, bardzo dawno temu. Czasami właściwą rzeczą jest po prostu zachowanie status

quo, jeśli status quo utrzymywane było dłużej niż życie któregośkolwiek związanego nim człowieka. Jako policjant, w pracy muszę stosować jak najprostsze zasady, a w tym przypadku nie mam dosłownie nic, co mogłoby wskazywać na konieczność podjęcia akcji przeciwko Brooke lub Cory'emu.

Wzruszył ramionami. Patrzyłem mu w oczy, wiedząc, że ostatecznie racja jest po jego stronie.

– A może, ryzykując nieco przesadne rozszerzenie metafory, powinieneś teraz rozważyć możliwość dobrowolnego zniknięcia z lokalnego desktopu. Natychmiast. Powiedzmy, droga lotniczą – dodał.

Wstałem.

– A może teraz twoja kolej rozważyć dwie rzeczy. Po pierwsze, tam, gdzie umiera twój syn, nie jesteś już turystą.

– Nie chodziło mi o...

Wziąłem kartkę z biurka, przedarłem, a połówki wrzuciłem do kosza.

– A interpretację tego pozostawiam jako ćwiczenie dla studentów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Uderzyła w drzwi od tyłu. Mocno. Potem, chociaż wiedziała, że to nic nie da, przeszła do frontowego wejścia, krzyknęła i w nie też walnęła z całej siły. Nic. Albo nikogo nie ma, albo nikt nie zdradza, że jest w środku.

Kristina odczekała dwie minuty, po czym wróciła przez parking. Obejrzała się na wszelki wypadek, może w którymś oknie drgnie firanka? Nie drgnęła. I nie drgnie. Matka by się przed nią nie chowała. Po prostu nie ma jej w domu.

Odwróciła się i szybko ruszyła drogą. Musiała zdążyć do pracy. Ludzie, których mijała po drodze, odwracali głowy. Od niej, od siebie nawzajem, od wszystkiego. Robiło się ciemno, z lasu napływał chłód jak fala mgły. Niektórzy obywatele Black Ridge wracali do domu po to, by się ogrzać, ale nie tylko o to chodziło. Ludzie rozumieli, że nadchodzi czas, by ukryć się za zamkniętymi drzwiami. Takie rzeczy po prostu się wie.

No i właściwie co z tego? Była świadkiem całego tego gówna przez całe życie, a przynajmniej część życia spędzoną w Black Ridge. Ale wtedy odbierała to inaczej. Biznes jak co dzień, przecież zawsze tak było. Może teraz czuła się winna, bo w myślach okrutnie znęcała się nad talią zmarłej dziewczyny, ale nawet jeśli, to wystarczy.

Ludzie są prawdziwi i to, co im robisz, też jest

prawdziwe. Za kogokolwiek byś się miał.

\* \* \*

Słyszała, jak to się dzieje, czuła to nawet w swoim mieszkaniu po drugiej stronie miasta. Próbowwała czytać książkę, żeby oderwać się od miłych, lecz idiotycznych myśli, których ofiarą padła czterdzieści osiem godzin temu. Irytujące.

Nagle... bum! Wrażenie było tak gwałtowne, że poderwała głowę znad książki, jakby ktoś na nią krzyknął.

I cisza.

Zamrugła i rozejrzała się po pokoju. Przez kilka sekund muzyka z wieży stereo wydawała się daleka, potem umilkła, a po chwili odezwała się znowu, jakby Kristina właśnie przełknęła, odykając uszy w samolocie schodzącym do lądowania.

Pół godziny później usłyszała wiadomość w lokalnej stacji radiowej. Kawiarnia przy Kelly Street. Dziewczyna. Martwa.

Zapytany przez reportera szeryf oznajmił, że miała wypadek z ekspresem do kawy Gaggia, a potem, oszalała z bólu, potknęła się i pechowo upadła.

Kristina wiedziała, że chodzi o coś więcej. Okoliczności zawsze coś znaczą, a to, co uznajemy za przypadek, bywa działaniem czynnika, którego nie rozumiemy. Życie to długi slalom wśród tych zdarzeń, w ciemności, a potem nagle uderzasz w mur na samym dole.

To, co nazywamy tragedią, rodzi się, gdy otaczającym nas siłom wyjdzie naprawdę duży numer.

I wtedy jest głośno.

\* \* \*

Radio poinformowało o śmierci Jassie Cornell i gładko przeszło do innych lokalnych wiadomości: zamknięto kolejne centrum handlowo-rozrywkowe, zmniejszono budżet na remonty dróg, bezrobocie wzrosło, zwyczajowy tren Black Ridge, bezpiecznie zamykający przeszłość, żeby nie mogła już nikogo niepokoić. Tak to już jest, Kristina to widziała, zrozumiała i uciekła pół świata dalej tylko po to, by odkryć, że tak samo jest wszędzie.

Oczywiście.

Ludzie odwracają się plecami do prawdy, nawet jeśli oznacza to, że całe życie spędzą, chodząc w kółko. W każdym rzeczywistym miasteczku, takim mającym serce, wiedzą, co się dzieje, nie potrzebując o tym mówić. To, co oczywiste, jest oczywiste. Musi istnieć możliwość zaprzeczenia, bo jeśli nie, nieuchronnie pojawiają się drobne lokalne kłopoty. Obcy spoza miasta od czasu do czasu wskazują palcem, otwiera się puszka Pandory i miejscowi, tolerujący układ (i korzystający z niego w swoim sekretnym, sterowanym odruchami życia), uznają nagle, że nie po to wlekli się tu ze starych krajów i że nikt nie będzie nimi rządził. Zaczyna się mówić. Padają

oskarżenia. Ludzie zawisają na sznurkach, płoną, topią się. Więc... cisza. Ale wszyscy wiedzą, tak jak wiedzą, których części miasta unikać po zmroku, które budzące nas nocą odgłosy wymagają zerwania się z łóżka i zbadania, a które można spokojnie ignorować.

Wierzyła, że John też to wie.

Sądziła, iż w jakiś sposób już zaczyna wyczuwać, że tu nic nie dzieje się tak jak gdzie indziej. Stąd jego obecność w miasteczku, a wiedziała, że nadal tu jest, ponieważ słyszała, że jego samochód zepsuł się akurat naprzeciwko salonu. Po prostu wiedziała.

Stąd głupie myśli.

Obawiała się, że John może zacząć rozumieć, jak poukładany jest ten świat, ale oczywiście wszystko zrozumie opacznie. Potrafiła czytać ludzi, tak to już jest, czy to ci się podoba, czy nie, i wiedziała, że to człowiek, który się nie wycofa, nawet jeśli oznacza to forsowny marsz w złym kierunku. Tutaj mogło mu to przysporzyć kłopotów... I tu nadal jest.

Ona też. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czy wie dlaczego.

Możesz rozpaczliwie walczyć o to, by nie stać się taką jak mama, ale w końcu odkrywasz, że nie miałaś najmniejszej szansy wygrać.

Później, pomiędzy zmianami, wychodziła na ulicę i próbowała dodzwonić się do matki na komórkę. Nie udało się. Uświadomiła sobie, że to cholemie popieprzone, bo jakoś nie przyszło jej do głowy tym się



przejać.

Dziwnie jest tak dorosnąć do przekonania, że nigdy nie trzeba będzie niepokoić się matką. Tego rodzaju rzeczy nosi się w sobie. Jeśli zdołała nauczyć się czegoś, gdy nie mieszkała w miasteczku, to tego, że nigdy nie jest się daleko. Gdziekolwiek jesteś, jesteś tutaj, jak niewątpliwie powiedziałyby to biedne niebieskowłose ciało. Ziemia, po której biegasz jako dziecko, staje się częścią ciebie dokładnie tak, jak w przypadku każdej rośliny. Jassie Cornell niewątpliwie spożywała wyłącznie produkty pobłogosławione przez Ministerstwo Rolnictwa jako organiczne ze strachu przed wprowadzeniem czegoś złego w swoje nieskalane (choć tłustawe) ciało. Dlaczego zasada ta nie miałaby obowiązywać także w przypadku mniej namacalnych zanieczyszczeń? Tych unoszących się nad ziemią, między drzewami, nadających barwy wiatrom i decydujących, jak czują się ludzie, gdy budzą się w cieniu tych gór? Dlaczego ktokolwiek, oprócz naukowców o głowach jak ze szkła, miałby uważać, że tego się nie wchłania?

Kristina wierzyła, że zna już odpowiedź na przynajmniej jedno pytanie. Czowała się przez to chora, ociężała, zmęczona i smutna. To dlatego wróciła. Wróciła, bo nigdy nie wyjechała. Nie mogła, nie będzie mogła, nie wyjedzie.

Drzewa w tych lasach nie są drzewami. Są kratami w więziennej celi.

\* \* \*

Wieczorna zmiana zaczynała się za pół godziny. Czy jest coś, co mogłaby osiągnąć w tym czasie? Prawdopodobnie nie. Poszła z powrotem na Kelly Street, by podczas spaceru trochę się uspokoić.

Czy może osiągnąć coś później?

Nagle się zaniepokoiła, przestraszyła, ugięła pod ciężarem świadomości, że była dziewczynką, która naprawdę powinna uważać na lekcji, zrozpaczoną i wiedzącą, że pod żadnym pozorem nie może poprosić o pomoc jedynej osoby, która mogłaby jej pomóc, że jest nią kobieta, która niczego nie pragnęła bardziej, niż sama ją tego wszystkiego nauczyć. Nawet zaczęła, wskazała właściwą drogę, a potem jednym ruchem odsunęła na bok. Przez kilka miesięcy przed powrotem do Black Ridge Kristinę gnębiły koszmarne sny. Terapeuta powiedział, że wywołuje je zaprzeczenie i że im bardziej nie chce myśleć o, powiedzmy, czerwonym krzyżu, tym wyraźniej widzi go w wyobraźni. Jedynym sposobem jest myśleć pozytywnie o czymś innym. Dobra rada, chyba że czerwone krzyże płyną w twojej krwi.

Jeśli zaczynasz się bać bez powodu, możesz mieć pewność, że to, co niewidzialne, ocknęło się i ruszyło do ataku. Jeśli to coś się budzi, najwyższy czas uciekać.

I pozostaje tylko pytanie: czy ucieka się od, czy do?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zaparkowałem po przejechaniu trzydziestu metrów biegnącą łagodnym łukiem ulicą w części rezydencyjnej po północnej stronie miasta. Domy były duże, ale stały w sporej odległości od siebie; kolejny pomysł ambitnych deweloperów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, który tak naprawdę nigdy nie wypalił. Wybrałem miejsce z dala od świecących tu i ówdzie lamp, chciałem, żeby mój samochód był tylko jeszcze jednym podrzemującym przy krawężniku. Zrobiło się jeszcze zimniej, ale wytrzymałem i to.

Po dwóch godzinach na ulicę wjechał wóz i zaparkował nieco przede mną. Wsiadł z niego potężny facet z plikiem papierów. Wszedł do domu. Odczekałem jeszcze dziesięć minut, potem przeszedłem podjazdem i zadzwoniłem do drzwi. Otworzyły się po jakiejś minucie.

– Cześć, Bill – powiedziałem.

– Jezu, cześć. – Bill uśmiechnął się, ale wyglądał na zmęczonego. – Wchodź, na co czekasz?

\* \* \*

Po kolejnych kilku minutach trzymałem już w ręku piwo. On też. Wyglądało na to, że drugie od chwili powrotu, co oznaczało dość szybkie tempo. Na kuchennej szafce i na stole leżały otwarte akta. W czystym zlewie

poniewierała się samotna łopatka. Torba na śmieci, stojąca koło tylnego wyjścia, wypełniona była kartonowymi domkami pizzy na wynos. Przypomniało mi to, że Kyle nie zadzwonił, choć od rozmowy z Becki minęło ładnych parę godzin, ale na liście priorytetów ta sprawa w tej chwili znajdowała się dość nisko.

– Zajęty? – spytałem.

– Zawsze. Znasz prawo, to wymagająca kochanka. Ale to ty lubiłeś powtarzać, że bez miłości i pracy jest tylko neuroza.

– Koestler – powiedziałem, myśląc, że ludzie pamiętają dziwne rzeczy i choćbyś nie wiem jak pragnął być kimś szczególnym, być może na zawsze zdefiniowały cię jakieś niezamierzone działania.

Poszedłem za Billem do pokoju dziennego. I tu też wszędzie zalegały akta, leżały nawet na pokrywie przysuniętego do ściany fortepianu. Poza tym było czysto, choć na książkach widać było warstewkę kurzu. Faceci są dobrzy w sprzątaniu, ale kurz zawsze im umyka.

– Dzisiaj to na nic – usprawiedliwił się Bill – jeśli chodzi ci o to, żebyśmy wyskoczyli na drinka. W poniedziałek mam dużą sprawę, medyczną, rzeczoznawców od pyty. Na jutro muszę mieć łeb w porządku, muszę się przygotować, rozumiesz? Także dlatego, że nadal ni cholery nie rozumiem, na czym polega problem mojego klienta.

– Wszystko w porządku – uspokoilem go, patrząc, jak pije piwo wielkimi łykami. – Tak naprawdę to tylko

zaszedłem po drodze.

– Jak to się stało, że ciągle siedzisz w miasteczku? Myślałem, że tylko tu wpadłeś i zaraz wypadasz.

– Sprawy okazały się bardziej skomplikowane, niż sądziłem.

– Powiesz mi, jak się skomplikowały?

– Może.

– Tajemniczy jesteś.

Chociaż spotykaliśmy się głównie w barach w Yakimie, niedaleko biura, w przeszłości dość często odwiedzałem Billa. Znałem obowiązujące w jego domu zasady. Wyciągnąłem paczkę papierosów i gestem wskazałem przeszklone wyjście na taras. Skinął głową.

– Jasne. Gotowy na następne?

Po kilku chwilach dołączył do mnie wraz z dwoma butelkami.

Piliśmy w milczeniu.

– Siedzisz tu od dawna, prawda? – spytałem w końcu.

– Owszem, mieszkałem tu parę lat jako dziecko, no i prawie cały czas po odejściu z wojska. Dlaczego pytasz?

– Znasz Robertsonów?

– Jasne, oczywiście. Parę razy spotkałem się z Gerrym w interesach. Reprezentowaliśmy jego firmę.

– A co z nowym pokoleniem?

– Brooke i Cory? Oczywiście.

– Druga żona Gerry'ego miała wczoraj wypadek.

Ściągnął brwi.

- Naprawdę? Jak jej na imię... Helen?
- Ellen.
- Co się stało?
- Nie jestem pewny.
- Dlaczego się tym zainteresowałaś?
- Tego też właściwie nie wiem.

Zrobiło się ciemno. Bijące z domu ostre światło padało na twarz mojego przyjaciela, ukazując zmarszczki tam, gdzie kiedy się poznaliśmy, dziesięć lat przed przyjściem na świat Scotta, była tylko świeża młoda skóra. Oczywiście on widział to samo we mnie.

- Masz zamiar mi to wyjaśnić?
- A muszę?

Upił kolejny łyk piwa. Spojrzał na ogród, niepozostawiający żadnych wątpliwości co do tego, że nie jest ulubionym miejscem zabaw dzieci.

– Zależy, czego ode mnie chcesz. Jeśli porady prawnej, to owszem, coś w tym rodzaju.

- Prawdopodobnie nie prawnej.
- Więc jakiej?
- W ciągu ostatnich paru dni kilkakrotnie się z nią spotykałem. To właśnie z nią miałem nadzieję pogadać wtedy, kiedy spotkaliśmy się w Black Ridge.

– Spotykałeś się z nią... dlaczego?

– To długa historia. Pierwsza się ze mną skontaktowała. Chodzi o to, że jest przekonana, iż coś jej grozi.

- Z czyjej strony?

– Brooke. Cory’ego najprawdopodobniej też.  
– Cory to facet z rodzaju tych, których można załatwić jedną ręką. Brooke... no tak, rozumiem, że potrafi wyprowadzić z równowagi.

– W każdym razie z Ellen doskonale się jej to udało.  
– Muszę powiedzieć, że nie do końca cię rozumiem. Bill dopił piwo jednym haustem. – Powinni łać to gówno do większych butelek. Dla ciebie też?

Odszedł. Wróciłem do pokoju. Pod jednym z niskich stolików stały buty, na oparciu krzesła wisiał krawat. Nieprędko, ale z pewnością nadejdzie chwila, kiedy teczki i akta staną się tu dominującym elementem umeblowania.

Bill pojawił się, niosąc dwie butelki w jednej wielkiej garści. Zatrzymał się i zerknął na leżące na stole akta. Odetchnąłem głąboko.

– Jen naprawdę wyjechała z miasta? – spytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

– Naprawdę wyjechała z miasta.

– Jak daleko?

– Co ci do tego, John?

– Bez niej dom jest jakiś pusty, to wszystko.

Bill wbił oczy w podłogę.

– Skoro chcesz wiedzieć, ostatnio nie było między nami najlepiej. W tej chwili reorganizujemy życie rodzinne.

– Chyba lepiej zrobię, nie pijąc tego piwa. Prowadzę.

– Odpowiedzialny obywatel. No cóż, kiedy

następnym razem będziesz przejeżdżał przez miasto, uprzedź mnie, dobrze?

– Jasne, uprzedzę.

Przeszliśmy razem do korytarza. Parę metrów przed drzwiami odwróciłem się.

– Ale z nią wszystko w porządku? – spytałem.

– Z kim?

– Z Jenny.

– Oczywiście, John. Miło, że pytasz, ale nic jej nie jest. Zdrowa jak ryba.

– To dobrze. – Ale nie mogłem się uśmiechnąć, słysząc kolejne z jego ulubionych powiedzonek. Przyjrzałem mu się. Patrzył na mnie jakoś tak skrycie, jego oczy nie miały wyrazu. Zacząłem się bać, że z jego żoną nie wszystko jednak jest w porządku, co więcej, że mogło ją spotkać coś złego.

Niestety, nawet jeśli w eterze powstał jakiś kanał i nas połączył, komunikacja odbywała się w nim dwukierunkowo. Mrugnął, ale poza tym stał nieruchomo.

Pierwsze uderzenie o mało nie wykluczyło mnie z gry raz na zawsze. Oberwałem nisko, mocno, i chociaż zacząłem się odwracać, cios mnie dosięgnął. Zrobiłem, co w mojej mocy, by nie upaść na wznak, ale i tak zatoczyłem się i wyrznąłem w ścianę.

Przykucnąłem w sam czas, by drugi cios przeleciał mi nad głową. Zdołałem nawet odwrócić Billa w stronę drzwi, przynajmniej częściowo.

Cofnąłem się w głąb korytarza, ale nie za daleko. Nie



chciałem wycofywać się do domu, nie chciałem, żeby mógł mnie obejść, bo z całą pewnością miał tu gdzieś broń. Kiedy zaatakował, odpowiedziałem więc kontratakami. Złapałem go za koszulę, a on rąbnął mnie w dołek, odbierając mi oddech. Objął mnie obiema rękami za szyję, a ja skorzystałem z okazji i uderzyłem go czołem w nos. Dom wypełniły trzaski i brzęki, ramiona i głowy waliły w ściany, ze ścian spadały oprawione zdjęcia, przewróciła się też serwantka, obsypując podłogę i nasze ubrania szkłem wraz z pokruszoną porcelaną. Wyglądało na to, że Bill już pada, ale gdzie tam, raczej nabrał sił. Walnął moją głową o ścianę tak mocno, że przez chwilę nie widziałem nic prócz bieli.

Próbował wrzeszczeć, ja też próbowałem, ale nie mam pojęcia co. Obrabiał mi żołądek, trafiał tuż pod żebra po lewej stronie, nie potrafiłem wyjść ze zwarcia, a wiedziałem, że dłużej nie wytrzymam. Chciał mnie powalić, rzucić pod nogi, skopać, to był jego główny i prawdziwy cel. Nie miałem wątpliwości, że gdybym upadł, już nigdy bym nie wstał.

Udało mi się w końcu oderwać od niego, cofnąłem się niezdarnie, ugiąłem nogi, uderzyłem nisko barkiem, a jednocześnie pociągnąłem za ramię. Przeleciał obok mnie, niezdarnie, umożliwiając mi zadanie ciosu kolaniem w pierś. Próbował odzyskać równowagę, ale prawą nogą nastąpił na odłamek szkła, poślizgnął się i przewrócił, uderzając potylicą w pierwszy stopień schodów. Dopadłem go jednym skokiem, uniosłem i cofnąłem

stope, ale ostrożność okazała się niepotrzebna. Ani drgnął.

Opuściłem nogę. Stałem, dyszałem i czekałem.

Nie odzyskiwał przytomności.

Odwróciłem go na wznak, upewniłem się, że oddycha, a potem powoli, niezdarnie wszedłem na górę. Nie było tu już tak schludnie, choć całkiem nieźle. Żyjący samotnie mężczyźni umieją opierać się chaosowi równie skutecznie jak kobiety.

Szafa w sypialni składała się z czterech segmentów. Dwa wypełniały męskie garnitury i koszule, trzeci był pusty, a w ostatnim wisiało kilka sukienek.

Wróciłem na dół, do kuchni. Obmyłem twarz zimną wodą, wytarłem ściereczką, od której zalatywało stęchlizną.

A potem, nim usiadłem i z całą pewnością nie byłbym zdolny wstać, wyszedłem.

\* \* \*

– Co ci się, do diabła, stało?

– Nic – powiedziałem. Siedziałem w Mountain View przy oknie, odwrócony plecami do wnętrza baru. Klientów nie było wielu, lecz choć lustro w łazience powiedziało mi, że siniaki nie nabrały jeszcze prawdziwego koloru, i tak nie miałem ochoty patrzeć ludziom w oczy. Przyszedłem tu tylko dlatego, że na dworze było wściekle zimno, bolały mnie ręce i zębra i

schronienie się gdzieś pod dachem wydawało się dobrym pomysłem.

Wybite okno Write Sisters po drugiej stronie ulicy zasłonięte było płytą pilśniową. Szybka robota.

Kristina postawiła przede mną piwo. Przyniosła mi je bez pytania.

– Twoja twarz ma coś wspólnego z Robertsonami? Albo z Ellen?

– Nie.

Zostawiła mnie w spokoju. Dwadzieścia minut później dostałem od niej drugie piwo. Podziękowałem grzecznie i odwróciłem się znacząco w stronę okna. Zabite okno Write Sisters wydawało mi się groźne, jakby ukrywało coś, co pozostawało strzaskane, jakby za nim ciągle leżał martwy człowiek.

Kristina nie odeszła. Nie mogłem jej dłużej ignorować.

– Co?

– Martwię się o ciebie.

– Nic mi nie jest – stwierdziłem radośnie. – Tylko że miałem ciężki dzień.

Pokręciła głową.

– Zaczęłam się martwić, nim przyszedłeś. No... no bo słyszy się różne rzeczy.

Zauważyłem, że drugi barman, młody chłopak w czarnym podkoszulku, zerka na nas.

– Od kogo?

– Ja tylko uważam, że nasze miasteczko to dla ciebie

nie najlepsze miejsce.

– Dlaczego? Piwo jest doskonałe i... – spróbowałem zażartować – ... obsługa miła. Czasami.

Nie dała się nabrać. Byłem rozedrgany, niezdolny skupić wzroku, ale udało mi się wreszcie skoncentrować go na jej twarzy, szarzielonych oczach, bladej cerze i czarnych włosach. Wyglądała jak przeciwieństwo każdej z kobiet, którą zdarzyło mi się spotkać w życiu.

– A co ty słyszałaś? Z barmańskiej poczty pantoflowej? Wam się zwierzają.

Próbowałem ją obrazić. Nie wiem dlaczego. Po obu stronach nosa miała ledwie widoczne plamki, z pewnością piegi. Uginałem się pod ciężarem jej spojrzenia.

Zapaliłem papierosa. Musiałem bardzo się skoncentrować, by choćby spróbować powstrzymać drżenie rąk.

– Musisz dać sobie z tym spokój – powiedziała.

– Jasne. Byle nie dziś.

– Nie o to mi chodzi. Pal sobie, póki od tego nie umrzesz, to nie mój interes. Chodzi mi o to, żebyś dał sobie spokój i się stąd wyniósł.

Wręczyła mi rachunek.

\* \* \*

Stałem na chodniku przed barem, nie mając pojęcia, co robić. Nadal nie chciałem wracać do motelu. W pewnym stanie umysłu takie miejsca są jak śmierć.

W końcu poszedłem do pizzerii po drugiej stronie ulicy. Rachunek był niepotrzebnie zawyżony, a muzykę wywleczono z jakichś zapomnianych głębin lat osiemdziesiątych, jakby w ten sposób starano się osiągnąć szybszą rotację klientów. Jeśli taki był cel, to został osiągnięty. Lokal był praktycznie pusty, kelnerki bez problemu pozwoliły mi podumać nad kawą w boksie przy oknie, gdzie nikomu nie wchodziłem w drogę.

Najpierw uświadomiłem sobie, że obserwuje mnie jeden z członków trzyosobowej rodziny, siedzącej w przeciwległym rogu, a potem, że jest to zastępca szeryfa Greene. Towarzyszyły mu kobieta mniej więcej w tym samym wieku i co najmniej jego wagi, z tyłkiem obciążonym niebieskimi welurowymi spodniami, grożącym wylaniem się po obu stronach krzesła. Naprzeciwko nich siedział ktoś, kogo także rozpoznałem: Courtney, chuda jak patyk nastolatka sprzątająca pokoje w motelu.

Greene i jego żona jedli w milczeniu, metodycznie opychając się pizzą, jakby brali udział w konkursie, w którym fortuna sprzyja solidnym, metodycznym zawodnikom. Dziewczyna, którą z dużym prawdopodobieństwem uznałem za ich córkę, albo skończyła wcześniej, albo nie miała apetytu.

Dopiłem kawę. Przyjąłem dolewkę od kelnerki, która pojawiła się przy mnie w milczeniu. Była to odświeżająco staroświecka kawa, bez piany, bez syropu, bez ekologicznego zacięcia, po prostu wielki kubek czegoś

mokrego i gorącego. Obejmowałem go obiema dłońmi, grzejąc się, czując się przytulnie, obserwując ulicę za oknem i zadając sobie pytanie: kiedy moja głowa rozleci się na kawałki? Nie byłem głodny, nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek mógłbym być głodny, ale pizza pachniała nieźle. Prawdopodobnie dlatego, że przypominała mi czas sprzed kilku zaledwie dni, kiedy życie wydawało się prostsze.

Rodzina Greene'ów wyszła, nadal w milczeniu, a kiedy przechodziła pod oknem, Courtney spojrzała mi w oczy, krótko i bez zainteresowania. Nic nie sugerowało, że wie, na kogo patrzy, i że w ogóle mnie rozpoznała.

Jakiś czas potem odezwał się mój schowany w kieszeni telefon, ale nie potrafiłem wyobrazić sobie nikogo, z kim chciałbym rozmawiać. Założyłem, że Becki przekazała moją wiadomość Kyle'owi, a w takim razie brak kontaktu obiecywał więcej niż jakakolwiek rozmowa.

Zorientowałem się, że ktoś wszedł do pizzerii, dopiero słysząc szelest ubrania, kiedy siadała naprzeciwko mnie.

Podniosłem wzrok na Kristinę. Siedziała sztywno, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

– Mów – poleciała mi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W pewnym momencie rozwoju Scott zaczął rozumieć, że wydawanie buzią artykułowanych dźwięków traktowane jest jako coś godnego pochwały i sprytnego, więc chętnie manifestował, że realizuje program celująco. Oprócz prostych twierdzeń raczył nas czasami uroczystymi monologami dotyczącymi jakiegoś przedmiotu lub sytuacji; mówisz „ponieważ”, potem wygłaszasz zdanie zależne, po którym następuje kolejne „ponieważ”, kolejne zdanie i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie bywało, że kończył przydługą, czasami wręcz surrealistyczną wypowiedź dopiero po dwóch minutach. Nie rozumiał jeszcze, co to znaczy „ponieważ”, ale wiedział, że można użyć tego słowa do łączenia czegoś, do budowy mostów między stanami rzeczy.

Po jego śmierci zacząłem wierzyć, że intuicja Scotta dotyczyła nie tylko języka. Z czasem z pewnością by zapomniał, jak my wszyscy, ale wtedy wiedział wszystko, co można było wiedzieć.

\* \* \*

Powiedzmy sobie szczerze: miałem przygodę.

Była kobieta, coś się zdarzyło i tak powoli doszło do sytuacji, gdy było już za późno. Próbowałem „postąpić właściwie”. „Postąpić właściwie” towarzyszyło mi przez

długi czas, ale okazało się zbyt zrównoważone i bezstronne. Chciałem, żeby było twarde jak skała, jak trener lekkoatletyki uznający wyłącznie zwycięstwa i gotowy kopać dupy, by je osiągnąć. Chciałem, żeby było jak Jezus wyciągający do mnie ramiona, zagradzający drogę wiodącą do grzechu, świecący złotym blaskiem wszystkiego, co dobre, sensowne i prawdziwe.

A tymczasem okazało się czymś w rodzaju starego kumpla od kieliszka, kogoś, kto tyle w życiu widział, że już nie potrafi wystąpić ostro przeciw nikomu i niczemu.

„Jasne, oczywiście, powtarzało. Słyszę cię. To ja jestem tym, co powinieneś zrobić, ale ty tego zrobić nie chcesz, prawda?”.

Uświadamiałem mu jego obowiązki, tłumacząc, że to wszystko, co chodzi mi po głowie, jest głupie, niebezpieczne i w ogóle nie ma sensu. Że Carol zasługuje na lepszy los. Że mam rodzinę. Że jestem typowym komiksowym dupkiem, niewiernym żonatym facetem, że „postąpić właściwie” mogę tylko, kończąc związek. Że powinienem dziękować Bogu, iż nie spieprzyłem jeszcze czegoś najważniejszego, i myśleć o czymś innym, póki cała ta sprawa nie odejdzie w przeszłość, nie stanie się interesującym wspomnieniem sprzed lat, jak pierwsze lądowanie na Księżycu.

Tymczasem ono tylko wzruszało ramionami.

„Oczywiście, rozumiem cię, mówisz niegłupio, ale... w kółko mówimy o tym samym, nie? I ciągle nie potrafisz zapomnieć zapachu jej skóry na szyi koło ucha. To coś,



czego nie wolno mi tknąć. Jeśli chodzi o szyję, jesteś zdany sam na siebie”.

W końcu przestałem zapraszać „właściwe postępowanie” na długie rozmowy od serca. Na nic mi się nie przydawało.

\* \* \*

W międzyczasie stałem się daleki i dziwny. Dekoncentrowałem się, miewałem bóle żołądka powodujące, że nie mogłem patrzeć najedzenie i zbyt łatwo dawałem wyprowadzić się z równowagi.

Wiedziałem, że bardzo kocham żonę, kocham rodzinę, że mam wielkie szczęście. Być może nie rozumiałem, nie pojmowałem tego w taki sposób jak po tym, gdy ją straciłem, ale wiedziałem, bez wątpienia. Uświadamiasz sobie, że sens ma jedynie powierzenie uczuć tej chwili w czasie, w której nie istnieje ruch naprzód. Możesz nawet wyobrazić sobie, że odbywasz tę rozmowę z partnerem i oboje akceptujecie ze smutkiem, ale i z godnym poczuciem właściwego postępowania – sposób działania, który sam Bóg skwitowałby pochwalnym skinieniem głową, po czym ująłby cię w swą silną dłoń i przeniósł w jakiś bardziej akceptowalny fragment moralnego krajobrazu. Ale nigdy nie dochodzi do ostatniego zdania dyskusji, ponieważ marzenie to – o czym dobrze byś wiedział, gdyby została ci choć resztką zdrowego rozsądku – zakłada stworzenie sytuacji, w

której znów jesteście razem.

Postępowaliśmy właściwie. Wielokrotnie.

Powtarzaliśmy sobie, słowami, e-mailami, SMS-ami, że to już koniec... i zachowywaliśmy się odpowiednio. Ale to trudne. Po latach życia wtapiających się w lata życia partnera znów stajesz się indywidualnością. A przygoda wymaga aktywności. Musisz decydować, jak i kiedy nawiązywać kontakt, czy i jak kłamać, musisz dobrać słowa, ujawniać dokładnie tyle i nie więcej, szukać w rzeczywistości dziur, przez które możesz przeciskać się tam i z powrotem. Stosunki z kimś nowym czynią nowym siebie samego, najprostsze różnice okazują się wstrząsające. Carol, na przykład, prawie nie używała perfum. W odróżnieniu od tej drugiej. Carol prawie nie nosiła biżuterii, ta druga owszem, nosiła, zdarzało jej się nawet stworzyć to i owo, w tym srebrną bransoletkę, którą dostałem w prezencie (i której trop straciłem pod koniec).

Nurzać się w adrenalinie, by chwilę potem znów zapaść w drzemkę, to jak umrzeć przed czasem. Ładunek przyszłości zostaje rozbrojony, życie staje się rdzewiejącym rusztowaniem w wesołym miasteczku. Cichnie echo beztroskich rozmów i wybuchów zachwyty, znika gdzieś zapach olejku do opalania i lodów, niknie blask neonów i waty na patyku tak czerwonej, że aż oczy bołą. Zostaje tylko pustka i cisza. Próbujesz jakoś dotrzeć do wyjścia, znaleźć parking, na którym, o czym wiesz doskonale, stoi już tylko jeden samochód, twój własny.

Szukasz drogi z opuszczoną głową, by nie dostrzec kolejek górskich, na których zaledwie parę dni temu twoje serce wzlatywało do nieba, by za chwilę spaść w otchłań. Nie chcesz wyjść, nigdy nie chciałeś przecież, by park zamknięto, choć traciło się w nim fortunę, choć stał się tak niebezpieczny.

Chcesz, by nadal pulsował życiem, chcesz znów wsiąść do kolejki górskiej, nie chcesz patrzeć, jak cały rozpada się w proch i pył. A kiedy wreszcie znajdujesz samochód, samotny pod ostatnią latarnią na wielkim pustym parkingu, chcesz odjechać w noc, pozostawiając po sobie coś, do czego możesz wrócić w snach i podczas samotnych, długich, żalonych popołudni. Chcesz móc słyszeć bicie własnego serca, kiedy śmiało się i krzyczało w wesołym miasteczku, w letnie popołudnie.

Chcesz wierzyć, że może gdybyś wrócił tu w tę właściwą noc, we właściwym czasie, mógłbyś znaleźć partnerkę czekającą na ciebie mimo wszystko, mimo wszystko uśmiechającą się i trzymającą w ręku dwa bilety na kolejkę... ostatnią przejażdżkę mogącą tym razem trwać wiecznie.

\* \* \*

Przechodzisz ten czas, pocieszając się, że przynajmniej przeżyłeś przygodę. Ale kiepska to pociecha, świadcząca tylko o tym, że twoja dusza się starzeje, traci żywotność, woli cieszyć się tym, co było,

niż ryzykować, a przyszłość wydaje się zbyt niepewna, zbyt trudna lub po prostu za krótka. Dzieje się tak szczególnie wtedy, gdy jesteś już wystarczająco dorosły, by wiedzieć, że wspomnienia, którymi się cieszysz, będą zanikać, tracą intensywność snu, z którego przed chwilą się obudziłeś, zaczną przypominać raczej album ze starymi fotografiami, aż wreszcie staną się tylko słowami i nic nie pozostanie żywe z wyjątkiem krótkich jak światło błyskawicy wspomnień o kimś patrzącym na ciebie z radosnym pożądaniem, spoglądającym ci w oczy tak głęboko, jakby przez tę jedną chwilę chciałby być tylko tu, nigdzie indziej.

Właśnie dlatego, choć po ostatecznym zerwaniu, po tygodniach, a nawet miesiącach bez jakiegokolwiek kontaktu, któreś z nas nie wytrzymało i zdecydowało się postawić nad „i” kropkę, która wcale nie była kropką nad „i”, a raczej kropką nad kropką. Dochodziło do spotkania w jakimś publicznym miejscu, gdzie dwoje dorosłych może się spotkać pod osłoną zwykłej przyjaźni, ale po paru drinkach nasze oczy spotykały się i oboje wiedzieliśmy, że tylko tego wieczoru ani jej, ani mnie nie obeszloby, gdyby przez nas wszechświat rozpadł się w proch i pył.

Próbowałem nie być dupkiem. Przeważnie mi się udawało, ale czasami nie.

Spotykaliśmy się tak od czasu do czasu przez trzynaście miesięcy. Innymi słowy, zaczęło się to, kiedy Carol była w piątym miesiącu ciąży z Tylerem. Ktoś

mógłby spytać, dlaczego dopuściłem, by sprawy zaszły tak daleko. Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Byłoby tak, jakby ktoś pytał duchy, dlaczego wyszły na szosę tuż przed maską pędzącego samochodu. Po prostu go nie widziały. Ponieważ nie wiedziały, co się stanie, póki się nie stało, i nie mogły nic zrobić.

Ponieważ.

Coś się zdarza, a inne rzeczy zdarzają się w rezultacie tego zdarzenia. Jeśli wierzysz, że niebo i piekło mają bardziej skomplikowany system korzeniowy, to albo jesteś człowiekiem znacznie bardziej niż ja skomplikowanym, co uważam za wysoce prawdopodobne, albo musisz się jeszcze dużo nauczyć.

A teraz puenta. Mógłbym wyjść na taras domu, w którym mieszkaliśmy z Carol, otworzyć piwo i zauważyć, że mój syn znikł gdzieś dwadzieścia minut wcześniej. Być może dopadłbym go, nim doszedł do końca pomostu, zapewne nim to, co zaszło, zaszło za daleko.

Nie zauważyłem i nie zapobiegłem, ponieważ te dwadzieścia minut spędziłem w gabinecie, rozmawiając przez telefon z Jenny Raines. Bill nie wrócił do domu, nudziła się, więc zadzwoniła.

Po raz pierwszy od kilku tygodni. Cieszyliśmy się tą rozmową i mój syn umarł.

Rzeczy zdarzają się, ponieważ...

Scott wiedział to doskonale, choć miał zaledwie cztery lata.

\* \* \*

Kristina wysłuchiwała mojej historii, czy też jej mocno okrojonej wersji. Opowiedzenie wszystkiego zabrało mi jakieś dziesięć minut. Bardzo pouczające jest odkrycie, jak kompaktowa okazuje się historia twego życia, kiedy ją werbalizujesz.

Jak małe są wielkie sprawy.

Kiedy skończyłem, przez chwilę w milczeniu piła kawą, patrząc w przestrzeń.

– Co dokładnie przydarzyło się twojemu synowi? – spytała wreszcie.

Wspomniałem o Scotcie zaledwie raz.

– Umarł.

– Jak?

Przekazałem jej najważniejsze fakty, uświadamiając sobie przy okazji, że jest pierwszą osobą, której o tym opowiadam, wyłączwszy ojca. Przymknęła oczy.

– Tak mi przykro – wyszeptała.

Zignorowała wszystko, czego dowiedziała się o moim zachowaniu, lub po prostu przeszła nad tym do porządku dziennego. Zainteresowała się tym, co w moim codziennym życiu rzeczywiste, tym, z czym zmagalem się samotnie przez ostatnie trzy lata. Nie byłem pewny, czy zasługuję na tak wielkie względy, ale odczuwałem głęboką wdzięczność za to, że mi je okazała.

– Dziękuję – powiedziałem.

Pokręciła głową, jakbym nie zrozumiał istoty sprawy.

Dłonie położyła płasko na tafli szkła przykrywającego stół. Zauważyłem, że jej długie, blade palce lekko drżą.

Wiedząc, co robię, ale nie mając pojęcia dlaczego, przykryłem jej dłoń swoją dłonią. Kristina otworzyła oczy, spuściła wzrok, ale się nie poruszyła. Czułem, że powinienem coś powiedzieć, ale wiedziałem też, że sam gest mówi wszystko. Umysł nie nadażał za tym, co próbowało przekazać ciało. Serce waliło mi tak, jakby każde jego uderzenie było osobnym zjawiskiem.

– Nie – powiedziała, cofając rękę.

Uśmiechnąłem się krzywo. Nie czułem się dotknięty. Może jeszcze nie?

– Po tym wszystkim, co ci powiedziałem, jakoś nie jestem zaskoczony.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Nie usłyszałam przecież, że ta kobieta ciągle coś dla ciebie znaczy.

– Nie znaczy. Oczywiście miło byłoby słyszeć, że żyje, ale poza tym... nie rozmawiałem z nią od dnia śmierci Scotta. Oglądam się za siebie i jest tak, jakbym widział wariata robiącego to, co ja zrobiłem. Albo jakbym słyszał o kimś innym, kimś naprawdę głupim.

– Nie jesteś jedynym człowiekiem, który okazał się durniem. Po prostu się z tym pogódź.

Roześmiałem się.

– Jesteś bardzo bezpośrednia, wiesz?

– Tak mówią.

Spojrzałem jej w oczy.

– Więc?

Pokręciła głową.

– Po prostu nie chcę się z nikim wiązać, przyjacielu.

– W porządku – westchnąłem, choć wiedziałem już, że to nie do końca prawda, że tę dłoń odsunęła wcale nie tak daleko. Z drugiej strony moja ręka nosiła wyraźne ślady bójki z Billem, więc jeśli w ogóle nadejdzie odpowiedni czas na przeprowadzenie tej rozmowy, to z pewnością nie dziś i nie teraz. – Napijesz się jeszcze kawy?

– Nie – zaprotestowała, a potem dodała łagodniej: Powinnam już wrócić do baru.

– Chyba nie macie tam prawdziwego ruchu.

– Nie – powtórzyła, uśmiechając się lekko. – Ale... Przerwała, widząc, że gapię się przez okno. – Co...

Wstałem. Pod oknem właśnie przejechał samochód, niezbyt szybko. Wydawało mi się, że go rozpoznaję.

– Zaczekaj chwilkę.

Szybko wyszedłem na ulicę. Samochód zbliżał się do skrzyżowania, ale coraz wolniej, jakby kierowca zdjął nogę z gazu. Nie od razu nabrałem pewności, bo zawsze widziałem go z opuszczonym dachem i ryczącą ze środka muzyką, ale tak, znałem ten wóz. Pobiegnęłam chodnikiem. Dopadłem go, kiedy wreszcie się zatrzymał.

Prowadziła Becki, a obok niej siedział przypięty pasami Kyle, śpiący albo nieprzytomny, z głową na piersi.

– Becki?



Odwróciła się i spojrzała na mnie z czymś w rodzaju niedowierzania. Lewe oko miała podbite, a policzek pod nim spuchnięty.

– John?

– Co ty tu robisz?

Nie usłyszałem odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przykucnąłem na chodniku. Sięgnąłem przez okno, niezdarnie, próbując objąć Becki. Kiedy przestała płakać, co nie trwało długo, cofnąłem się, pozwalając, by wytarła twarz i odgarnęła włosy z oczu.

– Przepraszam cię – powiedziała – ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Telefon?

– John, przyjechałam tu jednym ciągiem z pieprzonego Oregonu. Naprawdę myślisz, że mam do ciebie sprawę na telefon?

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi pizzerii. Zobaczyłem wychodzącą z niej Kristinę.

– Zapłaciłam rachunek – powiedziała do mnie.

– Kristina – przedstawiłem ją, ale nie wiedziałem, co dodać po imieniu, a ona tymczasem odwróciła się i odeszła.

Becki odprowadziła ją wzrokiem.

– Kto to?

Zignorowałem jej pytanie.

– Mogłabyś powiedzieć, o co chodzi?

– Chodzi o to, że siedzimy w gównie po szyję. – Uśmiechnęła się strasznym, choć nieznacznym uśmiechem.

\* \* \*

Pojechałem do motelu, Becki za mną. Biuro było zamknięte, ale udało mi się w końcu oderwać Marie od telewizora i skłonić ją, by przyniosła klucze do pokoju sąsiadującego z moim. Minęło dobrych parę chwil, nim zrozumiała, że przyjechali moi przyjaciele, że wynajmuję dla nich pokój, ale nie chciałem, by zobaczyła twarz Becki. Trochę dlatego, że właściciele moteli bywają dziwni, jeśli chodzi o wynajmowanie pokoi kobietom ze śladami pobicia na twarzy, ale bardziej dlatego, że takie rzeczy po prostu się pamięta.

Kiedy załatwiłem wszystko i wyszedłem, Becki stała oparta o samochód i paliła papierosa. Jej skretyniały przyjaciel ciągle siedział nieprzytomny w aucie.

- Co mu jest? – spytałem.
- Nie spał przez siedemdziesiąt dwie godziny.
- Obudź go i wprowadź do środka.

Zdołała wyciągnąć Kyle'a z samochodu i postawić go na nogach mniej więcej prosto. Rozpoznał mnie, chyba poczuł ulgę, ale zaraz spojrzał gdzieś w bok.

Podczas gdy Becki prowadziła go do pokoju, ja wszedłem do swojego. Umyłem ręce i twarz i przez jakiś czas przyglądałem się swojemu odbiciu. Ciągłe nie do końca pozbierałem się po walce z Billem i do diabła z tym wszystkim, co miało miejsce później. Pomyślałem, że Bill też już się pozbierał i jeśli zechce dowiedzieć się, gdzie mieszkam, nie będzie miał z tym problemu. W porządku, niech i tak będzie. Mam już dość uciekania

przed konsekwencjami tej sprawy, przekonało mnie o tym opowiedzenie o wszystkim Kristinie, nawet jeśli nie dokonało niczego więcej. Jeśli Bill potrzebuje worka treningowego, trudno, niech korzysta. Jestem mu coś winien.

\* \* \*

Wydało mi się, że Becki jest w pokoju sama.

– A on gdzie?

– Kazałam mu wziąć prysznic. Najwyższy czas.

Dowiedziałem się, że nim mnie znaleźli, jeździli po miasteczku przez czterdzieści minut, metodycznie sprawdzając ulicę po ulicy. Pokonując góry, Becki zdecydowała, że to jedyne wyjście, skoro nawet nie odbieram telefonu. Oznaczało to, że pokonali trasę z Marion Beach w niewiele ponad sześć godzin, czyli ze średnią prędkością, o której wołałem nawet nie myśleć.

– Przecież kazałem ci jechać do ojca!

– Tak też zrobiłam. Spakowałam torbę i wyniosłam się z domu w niespełna piętnaście minut. Nie pojechałam prosto do taty, bo... bo chciałam przemyśleć, co mu powiedzieć i jak sprzedać całą tę kupę gówna. Poza tym wiedziałam, że jeśli odczekam godzinę, to pojedzie do restauracji i spokój, a tak zostanie w domu, będzie się wściekał na Kyle'a i na mnie, a tego to już naprawdę nie potrzebowałam. Ty zawsze mieściłeś się w granicach jego tolerancji, John, byłeś ten dobry, więc znasz go tylko z

jednej strony. Kiedy idzie na wojnę, skutki uboczne mogą być fatalne.

– W to akurat mogę uwierzyć.

– No więc jeździłam w kółko. Próbowałam złapać Kyle'a, powiedzieć mu, czego się od ciebie dowiedziałam, ale mi się nie udało, no i w końcu zdecydowałam, że koniec tego dobrego. Pojechałam do ojca. Zastałam go, wyobraź sobie. Siedział na schodach. Powiedział, że był u nas w domu, że pewnie minęliśmy się o dziesięć minut czy coś. Że domyślił się, gdzie pojechałam.

– Powiedziałaś mu, że ma się wynosić w cholere?

– Nie, John. Nie powiedziałam. Jest moim chłopakiem. Nie odbierał telefonu, bo najpierw wyładowała mu się bateria, a potem zgubił komórkę. Kiedy zobaczył, co się ze mną stało, był załamany.

– Ale nie pojawił się wcześniej, kiedy go o to prosiłaś i kiedy miał jeszcze telefon.

– Chciał zdobyć gdzieś broń, a potem porozmawiać z facetami.

– Chryste – jęknąłem. – Na szczęście mu się nie udało?

– Na szczęście. Porozmawialiśmy. Zaczął nawet mówić z sensem, po raz pierwszy od wielu dni. Powiedziałam, że musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wszystko wyprostować. Poprosił mnie... zgodziłam się pojechać z nim do domu, przedyskutować problem, spróbować znaleźć jakieś wyjście.

– Co to niby miałyby być?

– Nie wiem, John.

– Dobra. I co dalej?

– No więc wróciliśmy do domu. Kyle nie spał... no, od kilku dni, więc powiedziałam, że prysznic zrobiłby mu dobrze pod każdym względem. Nagle zdałam sobie sprawę, że strasznie długo siedzi w łazience, a kiedy weszłam do środka, był przytomny, w takim wiesz, radosnym humorku, więc od razu powiedziałam sobie, że jestem bezdenną idiotką.

– Bo tam trzymał to, co zostało mu z pierwszej dostawy. Dlatego namówił cię, żebyś z nim wróciła. Był pod domem, nie zastał cię, zgubił nie tylko komórkę, ale i klucze, a nie czuł się na siłach włamywać do mieszkania na piętrze.

Twarz Becki na chwilę straciła wyraz, broda jej zadrżała, ale oczy pozostały suche.

– Tak.

– Jestem pewny, że nie tylko dlatego chciał cię zobaczyć powiedziałem i poczułem się jak okrutny staruch.

– Cieszę się, że tak sądzisz, bo dużo o tym myślałam. No więc wrzeszczę na niego, on też zaczął krzyczeć, sprawy powoli wymykają się spod kontroli i nagle przez okno coś widzę; podjeżdżającego pod dom wielkiego czarnego GMC, jednego z tych, które wyglądają, jakby chciały być hummerami, gdy dorosną. Ludzie mieszkający przy naszej ulicy nie jeżdżą takimi

samochodami.

– Chryste! – Potarłem skronie palcami.

– No właśnie – powiedziała Becki z goryczą. – Wywialiśmy, jakby się za nami kurzyło. Schodami przeciwpożarowymi w dół i przez ogrodzenie na sąsiednie podwórko. Pieprzone szczęście, że zaparkowałam za rogiem, a nie przed wejściem, ale od nas można wyjechać tylko naszą ulicą, więc nas zobaczyli.

– Pojechali za wami?

– Najpierw myślałam, że będą siedzieli nam na ogonie, a potem odpadną i dostaniemy szansę zastanowienia się, co dalej, ale nie, nie ma mowy. Pojechałam wzdłuż wybrzeża, przez Astorię, a goście trzymali się jak przyklepieni. Ich pieprzony kierowca umiał prowadzić. Czerwona kreska na prędkościomierzu to dla mnie nie nowina, sam dobrze o tym wiesz, ale on chyba ani na chwilę nie odpuścił gazu! A Kyle tylko kiwa się na siedzeniu, pali i nie ma nic sensownego do powiedzenia. Mnie do głowy przyszła tylko jedna rzecz, więc skręciłam na Portland, potem w międzystanową do Seattle, no i... no i jesteśmy tutaj.

– Kiedy widziałaś ich po raz ostatni?

– Nie jestem pewna. Na autostradzie taki samochód jednak mniej rzuca się w oczy niż w Marion Beach. Wydaje mi się, że widziałam go na dziewięćdziesiątce, tuż przed wjazdem w góry, ale to mógł być inny wóz, nie? Przecież mogli sobie odpuścić?

- Mogli – przytaknąłem i wyciągnąłem rękę.
- Co?
- Kluczyki poproszę.

Wyprowadziłem samochód z parkingu. Przejechałem kilka przecznic, aż znalazłem się w labiryncie uliczek dzielnicy rezydencyjnej. Zaparkowałem wóz za wysoką półciągarówką. Nie było to idealne schronienie, ale idealnego schronienia nie ma, chyba że przejechałbym z pięćdziesiąt kilometrów i zepchnął go w przepaść, a noc zapowiadała się na skomplikowaną nawet bez tłumaczenia Becki, dlatego pozbawiłem ją jej ukochanej zabawki. To, co spodziewałem się znaleźć, znalazłem pod siedzeniem pasażera i zabrałem ze sobą. Kupiłem sześciopak w sklepie alkoholowym na rogu i wróciłem do motelu, czując się tak, jakbym był na autopilocie.

Zapukałem do drzwi pokoju numer dziesięć i przedstawiłem się imieniem. Becki otworzyła mi drzwi i natychmiast zamknęła je za moimi plecami.

- W łazience cicho – zauważyłem.
- Co mi tam – prychnęła. – Pieprzyć, niech się utopi.

Postawiłem piwo na stoliku przy łóżku. Jedno dałem dziewczynie. Zerwała kapsel i jednym łykiem wypła chyba z jedną trzecią puszki. Była zbyt zmęczona, by stać, i zbyt spięta, by usiąść. Wyglądała bardzo młodo i nieszczęśliwie, jak dziecko, które nagle zdało sobie sprawę, że bierze udział w podwórkowej grze, w której dzieci nie wygrywają.

- Jakoś sobie poradzimy – powiedziałem.



– Miło mi to słyszeć. A tobie jak się żyje? – spytała. Kim była ta dziewczyna? I co zrobiłeś z rękami i twarzą? Z tego też złożymy sobie raport?

– Nie.

– Szkoda. Tęsknię za odrobiną lekkiej rozrywki.

– Więc trafiłaś nie tu, gdzie powinnaś.

– Wściekasz się, bo przyjechałam?

– Nie. Tylko nie wiem, co mogę dla ciebie zrobić. Kyle sam wykopał sobie grób. I nadal go kopie. – Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wyjąłem paczuszkę zabraną z samochodu. Podałem ją Becki.

Objęła głowę rękami tak gwałtownie, że aż rozległ się trzask. Spojrzała na drzwi do łazienki.

– Ty dupku! – krzyknęła. Odwróciła się do mnie. – Nie wiedziałam, że to zabrał, przysięgam!

– Wierzę ci. Ale niewiele o nim wiesz. Nie wiesz na przykład, że jest zdecydowany manipulować tobą, jak wtedy, gdy wróciliście do mieszkania wbrew temu, co mówił zdrowy rozsądek, tylko dlatego, że potrzebował działki. I nie wiesz, że tu jest nie tylko kokaina, ale także krystaliczna metamfetamina.

– Pieprzenie w bambus – zdenerwowała się. – On by nigdy...

Ale nie była pewna. Usiadła ciężko na brzegu łóżka.

– I co mam teraz zrobić? – Wzruszyłem ramionami i schowałem narkotyki do kieszeni. – Przepraszam, że przyjechałam – powiedziała żałośnie. – Ale tak cholernie się bałam i naprawdę nie wiedziałam, co robić. Potem

pomyślałam o tobie, i to już było jak coś, o co warto się starać. Byłam głupia.

– Doskonale sobie poradziłaś – uspokoiłem ją. – Ja na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

– Naprawdę?

– Tobie bym nie kłamał.

Przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi do łazienki. Kyle siedział na podłodze oparty o ścianę. Usta miał otwarte. Chrapał cicho. Podobnie jak w moim pokoju, i tu drzwi zamykały się na klucz. Rzuciłem mu na kolana moje papierosy, odebrałem klucz, wyszedłem, zamknąłem drzwi, a klucz schowałem do kieszeni.

– Prześpij się – powiedziałem do Becki.

– Dasz mi klucz?

– Nie.

\* \* \*

Wróciłem do swojego pokoju, położyłem się na łóżku i zapatrzyłem w sufit. W głowie wirowały mi obrazy, którym wcale nie chciałem się przyglądać. To, co dziś po południu stało się z Jassie. Wspomnienie twarzy Billa stojącego w korytarzu, przyglądającego mi się, rozumiejącego już, co sugeruję i co ma zamiar z tym zrobić. Przegrałem na wszystkich frontach, nie udało mi się nawet wyczuć, czy Bill wie o mnie i o Jenny, a więc czy Ellen, czepiając się kary, odnosiła się w jakiś sposób do mojego życia. Nawet gdybym był tego pewny,

następny krok wymagał ode mnie wiary w coś, w co nie wierzę.

Nie byłem w stanie myśleć linearnie. Jeśli się specjalnie nie koncentrowałem, wszystkie moje myśli trafiały w tę samą ślepą uliczkę i pozostawał tylko obraz mojej dłoni na dłoni kobiety, stolik w pustej pizzerii, wspomnienie tego, jak duża i trójwymiarowa wydawała się ta dłoń, jaka ciepła. i pamięć o tym, że kiedy Kristina wyszła, powiedziała, że nasz rachunek jest zapłacony, nie mój. Wielkie rzeczy, pewnie udało mi się tylko skomplikować związek z jedyną osobą w miasteczku, traktującą mnie jeszcze z sympatią, ale zasypiając, wcale nie żałowałem tego, co zrobiłem. Czasami to, co robisz bez zastanowienia, jest najbliższe prawdy; Bardziej się nie zbliżysz.

Nim zasnąłem, wyjąłem jeszcze z kieszeni telefon komórkowy. Położyłem go na stoliku przy łóżku i mogłem być pewny, że jeśli ktoś zadzwoni, to go usłyszę. Ale nie miałem złudzeń.

\* \* \*

Nikt nie zadzwonił. Za to coś mi się przyśniło.

We śnie była noc, a ja spacerowałem samotnie ulicami Black Ridge. W sposobie, w jaki główna arteria wschód – zachód biegła łukiem przez miasto, było coś, co do mnie przemawiało, ale nie zdawałem sobie sprawy, że jestem blisko motelu, w którym spotykałem się z Jenny

Raines, póki przed nim nie stanąłem.

Budynek był ciemny, parking pusty, nie stał na nim nawet jeden samochód. Kiedy tak stałem, gorzko żałując wszystkiego, co robiłem w motelowych pokojach, dostrzegłem, że w oknie jednego z nich poruszają się firanki. Było za ciemno, by dostrzec, kto lub co je odchyliło, ale wydawało mi się, że tuż nad poziomem parapetu widzę blady owalny kształt odbijający promienie księżyca.

Odwróciłem się i w serii cięć przeniosłem się na Kelly Street. Okno Write Sisters znów było całe, choć z siatką pęknięć. Linie pośrodku układały się we wzór, który niemal rozpoznałem, plamy krwi pośrodku miały kształt przypominający nieco jakieś zwierzę. Wróciłem pod Marie's i przystanąłem na chwilę na drodze. Tu świeciło się we wszystkich oknach i we wszystkich firanki były rozsunięte, ale też w żadnym pokoju nikt nie mieszkał.

Za plecami usłyszałem jakiś dźwięk. Odwróciłem się. Niczego nie zobaczyłem, więc przeszedłem przez ulicę do lasu, jak to zrobiłem w rzeczywistości kilka nocy temu. Im głębiej wchodziłem między drzewa, tym silniejsze miałem wrażenie, że słyszę dobiegające spomiędzy nich odgłosy, jak szmer dalekiej rozmowy.

Przestraszyło mnie to, ale jednak pobiegłem w stronę tych głosów.

Biegłem coraz szybciej i szybciej, omijając w pędzie drzewa, przekonany już nie tylko o tym, że gdzieś tam,

przede mną, rozlegają się jakieś głosy, lecz także, że czuję zapach dymu z ogniska lub czegoś bardzo do niego podobnego. W każdym razie był to zapach bardzo intensywny.

W ciemnościach nie dostrzegłem grubego, częściowo wystającego z ziemi korzenia drzewa, potknąłem się o niego i upadłem ciężko. Siła uderzenia wybiła ze mnie oddech, zrobiło mi się białe przed oczami, poczułem się tak, jakbym za chwilę miał stracić przytomność. Nie wiem, co by się stało, gdybym ją rzeczywiście stracił. Oprzytomniałbym po jakimś czasie? Umarł?

Odwróciłem się na wznak i usiadłem z wysiłkiem.

Wśród drzew stali ludzie. Przyglądali mi się. Dwie wysokie sylwetki i trzy mniejsze. Nie widziałem ich twarzy, nie potrafiłem powiedzieć, jak daleko się znajdują. Próbowałem się od nich odsunąć. Musiało to wyglądać żałośnie, bo pięty ślizgały mi się na ściółce i tylko kopałem powietrze.

Nagle grupa jakby się rozeszła, a dwie wyższe postacie znalazły się znacznie bliżej mnie. Mężczyzna i kobieta, wyczerpani, chudzi, w ubraniach brudnych, podartych i bardzo staromodnych. Mężczyzna stał bliżej mnie, dzielił nas metr, może dwa. Kiedy zbliżył twarz do mojej twarzy jak pies obwąchujący nieznanego, zobaczyłem na jego policzkach i czole wzór niedawno zrobionych cięć i już wiedziałem, że jest identyczny ze wzorem zadrapań, który widziałem na tylnej ścianie mojego pokoju... i że to moja twarz.

Nagle wszyscy zniknęli.

Było cicho, powietrza nie poruszał nawet najlżejszy podmuch. Spojrzałem na boki, badając wzrokiem cały półokrąg przede mną, pełne sto osiemdziesiąt stopni. Oczy zaczęły mnie szczypać, w uszach słyszałem głośny szum krwi, a potem szelest, jakby coś przedzierało się ku mnie przez poszycie.

Obróciłem się, tak przerażony, jak jeszcze nigdy w życiu.

I obudziłem się.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Mogła ukraść samochód. Dysponowała odpowiednimi umiejętnościami, jeśli samochód był określonego typu. Pamiątka po dawnych złych czasach. Ale nie chciała wyjeżdżać w ten sposób, jak złodziejka wymykająca się pod osłoną nocy. Chciała pozostać Ellen.

A nie znów stać się Ileną.

Więc poszła na Brooker Street i wzięła ich ostatni wolny samochód, anonimowy kompakt. Facet za biurkiem udzielił jej szczegółowych instrukcji na temat przebiegu, powiedział, że ma napełnić bak przed dojechaniem do (nieokreślonego) miejsca przeznaczenia, ale do niej to nie docierało. Nie sądziła, by Johnny miał rację, by rzeczywiście doznała wstrząśnienia mózgu, ale jej głowa z całą pewnością nie działała właściwie. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła, z całą pewnością, nim trafiła do szpitala, więc może jednak pamiętała? Może, ale pewnie nie. To przez miasto, przez te drzewa. Opanowały cały jej mózg.

Po jakimś czasie facet za biurkiem przestał udzielać instrukcji, których najwyraźniej nie rozumiała, i wyciągnął do niej rękę z kluczykami. Przy okazji ocenił także jej atrakcyjne ciało, ale kiedy na niego spojrzała, spuścił wzrok.

Wyszła na przylegający do biura parking. Stała w ciemności, przyglądając się najtańszemu samochodowi,

jaki prowadziła od dłuższego czasu. Samochodowi sprzed epoki Gerry'ego. Musi zacząć przyzwyczajać się do nowego życia, bo pieniądze, którymi dysponuje, nie wystarczą jej na długo. Będzie potrzebowała pracy, będzie potrzebowała mieszkania, będzie potrzebowała wielu różnych rzeczy, by móc znowu spacerować między półkami w magazynie świata, starając się znaleźć właściwe przedmioty i sytuacje, takie, którymi chciałyby się zająć. Jeśli potrafi.

Czas na nowy początek.

Kolejny nowy początek.

\* \* \*

Dopiero usiadłszy za kierownicą, zaczęła czuć się rzeczywista, dopiero wtedy była w stanie zająć swoją obolałą, nie całkiem jeszcze przytomną głowę tym, co zaplanowała: ma porzucić jedyne miejsce na świecie, w którym była naprawdę szczęśliwa. Przyczyna szczęścia znikła, oczywiście, odeszła, umarła, ale nawet wówczas nadal pokładamy wiarę w miejscach. Sądzymy, że gdybyśmy tylko mieszkali gdzie indziej, wszystko byłoby w porządku. Wierzimy, że jeśli tylko pomalujemy schody na jasny kolor, jeśli wysprzątamy szafy, umysł pójdzie za działaniem. Chwycimy się słomki, najśłabszej nawet nadziei, a nie przyjmujemy do wiadomości tego, że dziewięćdziesiąt pięć procent zamieszkiwanego przez nas świata istnieje wyłącznie w okowach naszej czaszki.



Żałowała, że nie może zabrać jakiejś pamiątki, ale to, niestety, było niemożliwe. Poprzedniego ranka, tego ranka, kiedy miała wypadek, zabrała z domu trochę drobiazgów, ale spakowała je do bagażnika samochodu, a nie miała pojęcia, gdzie ten samochód jest. Prawdopodobnie po kraksie dokądś go odholowano, ale albo nie powiedzieli jej dokąd, albo powiedzieli, ale zapomniała. Miło byłoby je mieć, choć niczym szczególnym się nie odznaczały. Trochę ubrań kupionych w niecodziennych sklepach. Książka, w której napisał jej miłosny liścik. Serwetka z paryskiej kawiarni, z pierwszego tygodnia ich znajomości. Schowała ją do kieszeni, dyskretnie, kiedy poszedł do łazienki. Wiedziała, że tak zaczyna się coś ważnego, a zbieranie pamiątek to jedyny sposób, by uchwycić chwilę, nim świat je nam zabierze.

Ale tak naprawdę, co miałyby z tym wszystkim robić? Wyjmować od czasu do czasu i skrapiać łzami? Używać ich, by przypominały o tym, co było i już nie istnieje? Nie ma dwudziestu jeden lat i choćby nie wiem jak próbowała, już nigdy ich mieć nie będzie.

Istnieje tylko jeden rodzaj bagażu, bez którego tak naprawdę człowiek niczego nie może dokonać. Ellen podniosła prawe ramię i przekręciła kluczyk w stacyjce.

\* \* \*

Jechała przez ciche opustoszałe miasteczko i nagle

usłyszała sygnał telefonu komórkowego, który miała w kieszeni. To pewnie John Henderson znowu próbuje się z nią skontaktować, jak już kilkakrotnie tego popołudnia. Nie miała mu nic do powiedzenia. Zobaczyć go w kawiarni po samobójstwie Jassie Cornell, było jak zobaczyć dziecko idące na wojnę, z patykiem udającym karabin. Powiedziała mu, ile mogła, nie zdradzając wszystkiego. Nawet jeśli nie zrozumiał, nie mogła zrobić nic więcej. Teraz żałowała, że w ogóle się z nim skontaktowała, że go w to wciągnęła, próbowała zrzucić swoje przeznaczenie na niego, tak jak ją tego nauczono. Z tym też nie mogła nic zrobić. Gerry miał rację, mówiąc pewnej długiej nocy, kiedy rozmawiali o jej przeszłości, złej przeszłości, tuląc ją do siebie, a jej twarz zalewały łzy: „Przeszłość jest jak były chłopak, który okazał się dupkiem, Ileno. Zmień numer telefonu i już nigdy z nim nie rozmawiaj”.

A jeśli to nie dzwonił John, to z pewnością któreś z nich, a im powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Więc zamiast odebrać, włączyła radio.

Minęła skręt w Kelly Street, nawet na nią nie patrząc. Kilkaset metrów dalej, niespełna kilometr od miejsca, w którym zaczynały się prawdziwe lasy, głos w radiu zaczął zanikać, a po chwili umilkł na dobre. Wkrótce silnik zakaszlał kilka razy, zadrżał i przestał pracować. Ellen spokojnie zjechała na pobocze.

Czekała cierpliwie, próbując zapalić co trzy minuty. W końcu się udało. Tak już bywa w tej okolicy,

drobiazgi, nic na tyle kłopotliwego, żeby o tym gadać. Oznaki, że to miejsce przewraca się we śnie z boku na bok, a może nawet budzi? Jeszcze jeden powód, by wynieść się stąd w cholerę.

Wyjeżdżała na drogę, kiedy wydało jej się, że z tylnego siedzenia dobiegają jakieś dźwięki. Wiedziała, że jeśli się obejrzy, zobaczy Gerry'ego albo coś, co wygląda jak on. Pojawił się przy niej w szpitalu. Widziała go na ulicy po tym przerażającym zdarzeniu z dziewczyną w kawiarni: szedł powoli drugą stroną ulicy, odwracał głowę, żeby móc na nią patrzeć.

Gdyby obejrzała się teraz, twarz, którą by zobaczyła, miałaby ten sam wyraz oczu, a wiedziała, że wrażenie, które by jej przekazał, nie miałoby nic wspólnego z prawdą. Gerry nigdy jej nie nienawidził. Gerry ją kochał.

Nawet jeśli nic więcej, tę wiedzę zamierzała zabrać ze sobą.

Tylko tego nie mogą jej odebrać.

Więc nie odwróciła się, tylko mocniej wcisnęła pedał gazu.

Wjechała w las.

\* \* \*

Ujechała niespełna trzydzieści kilometrów.

Nie zauważała świateł w lusterkach. Płakała i musiała całą uwagę poświęcić utrzymaniu samochodu na wąskiej leśnej drodze.

Usłyszała ryk silnika samochodu wyprzedzającego ją po lewej. Drgnęła i wytarła oczy rękawem. Czeka ją długa droga do Seattle, musi zebrać się do kupy, pewnie to nawet dobrze, że ten samochód trochę ją przestraszył. Teraz skoncentruje się, włączy radio, spróbuje pomyśleć o przyszłości. W tej chwili nie musi myśleć o tym, co było, będzie jeszcze miała mnóstwo czasu, by poświęcić się smutnym wspomnieniom.

Samochód był jakieś czterdzieści metrów przed nią, kiedy nagle zjechał na jej pas. Ellen natychmiast wdepnęła hamulec. Ślizgała się dobre trzydzieści metrów, poleciała do przodu, czując, jak pas boleśnie wrzyna się w jej ciało, a potem siła bezwładności rzuciła ją na oparcie.

Zareagowała szybko, wrzuciła wsteczny, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że drugi samochód zatrzymał się z tyłu, blokując jej także tę drogę ucieczki. Nie mogła nic zrobić, więc zdjęła ręce z kierownicy i siedziała nieruchomo, patrząc przez przednią szybę.

Z samochodu, na który o mało nie wpadła, wysiadł mężczyzna. Niewyraźna sylwetka oświetlona przednimi światłami jej auta. Obserwowała, jak podchodzi. Mężczyzna lekko zapukał w szybę od strony kierowcy. Opuściła ją. Policjant przyglądał się jej poważnie.

- O co chodzi, Ellen?
- Wyjeżdżam.
- Nie wydaje mi się.
- Zrobiłam, co mi kazano.
- Owszem. Na swój sposób. Ale dziś po południu

powiedziałaś rzeczy, których nie powinnaś była mówić.

Spojrzała mu w oczy. Policjant wzruszył ramionami.

– Ktoś cię słyszał. Wiesz, jaki był układ.

– Przecież zrobiłam, co mi kazali. To już koniec.

Musicie mnie wypuścić.

Policjant milczał.

– Ona wcale nie zamierzała mnie wypuścić, prawda?

Nadal milcząc, policjant otworzył drzwiczki samochodu. Nim jego ręka opadła na jej ramię, Ilena zdążyła jeszcze się odwrócić i spojrzeć na tylne siedzenie.

Nie było tam Gerry'ego. Nie było tam nikogo.

Nic już nie zostało. Nigdzie.

## CZEŚĆ III

*Kiedy już przyjęliśmy zło w siebie, nie zależy mu, byśmy w nie uwierzyli.*

Franz Kafka  
*Aforyzmy z Zurau*

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Brooke pływała od siódmej do siódmej trzydzieści, metodycznie pokonując kolejne długości krytego basenu z tyłu domu. Potem ubrała się, wysuszyła suszarką jasne włosy i wybrała buty. Wybierała je z namysłem, jakby tego dnia miało odbyć się wesele. Albo pogrzeb. Bo przecież nigdy nie wie się na pewno. Wszystko jest możliwe.

Kiedy weszła, Cory już jadł: jajka Benedict. A na śniadanie rzadko kiedy jadł coś więcej niż płatki na mleku. Musiał być głodny. Zajmując miejsce, uświadomiła sobie, że ona też jest głodna. Powietrze wydawało się dziś rzadkie, pozbawione wartości odżywczych, jakby nocą ziemia zrobiła głęboki wydech i teraz czekała na powód, by równie głęboko odetchnąć.

Kiedy pojawiła się Clarisse z dzbankiem herbaty Earl Grey, Brooke poprosiła o to samo co brat. Który nie przerywał jedzenia. Małe, schludne kęsy.

– Miły wieczór? – spytała, przerywając milczenie.

Kolejny kęs, przeżucie, przełknięcie.

– Przyjemny. Ona jest bardzo... miła.

– I?

Cory pokręcił głową.

\* \* \*

Jej śniadanie pojawiło się na stole. Jedli w milczeniu. Pośród kęsami Brooke patrzyła przez okno, przyglądała się drzewom na granicy posiadłości, chwiejącym się na wietrze. W domu było ciepło, na dworze raczej nie. Niebo było jednoznacznie prognozą pogody.

- Przepraszam – powiedział Cory cicho.
- Nie poddajesz się!
- Jakie masz plany na dziś?
- Jeszcze nieokreślone. A ty?
- Lunch w Yakimie.
- Interesy czy przyjemność?
- Interesy.

Nie uwierzyła mu i on o tym wiedział.

- Jedna z pomp basenu nie pracuje prawidłowo.
- Zadzwoń do Randy’ego.

Pojawiła się Clarisse, dołączyła im herbaty i wydzieliła kolejne porcje ciszy. Brooke jadła powoli, Cory wybrał grzanekę i zaczął smarować ją cienko masłem, tam i z powrotem, tam i z powrotem...

- Cory?
- Tak?
- Nie można odwlekać tego w nieskończoność.
- Przecież powiedziałem, że do niego zadzwonię.

Dziś rano. Przed wyjściem.

- Nie mówię o basenie.

Brat odłożył nóż.

- Przecież powiedziałem. Nie zamierzam...



– Na większą skalę. O tym mówiłam.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Córy podniósł wreszcie wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Masz na myśli coś konkretnego?

– To już się zaczęło dziać.

Skinął głową, powoli, z rezerwą, nieuchronnie przypominając jej ojca. Cory nie wspominał już ani o nim, ani o tym, jak umarł. Zawsze byli ze sobą blisko, a przynajmniej znacznie bliżej niż Gerry i ona sama. Rodzeństwo podzieliła dopiero jego śmierć, była między nimi nawet teraz, jak inny rodzaj ciszy, takiej, która nigdy nie zostanie przerwana.

– Wiesz, że ufam ci w tych sprawach – powiedział, delikatnie dotykając ust serwetką.

– Wiem.

Ufam czy obciążam odpowiedzialnością? Przez chwilę Brooke brakowało dziadka tak dotkliwie, że odczuwała ten brak jak ból zęba. Matki także. Nawet ojca, tego kochanego staruszka. Każdego, kogo obecność zmniejszyłaby ciężar spoczywający na jej barkach, sprawiła, że świat nie byłby tak strasznie cichy; ciała, mogącego ogrzać dom, dziś wypełniony brzękiem sztućców i porcelany, szmerem nastawionego na program dokumentalny telewizora w gabinecie kobiety w prawie średnim wieku. Ruch do przodu niemal ustał, jak wszędzie w tym mieście kończyło się paliwo, a rzeczywistość zmieniała w fotografię.

Chyba że ktoś coś zrobi.

Jej brat wstał. Wahał się przez chwilę, przyglądając lasowi.

– Tak – odezwał się nieco pewniej. – Tak, czuję, że masz rację. Powiesz mi, co mam zrobić?

– Powiem. Nie oddalaj się dziś od domu. Niech twoi przyjaciele zjedzą lunch tutaj.

Cory wyszedł powoli na korytarz, zostawiając ją przy stole w towarzystwie zastygającego sosu holenderskiego.

Clarisse weszła, by posprzątać w jadalni. Brook podniosła głowę.

– Sądzę, że powinnaś wziąć wolne popołudnie – powiedziała. – I jutrzejszy ranek też. A w ogóle dlaczego nie miałabyś pojechać do córki? Na kilka dni. Zasłużyłaś na trochę wolnego.

– Oczywiście, panno Brooke.

\* \* \*

Po śniadaniu przeszła do swojego prywatnego salonu. Usiadła na kanapie i pogrążyła się w rozważaniach o sieci rozmaitych spraw. Przemyślała to, co koniecznie trzeba zrobić, przedzierając się przez skomplikowany zespół zależności: „Teraz to, a jeśli to, to to”. Jednak możesz planować, ile chcesz, więc planowała, musisz jednak pozostać otwarta na chwilę, zostawić miejsce bogom, jeśli zechcą przejść przez pokój.

W końcu wstała. Podeszła do środkowej z szafek

zajmujących jedną ścianę pokoju. Otworzyła ją kluczykiem, który nosiła na łańcuszku na szyi. Wyjęła dowód.

Po czym podniosła słuchawkę i wybrała numer policji.

– Dzisiaj – powiedziała.

\* \* \*

Następnie przeszła do kuchni. Wyjęła parę rzeczy z lodówki i włożyła je do małego plastikowego pudełka na lunch. Nie miała pojęcia, skąd się tam wzięło. Wyszła, zabierając je ze sobą.

Krótką jazdę samochodem zakończyła przy domu. Wyszła, podeszła do drzwi i lekko je uchyliła. Przykucnęła i przesunęła pudełko po podłodze, w ciemność.

– Niedługo was przeniesiemy – powiedziała. – Potem nie będzie już jedzenia. – Ludzie w ciemności milczeli, chociaż usłyszała cichy płacz. – Przykro mi, że musi być właśnie tak. Mogliście załatwić to inaczej. Łatwiej.

– Pieprz się, Brooke – powiedział zmęczony głos z mroku.

Brooke zamknęła drzwi i wróciła do samochodu. Nie odwróciła się, kiedy przez las przeleciał nagły poryw wiatru, wywołując szum liści donośny jak ludzki głos.

Wiedziała, jaki jest tego powód, i cieszyła się.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Następnego dnia wyszedłem na parking motelu i zobaczyłem Becki walącą w drzwi mojego pokoju.

– Gdzie cię, kurwa, poniosło? – spytała wściekła, kiedy tylko znalazłem się w zasięgu jej głosu. – Potrzebuję klucza do łazienki, i to już!

– Użyj mojej – zaproponowałem, dając jej jedną z kaw, które kupiłem przed chwilą, oraz małą papierową torebkę. Zajrzała do środka, zobaczyła szczoteczkę do zębów, szampon, drobne artykuły toaletowe, które dla niej kupiłem, i jej twarz złagodniała.

– Nie możemy tak po prostu go tam zostawić – zaprotestowała.

Otworzyłem drzwi do swojego pokoju.

– W tej chwili do głowy nie przychodzi mi żadne lepsze miejsce. Ma dostęp do wody. Prędzej czy później zgłodnieje i wtedy zapewne da się z nim sensownie porozmawiać. Wolałbym, by aż do tej chwili nie był jednak aktywnym elementem mojego życia.

Z kieszeni dzinsów wyjąłem klucz do łazienki i wrzuciłem go do torebki.

– Ty decydujesz – powiedziałem.

Becki zastanawiała się przez chwilę.

– Może poczekać – uznała. Uśmiechnęła się lekko. I tak chyba jeszcze nigdy nie oglądał świata o tak wczesnej godzinie.

\* \* \*

Powiedziałem jej, żeby po kąpieli nie wychodziła z pokoju, a sam poszedłem na parking i wsiadłem do samochodu. Czas wyjechać z miasteczka. Ellen nadal nie odbierała moich telefonów, były jednak dwie rzeczy, które chciałem zrobić przed wyjazdem.

Pojechałem główną drogą prowadzącą przez miasteczko. Nieświadomie zwoźniłem przed motelem, który widziałem w snach, motelem, w którym przez jakiś czas mieszkałem, a wcześniej spotykałem się z Jenny Raines. Tym właśnie było dla mnie Black Ridge zaledwie kilka dni temu. Miejscem schadzek, a więc nasyconym toksyczną mieszanką przyjemności i poczucia winy, tej winy, która wiła się i mnożyła po śmierci Scotta, tworząc w mojej głowie fałszywy związek miejsca z najgorszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu.

Od chwili gdy się obudziłem, nie mogłem przestać myśleć o Billu. Dobrym człowieku, starym przyjacielem, z którym łączyłem ramię w ramię, kiedy obaj nosiliśmy mundur, patrolując miasteczko i pustynie w miejscu, w którym nikt nas nie chciał, gdzie słowo „przyjaciel” oznaczało tarczę. Który po latach zaprosił mnie do swojego życia, namówił ojca, by dał mi pracę i wynagrodzenie, o którym świeżo upieczony prawnik nie miał nawet prawa marzyć. Chyba skontaktował nas też z pośrednikiem, od którego kupiliśmy dom, chociaż tego

nie jestem pewny.

A jak mu się odpłaciłem? Stałem się w jego życiu czymś złym, równie złym, jak ktokolwiek i cokolwiek w moim życiu.

Oczywiście nigdy, w żaden sposób nie dotknąłem go bezpośrednio, zło nie działa w ten sposób. Zło jest mroczne i śliskie, zawsze kryje się na granicy cienia, jest w nieustannym ruchu. Jego pozycji nie da się przewidzieć, nie sposób z nim walczyć.

Zadzwoiłem do niego do kancelarii. Powiedziano mi, że go nie ma. Przypomniałem sobie, jak mówił o przygotowaniach do dużej sprawy i że wszędzie wałały się akta. Uznałem za prawdopodobne, że pracuje z domu. Zawróciłem i pojechałem drogą, którą przyjechałem.

\* \* \*

Billa nie było w domu. Poczekałem, zapukałem jeszcze raz, cofnąłem się ścieżką i przyjrzałem domowi, szukając dowodu na to, że jednak jest w środku i tylko woli mnie nie oglądać. Nie znalazłem go. Odwróciłem się, niepewny, co robić. Było za zimno, by czekać na niego na ganku.

Wsiadłem do samochodu. Spróbowałem starego numeru jego komórki, który miałem w pamięci telefonu, ale wydzwoiłem ciszę. Uderzyła mnie myśl, że kiedy spotkaliśmy się na ulicy pierwszego dnia mojego pobytu w miasteczku, mimo długiej gadki o wspólnym drinku

Billa jakoś nie obeszło, że nie mamy jak się skontaktować. Byłem zbyt zajęty unikaniem towarzyskich zobowiązań, by przyszło mi do głowy, że on może robić dokładnie to samo. Może lepsze i bardziej dojrzałe będzie raczej zostawić faceta w spokoju, niż uspokajać poczucie winy, zmuszając go, by jeszcze raz zajrzał do naczynia, które usilnie próbował trzymać zamknięte? Kristina powiedziała mi, żebym sobie odpuścił, i może miała rację?

A może unikałem odpowiedzialności, tak jak odwracając się plecami do Tylera i prawie wszystkiego? Czy nie powinienem dać Billowi okazji, by mógł w oczy nazwać mnie dupkiem? Czy bez tego coś może się w ogóle skończyć? Pamiętałem wieczory, które zaczęły się wkrótce po tym, jak się tu przenieśliśmy. Miłe, proste i bezpośrednie spotkania z Rainesami i ich sąsiadami, kolacje z mężczyznami, wszystkimi w dobrej formie, lecz nieco napuszonymi, i kobietami, łagodnymi i tyjącymi. Wszyscy bez wyjątku znacznie nudniejsi, niż mieli prawo być. Zaczynało się od tego, że goście umizgiwali się do najśmielszego dziecka gospodarzy, potem przez parę godzin każda para obgadywała wszystkie inne, choć bez złośliwości (z wyjątkiem pary mającej problemy zbyt poważne, by uczestniczyć w tego rodzaju zabawie), aż wreszcie przyjęcie kończyło się nagle, gdy któraś musiała wyjść wcześniej, bo opiekunka do dziecka dostała ataku hysterii.

Tylko że Bill i Jenny nie mieli dzieci. Ja też ich już

nie miałem. Żywoty się płaczą, aż wreszcie patrzysz na swoje ręce i nie potrafisz rozpoznać sznurka wśród węzłów. Postanowiłem poczekać trochę dłużej w nadziei, że uda mi się rozwiązać przynajmniej jeden z nich.

\* \* \*

Po jakimś czasie usłyszałem pukanie. Przy samochodzie stał Bill. Miał spuchniętą wargę i niegroźnie podbite oko. Sprawiał wrażenie zmęczonego.

Opuściłem szybę.

– Masz zamiar zabawić się w ninję? Zaatakować z ukrycia? – spytał. – Jeśli tak, jesteś do niczego.

– Przyjechałem, żeby cię przeprosić.

– Za co? Że spałeś z moją żoną czy że rozpieprzyłeś mi mieszkanie? Nie mówiąc o twarzy? Klient nikogo nie kocha bardziej niż swojego prawnika wyglądającego, jakby spuszczone mu lanie w jakimś barze.

– Za wszystko.

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem odwrócił się i powoli ruszył w stronę domu.

Ściany w korytarzu wydawały się pustawe po wczorajszym wieczorze, ale bałagan już uprzątnięto. Oparłem się o kuchenny blat, czując się głupio jak jeszcze nigdy w życiu.

Bill parzył kawę.

– Jest w Boulder – mruknął wreszcie.

– Wróciła do domu? – spytałem.



– Przecież musiałeś z nią rozmawiać, przynajmniej od czasu do czasu – powiedział sucho. – A jeśli tak, to wiesz, że pochodzi z Portlandu.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

– Wyjechała przed pięcioma miesiącami – wyjaśnił Bill, wręczając mi kubek z kawą. – Szczerze mówiąc, poczułem ulgę. Doszło do tego, że trudno było z nią wytrzymać.

– Jak trudno?

– Ciągła depresja. I mam na myśli taką prawdziwą depresję. Przestała wychodzić, przestała robić tę swoją biżuterię, przestała robić cokolwiek oprócz gapienia się przez okno na las. Miała jakiś swój wewnętrzny rytm, sprzątała w domu, potem znów sprzątała w domu... Teraz jest z jakimś facetem. Mam nadzieję, że radzi sobie lepiej ode mnie, choć Bóg jeden wie, że się starałem.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– O was? Zaledwie kilka tygodni przed jej wyprowadzką. Sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. W końcu pojawiłeś się w rozmowie, w zasadzie tylko jako kolejny dowód, że jestem dumy, zajęty pracą, nie widzę dalej niż własny nos i w ogóle nie wiem, co się dzieje. Przyznaję, że było w tym sporo prawdy, bo rzeczywiście nie miałem pojęcia, do czego jesteś zdolny. Uważałem cię, oczywiście, za przyjaciela, więc nie byłem przygotowany na cios padający właśnie z tej strony.

– Bill, ja nie zrobiłem tego tobie.

– Właśnie że mnie. – Patrzył mi prosto w oczy. Na

moment powietrze między nami stało się czyste i nieruchome. – Kto był jej mężem, jeśli nie ja?

Poddałem się.

– Przykro mi. To, co zrobiłem, było złe i bardzo mi przykro.

– W porządku.

– I to wszystko?

– A czego oczekujesz? Gdybyś był tu tamtego dnia, kiedy się dowiedziałem, może załatwiłbym sprawę w stary dobry sposób, ale teraz? Miałem dużo czasu na myślenie. To już przeszłość, John. Twój problem, nie mój.

– Wczoraj jakoś nie przyjmowałeś tego tak spokojnie.

– Jasne. I zobacz, do czego mnie to doprowadziło. Westchnął. – Doszło do tego, bo sugerowałeś, jakobym mógł ją skrzywdzić, a to już było, kurwa, za wiele.

– Trochę mi się pomieszało.

– Rozumiem. Ale mnie już się nie miesza, John. I nie chciałbym przekłuć bańki złudzeń, ale nie byłeś jedyny. Po twoim wyjeździe był jeszcze co najmniej jeden facet. Ale chyba jej nie uszczęśliwił.

Przez chwilę czułem się naprawdę urażony. To prawda, że jeśli budzisz się przy kimś choć raz, to tak naprawdę nigdy się nie rozłączacie. A potem roześmiałem się i pokręciłem głową.

– Myślę dokładnie to samo – powiedział Bill.

Milczeliśmy przez parę minut. Piliśmy kawę w

atmosferze ostrożnej, choć odczuwalnej i rosnącej wzajemnej życzliwości.

– No więc co teraz właściwie porabiasz?

– Jestem kelnerem – rzuciłem wyzywająco. Niech sam sobie z tym radzi.

– Dobry wybór. Świat potrzebuje kelnerów. Wyobrażam sobie, jak skuteczny jesteś w świecie półmisków. Do tego wracasz?

– Tak.

– Dzisiaj?

– Taki był plan.

– Wydaje mi się sensowny.

– Cieszę się, że go aprobujesz.

Uniósł brew.

– Nie wchodzimy dwa razy do tej samej rzeki, prawda? Bo wiesz, cholernie bołą mnie pięści.

Uśmiechnąłem się.

– Nie. Nie wchodzimy.

No i tak. Bill spojrzał w stronę korytarza, a ja zrozumiałem, że wszystko skończone.

\* \* \*

Wyszliśmy z domu. Niebo wisiało niskie, zimne, matowe. Znałem tę jego cechę z czasów, kiedy tu mieszkałem. Pogoda zamierzała na poważnie zabrać się do roboty. Poczulem podmuch wiatru, a Bill spytał:

– A ta inna sprawa... załatwiona?

- Jaka sprawa?
- Wspomniałeś coś o Ellen Robertson. Wczoraj wieczorem jakoś odpłynęło to z prądem.
- Koniec sprawy. Przynajmniej o tyle, że daję sobie z nią spokój. A w ogóle to Ellen znikła.
- Niegłupia decyzja, żeby sobie odpuścić.
- Jasne. Pełno mnie w całym mieście.
- Przyjmij ode mnie radę, dobrze, John?
- Zamieniam się w słuch.

Zakładałem, że zechce powiedzieć coś w rodzaju: „Niech przeszłość zostanie przeszłością”, „Trzeba zapomnieć o tym, co było, i patrzeć w przyszłość”, „Zapomnieć o martwych pomnikach i ruszyć ku jasnemu jutru”, i byłem gotów to ścierpieć. Potrzebowałem takich rad, im częściej je słyszałem, tym lepiej.

- Trzymaj się z dala od Brooke Robertson.
- Nie tego się spodziewałem.
- Dzisiaj wyjeżdżam – przypomniałem mu. – Ale skoro już przy tym jesteśmy, to o co właściwie chodzi?
  - W szkolnych czasach znałem tych dwoje całkiem nieźle. Nawet chodziłem z Brooke, kiedy oboje mieliśmy jakieś czternaście lat. Ale znasz mnie, jestem wielkim, prostym, wsiowym przygłupem.
  - Nikt tak o tobie nie myśli.
  - Owszem, prawie wszyscy, co nawet mi pasuje i wcale nie żałuję, że trafiła mi się akurat taka osobowość. Są gorsze, prawdę mówiąc, większość jest gorsza. Chcę tylko powiedzieć, że Brooke gra kartami z zupełnie innej

talii.

– Nie rozumiem.

– Jest bardzo sprytna, ale zepsuta. Skończyliśmy ze sobą, a właściwie to ja z nią skończyłem, choć była śliczniutka. Dawała mi do zrozumienia, że jest gotowa na wszystko, i można było z nią naprawdę fajnie pogadać. Parę lat później rozeszły się plotki, że było coś między nią a jednym nauczycielem angielskiego. Że się w nim strasznie zakochała, bez wzajemności... coś takiego.

– I?

– Facet umarł.

Roześmiałem się.

– Co? Kiedy znaleźli ciało, z serca sterczała jej szczotka do włosów? Daj spokój, człowieku.

– Zachorował. Jednego dnia miał formę jak nikt, był drugim rozgrywającym drużyny koszykówki, a sześć tygodni później dostał wylewu. Mózg po prostu mu się rozleciał.

– Bywa. I co Brooke może mieć z tym wspólnego? Jezu, Bill!

– Przypuszczam, że masz rację. Ale... co to lubiłeś powtarzać? Że kropki przerażają ludzi? Więc łączą je liniami, których nie ma?

– Miałem rację.

– Statystycznie rzecz biorąc, każdy z nas musi mieć rację... od czasu do czasu. Nawet taki porąbaniec jak ty.

Musiałem się uśmiechnąć.

– Byłeś panem serca Brooke Robertson? Naprawdę?

– Nie – zaprotestował spokojnie, cierpliwie. – Oto właśnie chodzi, John. Ostatnio nieczęsto ją widuję, a kiedy się spotkamy, nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Nie wiem, czy w ogóle w jej piersi biło serce, którego można zostać panem, ale to pewne jak jasna cholera, że dziś już nie bije. Ubzdurała sobie, że musi bronić twierdzy przed atakami mongolskich hord, i jeśli kiedyś żyła w niej jakaś dziewczyna, została wyprowadzona do lasu, zamordowana i pogrzebana... przez samą Brooke. Teraz jest z niej prawdziwy Robertson. Jedyne Robertson. I nic więcej.

– No to jasne, kto w tym domu nosi spodnie.

– Tak i nie. Cory może lubić od tyłu, ale to nie znaczy, że można bezkarnie przesuwając go z miejsca na miejsce.

– Jest gejem?

– Chryste, John, czy ktoś wynalazł szafę, w której można ukryć trupa na zawsze? – Bill wyglądał, jakby poczuł się dotknięty. – Przyznaję, że nigdy się z tym nie afiszowałem i trzeba naprawdę nadstawić ucha, żeby coś usłyszeć, ale... tak. Dziwne, że się nie zorientowałem. Zwykle jesteś dość bystry.

– Ostatnio jakoś nie lubię wydawać o ludziach sądów bez pokrycia. Szczególnie w sprawach tak trywialnych jak ta, co z kim robią i jak.

– Może pewnego dnia wszyscy wyewoluujemy do tego poziomu. A na razie pieprz się, Gandhi.

Roześmiałem się, patrząc na jego szeroką, szczerą

twarz. Żałowałem, że zdarzyło się tak wiele rzeczy, które nie powinny się zdarzyć.

Bill wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją.

– Uważaj na siebie – powiedział i wszedł do domu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Mniej więcej w połowie drogi do motelu zorientowałem się, że jestem śledzony. We wstecznym lusterku widziałem dużego czarnego SUV-a, utrzymującego stałą odległość, jakieś osiemdziesiąt metrów ode mnie.

Zmniejszyłem prędkość o połowę. On też.

Zjechałem z szosy do Black Ridge w drogę prowadzącą, gdzie jej się podoba. Po obu stronach rósł las.

Czarny SUV też skręcił, więc zdjąłem nogę z gazu. Pozwoliłem, by samochód toczył się coraz wolniej, aż stanął, blokując ruch. SUV też zwolnił. Zatrzymał się dwadzieścia metrów za mną. Dałem kierowcy minutę, żeby podjął decyzję i wcisnął klakson, ale tego nie zrobił. Ktokolwiek siedział za kierownicą, nie miał innego celu niż rozmowa ze mną.

Wysiadłem, nie gasząc silnika. Puste ręce trzymałem swobodnie, przy bokach, ale tak, żeby były dobrze widoczne.

Czarny, jak podejrzewałem, a teraz zyskałem pewność, GMC miał przyciemniane szyby, więc nie sposób było powiedzieć, ile osób kryje się w środku i jakich. Przysiadłem na bagażniku swojego samochodu, zapaliłem papierosa i czekałem, patrząc nieruchomym wzrokiem w jego przednią szybę.



Po jakichś dwóch minutach otworzyły się drzwi po obu stronach i z GMC wysiadło dwóch facetów. Obaj byli czarni.

Jeden miał potężne bary i gruby kark kogoś, kto regularnie trenuje boks, i szeroką, nieruchomą twarz. Drugi był chudy, sprężysty, o skórze nieco jaśniejszej i sterczących na wszystkie strony włosach. Obaj nosili bardzo czyste nike'i.

– No, chłopaki, toście się zgubili – powiedziałem.

Stanęli przed swoim samochodem. Większy zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, mniejszy przez cały czas patrzył mi w oczy.

– Wiesz, kim jesteście?

– Domyślam się.

– Więc lepiej z nami nie pogrywaj, bracie.

– Nie rozważam tej możliwości. Poważni z was ludzie, to się rzuca w oczy. Żołnierze, co? Zawodowcy?

Obserwowali mnie w milczeniu.

– W innym wypadku nie poprzestalibyście na pobiciu dziewczyny. Bo to byliście wy, prawda? Dobra robota. Jak już bijecie kobietę, to wygląda na pobitą.

Przez twarz większego przemknęło coś jakby cień i przez może nanosekundę wyglądał, jakby poczuł się niepewnie. Ludzie pracujący w jego zawodzie w większości respektowali sztywne granice, choć może kruche i/lub negocjowalne. Niektórzy nie zabijali w niedziele, inni nie łamali kości ofiarom po siedemdziesiątce. W ten sposób ci, którym jeszcze na tym

zależało, udowadniali sami sobie, że potrafią się kontrolować, że nie są zwierzętami robiącymi wszystko, co się im każe. Dla dużego pobicie kobiety nie było chyba czymś normalnym. Twarz małego ani drgnęła.

– Jeśli wiesz, jak się miewa, to znaczy, że ją widziałeś już po wszystkim.

– Bystrzak z ciebie. Wasz szef najwyraźniej oddał sprawy w dobre ręce.

– Bez wątpienia. Więc gdzie są?

– Nawet gdybym wiedział, to nie oddałbym wam ani jednego, ani drugiego.

– Dziewczyna nas nie obchodzi, ale musimy pogadać z twoim chłopakiem.

– Nie jest moim chłopakiem.

– To bez znaczenia. Gadamy z nim, tak czy inaczej.

– Wasz szef... – zacząłem.

– Nie jest naszym szefem.

– Gość, który was wynajął. Czego chce? Pieniędzy czy udowodnić światu, że jest twardy?

– Głina? – spytał wielki.

Pokręciłem głową.

– Gówno mnie obchodzie, wy i wasz biznes, jeśli nie dotyka mojej dziewczyny. Którą pobiliście. Ale dziesięć tysięcy to nie kupa gówna, więc przyjechaliście tu załatwić Kyle'a, tak?

Mały uniósł ramiona o jakieś pół centymetra. Przyglądał mi się ze spokojną pewnością siebie człowieka, który zrobił już wszystko, co najgorsze. Z

premedytacją.

– W tym wypadku nie mogę wam pomóc – mówiłem dalej. – Gdyby w grę wchodziła wyłącznie gotówka, pewnie moglibyśmy znaleźć jakieś rozwiązanie. Ja mógłbym znaleźć rozwiązanie. Ale jeśli chłopak oberwie tak czy inaczej, to nie mam w tym żadnego interesu.

Mały sięgnął ręką za siebie, prawdopodobnie po broń, którą miał zatknął za pasek od dżinsów, ukrytą pod workowatą koszulą.

– Masz w tym interes – powiedział głosem, w którym słychać było napięcie. – Na przykład możesz zachować pieprzone...

– Nie jesteście z Portlandu, co? Ściągnął was ze wschodu?

Nie cofnął ręki, ale skinął głową.

– I ile dostaniecie? Parę tysięcy na głowę. Piątka do podziału? – Milczał, co oznaczało, że mniej więcej trafiłem. Możemy załatwić to inaczej. Zadzwońcie do szefa, powiedzcie, że chłopak zapłacił, i nic więcej. Zobaczymy, jak zareaguje.

– Będzie...

– Będzie chciał zrobić z niego trupa. Dobrze. No więc powiedzcie, że nie mogliście go znaleźć, nie bierzcie od niego grosza, ale podzielcie się dziesięcioma tysiącami.

– A skąd ma być ta dycha?

– Ode mnie.

Duży i niniejszy wymienili spojrzenia.

– To się nie uda – powiedział ten drugi, patrząc na mnie. Mamy swoją robotę. Załatwiamy ludzi. Bez tego kim jesteśmy?

– No i co? Gość, który was wynajął... płaci wystarczająco dużo, by przerobić was na Terminatorów? Macie jeździć po wszystkich pieprzonych stanach, aż go znajdziecie? Jak długo? Tydzień? Dwa tygodnie? Miesiąc?

Mały patrzył na mnie w milczeniu.

– No właśnie. Więc możecie mu powiedzieć, na przykład, że znikł w tutejszych lasach, może miał przyjaciół albo coś, no i nie da się go znaleźć. Zresztą wystraszyliście tego białego dupka na śmierć. Nie wróci. Powiedzcie też, że gdyby jednak kiedykolwiek pokazał gębę w Portlandzie, wróćcie i dokończycie robotę za darmo. A na razie... jesteście żołnierzami, jesteście dorośli, musicie pilnować biznesu.

Pokręcił z namysłem głową.

– On jest naprawdę wkurzony na gówniarza. Nie da się tak zwyczajnie zbyć.

– W tym tygodniu jest wkurzony na niego. W przyszłym coś innego zawróci mu w głowie i na to się rzuci, a o nim zapomni. Przecież wiecie, jacy oni są.

Większy pociągnął nosem.

– A jeśli dzieciak wróci na plażę i będzie się przechwalał, jak to wylazł z kupy gówna?

– Nie będzie. Jest sposób, żeby nauczyć małego głupka, jak należy się zachowywać, i w tym jestem od

was lepszy. Lepszy o dychę, bo tyle jest teraz winien mnie.

Mały wreszcie się poruszył, nawet skrzyżował ręce na piersi.

– Myślę – oznajmił.

– Pomyśl. Wyjeżdżam z miasta za jakąś godzinę. Zadzwoń wcześniej, to ustalimy, jak mam przekazać wam pieniądze. Jeśli nie, zakładam, że stać was na straty. – Wyrecytowałem numer mojej komórki. – A teraz to wy, chłopcy, musicie wycofać się stąd pierwsi – zakończyłem.

– Spróbuj uciekać, to pogonimy ciebie – ostrzegł mniejszy. – Ciebie, kurwa, załatwimy za friko.

– Rozumiem. A teraz przez próżną ciekawość: kto was na mnie naprowadził?

– Policja. – Uśmiechnął się. – Któż by inny?

Wsiedli do samochodu.

Jasne, pomyślałem. Któż by inny.

\* \* \*

W drodze powrotnej przez miasto zatrzymałem się, by załatwić ostatnią sprawę. Zaparkowałem przed Mountain View. Nie założyłbym się, że jest otwarte, ale akurat było, więc wszedłem do środka.

Za barem stał chłopak, którego widziałem wcześniej. Ubrany w obcisły biały podkoszulek rozkoszował się skrycie pracą swych bicepsów. Spytałem go, czy jest Kristina. Pokręcił głową.

– Powinna być, ale jeszcze nie przyszła – powiedział.

– Jest szansa, że dasz mi numer jej telefonu?

Chłopak spojrzał na mnie, unosząc brwi. Skóra wokół jego oczu powiedziała mi, że jest trochę starszy, niż myślałem.

– Jasne, już leczę.

Znalazłem w portfelu czysty kawałek papieru. Zapisałem na nim nazwisko i numer telefonu, złożyłem i wyciągnąłem w jego stronę.

– To może chociaż dasz jej to?

– Proszę pana, czy nie jest pan trochę zbyt...

Podszedłem bliżej baru. Uśmiechnąłem się.

– Posłuchaj mnie, mięśniaku. Sprawa jest taka: nie znam Kristiny zbyt dobrze, ale podejrzewam, że jeśli chciałyby się z tobą spotykać, to już by się spotykała. Poza tym jestem prawie pewny, że gdyby doszło do wojny, toby ci nakopała w dupę. A wiem, że ja zrobiłbym to bez problemu. – Chłopak patrzył na mnie, mrugając szybko. – Więc może zmienisz nastawienie i odpowiesz mi na pytanie, w dwóch słowach albo i w jednym. Dasz jej tę karteczkę?

– Dam.

– To miło z twojej strony. I jeszcze jedno. Chodzi o wczorajszy ranek, kiedy naprzeciwno zdarzyło się to nieszczęście. Pił tu facet. Około pięćdziesiątki. Razem wyszliście.

Chłopak ostrożnie kiwnął głową.

– Stały klient?

– Nigdy przedtem go nie widziałem.  
– Widziałeś, żeby z kimś rozmawiał?  
– Nie w barze. – Zawahał się. – Ale jakieś piętnaście minut wcześniej widziałem go po drugiej stronie ulicy. I wtedy rozmawiał z Jassie.

– Jesteś pewny, że to była ona?  
– Człowieku, przecież miała niebieskie włosy!  
– Wyglądała na przyjacielską? Ta rozmowa?  
– Byli za daleko. Trudno coś powiedzieć. Ale pół godziny później facet wlał w siebie dwa duże bushmillsy.

– Wspomniałeś o tym policji?  
Wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że nie jest takim kiepskim barmanem, jak myślałem.

– Nie zapomnij oddać jej liściku.  
Wróciłem do samochodu. Siedziałem w nim z pięć minut, przyglądając się dwóm facetom wymieniającym okno w Write Sisters. Na lunch otworzą biznes jak zwykle, choć na chodniku, mimo wielokrotnego czyszczenia, pozostała plama krwi, pamiątka po kimś, kto tu niedawno pracował. Ale w końcu zniknie, wsiąknie w płyty chodnikowe i w ziemię pod nimi, i życie w Black Ridge będzie toczyć się jak zawsze.

Czy większości lokali po czymś takim nie zamknięto by na parę dni? Czy większość miasteczek nie czułaby różnicy po tak tragicznym wypadku, podczas gdy Black Ridge w ogóle się nie zmieniło? Nie wiem, dlaczego prześladowały mnie takie myśli. Nic nie mogłem na to poradzić.

Odjechałem, upewniając się przedtem, że nie jedzie za mną żaden wielki czarny SUV.

\* \* \*

Zatrzymałem się na bankowym parkingu, gdzie gość od kawy, jak mógł, pchał przed siebie swój nerwowy biznes. Zaparkowałem za dużą białą półciężarówką i resztę drogi przeszedłem piechotą. Hotelowy parking był pusty, w biurze też nikogo nie było, chociaż obecność wózka sprzątaczkę, stojącego nieruchomo przed pokojem numer dwa jak statek, który osiadł na mieliźnie, sugerowała, że przed wyjazdem będę musiał z nią pogadać. Zanosilo się na parę trudnych minut.

Zapukałem do drzwi dziesiątki. Otworzyły się nie od razu, ale gwałtownie.

– Becki, miałaś...

Za jej plecami zobaczyłem smętne resztki drzwi do łazienki.

Przepchnąłem się do nich, nie kończąc zdania.

– Cholera! Kiedy to się stało?

– Pół godziny temu. Walił w te drzwi przez dobre dwie godziny, powtarzał, że już jest w porządku i tak dalej, i że tylko chce coś zjeść. Nie wiedziałam, co robić, ale pomyślałam, że ty byś pewnie powiedział, żeby zostawić go tam, póki się nie uspokoi.

– Właśnie tak.

– Tylko że on w końcu wykopał te pieprzone drzwi!



Nie miałam pojęcia, że w ogóle jest do tego zdolny! Zaczął krzyczeć: „Gdzie pieprzony samochód?!”, a ja oczywiście wiedziałam, o co tak naprawdę pyta, ale przecież nie mam pojęcia, gdzie jest samochód...

Uświadomiłem sobie, że stoi jakoś dziwnie przygarbiona, trzymając się za żebra nisko po lewej stronie.

– Uderzył cię?

– Nie, nie uderzył, tylko... no, to był przypadek.

– Gówna prawda.

– Naprawdę. Wrzeszczeliśmy na siebie, zaczęliśmy się... no wiesz... przepychać... John, on już nie jest tym samym człowiekiem! Mówię poważnie. Jasne, przez te ostatnie kilka dni był nieźle popieprzony, ale teraz to zupełnie nowa jakość! Wyleciał z tej łazienki, jakby go, kurwa, pogięło!

– Masz jakieś pojęcie, gdzie może być?

Roześmiała się krótko, nerwowo.

– Leżałam na podłodze, a poza tym to nie był czas na omawianie planów. Zwiął. Pewnie lata po mieście jak pieprzony pies, węsząc za samochodem i zasranymi narkotykami.

– Jasne – mruknąłem. – Nie jest dobrze. Wpadłem na ludzi, którzy was szukają.

– Nie... proszę, nie! Są tutaj?

– Prawie udało mi się ich przekonać do zawarcia układu, ale jeśli zobaczą Kyle'a na ulicy, ich życie mocno się uprości. Wrócą do planu A. Musisz tu zostać.

– Pieprzyć to. Nie mam zamiaru...

– Chcesz dać tym ludziom dwa razy większe szanse na rozpoznanie znajomych? Muszę znaleźć Kyle'a, dać mu w łeb albo dać mu działkę, jeśli tylko działka pozwoli mi wsadzić go do samochodu, potem zapłacę szukającym go facetom i wreszcie będziemy mogli wynieść się stąd w cholerę.

– Nie mogę zostać. Nie mogę tak siedzieć. Co będzie, jeśli Kyle wróci, kiedy ty będziesz go szukał na mieście? Co będzie, jeśli sprowadzi tu tych ludzi?

Błysnęło mi w głowie, że ma trochę racji i że tak czy inaczej mówi prawdę. Nie może tak po prostu zostać sama.

– Jeśli jest tu coś, co chcesz ze sobą zabrać, spakuj to teraz. Idę do siebie, a potem do samochodu. Będę za dziesięć minut. Kiedy zapukam, szybko wyjdiesz. Wskoczysz na tylne siedzenie. W porządku?

Skinęła głową i dała mi klucz do mojego pokoju.

\* \* \*

Wszedłem do środka, zastanawiając się, czy naprawdę jest tu coś, czego potrzebuję, ale myśląc też, że sprzątaczką będzie zdezorientowana, jeśli coś zostawię. Poruszałem się tak szybko, że dopiero będąc na środku pokoju, zauważyłem, że na łóżku coś leży.

– Co, do diabła...

Oczy przyzwyczyły mi się do ciemności, ale i tak nie

mogłem zobaczyć twarzy tej osoby, bo zasłaniała ją leżąca na niej duża żółta koperta. Kiedy zrobiłem krok w stronę łóżka, rozpoznałem włosy Ellen Robertson, rozrzucone wokół jej głowy, skąpane we krwi.

A potem zobaczyłem jeszcze, że kopertę przytrzymuje na miejscu wbity w nią gwóźdź, wystający wprost z jej czoła.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Przez chwilę nie mogłem zrobić nic, ani się poruszyć, ani nawet oddychać. Ale w końcu przemogłem się, podszedłem bliżej i zobaczyłem, że na kopercie jest moje nazwisko, jakby Ellen została oznakowana specjalnie dla mnie. Wziąłem ją za róg, poruszyłem, poczułem opór w miejscu, gdzie przykleiła się do ciała krwią, ale zdołałem obrócić ją wokół gwoździa.

Oczy Ellen były otwarte.

Mimo to nie żyła. Ktoś poderzwał jej gardło nożem wielkim, ale niezbyt ostrym. Choć na jej szyi i na pościeli nie brakowało krwi, wydawało się jasne, że nie zginęła tutaj, wtedy bowiem byłoby jej więcej. O wiele więcej. Ktoś ją zamordował i przywiózł ciało tutaj. To, że rana pośrodku czoła nie krwawiła, dowodziło, że gwóźdź wbito jej w głowę o wiele później, kiedy już położono ją na łóżku.

Cofnąłem się o krok i ciężko usiadłem na drugim łóżku, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię. Ramiona Ellen spoczywały wzdłuż jej boków. Nie widziałem ranek, paznokcie były całe, żadnych śladów walki.

Podano jej narkotyki? Zaatakowano od tyłu, z zaskoczenia? Wczoraj po południu, kiedy widziałem ją po raz ostatni, nie była specjalnie przytomna. Uznałem, że być może ma wstrząśnienie mózgu, ale już wtedy

zaczynałem zastanawiać się, co się dzieje w tym mieście. Może Ellen po prostu się poddała?

To, co zrobię za chwilę, zależało od tego, co zrobię teraz, więc nie robiłem nic. Planowanie dwa kroki naprzód przekraczało w tej chwili granice moich możliwości.

\* \* \*

W końcu sprawdziłem łazienkę, co powinienem był zrobić od razu. Okazała się pusta.

Wróciłem do pokoju. Stałem nad Ellen, wpatrującą się we mnie i poza mnie, w sufit i gdzieś dalej. Pochyliłem się, ostrożnie oddarłem brzeg koperty aż do miejsca, z którego sterczał gwóźdź, uważając, by go nie dotknąć, w złudnej prawdopodobnie nadziei, że są na nim jakieś odciski palców i że kogoś obejdzie, jeśli okaże się, że nie należą do mnie.

Mając w ręku kopertę, wyczułem, że jest nierównej grubości, jakby w środku było coś więcej niż papier, ale to musiało poczekać. Trzymając ją w ręku, podszedłem do drzwi i zdjąłem wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Wyszedłem na korytarz. Zamknąłem drzwi. Powiesiłem wywieszkę i na sztywnych nogach poszedłem do pokoju numer pięć, przed którym stał teraz wózek sprzątaczkowy. Drzwi były otwarte. Mimo to zapukałem. Usłyszałem szuranie i przede mną pojawiła się Courtney, przyglądając mi się ciekawie.

– Cześć – rzuciła.

Wydawała się łagodna, eteryczna, niegroźna. Trudno mi było pojąć, jak może żyć w świecie, do którego należy też to coś leżące na łóżku czworo drzwi dalej.

– Witaj. – Uśmiechnąłem się. – Mieszkam w pokoju numer dziewięć.

Powoli skinęła głową.

– No tak.

– Chodzi o to, że zamierzam zostać na jeszcze jedną noc, a cały pokój zawalony jest papierami. Taka praca. Chcę mieć pewność, że nikt ich nie ruszy.

– No tak – powtórzyła dziewczyna. – Dobrze. Będę bardzo ostrożna.

– To świetnie, dziękuję. – Udałem, że odchodzę, ale zatrzymałem się w pół kroku i odwróciłem. – A właściwie wiesz co? Może zapomniałaś, że mój pokój istnieje? Tylko dzisiaj.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– A pościel?

– Nie ma sprawy. Prześpię się w drugim łóżku.

– Świeże ręczniki też będą potrzebne.

– Wezmę kilka z wózka, dobrze?

Courtney nadal nie wyglądała na szczęśliwą.

– No, nie wiem. Już mnie kiedyś o to prosili i Marie była okropnie zła, kiedy się dowiedziała, ponieważ, no... zostawili okropny bałagan.

– Ja nie zostawię bałaganu. Chodzi tylko o to, by nikt nie ruszał dokumentów.

Mózg dziewczyny potrzebował czasu na przetworzenie tej informacji.

– Ja tylko nie chcę, żeby Marie się na mnie złościła. Naprawdę, bardzo nie chcę.

– Nic jej nie powiem, jeśli ty też nic nie powiesz. Obiecuję.

Wówczas coś stało się z jej twarzą, coś, co mi się nie spodobało. Mrugnęła kilka razy, szybko, a na policzkach pojawiły się zmarszczki. Odwróciła głowę.

Nie wiedziałem, jak długo mogę tak stać i negocjować, więc wyjąłem z kieszeni portfel, a z portfela dwudziestkę.

– Ułatwisz mi życie, to wszystko – powiedziałem, podając jej banknot.

Patrzyła na niego, ale twarz miała nieruchomą i zimną.

– Zostawię twój ważny pokój w spokoju, dupku – warknęła, odwróciła się na pięcie, wpadła do pokoju i zatrzasnęła drzwi. Zostałem na korytarzu z dwudziestką w garści.

Wróciłem pod pokój numer dziesięć. Zapukałem. Becki natychmiast otworzyła drzwi. Miała ze sobą brązową papierową torbę i była gotowa do działania.

– Zmiana planów – oznajmiłem, łagodnie wpychając ją do środka.

\* \* \*

Becki siedziała na brzegu łóżka.

– Ale... ale... czy ty sobie ze mnie kpisz? Ale... o kurwa, dlaczego ktoś miałby to zrobić?!

Trochę czasu zabrało mi przekonanie jej, że po sąsiedzku naprawdę leży trup kobiety, i wytłumaczenie, że to nie ta kobieta, którą widziała, rozmawiającą ze mną na Kelly Street, ale ktoś zupełnie inny. Nie wtajemniczałem jej w całość wydarzeń i w ogóle nie powiedziałbym jej tego, co powiedziałem, gdyby istniał inny sposób na wyjaśnienie, dlaczego poszukiwanie Kyle'a przestało być moim priorytetem.

– Nie słyszałaś, żeby ktoś tam wchodził?

– Nic nie słyszałam. No bo przecież Kyle walił w drzwi i wrzeszczał jak szalony. Trochę to trwało, wtedy mogli... co masz zamiar zrobić, John? Zadzwoić na policję?

– Nie.

– Dlaczego? – Spojrzała na mnie poważnie, lecz z nadzieją, jakby nagle znalazła rozwiązanie wszystkich naszych problemów. – Musisz zadzwonić na policję. Tak się robi, kiedy się wpadnie w gówno, prawda?

– Nie tym razem. Szeryf mi nie ufa i ktokolwiek umieścił zwłoki Ellen w moim pokoju, dobrze o tym wiedział. Może sam szeryf...

Przerwałem.

– Może? Co może?

– Nie zadzwonię na policję.

Becki ukryła twarz w dłoniach.



– Więc po prostu wyjedziemy, tak? Znajdziemy Kyle'a i wyniesiemy się stąd?

Nie odpowiedziałem. Od chwili gdy znalazłem ciało Ellen, miałem straszne wrażenie, że nie nadażam. Im bardziej chciałem dogonić wydarzenia, tym wyraźniej czułem, że ześlizguję się ze zbocza góry i gubię między drzewami.

– Prawda? Tak zrobimy, John?

– Pokój zarezerwowałem na własne nazwisko. Zapłaciłem za niego własną kartą kredytową – powiedziałem chłodno. Słyszałem brzęk wózka pokojówki toczącego się korytarzem motelu. Uświadomiłem sobie, że powinienem poprosić dziewczynę, by ten pokój też ominęła. – Nawet jeśli usunę ciało, to krew już pewnie zmoczyła materac.

– Więc?

– Przed tym nie uciekniemy.

– Musi być jakiś sposób.

Pokręciłem głową. Nie było ucieczki przed tym i w ogóle przed niczym.

– Nie zamierzasz jej otworzyć?

Patrzyła na kopertę, którą trzymałem w ręku.

– No, nie wiem.

Wiedziałem, że muszę zajrzeć do środka, chociaż bardzo nie chciałem. Jaka informacja może być warta aż tyle, by dostarczyć ją w ten sposób?

Mimo wszystko wcisnąłem jednak kciuk w rozdarcie, które powstało po zdjęciu koperty z gwoźdźca w czole

Ellen. Być może były na niej ślady śliny kogoś, kto ją zaklejał, być może nie, ale nie sądziłem, by kiedykolwiek doszło do próby ich znalezienia.

Rozdarłem brzeg koperty i obróciłem ją nad łóżkiem. Wypadł z niej stary, szary podkoszulek z cienkiej bawełny, wielokrotnie składany. Podniosłem go ostrożnie. Pachniał stęchlizną, jakby leżał gdzieś długo, nieruszany.

– A to co, do diabła?!

Nie byłem pewny, póki nie obejrzałem metki. Tak, koszulka podchodziła z Human Race, sklepu niedaleko Pioneer Square w Seattle, gdzie w dawnych czasach czasami zdarzało mi się robić zakupy.

– To chyba moje – powiedziałem. – Kiedy tu mieszkałem, czasami biegałem po lesie. Wygląda jak coś, co mogłem wtedy nosić.

Poczułem, że w podkoszulku coś jest. Coś sztywnego i twardego. Położyłem go na łóżku i ostrożnie rozłożyłem. W środku znalazłem masywną srebrną bransoletkę, mającą nieco ponad centymetr szerokości, ozdobioną w regularnych odstępach małymi turkusikami. Rozpoznałem ją natychmiast, choć zmatowiała i choć byłem pewny, że zgubiłem ją dawno temu.

– Chryste – szepnąłem.

Odsunąłem na bok bransoletkę i zająłem się ostatnim przedmiotem z koperty, sztywnym kawałkiem papieru o powierzchni jakichś dwudziestu pięciu centymetrów kwadratowych. Obróciłem go. Było to zdjęcie zrobione polaroidem przy bardzo kiepskim oświetleniu. Robiąc je,

ktoś oświetlił sobie twarz latarką, a potem wcisnął przycisk migawki. Tym kimś była Carol.

– Kim jest ta kobieta? – W głosie Becki zabrzmiało coś bardzo zbliżonego do hysterii. – John, o co tu, kurwa, chodzi?

– To moja była żona.

– Jesteś żonaty?

– Byłem.

Podniosłem bransoletę i obróciłem ją w palcach. Po wewnętrznej stronie, wśród szarych matowych plam, widniał grawerunek. Wiedziałem, że tam będzie, i od razu go rozpoznałem.

J<sup>2</sup>

– John, tu jest jeszcze coś. – Odwróciłem się powoli, jakbym był w szoku. Becki zaglądała do podkoszulka. Chcesz, żebym to wyjęła?

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czy chcę, czy nie, ale Becki już wyciągnęła starannie złożoną kartkę. Wręczyła mi ją, a ja ją rozłożyłem. U góry widniały informacje charakterystyczne dla poczty elektronicznej z datą sprzed trzech lat, a pod nimi treść e-maila:

*Tak, to ja. \*Wiem\* że nie powinniśmy się kontaktować ale wypitałam o wiele za dużo wina próbując znieść klientów Billa (nadal gadających na dole) choć wolałabym być tam gdzie byś mnie dotykał. Jutro będę się*

*czuła jak gówno ale i tak wciskam klawisz. Nie odpowiadaj bo ja nie odpowiem, i \*pieprz się\* bo przez ciebie czuję się jak się czuję dupku : – ) całuję.*

Nigdy przedtem nie widziałem tej wiadomości, ale wiedziałem, kto ją pisał i do kogo.

– Co to? Co tam jest napisane?

– Nic. – Złożyłem kartkę i umieściłem z powrotem w kopercie wraz z podkoszulkiem, bransoletką i zdjęciem.

– Nie wierzę, żeby to było jakieś „nic”. Wyglądałeś, jakbyś zobaczył pieprzonego ducha!

– Zamknij się.

Becki odskoczyła, jakbym uderzył ją w twarz. Nie chciałem powiedzieć tego tak ostro. Po prostu nie byłem w stanie myśleć, nie potrafiłem poukładać sobie tego wszystkiego w głowie.

– Przepraszam.

W tym momencie oboje jak na komendę odwróciliśmy głowy. Usłyszeliśmy trzask otwieranych drzwi, ale nie drzwi od pokoju, w którym byliśmy.

– To brzmiało... John, to brzmiało tak, jakby ktoś do ciebie wchodził!

Wyszedłem z pokoju. Na parkingu nie było żadnego samochodu. Wózek pokojówki stał tam, gdzie przedtem, przed piątką. Ale drzwi do mojego pokoju były uchylone. Pchnąłem je ostrożnie. Przy biurku ktoś stał. No tak, Courtney.

Wszedłem do środka, nie mając pojęcia, jak się

zachowam i co za chwilę zrobię. Usłyszałem, jak Becki wchodzi za mną i gwałtownie wciąga powietrze. Pokojówka też to usłyszała. Odwróciła głowę.

– O, hej – rzuciła i zajęła się pracą.

Jej głos brzmiał tak, jak za każdym razem, kiedy z nią rozmawiałem, jakby była na prochach. W rękę trzymała ścierkę do kurzu. Kosz do śmierci, dotychczas ukryty pod biurkiem, stał na środku pokoju, czekając, aż ktoś go opróżni.

Zrobiłem kolejny krok w stronę Courtney. Becki znieruchomiała w progu, niezdolna odwrócić wzroku od leżącego na łóżku ciała.

– Prosiłem, żebyś tu nie wchodziła.

– Och, przecież wiem – mruknęła Courtney. – Ale trochę o tym myślałam i naprawdę nie chcę prowokować Marie. Potrzebuję tej pracy. – Zamilkła na chwilę. – A w ogóle... przecież tu nie ma żadnych papierów.

– Co?

– Sam powiedziałaś, że mam niczego nie ruszać. A tu nic nie ma. Trochę to dziwne.

– To jest dziwne?

– No właśnie. – Dziewczyna wróciła do polerowania blatu biurka powolnymi, bezsensownymi kółkami. – Może to był jakiś żart albo coś? Nie zawsze rozumiem żarty.

– Martwiłem się – powiedziałem, wskazując palcem łóżko – co sobie pomyślisz, jak zobaczysz, co w nim leży.

– Och, to? – Obrzuciła nieruchome ciało Ellen

obojętnym spojrzeniem. – O tym to już wiedziałam.

– Wiedziałaś? O tym?

– Oczywiście. – Spojrzała na mnie podejrzliwie, jakby powątpiewała w poziom mojego rozwoju umysłowego. – Jak myślisz, jak on się tu dostał? – Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła z niego duży pęk kluczy. – Co?

– Ale...

– Nie martw się. To będzie nasz mały sekret. – Courtney wróciła do sprzątanania.

– Kto to był? Kto ją tutaj przyniósł?

– Nie wiem – powiedziała przepaszająco. – Bardzo mi przykro. Nie miał twarzy.

Becki nie gapiła się już na ciało, tylko na nią.

– Wyjeżdżamy – oznajmiłem.

Courtney podniosła rękę.

– Poczekaj! Miałam ci to dać. Przepraszam. Czasami nie myślę jasno.

Włożyła rękę do kieszeni, a ja odebrałem to, co z niej wyciągnęła.

Był to kolejny polaroid. Ukazywał pomost sfotografowany o zmierzchu. Pomost przy naszym domu, który był pogrążony w ciemności i gdyby chciało się zrobić komuś zdjęcie, trzeba by oświetlić jego twarz latarką.

– Nie! – jęknąłem.

Wypadłem z pokoju.

\* \* \*

Becki próbowała dotrzymać mi kroku, ale została daleko w tyle, nim wybiegłem na drogę. Słyszałem, jak mnie woła, ale po chwili jej głos zagłuszył mój ciężki oddech i pulsująca w uszach krew.

Pędząc wzdłuż granicy parkingu, szukałem kluczyków. Dobiegłem do samochodu. Mężczyzn, którzy wyszli mi na spotkanie zza niebieskiej ciężarówki, dostrzegłem, gdy było już za późno.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Kiedy tuż przed świtem Kristina wróciła do domu, poszła prosto do łazienki, odkręciła prysznic i została pod nim długo po tym, gdy skończyła się ciepła woda. Zimna w końcu zrobiła się zbyt zimna, by pod nią wytrzymać, więc zakręciła ją, ale pozostała w kabinie, skulona w kącie, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wcale nie czuła się czystsza.

Wydawało jej się, że pamięta wszystkie złe uczynki, które kiedykolwiek popełniła, wszystkie złe uczynki, które popełnił każdy człowiek. Miała wrażenie, że czuje je we włosach, pod paznokciami, że oblepiają wnętrze jej żołądka, płyną w żyłach. Wydawało jej się, że gdyby splunęła, zwymiotowała lub zaczęła krwawić, cząstki tych uczynków znalazłyby się w ślinie, wymiotach i krwi, wyglądając jak małe wijące się robaczki.

Najgorsze było jednak to, że nie miała pewności, czy to uczucie jest przykre.

Znała to przez całe życie, ucieczka w wielki świat tak naprawdę niczego nie zmieniła. Wczorajszego wieczoru, nagle, zburzyła wszystkie bariery, zrezygnowała z oporu. Było to tak, jakby z rozmysłem stanąć na drodze rozpędzonego samochodu. Historia opowiedziana jej w pizzerii, przy kawie, przez mężczyznę, którego prawie nie znała, wcisnęła przełącznik, nad którym jej palec zawisł w dniu, kiedy wróciła do Black Ridge.



Nie. To nie takie proste.

Oczywiście, że nie takie proste. Powinna wiedzieć lepiej, a nie obwiniać obcych o to, co zrobiła. Nikt nie zmusza ludzi, by zachowywali się tak, jak się zachowują. Istnieją przykre wyjątki, ale większość robi to, co robi. Sama wybiera sobie ścieżkę w lesie, nawet jeśli ten wybór uwarunkowany jest tym, kim byli i co im zrobiono.

\* \* \*

Na przykład tym, co zrobiono jej, Kristinie, tamtej nocy, kiedy rodzice zabrali ją na zjazd z drogi 61 trochę po wpół do dziesiątej wieczorem. Było bardzo ciemno, bardzo zimno. Matka siedząca z przodu milczała. Ojciec prowadził. Robił to, co mu kazano. Jak zwykle.

Kristina siedziała z tyłu, sama. Bała się. Wprawdzie nikt jej nie powiedział, co ma się zdarzyć, ale trochę się tego domyślała. Bo czy istniał inny powód, by wieźć ją tak późno do lasu w powszedni dzień? Dlaczego powiedziano sąsiadom, że wyjechała do przyjaciółki?

Tata skręcił w leśną dróżkę biegnącą wzdłuż granicy ziemi Robertsonów. Wjeżdżali coraz głębiej w las. Wreszcie zatrzymał się, wysiadł i odszedł kilka metrów od samochodu. Znikł w ciemności cały, z wyjątkiem ognika zapalonego papierosa. Pięć lat później zmarł na raka płuc.

Matka odwróciła się, spojrzała na córkę.

– Chcę, żebyś teraz wysiadła z samochodu, skarbie

powiedziała.

\* \* \*

Kristina wyszła wreszcie spod prysznic. Ubierała się z uczuciem, że robi to po raz pierwszy. Pierwszy raz po pocałowaniu kogoś, kogo nie powinno się całować. Pocałunek skutkujący tylko tym, że czyjeś życie zostaje złamane. Pierwszy raz po ukradzeniu czegoś w sklepie, kiedy akurat się udało, po wypowiedzeniu kłamstwa łamiącego serce. Pierwszy raz po wślizgnięciu się do czyjegoś pokoju w środku nocy i zrobieniu czegoś, czego zabrania zarówno prawo, jak i odrobina zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Dobre uczynki nie zmieniają świata. Nic się nie zmienia, choć wrzuciło się monetę do puszek z przeznaczeniem na szczytny cel, pomogło przejść przez ulicę staruszce, przyłożyło rękę do budowy szkoły gdzieś, w zniszczonym przez katastrofę kraiku Trzeciego Świata. Dobroć może sprawić chwilową przyjemność, ale nic w człowieku się nie zmienia. Nie ma szans na zdefiniowanie samego siebie przez działania, o których wiadomo, że ich świadkowie uznają je za godne podziwu. Są za łatwe. Nie liczą się.

Ale kiedy zrobi się coś złego, wszystko się zmienia. Grzesząc, człowiek staje się aktywną siłą. Wychodzi zza zasłony, zaczyna kształtować świat. Bo i dla czego innego ludzie ciągle grzeszą? Popełnia się grzech i wszechświat

nie jest już ten sam, i kiedy Kristina weszła do lasu wczoraj wieczorem, była aż nazbyt świadoma trwałości tego, co ma zrobić.

\* \* \*

I bałam się, pomyślała, prawie tak bardzo jak wtedy, kiedy stałam na końcu leśnej dróżki i patrzyłam, jak ojciec odjeżdża. Czekala, aż znikną światła samochodu, a potem jeszcze trochę, póki nie umilknie dźwięk silnika. Póki nie zostanie całkiem sama.

Potem odwróciła się i stawiała czoło drzewom.

Nikt jej nie powiedział, co ma się zdarzyć. Początkowo wszystko było w porządku. Przecież to las. Kiedy mieszka się w tych górach, to zna się las. Chodzi się po nim, spaceruje, urządza pikniki, klasy wybierają się do lasu na wycieczki, oglądać ledwo widoczne pozostałości zmurszałych chat i dróg z dawnych czasów. Las towarzyszy zawsze i wszędzie, widzi się go kątem oka dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mieszka się w lesie. Las jest wszystkim.

Ale oczywiście... w nocy wszystko wygląda inaczej. Może chodzi tylko o dźwięki, ale nie. Może chodzi o to rzadkie wydarzenie, jakim jest samotność, brak jakiegokolwiek kontaktu z innym ludźmi, ale to też nie to. Może to chłód, a może zwierzęta, dowolny z wielu zrozumiałych strachów. One wszystkie odgrywają jakąś rolę, ale to nie o nie chodzi.

Nie one są złe.

To ją wyczujesz po raz pierwszy tego wieczoru, długą, straszną, przerażającą noc. Noc, kiedy pozostawiono cię w lesie, nie obiecując, że kiedykolwiek z niego wyjdiesz, bo możliwość upadku bez końca jest jądrem próby, którą przechodzisz. Chodzi o doświadczenie przerażenia, strasznego, wsączającego się w każdą komórkę ciała, aż tracisz na chwilę zmysły. Odzyskujesz je w którymś momencie ćwiczenia, ale nigdy, nawet po latach, nie odzyskasz pewności, że są tak zdrowe jak wtedy, kiedy się je traciło, lub czy część ciebie nie stała się żywicielem czegoś innego. Ta noc rozszarpuje cię na drobniutkie krwawe kawałki, uwalniając o świecie zupełnie inną młodą kobietę.

Jakiegokolwiek by były zmysły, które zachowała do końca, były wystarczająco zdrowe, żeby przestała płakać i wycić, przestała gryźć własne ciało, a nawet znalazła strumień, w którym obmyła nogi z ekskrementów. Wystarczająco zdrowe, by odnalazła ubranie, więc kiedy tamtego ranka, później, znajdą ją stojącą spokojnie na drodze, będzie można odnieść wrażenie, że wszystko jest porządku. Jakby nic się nie zmieniło.

A jednak się zmieniło.

Wraca do domu. Ojciec, którego bardzo kocha, nie zaszczycą jej nawet spojrzeniem. Matka przytula ją i trzyma długo w ciepłych objęciach. Jest dumna. Kolejne pokolenie zostało skorumpowane, wciągnięte, zgwałcone z szeroko rozsuniętymi nogami. Dużo trzeba się jeszcze

nauczyć, ale początek został zrobiony. Kristina stała się nowym ogniwem długiego łańcucha, sięgającego początków historii rodziny.

Powoli, ze strachem dopiero rodzącym się w piersi, czternastolatka sprzed lat zeszła ze ścieżki i weszła w las.

Pod każdym liczącym się względem nigdy z niego nie wyszła.

\* \* \*

Potem powinny nastąpić lata przyzwyczajania się, nauki, praktyki, ale Kristina ich nie doświadczyła. Kiedy zmarł ojciec, matka stała się jeszcze bardziej dominująca, więc zdecydowała, że nie chce być taka jak ona, wieśniaczka obdarzona mocą, której życie kontrolują inni. Bogaci mają farmy, wieśniacy pracują na roli. Z tym było tak jak ze wszystkim innym.

Kristina odrzuciła wszystko jednym ruchem, jak to się zdarza dzieciom. Tak jak dorośli czasami zmieniają zdanie.

Czy decyzję, by poprzedniej nocy, po zamknięciu baru, pojechać do lasu, podjęła wyłącznie pod wpływem spotkania z tym mężczyzną? Czy może powiedziec zgodnie z prawdą, uczciwie, że powodowała nią tylko chęć pomożenia mu, zagrodzenia drogi temu, co nieuchronnie się ku niemu zbliżało? Miała wątpliwości. W końcu nic nie miało się tam zdarzyć. Zwłaszcza teraz, kiedy przyjęła obowiązki czekające na nią przez całe jej

życie, pomyślała ponuro. Jeśli kogoś lubisz, to nie obsadzasz go w tej roli, nie każesz mu być świadkiem małych, brudnych sekretów miasteczka, być statystą.

Może jest z tym tak, jak z wypiciem drinka, po którym znów stajesz się alkoholiczką. Jak z podniesieniem słuchawki, pijackim telefonem. Ukojeniem potrzeby czynienia zła, wyzwolenia go, a przez to powrotem do świata żywych.

\* \* \*

Wjechała do lasu, znalazła miejsce sprzed lat. Powinna mieć trudności z jego znalezieniem, ale nie miała. Było tak, jakby spływała ściekiem do środka świata. Mogła tam dojechać z zamkniętymi oczami.

Wysiadła, zostawiając kluczyki w stacyjce. Po chwili zastanowienia zdjęła kurtkę i wrzuciła ją do auta. Zamknęła drzwi i ruszyła do lasu. Nie czuła chłodu. Po kilkuset metrach zrzuciła sukienkę. W plamach księżycowego światła rozlanych na śniegu, który zdołał jakoś przedrzeć się przez gałęzie drzew, widać było, że jej ciało sinieje i że pojawia się na nim gęsia skórka, lecz wewnątrz było jej bardzo gorąco.

Po pewnym czasie odnalazła pień drzewa, które, choć zwalone, od razu rozpoznała. Było dla niej ważne, bo część długiej nocy przed laty spędziła mocno do niego przytulona. Teraz stanęła przy nim z pochyloną głową. Nie miała pojęcia, jak długo tak stała.

Potem, nagle, wyprostowała się i powoli odwróciła.

Z ciemności między drzewami wyłonił się jakiś kształt i powoli do niej zbliżał. Nie miał granic, nie dawał się określić, ale postanowił zebrać maleńką część siebie w formę, którą Kristina potrafiłaby zrozumieć.

Nie spuszczała wzroku z podchodzącego do niej wielkiego, czarnego psa. Czuła się tak, jakby wróciła do domu.

\* \* \*

Kiedy następnego ranka siedzi w swym obcym sobie mieszkaniu, nie wie, ile zmieniła ta noc. Nie wie, czego będzie w stanie dokonać. Czuje mdłości, czuje się winna, czuje do siebie nienawiść, ale czuje też wielką ulgę.

Tak intensywną, że jest to niemal uczucie seksualne.

Kiedy wreszcie wstaje, by pozbierać się jakoś i iść do pracy – przecież musi jakoś funkcjonować w prawdziwym świecie – uświadamia sobie, że czuje coś jeszcze.

Ma ochotę zapalić.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Leżałem na boku. Bolał mnie tył głowy, a wewnątrz niej panowała ciemność. Coś było zdecydowanie nie tak. Twarz przyciskałem do czegoś, co pachniało kurzem i drapało mnie w policzek.

\* \* \*

Jakiś czas później znów odzyskałem przytomność. Leżałem na wznak. Bolał mnie kark. Głowa wydawała mi się tylko krucha, niekoniecznie rozbita na kawałki, więc otworzyłem oczy i postarałem się ich nie zamknąć. To też niczego nie zmieniło. Niezdarnie podciągnąłem dłonie, odepchnąłem się nimi i spróbowałem unieść górną część ciała. Zajęło mi to więcej czasu, niż się spodziewałem. Kiedy już prawie dokończyłem dzieła, podkuliłem nogi i usiadłem. Dotknąłem potylicy. Wyczułem guza. Bolał, więc go więcej nie dotykałem.

Czekałem, aż moje oczy przyzwyczają się do światła, ale najwyraźniej nie miały do czego się przyzwyczajać. Przed oczami miałem wyłącznie mleczną ciemność, zakłócaną obrazami ruchu i mgłą pochodzącą od związków chemicznych rodzących się na mojej siatkówce, bezskutecznie szukającej czegoś, czego mogłaby się chwycić dla zachowania równowagi.

Potarłem mocno oczy i twarz, ale to tylko pogorszyło



sytuację.

Zinwentaryzowałem, powoli, dokładnie, zawartość kieszeni. Odkryłem, że nie mam już telefonu komórkowego, natomiast zachowałem portfel i papierosy. Wyjąłem jednego, włożyłem do ust i pstryknąłem zapalniczkę tuż przed twarzą. Wypaliłem go do połowy, nim uświadomiłem sobie, że kogoś widzę.

Scott siedział ze skrzyżowanymi nogami trzy, może cztery metry ode mnie.

– Chryste! – krzyknąłem. Papieros wypadł mi z ust. Znów zobaczyłem czerń, tym głębszą, że poprzedzoną błyskiem światła.

– Cześć, John – powiedział kobiecy głos. – Witaj w domu.

\* \* \*

Zerwałem się na równe nogi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tył głowy nadal mnie bolał, o mało od razu nie usiadłem z powrotem, ale nie, zdołałem nawet znów wykrzesać płomień z zapalniczki, choć dopiero przy trzeciej próbie.

Carol siedziała tuż obok chłopca. Była o wiele szczuplejsza, niż kiedy widziałem ją po raz ostatni, wyglądała znacznie starzej. Zrobiłem krok w jej stronę, patrząc na towarzyszącą jej osobę, która w tej chwili podniosła na mnie wzrok.

Oczywiście nie był to Scott. Kilka sekund

wystarczyło, by stwierdzić, że kształt twarzy ma trochę inny. I oczy. Podobieństwo było niewątpliwe, ale o Scotcie mówiono zawsze, że jest podobny do mnie, a ten chłopiec, bez żadnych wątpliwości, wyglądał jak skóra zdjęta z matki.

– Czy to Tyler?

Siedział, przyglądając mi się, jakbym był potworem, a jemu wmówiono, że jeśli ani drgnie, potwór nie zaatakuje go tak od razu.

– Tak – powiedziała Carol. – Tyler, to twój tata.

Zapalniczka zaczęła mnie parzyć, więc ją zgasilem. Przez chwilę byłem wdzięczny ciemności.

Zrobiłem jeszcze krok, po czym ostrożnie usiadłem. Przełożyłem zapalniczkę do drugiej ręki. Zapaliłem ją znowu i nic nie rozumiejąc, spojrzałem na twarz kobiety, która była moją żoną.

– Carol... co się, do diabła, dzieje?

\* \* \*

Powiedziała mi, że porwano ją z jej wynajętego domu w Renton dwa dni temu, w środku nocy. Przyszło po nich dwóch mężczyzn. Jednego z nich rozpoznała, przekazał jej wiadomość w bibliotece, w której pracowała. Od tamtej pory siedzą tu, w naszym starym domu. Próbowwała jakoś się wydostać, ale ktokolwiek go zabezpieczał, wykonał dobrą robotę.

– Nie o to mi chodzi – powiedziałem. – Pytałem, co

się, do diabła, dzieje?

Nie odpowiedziała. W ciemności słyszałem, jak oddychają oboje z Tylerem, niemal jednocześnie. Teraz, kiedy już zrozumiałem, gdzie jesteśmy, wręcz czułem kształt miejsca, w którym mieszkaliśmy przez kilka ładnych lat. Zapalniczka znów zrobiła się za gorąca. Pomacałem podłogę i znalazłem papierosa. Zapaliłem go. Za każdym zaciągnięciem się, gdy się rozjarzał, widziałem ich twarze, zwrócone w moją stronę.

– Nie powinieneś tu wracać – odezwała się Carol.

– Dlaczego?

– Po prostu nie powinieneś.

– Przyjechałem, bo ktoś powiedział mi, że być może wie, co się stało ze Scottem.

– I wiedział?

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Przez prawie cały czas zachowywała się trochę jak nieobecna.

– Ona?

– Ellen. Ellen Robertson. Była żoną Gerry'ego Robertsona.

– Była? A co mu się stało?

– Umarł parę miesięcy temu. A w ogóle skąd znasz to nazwisko?

– Dorastałam niedaleko stąd, pamiętasz?

– Znałaś go?

– Niezbyt dobrze. Ale znałam Brooke.

– Znałaś Brooke? Skąd?

– Chodziłyśmy razem do szkoły.

– Byłyście przyjaciółkami?

– Brooke nie była niczyją przyjaciółką, tylko po prostu Brooke. Była Robertsonem.

– Zapewne. Dziś rano Bill Raines powiedział mi coś bardzo podobnego. Nadal nie rozumiem, co miał na myśli.

– Widziałeś się z Billem?

– Tak.

– Co u niego?

Teraz przyszła moja kolej, by zachować milczenie. Zaciągnąłem się papierosem, w ciemności dostrzegłem napiętą twarz Carol niewiele ponad półtora metra przede mną.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytałem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Gówna prawda!

– To bardzo brzydkie słowo – powiedział cicho Tyler.

– Przepraszam. – Wiedziałem, że powinienem wyciągnąć do niego rękę, przytulić go, zrobić coś ojcowskiego. W ukazującej mi się w rzucanej przez papierosa poświacie twarzy krył się cień buzi dziecka, które trzymałem kiedyś w ramionach, które karmiłem. Wiedziałem także, że to dziecko nie widziało mnie od blisko trzech lat i że nie wiem, jak dużo mamy czasu, a są rzeczy, które muszę wiedzieć.

– Ellen nie żyje – powiedziałem. – Ktoś ją zamordował, a mnie zostawił wiadomość.

Milczenie.

– Chcesz wiedzieć, jaka to wiadomość?

Milczenie.

– Koszulka, w której biegałem, kiedy mieszkaliśmy w tym domu. Bransoletka, którą dostałem w prezencie. I e-mail. E-mail do mnie od Jenny. Nigdy go nie widziałem.

Znów zaciągnąłem się papierosem. Zobaczyłem, że po policzku Carol spływa łza.

– Powiedz mi wszystko – poprosiłem. – Carol, minęło wystarczająco dużo czasu. Mam prawo wiedzieć.

\* \* \*

Powiedziała, że niczego nie podejrzewała, i może nawet była to prawda, ale pozostawało niejasne, co skłoniło ją do wejścia do mojego gabinetu pewnego dnia rano, kiedy wyjechałem do pracy, i dlaczego sprawdziła komputer. Nie powinna znaleźć w nim niczego interesującego. W tamtym czasie nie kontaktowałem się z Jenny, a nawet gdyby, to kasowałbym e-maile natychmiast. To naczelną zasadą pozamałżeńską przygody, o czym wszyscy z pewnością wiecie.

Program miałem ustawiony tak, że sprawdzał pocztę o określonej godzinie. W południe, a wcześniej o dziewiątej rano. Kiedy pracowałem w domu, starałem się utrzymać tę rutynę, by nie zmarnować całego dnia na bezustannego ping-ponga, odpisywanie ludziom, a potem

odpisywanie na to, co odpisali. Przygoda z żoną Billa zmusiła mnie do ręcznego odbierania poczty, ale tego akurat dnia nie było już przygody, nie było jej od kilku miesięcy, więc program znów działał.

No i o dziewiątej zrobił swoje, załadował e-mail, który przyszedł w środku nocy. Kiedy Carol spojrzała na monitor, zobaczyła go w odebranych. Zwykły post, chociaż, jak mi często powtarzano, każdy jest kowalem własnego losu.

Carol przeczytała wiadomość, e-mail, którego wydruk widziałem. Stała przy biurku, w głowie kręciło się jej od uczuć niemających nazwy i zastanawiała się, co robić. W końcu wydrukowała go, a potem skasowała.

Prawie cały dzień spędziła na trawniku z dzieckiem, czytając wiadomość i zastanawiając się nad jej treścią. Była zdecydowanie jednoznaczna. Nic nie maskowało siły uczuć, nie dało się ukryć, że był końcem długiej historii. Zrozumiała także, że grawerunek na bransoletce, którą zrobiła dla mnie w prezencie żona innego mężczyzny, można odczytać jako dwa „J”. Jenny i John.

Gdyby to był proces, ława przysięgłych nie potrzebowałaby się naradzać. Bez odpowiedzi pozostawało jednak pytanie: co się wydarzyło w rzeczywistości?

Z e-maila wynikało jasno, że cokolwiek działo się między jej mężem a tą kobietą, dobiegło końca, a już co najmniej jest w stanie zawieszenia. Carol była o wiele mądrzejsza, niż wydawało się jej samej, i od razu

zorientowała się, że ma wybór: może po prostu odpuścić. Przecierpieć ból i niech sprawy toczą się swoim własnym biegiem. Przecież ludzie robią różne rzeczy. Nie wszystkie bez końca, nie wszystkie zmieniają świat na zawsze. Przejście huraganu nie oznacza, że musisz rozebrać dom i przez resztę życia mieszkać w piwnicy. Carol rozumiała także, że nawet jeśli osoba A od czasu do czasu pieprzy, lub pieprzyła, osobę C, nie oznacza to wcale, że serca i życia nie poświęca już osobie B.

Ale czuła ból. Taki ból jak wtedy, gdy ktoś umiera. Bolało ją tak, jak może boleć, gdy w jednej chwili trzeba przedefiniować świat na nowo, kiedy nieprzeliczalne chwile zapadają się w siebie, pod wspomnienia podłożono bomby, a uśmiech zamienia się w kłamstwo.

– Jak mogłeś, John? Pytam, jak mogłeś mi to zrobić? Kiedy byłam w ciąży? I potem? Powiedz, jak mogłeś mi to zrobić, bo od trzech lat próbuję zrozumieć i nadal jakoś nie potrafię.

– Sam nie wiem – przyznałem.

Kiedy tamtego wieczoru wróciłem z pracy, byłem dla niej miły. Kupiłem powieść, o której wiedziałem, że chciałyby ją przeczytać. Przywiozłem coś lekkiego na obiad. Kiedy wieczorem leżeliśmy w łóżku, niespełna piętnaście metrów od miejsca, w którym siedziała teraz i snuła swoją opowieść cichym, suchym głosem, wiedziała już, że dorosła, odpowiedzialną reakcją będzie o wszystkim zapomnieć.

W każdym razie tak postanowiła. A Jenny? Ooo, to

zupełnie inna sprawa.

Jenny była kobietą, dla której przygotowywała kolację, z którą chodziła na zakupy, plotkowała przy kawie. Jenny bywała u nas w domu. Często. Przedtem, w traktcie, potem.

Carol nie mogła tego tak zostawić.

\* \* \*

Papieros już dawno się dopalił. Tyler był bardzo spokojny, ale zauważyłem, że Carol używa długich, „dorosłych słów”, i nie wydawało się prawdopodobne, by dobrze rozumiał, o czym mówimy, przecież miał zaledwie trzy i pół roku. Długo dorasta się do świadomości, jak dużo można spaprać przez zwykłą głupotę, a życie chwilą to doskonały sposób na spieprzenie nieskończonej serii innych chwil.

– Co zrobiłaś?

Usłyszałem, jak przełyka.

– Co zrobiłaś, Carol?

Powiedziała, że próbowała się powstrzymać. Powtarzała sobie, że Jenny Raines nie jest niczemu winna, a w każdym razie nie bardziej niż ja. Ale jakoś nie mogła przekonać samej siebie. Nie potrafiła zapomnieć pewnego popołudnia jakiś miesiąc po urodzeniu Tylera, kiedy przypadkowo spotkała Jenny w Roslyn. Poszły na ciastka, Jenny wzięła chłopca na ręce. Nie wiedziała, czy kochaliśmy się wtedy, czy już nie, ale nie miało to



znaczenia. Ta kobieta nie powinna zachowywać się tak swobodnie, niezależnie od okoliczności.

Spuściłem głowę. Wiedziałem, jak się czuła. Raz wpadłem na pomysł, by urządzić na jej cześć imprezę niespodziankę.

Nienawidziła takich rzeczy. To, że przyjaciele poświęcili jej czas, przyszli złożyć życzenia, nie liczyło się przy fakcie, że podczas kilku tygodni przed przyjęciem spotykała się z nimi, rozmawiała i nikt nic jej nie powiedział. Kłamali jak jeden mąż, wstrząsnęli jej światem, milcząc, przez nich czuła, że nie może ufać rzeczywistości taką, jaką ją odbierała.

- Skazałam ją na smutek.
- Co to takiego „smutek”?
- A jak ci się wydaje?
- Prościej, jeśli można prosić.
- Wstajesz i nie jesteś szczęśliwy. Nie wiesz, o co chodzi. Rozglądasz się, widzisz rzeczy, o które dbałeś, które podobno ceniłeś, i nie możesz przypomnieć sobie choćby jednego powodu dlaczego.

Pamiętałem, co Bill mówił o zachowaniu Jenny w miesiącach poprzedzających jej wyjazd z miasteczka.

- Masz na myśli depresję?
- Nie. To jest prawdziwe. To jest coś, co możesz zrobić.

Pokręciłem głową, choć biorąc pod uwagę ciemności, był to bezsensowny gest.

- Carol, przecież to brzmi jak nonsens. Proszę,

powiedz mi, co zrobiłaś Jenny. Naprawdę.

– Właśnie ci mówię, John. Ja sama nic nie mogłam jej zrobić. Ale poszłam do kogoś, kto mógł.

– Do kogo?

– Brooke.

– Brooke Robertson? I co zrobiła?

– Rzuciła smutek. Na Jenny.

– Chcesz powiedzieć, że Brooke jest czarownicą?

– Ona nie. Ale ty nie jesteś stąd, John. Nie zrozumiesz, jak to działa.

– Och, pieprzyć to.

– Poszłam do Brooke – powtórzyła Carol śpiewnym, gniewnym głosem. – Zapłaciłam jej. Dałam jej potrzebne rzeczy. Zrobiła, o co prosiłam. Ale to... – Zabrakło jej słów. Zaczęła szlochać.

– „To” co, Carol?

– Poszło nie tak.

– Mamo? – Tylera zaniepokoiło zdenerwowanie matki.

Mnie też, ale nie mogłem przestać.

– Co chcesz przez to...

– To miał być tylko smutek!

– Carol...

– Posłuchaj mnie, ty dupku! Pytałeś, więc teraz słuchaj. Nic nie czułeś?

– Kiedy?

– Tego dnia, kiedy to się zdarzyło. Nie czułeś?

Wstałem, ale nie miałem dokąd pójść, a cokolwiek

Carol robiła w tej chwili, nie sędzę, by kłamała.

Odwróciłem się.

– Opowiedz mi o wszystkim.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Powiedziała, że tamtego dnia od lunchu czuła się dziwnie, ale uznała, że to z powodu zmęczenia, Tylera, który przez całą noc płakał, przez nadchodzące wielkimi krokami problemy żołądkowe. Powiedziała, że zrobiłem jej kanapkę, czego nie pamiętałem, choć pamiętałem wszystko, co włożyłem do kanapki Scotta, i że jej nie dojadła, bo wydała jej się sucha i nieświeża.

Potem, kiedy poszedłem do gabinetu, wyszła z dzieckiem przed dom w nadziei, że świeże powietrze poprawi jej samopoczucie i może uśpi chłopca. Marudził jeszcze trochę, ale powoli się uspokoił i nagle zorientowała się, że jest cichutki i ma zamknięte oczy.

Siedziała, patrząc na jezioro i zastanawiając się, nie po raz pierwszy, dlaczego nazywa się Murdo Pond. Pochodziła z Roslyn, miasteczka odległego zaledwie o trzydzieści kilometrów, ale tu był to dystans wystarczająco duży, by różne rzeczy pozostawały tajemnicą. Poczwała, że oddycha rytmiczniej niż przed chwilą, a jej powieki robią się ciężkie. Wydawało jej się, choć tylko przez kilka chwil, że mogła zapaść w drzemkę, ale nie była tego pewna.

Jeśli tak, to wyjaśniałoby, dlaczego światło się zmieniło. Słońce się przesunęło i promienie padały na ziemię pod innym kątem. Wiatr ucichł, powietrze było ciężkie i nieruchome.

Było jej gorąco, skórę miała lepka, ale jedna z dobrych, udzielonych przez matkę rad brzmiała: „Nie budzi się śpiącego dziecka”, i jeśli nie ma jej w Biblii, to z pewnością powinna być. Słyszała cichy szelest drzew po lewej, tam gdzie znajdowały się ścieżki i pozostałości po chacie osadników, ale wiatr nie docierał tam, gdzie siedziała, podobnie jak bryza znad jeziora, marszcząca jego powierzchnię, na której powstawały małe, ale długie fale. Za to docierał dziwny zapach. Poczowała, że na jej czole pojawiają się kropelki potu, miała wrażenie, że nawet jej wnętrzności są coraz cieplejsze, jakby rosła temperatura nerek lub wątroby, jakby coś w niej pracowało za szybko. Mam nadzieję, że nie zwymiotuję, pomyślała i wtedy spytałem z tarasu: „A gdzie Scott?”.

Inaczej pamiętaliśmy to, co zdarzyło się później. Była pewna, że kiedy biegła ścieżką w stronę lasu, powietrze stało się jeszcze bardziej nieruchome. Twierdziła, że kiedy zobaczyłem Scotta na końcu pomostu, zapatrzonego w wodę, zawołałem go, choć moim zdaniem tego nie zrobiłem. W każdym razie usłyszała coś, lub może wyczuła, ostry, drażniący dźwięk świadczący o niebezpieczeństwie i o tym, że trzeba się spieszyć, i założyła, że to ja go wydałem.

Pamiętała, że kiedy oboje znaleźliśmy się na początku pomostu, wyraz twarzy syna, patrzącego ponad moim ramieniem na dom i las, zmusił ją do odwrócenia się... i że niczego nie zobaczyła. Dlatego rozumiała, że niczego tam nie było. Jakby wyłączono zasilanie. Nic się

nie czuło, nic nie myślało, nic nie pozostało z nieuchwytnych więzów spajających świat. Nic krzyczało głosem tak strasznym, że wszystko zagłuszał. Widziała drzewa, kraniec trawnika, przystań, fragmenty domu, niebo, ale nic nie miało znaczenia, nie było powiązane ze sobą nawzajem i z nią. W tej jednej chwili całe stworzenie stało się dla niej tylko stosem odpadków pokrywających martwą, porzuconą ziemię, niczym lawina kamieni, która zeszła o północy i rankiem jest już nieruchoma, cicha i martwa. Właśnie to zobaczyła na twarzy Scotta: potworne przerażenie, strach odbijający się na twarzy dziecka widzącego, jak jego rodzice stają się nagle nieokreślonymi obcymi, a świat w jednej chwili zmienia się w śmierdzącą pustkę, zamieszkaną przez pozbawione twarzy potwory.

A potem Scott wykrzyczał zaprzeczenie, jakby chciał mnie ocalić, i wszystko się skończyło.

\* \* \*

Rozpoznałem niektóre z opisanych przez nią uczuć, przypominających te, których doznałem, stojąc na pomoście popołudniem pierwszego dnia po powrocie do Black Ridge, ale widziałem też, jak krucha jest jej relacja, więc nie zrobiłem niczego, co mogłoby wytrącić ją z równowagi, z trudem utrzymywanej.

– Brooke zrobiła to, o co ją prosiłam. Pojawiło się zło ciągnęła Carol. – Ale nie odeszło. Pozostało gdzieś tutaj.

Przez nie zacząłeś pić. Zło ściągało cię nad to pieprzone jezioro.

– Nie. – Uszczęśliwiłoby mnie znalezienie czegoś, na co mógłbym zrzucić winę, ale wiedziałem, kto naprawdę ponosi odpowiedzialność i za co. – Przecież to ja...

– Wiem, że myślisz, iż wszystko to przez ciebie – przerwała mi Carol. – Ale nigdy nie piłeś, więc dlaczego wtedy zacząłeś?

– Bo zginął mój syn!

– I co? Zacząłeś pić, kiedy twoja mama zmarła nagle dwa dni przed Bożym Narodzeniem? Czepiałeś się butelki za każdym razem, kiedy faceta, którego znałeś, ciał w Iraku na kawałki jakiś dupek z maczetą?

– Nie – przyznałem, ale nie dodałem, że wtedy nie działał dodatkowy czynnik: starannie ukrywane poczucie winy. Ale...

– Było źle i robiło się coraz gorzej. Dlatego tak naciskałam, żebyś sprzedał dom. Wiedziałam, że musimy wyjechać. W końcu sama wyjechałam, kiedy już nie mogłam dłużej czekać, aż zrozumiesz, co do ciebie mówię. Nie chciałam, żebyśmy siedzieli w domu i czekali, aż znów się coś zdarzy.

– Uciekałaś od wszystkiego – powiedziałem, dopiero w tej chwili uświadamiając sobie, jak bardzo to bolało. Tak przekonująco tłumaczyłem sobie, że postąpiła rozsądnie, że piciem, trzymaniem się na dystans i bezsprzeczną nieużytecznością wydałem na siebie wyrok, że nie dopuściłem myśli, iż mógłbym znienawidzić ją za

to, że mnie porzuciła.

– Nie. Chciałam znaleźć się gdzie indziej, nim będzie za późno.

– Carol, Scott po prostu...

– Nie, nie „po prostu”. Został zabity.

– Och, a przez kogo?

– Jedną z istot żyjących tam. – Skinęła głową, prawdopodobnie wskazując las, otaczający nasz zamknięty, zabity deskami dom. – Zawsze tu były. W Ameryce, w Europie, w jaskiniach Afganistanu. Och, John, zajmowałam się nimi tak długo. Nie masz pojęcia. Każda kultura nazywa ich innym słowem. Są wszędzie, nasycają sobą miejsca, tylko nie mają konkretnych, fizycznych form. To duchy, których się baliśmy, którym składaliśmy ofiary, od zawsze wiedząc, że żyją wśród nas. To na nich trafiali czarownicy pewni, że przywołują szatana. I chociaż można je spotkać w każdym miejscu, najsilniejsze są tam, gdzie jest najbardziej dziko. Dlatego zawsze baliśmy się dziczy. Stworzyliśmy miasta i przenieśliśmy się do nich przede wszystkim po to, by bronić się przed nimi samą masą, zagłuszyć hałasem, oślepić blaskiem świateł, ale nawet w miastach gubimy się, czujemy pustkę i smutek, bo ciągle są wśród nas, za ścianami budynków, pod asfaltem ulic, w parkach. Wycinamy lasy, wiercimy dziury w ziemi, by utrudnić im znalezienie kryjówek, ale nadal potrafią w nas wejść. Nadal potrafią wszystko zrujnować.

I Carol znów się rozplakała.



– Słuchaj... – zacząłem. Sprawiała, że poczułem dojmujący smutek. Wiedziałem, że gdybym potrafił utrzymać z nią kontakt, mania nie zakorzeniłaby się w niej tak głęboko.

– To jest teraz przy mnie przez cały czas – powiedziała głosem tylko nieco donośniejszym od szeptu. – Czasami słyszę jego kroki, kiedy krąży wokół nas. Czeka przed domem.

– W Renton? Jak to możliwe...

– Wpełzają do środka, znajdują przewoźników. Dlatego ty nic nie czułeś. Może i uciekałeś przed wszystkim, ale tak naprawdę zrobiłeś jedyną właściwą rzecz; znalazłeś się daleko. Ja nie mogę.

– Dlaczego? – spytałem, chociaż przypomniałem sobie, co Ellen zaczęła mi mówić w kawiarni, o tym, że są rzeczy, przed którymi nie uciekniesz.

– Jestem nieczysta w środku. Wszystko, czego dotknę, rozpada się, zamienia w gówno. Nie mogę... nie potrafię uwierzyć, że dobrze zamknęłam drzwi.

Załamana się, całkiem się załamana. Nie mogła mówić spójnie, z trudem udawało jej się oddychać. Podeszedłem do niej powoli, w ciemności, przyklęknąłem, wziąłem ją w objęcia, pozwoliłem jej wypłakać się na mojej piersi. Wydawała mi się koścista, gorąca, w niczym nie przypominała kobiet, które do tej pory trzymałem w ramionach. Powtarzała, że poszczuła to coś na Jenny, ale to coś radośnie wyrwało się spod kontroli i skrzywdziło kogoś, kto znaczył najwięcej w życiu mężczyzny, który

wtedy znaczył najwięcej dla innej kobiety. Że nie chciała, ale to jej wina. Że ona to zrobiła.

– Co twoim zdaniem zrobiłaś, Carol?

Podniosła głowę. Twarz miała tak ściągniętą z żalu, że ledwo ją rozpoznałem.

– Zabiłam Scotta.

\* \* \*

Cokolwiek mówiłem, do niej to nie docierało, więc w końcu wstałem i zostawiłem ją samą sobie. Siedziała z nogami podciągniętymi do piersi, obejmując kolana ramionami, kiwając się w tył i w przód i cały czas mówiąc coś do siebie.

Podszedłem do Tylera i przykucnąłem. Usłyszałem, że się cofa, więc zapaliłem zapalniczkę, by mógł zobaczyć mą twarz.

– Wszystko w porządku – uspokoiłem go.

– Mama jest smutna – powiedział.

– No tak.

– Dlaczego?

– Po prostu jest smutna. Tak czasami bywa. Zostaniesz i będziesz się nią opiekował, dobrze?

– A ty dokąd idziesz?

– Chcę się rozejrzeć.

– Przecież jest ciemno.

– Wiem. Ale ja tu kiedyś mieszkałem. Ty... ty też. Ale nie możesz tego pamiętać.

– Mama mi mówiła. Byłem za mały.

– Właśnie. Byłeś za mały. – Przyglądałem się jego buzi, buzi chłopca, który powinien być moim synem, i czułem się martwy. – A teraz przytul mamę, dobrze?

– Dobrze.

Zacząłem od potwierdzenia, że jesteśmy w pokoju dziennym, jak przypuszczałem. Miałem rację. Wychwalany przez wszystkich katedralny sufit wznosił się wysoko ponad miejscem, gdzie siedzieliśmy. Uwierzyłem Carol, kiedy powiedziała, że już sprawdziła cały dom, ale wiedziałem, że musiała to robić, ciągnąc za sobą dziecko, a poza tym uznałem, że w niczym nie zaszkodzę, robiąc to sam.

Nie wiedziałem, co sądzić o tym, co mi powiedziała, i nie wiedziałem też, jak długo będziemy tu siedzieli, pozostawieni sami sobie. Czułem, że muszę coś zrobić. Zrobić coś więcej, niż zмагаć się ze świadomością, że jestem w domu, w którym kiedyś mieszkałem z chłopcem w połowie moim i kobietą, niegdyś kochaną, a dziś ledwie rozpoznawaną, albo szaloną, albo mówiącą mi rzeczy, dla których nie znajdowałem na tym świecie miejsca.

Zacząłem od przejścia wzdłuż frontowej ściany, przez wszystkie pokoje. Zrobiłem to szybko, nie zatrzymując się na dłużej nigdzie, a już szczególnie nie w moim gabinecie. Wszystkie okna zostały szczelnie zasłonięte, co nie było dla mnie niespodzianką, bo przecież oglądałem je z zewnątrz pierwszego dnia pobytu

w Black Ridge. Później wróciłem do pokoju dziennego.

– Carol... ilu ich jest?

Nie odpowiedziała.

– Carol, muszę wiedzieć.

Jej głos był stłumiony przez ręce, którymi zasłaniała twarz.

– Oczywiście nic z tego nie rozumiałeś, prawda?

Wróciłem do obmacywania ścian. Rozumowałem w ten sposób: owszem, mogę wybić szybę w którymś z okien, a potem spróbować wykopać deski, ale przybito je solidnie, więc zajmie to trochę czasu i będzie więcej niż trochę głośne. Jeśli na zewnątrz są ludzie z bronią, to mnie zabiją. Nie miałem pojęcia, ilu dopadło mnie na parkingu. Carol wspomniała o dwóch w Renton, ale to przecież nie znaczy, że nie mogło ich być więcej niż dwóch.

Nieco bez związku z sytuacją uświadomiłem sobie, że bez telefonu nie odbiorę informacji od facetów szukających Kyle'a i Becki, a także, że więcej sensu miałyby wzięcie numeru od nich zamiast dawania im swojego. Postąpiłbym tak, gdybym nie był zajęty ukrywaniem przed nimi pewności, że położą mnie tam, na drodze, bez czekania. W każdym razie w tej chwili nic nie mogłem na to poradzić. Ani na to, ani na nic innego.

Wszystko było nieźle popieprzone.

\* \* \*

Obszedłem niemal cały dom, poruszając się szybciej, kiedy uświadomiłem sobie, że tylko tracę czas, i nagle przypomniałem sobie coś, co widziałem z zewnątrz, podczas pierwszej wizyty w domu, zaraz po przyjeździe do Black Ridge. Zostawiłem w spokoju zewnętrzną ścianę i podszedłem do bocznej, od strony podjazdu. Musiałem przejść przez część, którą uważałem kiedyś za domenę Scotta, skolonizowany przez niego niczyj kawałek korytarza. Cieszyłem się, że jest ciemno. Po jego śmierci, kiedy jeszcze tu mieszkaliśmy, robiłem wszystko, by się tu nie pojawiać. Nie zależało mi, żeby teraz oglądać korytarz na własne oczy.

– Carol, mam zamiar czegoś spróbować.

Milczała.

Zszedłem na niższy poziom. Nie mogło tu być ciemniej, ale wydawało się, że jest. Przeszedłem obok pokoju służącego Carol jako gabinet, a potem tego, który przeznaczaliśmy na pokój zabaw dla chłopców, gdy dorosną. Skręciłem z korytarza w lewo. Były tam pomieszczenia gospodarcze. Pamiętałem, że opróżniliśmy je, wysprzątaaliśmy, pozamiataliśmy, ale kiedy poświeciłem zapalniczką, spodziewałem się zobaczyć to, co przypomniałem sobie podczas pierwszej wizyty: półki, a na półkach okruchy życia.

Znów odsunąłem od siebie ten obraz, za to zobaczyłem coś innego; cienki promień światła wpadający przez boczne okno małego magazynu, ostatniego pomieszczenia w części użytkowej. Szybciej

nie będzie, ale ktoś przynajmniej zaczął robotę od zewnątrz.

Wróciłem do salonu.

– Mam zamiar jakoś nas stąd wyciągnąć – oznajmiłem.

– Hura, hura, hura!

– Carol...

Prawdę mówiąc, nie uważałem, bym miał jej coś do powiedzenia. Z każdą minutą to, o czym opowiadała, przemawiało do mnie coraz silniej i choć nie oznaczało to, że wierzę, iż zrobiła coś, co spowodowało śmierć Scotta... nie wiedziałem, co czuję do niej. I wokół niej.

Wróciłem na dół.

\* \* \*

Zdjąłem kurtkę, owinałem nią ramię, rozstawiłem nogi i uderzyłem łokciem w dolną część szyby. Za pierwszym razem nic się nie stało, a za drugim szyba pękła. Zamarłem, pochyliłem się i nastawiłem uszu. Z zewnątrz dobiegał szum wiatru, ale nic więcej.

Uderzyłem łokciem parę razy, wyżej, butem odgarniając szkło. Mimo ciemności niemal widziałem wypełniające schowek świeże powietrze. Uświadomiłem sobie, że nawet nie wiem, która jest godzina, ale po stopniu nasycenia wąskiego pasma światła, przenikającego przez okno od spodu, oceniłem, że nadchodzi zmierzch.

Nie widziałem główek gwoździ wbitych we framugę, więc po prostu waliłem miarowo łokciem. Rezultaty pozostawiały sporo do życzenia. Nie zauważyłem wtedy, przed domem, czy deski przybito gwoździami, czy zamocowano na śruby. Jeśli to drugie, deski nie drgną, chyba że się je połamię.

Chwyciłem rękami framugę, zapałem się nogą i pchnąłem.

Miałem wrażenie, że wyczuwam jakiś ruch. Z zewnątrz nadal nie dobiegał żaden groźny hałas, tylko coś, co brzmiało jak deszcz.

Powoli i metodycznie wypychałem nogą deski.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy nareszcie uwierzyła, że jej głowa za chwilę wybuchnie, czując, jak powoli pogrąża się w szaleństwie, Becki dostrzegła coś, co rozpoznała.

Nie wiedziała, jak długo będzie, zagubiona w deszczu w plątaninie uliczek. Nie rozumiała, jak w ogóle do tego doszło! W porządku, uliczki krzyżowały się pod najdziwniejszymi kątami, jakby przy budowie miasteczka nikt nie miał linijki i projekt wyrył nożem, ale w końcu nie było duże, nie większe od Marion Beach. Przedwczoraj wieczorem jeździła po nim samochodem, wiedziała, że można by je w dupę wcisnąć, ale wiedziała też, jak to wszystko jest poukładane. Mniej więcej.

Więc jak, do cholery, mogła się zgubić?

Jak to możliwe, że ilekroć skręci, trafia na uliczkę zabudowaną domkami dokładnie takimi jak w uliczce, z której właśnie skręciła, tylko jakimś cudem inną? Była zmordowana, zdawała sobie z tego sprawę, wykończona i przerażona jak jeszcze nigdy w życiu, bo może martwa kobieta w łóżku i psychiczna pokojówka to już jednak lekka przesada, ale naprawdę wyglądało na to, że kiedy raz się tu znalazłeś, to cholerne miejsce po prostu nie chce cię wypuścić.

A w dodatku John gdzieś zginął.

Jedyny człowiek, który wspierał ją przez całe to gówno ostatniego tygodnia, znikł. Nie wiedziała na



pewno, ale obawiała się, że biała półciężarówka, którą widziała wyjeżdżającą z rykiem silnika z parkingu przy banku, mogła mieć z tym coś wspólnego.

Spróbowała złapać go na komórkę, potem znowu próbowała, mniej więcej co dziesięć minut, ale John nie odbierał, i to przeraziło ją jeszcze bardziej. Z wyjątkiem poprzedniej nocy, kiedy, jak zrozumiała, miał bardzo gówniane sprawy do załatwienia, John zawsze odbierał jej telefony. Zawsze był dostępny. Dla niej, dla taty, dla każdego. Jeśli teraz nie jest dostępny, to oznacza, że stało się coś złego.

I ta pustka. Na litość boską, przecież to zaledwie późne popołudnie, a już wygląda to tak, jakby mieszkańcy jak jeden mąż uznali, że dzień się skończył. Nikt nie szedł chodnikiem, nie jechał samochodem, a ci nieliczni, których widziała, spieszyli do domu, jakby ciągnęły ich tam niewidzialne sznurki. Próbowwała wołać, zwrócić na siebie uwagę, ale albo jej nie słyszeli, albo ją ignorowali. Przekraczali próg, zamykali drzwi, do widzenia. Ostatniej nocy miasteczko też nie wyglądało jak najweselsze miejsce na świecie, ale przynajmniej było otwarte. Natomiast w tej chwili przygotowywało się do wieczystej hibernacji, jakby ona, Becki, była domowym zwierzątkiem, które nie zdążyło do domu przed burzą, a właściciele uznali, że bezpieczeństwo i dach nad głową są od niego ważniejsze i, do diabła, przecież zawsze mogą kupić sobie nowego psa.

Znów zadzwoniła do Johna. I znów nic, tylko

niekończący się sygnał. Schowała komórkę do kieszeni dzinsów i ruszyła przed siebie. Skręcała tu i skręcała tam, tą uliczką szła wcześniej z całą pewnością, ale nagle zobaczyła pasek znajomego światła i zaczęła biec.

\* \* \*

Przystanąła na początku Kelly Street rozczarowana, że tu też właściwie wszystko wygląda na zamknięte. Irlandzki bar zamknięty. Hamburgerownia – zamknięta. Co się dzieje? Czy to jakieś pieprzone miejscowe święto, o którym nie ma pojęcia?

Do jasnej cholery, gdzie się wszyscy podzieli?

Wreszcie kogoś jednak zauważyła. Prawdziwego żywego człowieka, w połowie ulicy, koło pizzerii, w której zmaterializował się John. Ktoś stał pod markizą, sam, i wcale nie wyglądał, jakby miał zamiar zaraz się gdzieś ukryć. Przez jedną cudowną chwilę Becki sądziła nawet, że to John, ale zaraz zorientowała się, że postać jest zbyt chuda i ma długie włosy.

Mimo to pędziła przed siebie. Krzyczała. Ktokolwiek to był, i tak lepiej niż nikt. Postać usłyszała krzyk, podniosła głowę i Becki zorientowała się, z kim ma do czynienia. Znowu krzyknęła.

– Poczekaj – wydyszała, kiedy znalazła się blisko kobiety, przyglądającej się jej, jakby miała do czynienia z szaleńcem. Proszę, widziałam cię wczoraj wieczorem. Byłaś z nim w pizzerii, prawda? Wyszłaś, powiedziałaś,

że zapłaciłaś rachunek czy coś, i poszłaś swoją drogą. Pamiętasz?

– Mówisz... mówisz o Johnie?

– Tak. Mają go. Mają Johna!

– Kto?

– Nie wiem. – Becki się rozplakała. Nie chciała płakać, ale nie mogła przestać. – Ja nic o niczym nie wiem!

Kobieta położyła chłodną dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku, tylko powiedz, proszę...

– Nic nie jest w porządku. W jego pokoju leży martwa kobieta. Ktoś ją tam przyniósł, pokojówka zachowuje się tak, jakby miała to gdzieś, po prostu jak wariatka, a oni zostawili jakąś kopertę z czymś, John zajrzał do środka i wybiegł. Chciałam go dogonić, ale nie mogłam, widziałam jednak, gdzie biegnie, potem pojawiła się ta półciężarówka, a kiedy odjechała, już go nie było!

Kobieta wyglądała jakoś nie tak, nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej albo przestraszonej, tylko smutnej. I nieobecnej.

– Nie wiem... słyszałaś, co mówię?

– Kim była ta martwa kobieta?

– Martwa... a skąd ja to mam, kurwa, wiedzieć? Zaraz... on chyba nazwał ją Ellen. – Becki wytarła oczy grzbietem dłoni, szybkim, gwałtownym gestem. Spojrzała na kobietę, na jej bladą, szczupłą twarz, w oczy patrzące przenikliwie i przytomnie. – Dlaczego nie jesteś nawet

zdziwiona?

– Zapomnij o tym, co widziałaś w motelu. – Kobieta rzuciła papierosa na chodnik. – Courtney nie istnieje. Nikomu nie powie.

– Jak to „nie istnieje”? O czym ty mówisz? To pokojówka i jest tam dokładnie w tej, kurwa, chwili!

– Nie o to mi chodziło. W każdym razie ona nic nie powie. Nie może. Więc nie musisz się martwić.

– Oszalałaś?

Kobieta wyjęła z torebki złożony kawałek papieru. Przyglądała mu się przez chwilę.

– Próbowiałaś zadzwonić do Johna?

– Tak, oczywiście.

Kobieta mimo to spróbowała, z takim samym rezultatem, i wreszcie wyglądała tak, jakby powoli zaczęła do niej docierać powaga sytuacji. Schowała telefon do kieszeni kurtki. Patrzyła na coś za plecami Becki.

– To twoi przyjaciele?

Becki odwróciła się i zobaczyła, że, choć brzmiało to niewiarygodnie, właśnie zrobiło się jeszcze gorzej.

\* \* \*

Zacząła się cofać, ale zaraz zrozumiała, że nie ma już siły uciekać, zwłaszcza że zbliżał się do nich powoli wielki czarny GMC. Zobaczyła kogoś na tylnym siedzeniu.

– Nie – powiedziała głucho. – Ale mają mojego chłopaka.

GMC stał przy krawężniku. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i na chodnik wyskoczył chudy facet, którego Becki natychmiast rozpoznała. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, bił ją po twarzy i ciele ostrymi, doskonale wymierzonymi ciosami, podczas gdy ten drugi obserwował ulicę i wyglądał tak, jakby wolał być gdzieś indziej.

– Wsiadaj, dziewczyno – powiedział, uśmiechając się do niej tak, jak w dobrej restauracji gość uśmiecha się na widok dania dokładnie takiego, jakie zamówił. – Mamy twojego kumpla.

– Czy... nic mu nie jest?

– Wszystko w porządku. Zabieramy was na przejażdżkę, to wszystko.

– Nigdzie ich nie zabierzecie – odezwała się wysoka kobieta.

Chudy się roześmiał.

– A ty, kurwa, co...

A potem zobaczył jej twarz.

I się zamknął.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Dziesięć minut później wbiegłem na górę. Deszcz rozpadał się na dobre, słyszałem, jak bębni o dach, wysoko nad sklepieniem kryjącym salon.

– Myślę, że zdołamy się stąd wydostać.

– Jak? – W bezdźwięcznym głosie Carol nie było cienia zainteresowania.

– Przez okno.

– Otworzyłeś okno?

– Jeszcze nie. Ale kilka kopniaków wystarczy.

– Hura, hura, hura. – Przez chwilę była tylko ciemność i cisza. – A potem co?

– O co ci chodzi?

– Sam mówiłeś, że nie wiemy, kto czeka na nas na zewnątrz. Wystawisz głowę i...

– Carol, albo uciekamy, albo zostajemy i skazujemy się na zniesienie tego, co dla nas przygotowali.

Wstała, wzięła Tylera na ręce i poszła za mną.

– Wyjdę pierwszy – powiedziałem, kiedy dotarliśmy do okna. Pstryknąłem zapalniczką i pokazałem jej, z czym będziemy musieli sobie poradzić. Miało jakieś pół metra kwadratowego. – Carol...

Nie patrzyła na okno, tylko na puste półki w schowku.

– Nadal czuję ich zapach – wyszeptała.

– Zapach czego?

– Poziomek i jeszcze czegoś. Jakichś jagód. Pamiętasz tę zwariowaną kobietę? Którejś soboty rozstawiła stragan na rynku w Roslyn.

– Carol...

– Tak ci się to spodobało, a przecież nie jadasz takich rzeczy, ona zaś nie pojawiała się potem miesiącami, więc kiedy znów ustawiła ten stragan...

Przerwała. Nie czułem niczego oprócz kurzu i wątpilem, czy ona może czuć coś więcej, nie w rzeczywistości. Ale dokładnie pamiętałem dzień, kiedy ta kobieta pojawiła się ze swoim chwiejnym straganem, pamiętałem, jak kładę przed nią kilka banknotów, jak kupuję wszystkie słoiki, jak wracamy do samochodu, niosąc pudło, i jak zaśmiewamy się przez całą drogę do domu, powtarzając, że jesteśmy teraz dzemowymi milionerami i początkującymi monopolistami przetworowymi na najlepszej drodze do kariery, jaka nie marzyła się nawet Pacific Northwest. Pamiętałem także, że kiedy sprzątałem w domu po sprzedaży, nie znalazłem nawet słoika, mimo że nie pamiętałem, żebym choć otworzył jeden z nich.

– Co się stało z tym dżemem? – spytałem.

– Wyrzuciłam go. Tydzień po tym, jak dowiedziałam się o tobie i o Jenny. Włożyłam słoiki do torby, zaniiosłam je do lasu i porozbijałam, rzucając nimi o drzewo, jeden po drugim.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale przez jedną krótką chwilę miałem wrażenie, że też coś czuję. Zapach,

tylko nie w domu. W głowie. Słodczy.

– Słyszałeś?

– Co?

– Ciii...

Zamknąłem się i usłyszałem to, co usłyszała Carol. Trudno było powiedzieć coś konkretnego, deszcz prawie zagłuszał dźwięk, ale brzmiało to tak, jakby pod frontowe drzwi podjechał samochód. Za róg od miejsca, w którym staliśmy.

– Weź go – powiedziała Carol.

– Co?

– Weź Tylera. – Podała mi synka. – Moja ucieczka nie ma sensu. Weź go!

– Nie zostawię cię tutaj.

– Więc umrzemy razem.

– Umrzemy? Carol, co twoim zdaniem tu się dzieje?

Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć?

Carol ostrożnie postawiła Tylera na ziemi, pocałowała go w czoło i pobiegła na piętro. Chłopiec chciał iść za nią, ale go przytrzymałem. Rozplakał się, wołał matkę.

– Tyler, ciii...

Ale on oczywiście nie miał zamiaru się uciszyć. Pozostawiony w ciemności z mężczyzną, który nic dla niego nie znaczył, co mógł zrobić innego, niż płakać?

Przyciągnąłem go bliżej, przytuliłem i położyłem dłoń na jego ustach. Kopał. Próbował mnie uderzyć. Wydawał się niezwykle silny i ciężki, jak to bywa z



chłopcami w jego wieku. Słyszałem, jak samochód hamuje, jak trzaskają drzwiczki. Próbowałem szeptać do ucha Tylera, ale nie zwracał na mnie uwagi. Czekałem, póki nie usłyszałem kroków co najmniej dwóch par nóg zbliżających się do frontowych drzwi.

– Słuchaj – powiedziałem stanowczo – posłuchaj mnie uważnie. Mama wyszła z domu. Znajdziemy ją, ale też musimy wyjść. Przez to okno, dobrze? Znajdziemy mamę, rozumiesz, co mówię?

Przestał walczyć. Poczułem, jak kiwa głową.

– Mam zamiar postawić cię teraz na podłodze. Będiesz tu stał, dobrze? Rozumiesz? Stój, nie ruszaj się, a ja otworzę okno, wyjdę, a potem wyciągnę cię. Dobrze?

Znowu skinął głową. Czułem jego oddech na skórze, gorący i wilgotny. Najpierw go postawiłem, tak jak obiecałem.

Stał nieruchomo.

Wiedziałem, że moje tłumaczenie odniesie skutek, jeśli będę działał szybko, więc mocno pchnąłem nogą deski w środku okna. Ustąpiły na jakieś piętnaście centymetrów. Spróbowałem jeszcze raz, a potem przyłożyłem do nich ręce i naciskałem długo i z całej siły. Dolna część w końcu puściła. Do środka wpadło zimne powietrze wraz z błękitnym światłem nadchodzącego zmierzchu, ale górna ani drgnęła.

– Cholera! – zakląłem.

Tyler patrzył przed siebie z lekko przechyloną głową,

najwyraźniej zafascynowany światłem.

Przełożyłem nogę przez parapet i stanąłem na ziemi za oknem. Naparłem na deski plecami. Ustąpiły, choć tylko odrobinę. Przełożyłem drugą nogę i znieruchomiałem zgarbiony.

– Musimy zrobić to bardzo szybko – powiedziałem. Podejdź tu, proszę.

– Nie jesteś moim tatą – rzekł Tyler.

– Owszem, jestem.

– Źle pachniesz. – Podniósł rękę i wskazał okno. – Mój tata jest tam, w lesie.

Usłyszałem kroki nad głową. Ktoś wszedł do domu. Z pokoju dziennego dobiegł głos Carol.

– Poszedł na górę – powiedziała znacznie głośniejszym głosem niż to było potrzebne. – Bóg wie, co sobie myślał i jak chciał nas uwolnić, siedząc tam, ale to typowy facet. Nie myśli, tylko działa.

Wiedziałem, że już nie mamy czasu. Odepchnąłem się nogą od parapetu najmocniej, jak mogłem. Deska nagle puściła. Upadłem na wznak na wysoką, mokrą trawę. Wstałem szybko i podskoczyłem do okna.

– Tyler, podejdź...

Ale Tylera nie było. Wrócił do matki. Nie uwierzył w ani jedno moje słowo, czekał tylko na sposobną chwilę, by uciec od obcego do kobiety, którą kochał.

Zakląłem. Powrót do domu nie miał żadnego sensu. Powoli, przywierając do ściany, przeszedłem na front domu. Przy narożniku padłem na kolana i ostrożnie

wystawiłem głowę.

Przy drzwiach stała nieduża biała półciązarówka, a przy niej mężczyzna. Natychmiast zorientowałem się, że go znam.

Brian Jackson, mechanik naprawiający samochód dziewczynie z salonu przy Kelly Street. Spotkaliśmy się poprzedniego dnia rano.

Dostrzegłem także, że ma broń. W tym samym momencie on dostrzegł mnie.

\* \* \*

Krzyknął. Odwróciłem się i pobiegłem, próbując wysoko podnosić nogi, by nie uwięzły w trawie i nie spowalniały ucieczki. Najpierw pędziłem wzdłuż ściany domu, ale potem uprzytomniłem sobie, że powinienem raczej skrócić w stronę lasu, czyli w lewo.

Jackson nadal krzyczał. Nie wiedziałem, ilu ludzi weszło do domu ani czy są uzbrojeni, co wydawało się prawdopodobne. Nie miałem więc innej możliwości, tylko biec w deszczu najszybciej, jak potrafię.

Pół minuty później wpadłem między drzewa. Biegłem tam, gdzie zaczynała się ścieżka. Po trzech latach niewiele z niej zostało, prawie całkiem zarosła paprociami i dereniem. Przedzierałem się przez krzaki, nie miałem innego wyboru. Nie oglądałem się za siebie, by nie zwalniać.

Po pięćdziesięciu metrach drogę zagroził mi skośny

cień porzuconej chaty. Skręciłem w jej stronę. Padłem zasłonięty jej resztkami, oddychając ciężko. Kiedy jeszcze tu mieszkaliśmy, igrałem z pomysłem odnowienia jej, przykrycia nowym dachem, urządzenia w niej pracowni, miejsca zabaw, może letniego domu? Jak z wieloma pomysłami, których realizację odkładałem na później, i ten popadł w zapomnienie. Ale cieszyłem się, że ta ruina jeszcze stoi. Podczołgałem się do ściany, podniosłem głowę i ostrożnie wyjrzałem.

Facet z furgonetki schodził trawnikiem i jeszcze nie dotarł do lasu. Ręce trzymał przed sobą, miał w nich broń. Dostrzegłem też drugiego, zbliżającego się od strony domu. Był za daleko, bym mógł rozpoznać go w zapadającym zmroku. Nie potrafiłem zrozumieć, co, do cholery, ma przeciwko mnie mechanik i jak może być częścią tego, co się dzieje, cokolwiek się tu działo, ale to przecież nie miało żadnego znaczenia. Był zbliżającym się do mnie uzbrojonym człowiekiem, co uniemożliwiało zawarcie z nim jakiegokolwiek układu.

Huknął strzał.

Nie byłem pewny, czy strzelał mechanik, czy ten drugi, ale ktokolwiek to był, miał jakieś pojęcie, gdzie się ukryłem. Moment po płaskim trzasku kula przeorała poszycie zaledwie trzy metry ode mnie.

Ktoś krzyknął, do mnie czy o mnie, tego już nie rozumiałem.

Odwróciłem się, spojrzałem na las. Z miejsca, w którym się teraz znajdowałem, patrzyłem, jak spowija go

mrok, a wiedziałem, że ciągnie się kilometrami daleko w góry. Gdybym wybrał ten kierunek, znalazłbym tylko nicość. Nie było tam domów, dróg, a nawet przecinek. Nic, tylko drzewa i kamienie.

Gdybym ruszył w górę zbocza, wróciłbym tam, skąd przyszedłem, trafił na podjazd w miejscu, gdzie skręcał przed domem. Może udałoby mi się dopaść samochodu przed jego właścicielami, może przeszkodziłbym im w zrobieniu czegoś, co mieli w planach, ale wątpię, by zostawili kluczyki w stacyjce, a nawet jeśli, bym miał szansę odjechać, nim mnie dopadną. Dwóch ludzi ruszyło na poszukiwania, a to oznaczało, że co najmniej dwóch pilnuje domu. Z pustymi rękami nic im nie zrobię. Cholernie nie podobał mi się pomysł zostawienia Carol, ale sensowny był tylko plan zakładający usunięcie się z szachownicy.

Pozostawał mi jeden kierunek: w dół. Stamtąd mógłbym próbować prześlizgnąć się do drogi. Dolny skraj trawnika po zaledwie pięćdziesięciu metrach kończył się kolejną kępą drzew, które od ogrodzenia dzieliło sto metrów. Jeśli uda mi się zmylić tych dwóch, których widziałem, to może ucieknę.

Byli teraz tuż przy pierwszej linii drzew. Szli powoli, jakieś trzy metry jeden od drugiego. Pochyliłem się nisko i oderwałem od ruiny chaty, skręcając między drzewa w nadziei, że pnie choć trochę mnie osłonią i nie pozwolą zobaczyć, co robię.

Chyba mi się udało, bo nikt nie zaczął strzelać.

Odległość między mną a moimi prześladowcami nieco się zwiększyła, więc zawróciłem i skierowałem się w stronę jeziora. Poruszałem się szybko, aż wreszcie znalazłem się dwadzieścia metrów przed linią drzew.

Jezioro było długie, szare, z rozszanymi tu i tam ruchliwymi plamami bieli. Będzie mnie widać na jego tle, nawet przy tym świetle. Co oznaczało, że muszę poruszać się najszybciej, jak potrafię. Przecież nie miałem wyboru.

Nie widziałem już ścigających mnie mężczyzn, zagubili się gdzieś między drzewami. Słyszałem, jak jeden z nich krzyknął coś do drugiego, dzięki czemu mogłem się zorientować, gdzie i jak daleko są. Wyglądało na to, iż założyli, że więcej głębiej w las.

Poczekalem minutę, by oddalili się ode mnie jeszcze kawałek, po czym wyskoczyłem z ukrycia. Przy pierwszym kroku poślizgnąłem się i nie przyspieszyłem tak gwałtownie, jak bym chciał. Poza tym trawa tu też była długa i mokra. Biegłem jednak wyprostowany, składając ostrożność na ołtarzu szybkości. Byłem w połowie drogi, gdy usłyszałem krzyk. Nie zamierzałem zwolnić.

Zaledwie kilka metrów dzieliło mnie od zagajnika, kiedy usłyszałem odległy trzask i poczułem coś jak uderzenie od tyłu w bok. Straciłem równowagę, zatoczyłem się i wpadłem na drzewo.

Pozbierałem się szybko, choć nie mogłem wyprostować. Klucie wysoko w boku powiedziało mi, że uderzenie nie było zwykłym uderzeniem. Znaczyło to

tylko tyle, że musiałem biec. Za plecami słyszałem krzyki. Brzmiał w nich gniew.

Pomiędzy drzewami się wyprostowałem. Biegłem najszybciej, jak potrafiłem. Dobrze wiedziałem dokąd, bo byłem na ścieżce, z której korzystałem, mieszkając tu. Wtedy miałem na sobie podkoszulek, tkwiący w tej chwili w żółtej kopercie, którą zgubiłem, kiedy napadnięto mnie na parkingu. Wspiąłem się na zbocze i wreszcie wydostałem się z za zasłony lasu. Czekala mnie ostatnia prosta.

Nikt mnie na niej nie postrzelił. Dopadłem ogrodzenia. Przeskoczyłem przez nie, reagując sykiem na to, co miało na ten temat do powiedzenia moje obolałe ciało.

Wylądowałem mniej więcej na nogach. Wreszcie mogłem spojrzeć za siebie. Jednego z mężczyzn zobaczyłem na brzegu jeziora, drugiego nie widziałem i wcale nie marzyłem, by go zobaczyć. Nie widziałem możliwości dotarcia do miasta na piechotę, pozostało mi więc tylko jedno wyjście.

Odetchnąłem głęboko kilka razy i pobiegłem drogą w przeciwnym kierunku.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Dotarłem do końca podjazdu i zobaczyłem zapaloną lampę wiszącą nad drzwiami. Nie oznaczało to, że w środku ktoś jest, ale przed stodołą stały wszystkie trzy samochody, a ja byłem przemoczony, obolały i zdecydowany przynajmniej spróbować.

Potyając się, dotarłem do drzwi. Oparłem się o dzwonek, zaglądając jednocześnie do środka przez matowe szkło górnego panelu. Było ciemne, ale po paru minutach zobaczyłem, że w korytarzu zapala się światło, dostrzegłem także zbliżającą się sylwetkę.

Kiedy Collins zobaczył, z kim ma do czynienia, spróbował zatrzaskać mi drzwi przed nosem.

– Nie ma mowy. – Siłą wepchnąłem się do środka.

– Nie masz prawa – powiedział, nie podnosząc głosu.

To...

Zamilkł, wpatrując się w mój brzuch. Ja też na niego spojrzałem. Ubranie po prawej stronie miałem przesiąknięte krwią. Odsunąłem kurtkę. Szczęściarz ze mnie, bo skończyło się na długim, poszarpanym rozcięciu pod żebrami. Kilka stopni w drugą stronę i leżałbym teraz w lesie, twarzą do ziemi.

– Co... co... ?

– Dostałem kulkę. Ludzie, którzy to zrobili, są blisko i mnie szukają. Mogą się domyślić, dokąd uciekłem. Im krócej będę tu siedział, tym dla ciebie lepiej.



– Zamierzam zadzwonić na policję.

– Nie, nie zamierzasz.

– Kto to?! – rozległ się donośny kobiecy głos. Żona Collinsa, oczywiście, prawdopodobnie skulona przed telewizorem i oglądająca to, co oglądał z nią szczęśliwy mąż, nim w jego życie wepchnął się przemocą przemoczony, skąpany w deszczowej wodzie i krwi, obcy facet.

– Ktoś się zgubił – syknąłem. – Zrób to, albo cię załatwię.

– Jakiś facet się zgubił! – odkrzyknął Collins, zamykając drzwi. – Może... chcesz kawy?!

– Jasne. – Pani Collins wydawała się wzruszona. Dziękuję, skarbie.

Poszedłem za gospodarzem do kuchni, dużej, bezpiecznie oddalonej od korytarza i najczystszej, jaką w życiu widziałem.

– Potrzebuję od ciebie dwóch rzeczy – powiedziałem. Najpierw muszę skorzystać z telefonu. – Zobaczyłem stojący na blacie aparat, podszedłem do niego, rozsiewając po drodze krople deszczu na jasnym wapieniu podłogi. Niektóre krople zabarwione były na czerwono.

– Kto cię postrzelił?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Zabawne, co?

Zadzwoiłem do informacji i poprosiłem o połączenie z biurem szeryfa Black Ridge. Czekaając, podszedłem do okna. Obserwowałem początek podjazdu.

Lada chwila miało się zrobić zupełnie ciemno, ale nadal widziałbym, gdyby pojawił się tam ktoś, kto mnie szuka. Jeśli się pojawi... nie, nie miałem pojęcia, co robić.

Usłyszałem sygnał, a potem głos;

– Biuro szeryfa Black Ridge.

– Z szeryfem Pierce’em poproszę.

– Pana nazwisko?

– John Henderson.

Właściciel głosu odłożył słuchawkę. Po prostu przerwał połączenie. Stałem i gapiłem się na słuchawkę, a tymczasem Collins patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– To ty jesteś John Henderson?

– Co ci do tego?

– Nie, nic. Słyszałem to nazwisko.

– Przecież ci mówiłem, że mieszkałem tu, po drugiej stronie drogi.

– Chyba... chyba niezbyt dokładnie cię słuchałem.

– Miałeś zaparzyć kawę.

Collins drgnął, jakby obudził się z płytkiego snu, i zabrał się do roboty.

– Ekspres nie działa – stwierdził po chwili. – Lampka się nie świeci.

Rozboliła mnie głowa, może od tego, że w nią oberwałem, może od biegania. A może od utraty krwi? Miałem kłopoty ze skupieniem wzroku. Do głowy dołączył bok.

Wybrałem kolejny numer, dopiero za trzecim razem,

tak się myliłem. Stałem, słuchając sygnału. Linia trzeszczała dziwnie, jakby prąd to wyłączał się, to włączał.

Wreszcie usłyszałem bełkotliwy głos:

– Bill Raines.

– Dzięki Bogu! – krzyknąłem. – Bill, to ja, John.

– Hej! To co, znów jesteś na plaży i żonglujesz talerzami?

– Nie. Jestem tutaj. Potrzebuję twojej pomocy.

Bill roześmiał się wesoło. Sądząc po tym, co słyszałem, wypił więcej niż parę piw.

– Niezły z ciebie numer, przyjacielu. Wiesz?

– Mają Carol. I Tylera.

– Co? – Bill wytrzeźwiał w rekordowym tempie. – Kto?

– Nie wiem. Mnie udało się uciec, Carol i Tyler zostali.

– Co się, do cholery, dzieje?

– Tego też nie wiem, lecz Carol mówiła różne dziwne rzeczy, ale tak ważne, że wystarczyły, by jakiś dupek mnie postrzelił.

– Ktoś do ciebie strzelał?

– Nawet trafił. Nic poważnego, ale...

– Czego potrzebujesz?

– Będę u ciebie, jak szybko się da. Potem coś wymyślę. Ale punkt pierwszy to zdobycie jakiejś broni.

– Załatwione.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Collinsa.

Nadal garbił się nad ekspresem, co przypomniało mi zdarzenia z poranka poprzedniego dnia. Tylko że ten facet żył, miał wielką, piękną kuchnię w wielkim, pięknym domu, żonę, dzieciaki, życie.

– Druga rzecz to kluczyki – powiedziałem. – Do SUV-a.

– Nie mam zamiaru dać ci...

– Panie Collins, wyjdę z domu z kluczykami, czy zechce mi pan je dać, czy nie.

– Nie możesz mi tego zrobić!

Odwrócił się nagle. W ręku trzymał wielki kuchenny nóż.

– To taki żart, prawda?

Zrobił krok w moją stronę, wymachując nożem.

– To mój dom. Mam... mam przyjaciół.

Wytrąciłem mu nóż z ręki, niemal się do niego przytuliłem i walnąłem go pod zebra. Z tej odległości doskonale widziałem, jak oczy wyłazą mu na wierzch. Upadł, przy okazji uderzając głową o kuchenną szafkę.

– Porozmawiajmy o tych przyjaciółach – zaproponowałem. Collins wyglądał, jakby lada chwila miał zwymiotować. – Albo... dlaczego nie o Jassie Cornell? Co się z nią stało? – Złapałem go za kołnierz koszuli, posadziłem i zbliżyłem twarz do jego twarzy. – Co się z nią stało, do diabła?

Na jego twarzy malowała się panika.

– Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę dziewczynę, była pełna radości zdrowego, organicznego życia. Trzy

dni później popełniła samobójstwo na oczach trzydziestu osób. Wyjaśnij mi, skąd ta zmiana, albo znowu oberwiesz.

Po twarzy Collinsa płynęły łzy, jakby, długo wstrzymywane, wreszcie siłą wyrwały się na wolność.

– Lubilem ją. Bardzo ją lubilem, ale... Chryste! Mam rodzinę!

– Jasne. I... ?

– Zaszła w ciążę. Mówiła mi, że się zabezpieczyła. Naprawdę. A potem... Chryste, chyba rozumiesz, nie? Co miałem zrobić? Powiedziałem jej, żeby pozbyła się dzieciaka. Powiedziała „nie”. Powiedziała, że się go nie pozbędzie. Nie chciałem, żeby coś jej się stało. Naprawdę. Ja ją... ja ją lubilem.

Puściłem go.

– Co zrobiłeś?

Ukrył twarz w dłoniach. Kopnąłem go w bok. Wyszeptał coś, czego nie usłyszałem.

– Powtórz!

Powtórzył. Wypowiedział kilka słów cicho, jakby wykasływał je wraz z oddechem, ale tym razem jedno przedarło się przez palce. Zrozumiałem je.

– ... smutek...

Siedział skulony, oparty o szafkę. Gorączkowo pocierał twarz dłońmi, rozsmarowując po policzkach łzy i smarki. Oczy miał otwarte, patrzył wprost przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

Może widział kałużę krwi rozlewającą się na

chodniku przy Kelly Street? A może miękki, pulchny brzuch młodej kobiety, która kiedyś tuliła się do niego w motelowym łóżku, a teraz leżała martwa? Powinienem współczuć facetowi, choćby trochę, ale miałem ochotę wymierzyć mu kopniaka. A potem drugiego.

– Kluczyki.

Przyglądałem mu się i podchwyciłem jego spojrzenie skierowane na wiklinowy koszyk. Były w nim trzy komplety kluczyków. Zabrałem wszystkie. A kiedy odwróciłem się w stronę drzwi, zobaczyłem panią Collins. Opierała się o framugę, skrzyżowawszy ręce na piersiach, twarz miała nieruchomą.

– Mój mąż ma rację – powiedziała. – Nie ma pan prawa tego zrobić.

– Co pani usłyszała?

Mąż patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem człowieka wiedzącego, że świat nigdy już nie będzie taki sam. Obrzuciła go zimnym spojrzeniem, po czym skierowała uwagę na mnie.

– To nie pański interes – warknęła i z całej siły uderzyła mnie w twarz.

\* \* \*

Deszcz lał nieprzerwanie. SUV-a otworzyłem drugim kompletem kluczyków. Te niepotrzebne rzuciłem na ziemię. Wsiadłem, a kiedy sięgnąłem po pasy, ból po prawej stronie ciała o mało nie pozbawił mnie

przytomności. Włączyłem lampkę. Krwawienie prawie ustało.

Silnik zapalił za szóstym razem. Pojechałem podjazdem ze zgaszonymi światłami. Zatrzymałem się na jego końcu. I z jednej, i z drugiej strony było równie ciemno, co nie oznaczało, że mam jakiś wybór. Jeśli chciałem dojechać gdzie indziej niż głębiej w las, musiałem skręcić w lewo.

Podjechałem do naszego starego domu. Musiałem sprawdzić. Wysiadłem, pobiegłem podjazdem i skręciłem przed główne wejście. Ostatnie kilka metrów przebyłem przyklejony do ściany.

Furgonetka zniknęła.

Drzwi wejściowe wisiały w zawiasach.

Wszedłem do domu. W środku nie było nikogo. Wskoczyłem do SUV-a i jak najszybciej pojechałem do Black Ridge.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Bill czekał na mnie na ganku. Gdy mnie zobaczył, zbiegł po schodkach.

– Chryste – powiedział, kiedy wysiadłem i mógł mi się przyjrzeć. – Wyglądasz strasznie. To poważne?

– Nie. Chociaż wolałbym, żeby się już nie zdarzało.

W domu było ciepło, grała muzyka, a Bill zaprowadził mnie prosto do kuchni i z dzbanka, który już na mnie czekał, nalał kawę do wielkiego kubka. Zauważył, że trzęsą mi się ręce, i spytał, czy nie miałbym ochoty się czegoś napić.

Pokręciłem głową.

– Skoro już o tym mowa, z tobą jak? – spytałem.

– Parę piw. Nie martw się, to już nie to, co kiedyś.

Wiedziałem, o czym mówi, pamiętałem, jak w armii najdziwniejszym dniem był ten, kiedy nie byliśmy co najmniej po skrócie i paru piwach, gdy coś zaczynało się dziać, a w tej konkurencji Bill prawie zawsze prowadził o parę długości.

– To było dawno temu. Mieliśmy młodsze głowy – westchnąłem.

– U mnie wszystko gra, ojczulku.

Spojrzałem mu w oczy. Nie kłamał. Szybko przekazałem mu całą wiedzę, którą udało mi się osiąść. Ktoś zamordował Ellen, winą za morderstwo próbuje obarczyć mnie i jeszcze może mu się udać, bo jej ciało



prawdopodobnie ciągle leży na łóżku w moim pokoju. Ktoś – może ten sam ktoś, a może inny – porwał moją byłą żonę i syna i przetrzymywał ich w naszym starym domu, dopóki nie dorwał mnie i nas ze sobą nie połączył. A kiedy się urwałem, przewiózł ich gdzie indziej.

Carol zaś wiedziała o Jenny i o mnie.

– Aha – burknął Bill pod nosem. – Mogła mi powiedzieć.

– Carol opowiedziała mi kilka bardzo dziwnych historii mówiłem dalej. – Jasne, trzymano ją przez pewien czas zamkniętą w ciemnym pokoju i w ogóle, ale i tak zachowywała się dziwnie, a mimo... mimo to...

Urwałem. Naprawdę nie wiedziałem, jak to ująć.

– Co?

– Powiedziała, że zrobiła coś Jenny.

– Co zrobiła?

– Ja tylko... słuchaj, powtórzę, co mi powiedziała, ale nie wiem, czy jest w tym choć odrobina sensu. Powiedziała, że ktoś w jej imieniu rzucił na Jenny „smutek”. Pół godziny później facet, któremu zabrałem tego SUV-a, użył tego samego słowa, a o ile wiem, tych dwoje nigdy się nie spotkało. Potem dodała jeszcze, że... że coś poszło nie tak i dlatego Scott umarł.

Bill patrzył w podłogę, przygryzając dolną wargę.

– Czyli co? Jakieś zaklęcie?

– Wiem, jak to brzmi.

– A ten ktoś, kto miał jej pomóc, to kto?

– Brooke Robertson. Bill, jeśli coś o tym wiesz, to

teraz jest najlepszy moment, żebyś mi powiedział.

– Nie wiem – powiedział cicho. – Nie znam szczegółów. Chodzi o to, że niby jestem miejscowy, ale jednak nie jestem. Moi rodzice się tu nie urodzili, tylko osiedlili w latach sześćdziesiątych. Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy w Yakimie, przez parę lat chodziłem do szkoły z Robertsonami, o tym zresztą wiesz, ale potem mnie przenieśli, a kiedy skończyłem osiemnaście lat, wyniosłem się w cholere i wylądowałem w armii. Nie utrzymywałem z nikim kontaktu aż do powrotu, ale nawet po powrocie nie miałem tu przyjaciół, bo większość czasu spędzałem w Yakimie, zasuwając jak głupi.

– Ale...

Wzruszył ramionami.

– Coś tam słyszałem, przez te wszystkie lata. Wiesz, jak to jest.

Wiedziałem. Plotki. Półśłówka. Luźne uwagi. Rzeczy niemające bezpośredniego związku z prowadzoną właśnie sprawą, które burczał pod nosem winny, próbując zmniejszyć swoją winę, podrzucić fałszywy trop albo po prostu zabić czas. Coś takiego gromadzi się w dalekich, rzadko używanych zakątkach mózgu jak kurz.

– Co słyszałeś?

– Że są ludzie, do których możesz się zwrócić z problemem albo jeśli czegoś potrzebujesz. Że można robić różne rzeczy, czasami zmuszać ludzi, żeby coś zrobili. Nie traktowałem tego poważnie, sam dobrze wiesz, jakie są te małe miasteczka. Jakbyś całe życie

tkwił w gimnazjum, nic, tylko opowiadają ci różne bzdety. Mają lekcje w tych samych klasach, używają tych samych szafek, chodzą do tej samej kafeterii. Ludzie tworzą straszne historyjki z niczego, tak? Coś ci świta?

– Wcale nie jestem pewny, że chodzi tylko o to. Ty sam powiedziałeś, że o Brooke mówi się różne rzeczy. Od dawna.

– Owszem. Powiem ci jeszcze, że dziś po południu rozmawiałem na ten temat z Jenny.

– Żartujesz?

– Po tym jak już wyszedłeś, pomyślałem sobie: a co, cholera, zadzwonię i dowiem się, co słyhać u pewnej kobiety. Nazwisko Robertsonów padło, gdy wspomniałem, że Ellen ma kłopoty, bo okazało się, że te dwie się znają. Nie zagłębialiśmy się w temat, ale teraz mam wrażenie, że historia Brooke i nauczyciela jest bardziej złożona, niż mi się do tej pory wydawało.

Starożytna historia Brooke nie była czymś, co by mnie teraz jakoś szczególnie obchodziło, no i nagle przypomniałem sobie, że na tym bożym świecie dzieją się jeszcze inne rzeczy.

– Muszę skorzystać z telefonu.

– Jasne – mruknął Bill, wychodząc z kuchni. – Znajdę ci jakąś suchą koszulę.

– Jeszcze jedno – powiedziałem do jego pleców. – Po tym jak uciekłem, próbowałem zadzwonić do szeryfa. Ktokolwiek odebrał telefon, po prostu odłożył słuchawkę.

– Dziwne.

Nie pamiętałem numeru komórki Becki i nie przypomniałem go sobie mimo kilku prób kończących się albo sygnałem, albo irytującymi pomyłkami, rozmowami brzmiącymi tak, jakbyśmy się nawzajem nie słyszeli, ja i ten ktoś, kto podniósł słuchawkę. Głowa bolała mnie już nieznośnie. Przeszukałem kuchenne szafki i w jednej z nich znalazłem ibuprofen. Wziąłem cztery. Tymczasem Bill zdążył wrócić z szarą bluzą, w której zmieściłoby się mnie dwóch. Nie zdołałem powstrzymać się od śmiechu.

– Śmieć się, śmieć. Wiem, że jestem rodzinnego rozmiaru. Ale jest sucha i nie ma w niej ani dziury od kul, ani plam krwi. Telefon, panie Armani.

Wyciągnąłem rękę po słuchawkę. Do głowy wpadł mi pewien pomysł. Z informacji dostałem numer Mountain View. Odezwał się barman i natychmiast zawołał Kristinę.

– Gdzie się podziewasz, do jasnej cholery? – spytała. Na tej linii też słyhać było głośne trzaski. – Nic ci nie jest?

– Chciałbym cię prosić o wielką przysługę.

– W porządku, ale...

– Chodzi o moją przyjaciółkę, tę dziewczynę, która przyjechała tu samochodem zeszłej nocy. Ona...

– Jest ze mną.

– Co?

– Ale to jest nieco bardziej skomplikowane.

– Jak... – zacząłem, ale głos Kristiny umilkł, za to odezwał się inny.

– Dzwoniłem. – Był niewątpliwie wściekły. – Nie odbierasz, pierdolcu.

– Straciłem telefon. Kto mówi?

– Mały D. Mamy twojego chłopaka.

– O kurwa! – sapnąłem. – Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj! Jeśli dawno nie wykonaliśmy roboty i nie wyjechaliśmy, to tylko ze względu na twoją dziewczynę.

– Jaką? Nie mam dziewczyny.

– Chuda suka z czarnymi włosami.

– Nie jest... no dobrze, w porządku. Słucham.

Ton głosu mężczyzny zmienił się, jakby stanął plecami do swojego towarzystwa i zbliżył usta do słuchawki.

– Słuchaj, człowiek, znaleźliśmy twojego chłopca na ulicy. Byliśmy gotowi zrobić co trzeba, kiedy zobaczyliśmy też dziewczynę. Blondynkę. Switch zatrzymał, wyskoczył, żeby ją zgarnąć, dwoje za cenę jednego i jesteśmy czyści. Taki już jest. Ale jest z twoją kobietą, a ta wysoka tylko spojrzała na Switcha, jakby był małym dzieckiem, i zaczęła mówić. Switch nie słucha nikogo, jak zaczął, to kończy, ale teraz... teraz ma zupełnie nowy, lepszy pomysł. Ona mu podsunęła.

– Jaki?

– Na razie nie załatwiliśmy twojego chłopaka.

– Dzięki.

– Podwajamy stawkę. Bo teraz mamy go w rękę, człowieku.

Przez jedną krótką sekundę rozważałem możliwość powiedzenia mu, żeby się pieprzył, on i jego przyjaciel, a przy okazji mogą też wypieprzyć Kyle'a, a potem zobaczyłem, że Bill zerka na mnie spod oka. Z dużego pokoju słyszałem Creedence: *Have You Ever Seen the Rain?* Kiedy byliśmy w wojsku. Bill zawsze słuchał tego na starym walkmanie w najgorsze dni, co było kolejną okazją, by z niego żartować. Jednocześnie z tym krótkim jak błysk światła wspomnieniem do głowy wpadła mi zupełnie nowa myśl.

– Dobrze – powiedziałem powoli. – Stoi. Ale mogę mieć dla was coś jeszcze lepszego. Chcesz usłyszeć co?

– Strzelaj.

– W tej chwili mam co innego na głowie, taki mały problem, no i potrzebuję żołnierzy. Dziś wieczorem. Dwadzieścia pięć na głowę.

– Pieprzenie w bambus!

Gotujący się we mnie gniew wreszcie znalazł ujście.

– Tak ci się zdaje? Myślisz, że by mi się chciało, kiedy już masz dwójkę moich przyjaciół? Spotkaliśmy się. Wyglądałem na kogoś, kto robi sobie jaja?

– Czekał.

Przez pełne trzydzieści sekund trwała cisza. Bill patrzył na mnie, unosząc brwi.

Usłyszałem inny głos. Najwyraźniej sprawa awansowała w hierarchii służbowej.

– Pięćdziesiąt do podziału?

– Właśnie.

- Z góry.
  - Nie da się zrobić. Myślisz, że chodzę po świecie z taką gotówką w portfelu?
  - Z góry albo nie ma o czym mówić.
  - Dobra, niech będzie, jak chcesz, dupku. Zgodzicie się, dostajecie, ile powiedziałem. Nie zgodzicie się, możecie załatwić gnoja na miejscu, w barze, i iść w cholerę. Gównu mnie to obchodzi.
- Po chwili ciszy usłyszałem krótki chichot.
- Zimny z ciebie skurwysyn.
  - Rozumiem, że się zgadzacie?
  - Gdzie jesteś?
- Powiedziałem mu i kazałem oddać słuchawkę Kristinie.
- Coś ty najlepszego zrobił? – prychnęła.
  - Ktoś zabił Ellen.
  - Wiem. Becki mi powiedziała.
  - Przyjęłaś to bardzo spokojnie. – Nie skomentowała, więc mówiłem dalej: – Mają Carol i Tylera, a pół godziny temu, kiedy zadzwoniłem do biura szeryfa, ktoś po prostu odłożył słuchawkę w pół słowa. Nie widzę, by mógł stać za tym ktokolwiek poza Robertsonami. Nie dam się dłużej pieprzyć tej rodzinie.
  - John...
  - Co?
  - Lepiej po prostu wyjedź.
  - Czy ty mnie w ogóle słuchasz, dziewczyno? Ktoś mnie postrzelił. Mają Carol i mojego synka. Nie wiem, co

z nimi będzie.

– Umrą.

Zaniemówiłem. Niemal natychmiast przypomniałem sobie, jak zareagowała Kristina, gdy powiedziałem jej o śmierci Scotta. „Tak mi przykro”. Uderzyło mnie to, tylko nie wiedziałem dlaczego. Wołałem uznać, że użyła tych właśnie słów w taki właśnie sposób, bo coś do mnie czuje. A jeśli nie? Jeśli wybrała je, bo...

– Wiedziałaś o tym?

– Teraz wiem.

– Wiedziałaś, co się przydarzyło Scottowi?

– Nie wtedy, kiedy mi o tym opowiadałeś.

– Więc co wiesz o tym teraz?

– John, sądzę, że się spóźniłeś.

– Czy coś, co jesteś w stanie zrobić, może mi pomóc?

– Co ma się zdarzyć, to się zdarzy. Wszystko zaczęło się bardzo, bardzo dawno. Nie potrafię...

– Do widzenia.

– John...

Odłożyłem słuchawkę. Próbowałem jakoś uporządkować to, co właśnie usłyszałem, ale zrozumieć tego tak od razu nie potrafiłem, więc po prostu zamknąłem drzwi tego schowka w mojej głowie. Spojrzałem na Billa, opierającego się o stół z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Miałem sucho w ustach, byłem podminowany i czułem się tak, jakby wszystko nagle się ode mnie oddalało.

– Odwiedzi cię parę osób – powiedziałem.



– Jasne. To miłe. Co potem?

– Poszukamy Carol i Tylera. – Oparłem głowę na rękach. Przede wszystkim byłem śmiertelnie zmęczony, jakby sama ziemia próbowała wciągnąć moje ciało i ducha i pogrzebać je na zawsze. – Rozpieprzamy każdego, kto spróbuje nam wejść w drogę.

– I to cały twój plan?

– Mniej więcej.

\* \* \*

– W porządku – powiedziałem dziesięć minut później. Więc kiedy zamierzasz siłą przejąć władzę w kraju?

Bill wyłożył, co miał w pokoju gościnnym: glock, dwie beretty dziewięćdziesiątkidwójki, śrutówka, bardzo przyzwoity sztucer. Plus amunicja, akurat tyle, by zrobić mnóstwo dużych dziur w mnóstwie różnych rzeczy. Wzruszył ramionami.

– Coś ci nie pasuje?

Wziąłem berettę, bo tym posługiwaliśmy się w dawnych kiepskich czasach i dobrze leżała mi w dłoni, plus śrutówkę, i zszedłem na dół, by naładować je w kuchni. Broń była dobrej jakości i czysta. Próbowałem nie wyobrażać sobie Billa siedzącego tu któregoś dnia w ciągu ostatnich paru miesięcy z pistoletem w ręku, myślącego o mnie i Jenny. Prawie mi się udało.

Skończyłem. Wziąłem ręcznik. Wreszcie mogłem

zdjąć koszulę i doprowadzić się do porządku.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Bill natychmiast pojawił się w korytarzu. Spojrzał na mnie, a zamiast oczu miał dwa wielkie znaki zapytania. Pokazałem mu frontowe drzwi, wziąłem berettę i wślizgnąłem się do dużego pokoju, z którego miałem widok na wejście.

Usłyszałem, jak Bill otwiera drzwi.

– Ty kto? – spytał.

– Szukam Johna. Jest tu?

– Jesteś Mały D?

– Switch.

– Owszem, jest.

Usłyszałem kroki. Ktoś schodził po schodach ganku. Na górę wróciła większa grupa. Wyszedłem na korytarz w momencie, gdy do domu wchodziły cztery osoby: dwóch czarnych mężczyzn, a między nimi Becki i Kyle. Wiedziałem, że nie zobaczę Kristiny, ale z jakiegoś powodu jej nieobecność bolała.

Becki podbiegła i rzuciła mi się w ramiona. Nad jej głową przyglądałem się Kyle'owi. Był bardzo blady, wyglądał jak przepuszczony przez wyżymaczkę, wpatrywał się w podłogę nieruchomym wzrokiem i w ogóle przypominał mi Tylera takiego, jakim widziałem go w naszym starym domu, nieruchomego i niewychylającego się, żeby za skarby świata nie zwrócić na siebie uwagi ciemności.

Tymczasem Becki odchyliła się i przyjrzała mi się w skupieniu. Nagle uświadomiłem sobie, że w ręku mam

pistolet, za to nie mam koszuli i jestem cały poplamiony krwią i posiniaczony.

- Nic mi nie jest – zapewniłem.
- Pieprzenie. Co ci się, kurwa, stało?
- Takie tam drobiazgi.

Switch obrzucił ranę spojrzeniem zawodowca.

- Nieźle oberwałeś. Mogło się źle skończyć.
- Ale się nie skończyło. Pora brać się do roboty.

Skinął głową w sposób mogący świadczyć nawet o swego rodzaju szacunku.

- Co jest grane?

Rzuciłem mu wyjęty z kieszeni kurtki portfel.

- Więcej nie mam. Na razie.
- Nie o tym mówiłem.
- Ci, którzy mi to zrobili, mają moją byłą żonę i syna. Nie wiem, ilu ich jest i czego chcą.
- To może wiesz przynajmniej, gdzie ich znaleźć?
- Nie na pewno. Ale mam całkiem dobry pomysł, gdzie zacząć ich szukać.

Odrzucił mi portfel.

- Mówisz poważnie, potrafię poznać.

Ignorowany przez wszystkich Kyle podszedł do stojącego przy kuchennym stole krzesła, przycupnął na jego brzeżku, objął się ramionami i kołysał powoli w przód i w tył.

- Kiepsko się czujesz? – spytałem go. – Jeśli tak, to masz pecha. Nie dysponujemy narkotykami. Już nie.

- Tutaj... – wybełkotał chłopak – ... tu coś jest nie

tak.

– Prawdę gada – przytaknął Mały D. – Człowieku, to miasto jest jak kostnica. Jakby wszyscy uciekli do domów i zabarykadowali drzwi. Co to za gówno?

– Nie wiem i za cholereę mnie to nie obchodzi – powiedziałem, biorąc broń ze stołu. – No, idziemy.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Byłem za tym, żeby z oczywistych powodów zostawić Becki i Kyle'a, ale Kyle nie miał zamiaru zostać. Nic by mnie to nie obchodziło, ale Becki też bała się tak, że była bliska paniki. Odszedłem z nią w głąb korytarza. Wiedziałem, że miała ciężki dzień w ciężkim tygodniu, ale wyglądało na to, że czeka nas aktywny wieczór i dla widzów nie będzie w nim miejsca.

– Becki...

– Zapomnij, John. Nie zostawisz mnie tu, nie ma mowy. Kyle ma rację. Coś tu jest cholernie, groźnie nie tak. Czują to nawet ci dwaj, a to niebezpieczni faceci.

– Nie są przyzwyczajeni do małych górskich miasteczek. Nadchodzi zima i jest tak, jakby ludzi tu nigdy nie było tłumaczyłem.

– Gówno prawda! Chodzi o coś o wiele większego. Masz ich za ludzi zawierających układy, idących na kompromis? Ci dwaj mnie pobili, John. Weszli do mojego mieszkania i bili mnie. Nie żalowali sobie. Sprali kobietę. Mniejszemu to się naprawdę podobało. Ale wiesz co? Kiedy tu jechaliśmy, ten drugi mnie przeprosił. A jeszcze wcześniej, kiedy byłam na ulicy, kiedy trzęsłam się ze strachu i płakałam, wyskoczyli z samochodu i Kristina tak spojrzała na tego mniejszego, że przestał gadać w pół słowa. Jasne, dobra, dziewczyna roztacza groźną aurę, ale żeby poradziła sobie z takimi facetami? Dziesięć minut

później siedzieliśmy w barze i czekaliśmy na telefon od ciebie, jakbyśmy wszyscy byli gówniarzami śpieszącymi się na imprezkę i czekali na tatusia, który obiecał podrzucić nas na miejsce. O co tu chodzi?

– O pieniądze.

Becki pokręciła głową.

– Nie. To nie to. Sam ich spytaj. Spytaj ich, czy czują...

– To ostatnia rzecz, którą gotów byłbym teraz zrobić. Spotkałaś kiedyś jakiegoś mężczyznę?

Niemal się uśmiechnęła.

– Bardzo śmieszne. Ale i tak tu nie zostanę. Nie masz wyboru, musisz się z tym pogodzić. Pora na plan B.

Według planu B ich dwoje miało pojechać z nami SUV-em, a dwóch nowych za nami, swoim samochodem. Włożyłem bluzę, którą dostałem od Billa, wziąłem broń i przyjrzałem się reszcie, również uzbrojonej.

– Gotowi? – spytałem.

Dwaj czarni faceci skinęli głowami. A Bill pokręcił.

– Z tobą człowiek przynajmniej się nie nudzi, Henderson.

Zaczekał, aż wyjdziemy i wsiądziemy do samochodu, nim zadał oczywiste pytanie.

– Co będzie, jeśli pojedziemy w złym kierunku?

– Nie... – zacząłem, ale nie mogłem się oszukiwać. Miał rację. – Wybierz numer domu Robertsonów, a potem daj mi słuchawkę.

Natychmiast zrobił, o co go poprosiłem.

– Sygnał jest słaby – uprzedził.

Przez dłuższą chwilę nikt nie podnosił słuchawki, potem podniósł, ale się nie odezwał. Słyszałem tylko jego oddech.

– Brooke?

– Nie – powiedział kobiecy głos, głęboki i dziwnie zmysłowy. – Obawiam się, że nie ma jej w domu.

– Wiem, że to ty.

– Mylisz się. To Biblioteka Publiczna w Seattle. Czy wolno mi spytać, kto dzwoni?

– Posłuchaj mnie, Brooke. Jeśli coś stanie się Carol lub mojemu synkowi, oboje z bratem będziecie ostatnią generacją Robertsonów spacerującą po tej ziemi. Rozumiesz, co mówię?

Roześmiała się tak nagle i głośno, że aż mnie zabolalo.

– Śmieszny z ciebie facet – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Uruchomiłem silnik.

– Pojedziemy we właściwym kierunku – oznajmiłem.

\* \* \*

Deszcz trochę osłabł, choć tylko dlatego, że wielkimi krokami nadchodziła zamieć. Miałem ochotę wdepnąć gaz, pojechać ostro, ale wystarczająco dobrze znałem miejscowe drogi, by wiedzieć, że obcięcie dziesięciu kilometrów na godzinę o połowę zmniejsza

prawdopodobieństwo wypadnięcia z drogi. Poza tym nie należało utrudniać życia jadącym za nami.

W SUV-ie było bardzo cicho. Bill patrzył wprost przez przednią szybę. Nie miałem pojęcia, o czym myśli. Chciałem podziękować mu za to, że ze mną pojechał i że przy mnie jest, ale nie wiedziałem, jak zacząć. We wstecznym lusterku widziałem Becki i Kyle'a. Odsunęli się od siebie, ona zapatrzona przed siebie, on przez boczne okno obserwujący las.

– Zimno – odezwał się nagle.

– Potrzebujemy cię. Wiesz wszystko o pogodzie – zakpiłem.

– Chodzi mi o to, że jest naprawdę zimno. I ten zapach...

Miałem zamiar zbyć go kolejną kpina, ale w tym momencie uświadomiłem sobie, że chłopak ma rację. W SUV-ie, kiedy zabierałem go Collinsowi, ogrzewanie było włączone, nie ruszałem ustawień, ale dmuchające na nas gorące powietrze tak naprawdę niczego nie zmieniało. I zdecydowanie czuć było coś dziwnego: słodkiego, korzennego, ale i zgniłego, trochę jak cynamon. Poszukałem wzrokiem wiszącego gdzieś samochodowego odświeżacza powietrza, ale nie zobaczyłem niczego podobnego, więc odrobinę uchyliłem okno. Niewiele to zmieniło, jeśli chodzi o temperaturę, za to zapach stał się wyraźnie mocniejszy.

– To z lasu? – spytała Becki.

– Nie mam pojęcia – odparłem, ale wiedziałem, że



kiedyś czułem to samo lub coś bardzo podobnego. W Black Ridge czułem to niejedną raz.

Przez następne pięć minut jechaliśmy w milczeniu. I znów tym, który je przerwał, był Kyle.

– Tam coś jest – powiedział.

– Zamknij się – warknęła Becki.

– Naprawdę coś widziałeś? – spytał Bill.

Kyle nie odpowiedział od razu. Twarz miał niemal przylepioną do szyby.

– Nie – przyznał w końcu.

– Więc chyba nie ma się czego bać – powiedział mój przyjaciel. Może nawet miał rację, ale im dalej w las się zagłębialiśmy, tym dobitniej żołądek mdlącym uczuciem ostrzegał mnie, że owszem, jest. Częściowo był to zwykły strach, a może tylko oczekiwanie? Nie obchodzi mnie, kim jesteś lub co zrobiłeś, każdy człowiek, akceptując towarzystwo broni, wie, że robi krok w stronę zasłony oddzielającej życie od śmierci. Bywałem już w podobnej sytuacji, więcej, przypinano mnie do broni przez całe lata dorosłego życia, traktując to jako oczywistość, i wierzcie mi, to nie było co.

Bąłem się także o Carol i o Tylera, ale to nie wyczerpywało moich przeczuć. Było jeszcze coś. Nie wiem, czy na zewnątrz, czy głęboko we mnie, ale coś było.

Poczucie, że coś złego jest blisko i z każdą chwilą coraz bliżej.

\* \* \*

Z odległości pięćdziesięciu metrów dostrzeegliśmy, że brama prowadząca do posesji Robertsonów jest otwarta.

– Nie wiem, czy to dobry znak – mruknął Bill.

– Porwali mnie z jakiegoś powodu – zauważyłem, delikatnie dotykając hamulca, by zasygnalizować jadącym za nami, że się zatrzymujemy. – Uciekłem. Raz mnie wpuścili, to teraz wracam.

– I w tym ma być coś dobrego? – zdziwiła się Becki.

Zjechałem na bok, wysiadłem i podszedłem do GMC. Mały D otworzył okno. Jego twarz wydała mi się szara i napięta.

– To tu – oznajmiłem. – Wszystko w porządku.

– Tyle że cholernie zimno.

Wyglądał całkiem przekonująco, ale coś powiedziało mi, że odczuwa to samo, co czułem ja, zbliżając się do tego miejsca, silne wrażenie, że zawrócenie i oddalenie się stąd to dobry sposób na przeżycie.

Switch wyłączył silnik. Spod siedzenia wyjął dziewiątkę.

– Co robimy?

– Chodźcie ze mną.

Wróciłem do SUV-a i włożyłem głowę do środka.

– Wy dwoje zostajecie – zarządziłem. Becki próbowała zaprotestować, ale nie dałem jej okazji. – Tym razem nie żartuję.

Spuściła wzrok na rękę.

– Macie przesiąść się na przednie siedzenie. Zablokujcie drzwi. Jeśli pojawi się ktoś, kogo nie rozpoznacie, natychmiast odjedziecie. Szybko. Zrozumieliście?

Bill wysiadł, trzymając w ręku śrutówkę. Podniósł głowę.

Gdzieś, nad górami, przewalił się grzmot.

– Cholerna pieprzona noc – powiedział.

– Dla nas to lepsza osłona.

– A ja cię miałem za pesymistę!

Zamknęliśmy drzwi i podeszliśmy do bramy. Dwójka z GMC szła za nami. Zdażyli już wyjąć broń i teraz mocno ściskali ją w garści. Bill zatrzymał ich gestem na początku podjazdu, a ja, przygięty do ziemi, truchcikiem przebiegłem przez bramę i dalej, w stronę widocznej w oddali ciepłej, białej poświaty.

Na szczycie wzniesienia zobaczyłem, że oba domy są jasno oświetlone, jakby ktoś próbował zwrócić na siebie uwagę przelatujących wysoko obcych z kosmosu. Trzymałem się prawej krawędzi podjazdu, kluczyłem między krzakami i małymi drzewkami, uczulony na jakąkolwiek oznakę ruchu. Niczego nie dostrzegłem, więc cofnąłem się i pomachałem do reszty, sygnalizując im, że mogą podejść.

Zebraliśmy się po lewej stronie podjazdu.

– Bill i ja zajmiemy się większym domem. – Musiałem podnieść głos, żeby przekrzyczeć deszcz. – Wy dwaj sprawdźcie ten drugi.

Switch spojrział na dom, w którym kiedyś mieszkała Ellen.

– A co, jeśli...

– Jeśli znajdziecie kobietę i chłopca, macie ich wyprowadzić i natychmiast nas poszukać. Odbijemy ich i wynosimy się stąd natychmiast, bo nie mamy tu nic więcej do roboty. Jeśli zobaczycie kogoś, kto nie będzie którymś z nas, bądźcie bardzo podejrzliwi. Jeśli ten ktoś sięgnie po broń, strzelajcie. Usłyszemy huk i natychmiast do was przybiegniemy.

Switch kiwnął głową, potwierdzając, że rozumie, i wraz z Małym D znikł w deszczu. My wyciągnęliśmy pistolety.

– Nigdy nie widziałem czegoś, co tak bardzo wyglądałoby na pułapkę – powiedział Bill wesoło, kiedy biegliśmy w stronę domu. Im bliżej byliśmy, tym lepszy stanowiliśmy cel. W pełnym świetle. – Jeśli sto metrów dalej jest ktoś z karabinem z optycznym celownikiem, z nami koniec.

Połowa światła nagle zgasła, a potem się zapaliła. Oprócz tego nie zdarzyło się nic, co przeszkodziłoby nam dotrzeć do ganku. Przygarbieni, zbadaliśmy front budynku, zaglądając po drodze przez okna. Wszystkie dostępne nam w ten sposób pokoje wyglądały na opuszczone. Wróciliśmy pod drzwi i stanęliśmy po obu stronach. Wyciągnąłem rękę i spróbowałem nacisnąć klamkę.

Były otwarte.

Pchnąłem je, odczekaliśmy dwadzieścia sekund, po czym Bill skinął głową. Odwróciliśmy się jak na komendę i wmaszerowaliśmy do środka, trzymając przed sobą broń.

Usłyszeliśmy tykanie zegara.

W korytarzu zatoczyliśmy powolny łuk. Wciąż słyszeliśmy tylko zegar, nic więcej. Bill skrzywił się przeraźliwie. Uderzało to człowieka zaraz po wejściu: nastawione na maksimum ogrzewanie i smród. Podobny do tego, który poczuliśmy w samochodzie, tylko znacznie gorszy, zgniły, mdląco intensywny, jakby nad ogniskiem z mokrego drewna godzinami gotowano w tłuszczu goździki z dodatkiem ingrediencji, których normalni ludzie nie mają prawa jeść.

Gestem pokazałem Billowi, że ma zbadać prawą stronę domu, sam zająłem się lewą. Szybko przeszukiwałem wnętrza, które Cory pokazywał mi podczas wizyty. Teraz wydawało mi się, byłem tu całe tygodnie temu. Salon z krzesłami o prostych oparciach z rodzaju tych stworzonych raczej do patrzenia niż do siedzenia. Magazyny porozrzucane na szklanych blatach niskich stolików. Kominek, w którym tego dnia napalono, ale pozwolono polanom dopalić się do końca. Świeciło się wszystko, co mogło się świecić: żyrandole, stojące lampy, kinkiety.

Przeszedłem przez drzwi w tylnej ścianie, które prowadziły do biblioteki, najpoważniejszej nowej konstrukcji dodanej do starego domu, a potem przez

drzwi w bocznej ścianie biblioteki prowadzące do pokoju śniadaniowego, czystego, cichego i pustego. Tu, w tylnej ścianie, znajdowało się okno, ale na zewnątrz było tak ciemno, że widać było tylko szybę, po której spływały strugi deszczu. Tu właśnie, na kominku, stał zegar. Najgłośniejszy, jaki w życiu słyszałem, chyba że coś dziwnego stało się z moim organem słuchu. Nie pamiętałem jego tykania z poprzedniej wizyty, wydawało mi się, że w ogóle go nie zauważyłem.

Po przeciwnej stronie pokoju śniadaniowego znajdowało się wejście do kuchni. Sprawiała wrażenie przesypanej naftaliną, tak jak wszystko, co się w tym domu znajdowało, jakby jego mieszkańcy tylko stali w kącie każdego z pokoiów w dławiącej ciszy, jakby to był pomnik wystawiony rodzinie, a nie miejsce, w którym ta rodzina żyje.

Pojawiłem się w korytarzu niemal jednocześnie z Billem, który właśnie zakończył badanie swojej części domu. Pokręcił głową, po czym wskazał schody, patrząc na mnie pytająco.

Machnąłem ręką. Poszedł pierwszy.

Weszliśmy ich szerokim łukiem powoli, trzymając broń w pogotowiu, ale dotarliśmy na górę przez nikogo nie niepokojeni. Światła znowu przygasły, dwukrotnie, raz za razem, ale nadal się paliły. Najpierw obejrzelśmy sobie prawą stronę, tę zajmowaną przez Cory'ego. Nie znaleźliśmy nikogo i niczego, choć kiedy przechodziliśmy obok fotografii, na których uwieczniono

go wraz z przyjaciółmi myśliwymi, zorientowałem się, że tym razem przynajmniej jednego niedawno widziałem.

Podniosłem zdjęcie w ramce i przyjrzałem mu się dokładnie. No tak. Znałem więcej niż jednego z nich.

Pierwszy po lewej: Richard Collins.

Obok Cory'ego, obejmujący go, zastępca szeryfa Greene.

Wróciliśmy na korytarz i podeszliśmy do drzwi prowadzących na teren nam nieznany, na połowę Brooke. Bill podniósł rękę, zatrzymując mnie, i wyjrzał przez okno wychodzące na frontowy trawnik. Potem odwrócił się, spojrzał na mnie i wzruszył ramionami, bo najwyraźniej nie dostrzegł naszych dwóch sojuszników.

Ostrożnie wszedłem do środka.

Było to lustrzane odbicie części mieszkalnej Cory'ego, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Po lewej krótki przedpokój prowadzący do pokoi gospodyni. Sypialnia, do której się z niego wchodziło, sprawiająca wrażenie niepokalanej, urządzona była w stłumionych odcieniach neutralnych barw. Wyglądała jak pokój hotelowy przygotowany dla gości, którzy chcą mieć wszystko jak trzeba. Nie było tu nikogo, podobnie w przylegającej do sypialni z boku łazienki.

Dołączyłem do czekającego w przedpokoju Billa. To on spróbował nacisnąć klamkę drzwi po drugiej stronie. Były zamknięte. Pierwsza przeszkoda, jaką spotkaliśmy od momentu wejścia do domu.

Rąbnąłem w nie ramieniem, irracjonalnie

przekonany, że po drugiej stronie czekają na mnie Carol i Tyler. Drzwi pochłonęły energię uderzenia i ani drgnęły.

Bill odsunął mnie na bok. Teraz była jego kolej. Opuścił ramię, po czym poderwał je w ostatniej chwili. Ważył więcej ode mnie i miał znacznie lepszą technikę. Framuga wytrzymała, ale środkowy panel pękł z trzaskiem. Poddał się przy trzeciej próbie.

Natychmiast dostrzegłem, czym ta część domu różni się od swojego odpowiednika. Dobudowa z dołu objęła także piętro, przez co pokój dzienny Brooke był może nawet dwa razy większy od pokoju Cory'ego, miał kształt litery L i okno w ścianie szczytowej. Kominek był zimny. Stały tu trzy zestawy kanap z fotelami i stolikami, a dwie dłuższe ściany od podłogi do sufitu obudowano regałami z wyciąganymi szufladami.

Były ich setki.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

– Chryste – powiedział cicho Bill – a co to takiego?

Rozdzieliliśmy się i przeszliśmy – ja przy jednej ścianie, on przy drugiej. Konstrukcje regałów wyglądały tak, jakby powstawały w ciągu bardzo długiego czasu. Wiele z nich przypominało coś, co można znaleźć w stylizowanej aptece lub muzealnych magazynach: ręcznie robione półki z ciemnego drewna, lakierowane i znów lakierowane. Część była nowsza, ale i te wykonano tak, by pasowały do starszych. Jednak ostatnie dwa pionowe rzędy, najbliższe wielkiemu, zamykającemu pokój oknu, zrobiono z metalu, i te przypominały współczesne skrytki depozytowe.

Miały około czterdziestu pięciu centymetrów szerokości i dziesięć wysokości. Wyposażone były w zamki otwierane małym kluczykiem, a także we wpuszczone w czołową ścianę ręczki i mosiężne oprawki, w które wsunięto małe karteczki z napisami, prawdopodobnie nazwiskami. Napisy te sporządzono odręcznie, niektóre długopisami, niektóre piórami. Te najstarsze, bardzo wyblakłe, sprawiały wrażenie ozdobnie kaligrafowanych.

Bill podszedł do jednej z nowszych szafek i szarpnął mocno za rączkę. Ani drgnęła. Spróbował kilku innych, ale nawet te starsze stworzono z myślą o tym, by dużo wytrzymały. Ja zacząłem przeglądać nazwiska. Nie

pomagało mi to, że szafek nie uporządkowano alfabetycznie. W ogóle nie były uporządkowane, a niektóre z najstarszych szuflad miały karteczki najwyraźniej wypisane niedawno.

– No i co? – spytał Bill.

Pokręciłem głową. Nie byłem nawet pewny, czego właściwie szukam. Obaj odwróciliśmy się na dźwięk szybkich kroków. Ktoś wbiegał po schodach. Zdążyliśmy nawet wycelować w drzwi, w których pojawili się Mały D i Switch, obaj przemoczeni do suchej nitki i wyraźnie wystraszeni.

– Pusto – oznajmił Switch. – Jak po wyprowadzce. Nie ma mebli, nie ma dywanów... nic nie ma.

Wróciłem do szuflad i odczytywania przypadkowo wybranych karteczek. I wreszcie znalazłem znajome mi nazwisko.

Cornell.

– I co to za pieprzony smród – jęknął Mały D. Zadrżał. Ktoś tu umarł?

– Może. Znasz się na zamkach?

– Jasne.

– To zobacz, czy uda ci się otworzyć ten. – Wskazałem szufladę Cornelia. Z kieszeni markowych dżinsów Mały D wyjął kółko z wąskimi paskami metalu. Przyjrzał się uważnie dziurce od klucza.

– Chyba jednak trafiliśmy nie tu, gdzie trzeba – powiedział do mnie Bill. – Przecież dom jest pusty. Wpuścili cię w maliny. Co chcesz teraz zrobić?

Pokręciłem głową. Wiedziałem, że powinniśmy coś zrobić, i to szybko, ale nie miałem pojęcia, czym miałyby to „coś” być.

Spojrzałem na Switcha.

– Mówiłeś, że to policja wam mnie wskazała, tak? –  
Skinął głową. – Jak wyglądał ten glina?

– Był wielki.

– Wysoki czy gruby?

– Gruby.

A więc nie Pierce, jak to od razu założyłem. Już raczej Greene, który, teraz sobie o tym przypomniałem, także kręcił się wokół szpitala rankiem tego dnia, kiedy Ellen miała wypadek. A którego córka była pokojówką w moim motelu i można sobie (zaledwie) wyobrazić, jak wpuszcza ojca do pokoju, żeby zostawił ciało. Bo co innego mogła zrobić, biedna dziewczyna? Zadzwoić na policję?

– Jak to właściwie było? Co się stało?

– Zatrzymał nas, poprosił mnie o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Papiery mam w porządku, to chyba jasne. No i spytał: „Co tu porabiasz, czarnuchu?”. Powiedziałem mu, że szukamy przyjaciela, który gdzieś nam zginął. Spytał, gdzie nam zginął. W Oregonie, mówię, młody chłopak, Kyle. Nawet go opisałem.

– Powiedziałeś to wszystkim gliniarzowi?

Switch wzruszył ramionami.

– Przecież nie kłamałem. I słowem nie wspomniałem, że mamy go zabić. Gliniarz nagle zrobił się bardzo

pomocny, powiedział, że powinniśmy poszukać starszego faceta, może coś wiedzieć, jeździ takim a takim wozem. Życzę miłego dnia. To wszystko.

– Spróbuj zadzwonić do biura szeryfa Black Ridge powiedziałem do Billa. – Sprawdź, czy uda ci się złapać Pierce’a. Niech to będzie jakaś zwykła sprawa.

– Zdaje się, że odłożył słuchawkę.

– Może nie.

Zamek szuflady, którą zajął się Mały D, nagle trzasnął. Wyciągnąłem ją. Była pusta. Dwa rzędy dalej zobaczyłem inne nazwisko.

Collins.

– Spróbuj tę.

D zabrał się do roboty. Wytrych, którego użył poprzednio, tym razem mu nie pomógł. Spróbował innego. W tle słyszałem głos rozmawiającego z kimś Billa. Zamek szuflady puścił, D cofnął się o krok.

W szufladzie leżała duża koperta.

– Pierce’a nie ma – oznajmił Bill. – Podobno mają przekazać mu wiadomość.

– Z kim rozmawiałeś?

– Zastępcą Philem Corlissem.

– Więc pewnie przekażą. Co mu powiedziałeś?

– Niewiele. Odniosłem dziwne wrażenie, że nie poświęca mi całej swojej uwagi.

Wyjąłem kopertę i ją otworzyłem. W środku była druga koperta, taka, w jakiej wysyła się kartki z życzeniami. Kiedyś zaklejono ją, potem otwarto, a potem

znów zaklejono taśmą. W środku znalazłem włos. Na tle czystej bieli koperty widać było wyraźnie, że z jednego końca jest niebieski.

Jeszcze raz zajrzałem do szuflady. Okazało się, że poprzednio nie zauważyłem kawałka papieru leżącego pod kopertą. Kartka wyglądała na nowiutką. Napisano na niej jedną linijkę tekstu:

### **2009/smutek/na ~~Jess C.~~**

– Jezu – powiedziałem cicho, patrząc na ostatnie, przekreślone litery. – Bill, szukaj nazwiska Ransom.

– Co?

– To panińskie nazwisko Carol.

Zabrał się do przeglądania szuflad, rząd za rzędem. Ja zrobiłem to samo. I trafiłem na nazwisko Greene. Wezwałem Małego D, żeby mi ją otworzył.

– Można liczyć na jakąś forszę? – spytał.

– Nie sądzę.

Tę szufladę trudno było wysunąć, tyle w niej było kopert. Części ubrania. Zegarek. Zdjęcia, niektóre współczesne, niektóre wyglądające na stare. A na tym wszystkim leżały trzy spięte kartki, każda z mniej więcej trzydziestoma wpisami. Ktokolwiek prowadzi te zapiski, zapewne Brooke, choć starsze wyglądały na dokonane inną ręką, będzie wkrótce potrzebował nowej kartki. Wydawało się, że każda linijka dotyczy innej osoby, identyfikowanej w charakterystyczny sposób: dwiema lub

więcej literami imienia i jedną literą nazwiska.

U góry ostatniej strony znajdował się wpis sprzed pięciu lat:

## **2004/Zagubienie/na *Co. G***

– Mam – oznajmił Bill. – Ransom, C.

Usłyszałem, jak Mały D podszedł do niego i zaczął dłużyć w zamku, ale całą moją uwagę przykuwały trzymane w ręku kartki. „Co. G”. Courtney Greene? Córka mężczyzny, któremu najprawdopodobniej poświęcona była ta szuflada? Dziewczyna rzeczywiście sprawiała wrażenie „zagubionej”, choć nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Nie nieobecna myślami, nie zaprawiona, nie jak to nastolatka, ale jakby nie należała do tego świata. I ta jej przedziwna reakcja na moje słowa: „Nie powiem, jeśli ty nie powiesz”, kiedy na powierzchnię wypłynęła na chwilę zupełnie inna osobowość, jakby te słowa przebiły się do niej przez mgłę, przez którą normalnie nic się nie przebija, i dotarły do kogoś w niej uwięzionego, kogoś, komu przez lata dawano bardzo niewielkie podwyżki, by trzymał gębę na kłódkę. Nie wspominając o łatwości, z jaką zaakceptowała to, co nieakceptowalne: trup w łóżku motelowego pokoju, ze sterczącym z czoła gwoździem.

Jeśli rzeczywiście można rzucić na kogoś smutek, to czy nie można sprawić, by ktoś inny zagubił się, został odcięty od wydarzeń z przeszłości lub teraźniejszości?

Czy można sprawić, by nie pamiętał tego, co zdarzyło się w nocy i być może nadal się dzieje? Czy można zgubić się w labiryncie własnego wnętrza, by w ten sposób się bronić?

Czy istnieje ojciec zdolny zrobić to własnej córce? Co może być winny osobie, która mu pomogła?

Rozpraszało mnie miganie świateł. Wszystkich. Najpierw mrugały szybko, potem na sekundę zapadała ciemność, po czym znów się zapalały. Odłożyłem kartkę i podszedłem do szuflady, przy której stał Bill. W niej także znajdowała się koperta. Zawierała stary przezroczysty długopis, na którym ktoś kiedyś wypisał korektorem imię Paul, i coś wyglądającego na okładkę starego szkolnego zeszytu. A także arkusz papieru listowego z czterema linijkami zapisanymi dwoma różnymi charakterami pisma.

*1989: Mania. (pasj. a)/na Paula S.*

*1991: /na Roberta S.*

*2004: Przyspieszenie/na siebie*

*2005: Smutek/na JR*

Rzeczy osobiste. Coś, czego dotknęła kiedyś czyjaś ręka lub umysł, coś, co mogło ich reprezentować. Długopis wyglądał tak, jakby leżał w szufladzie od bardzo dawna, prawdopodobnie od 1989 roku. Należał zapewne do jakiegoś Paula, którego uwagę bardzo pragnęła zwrócić o wiele młodsza Carol Ransom.

Czy zeszyt należał do innego nastolatka, o trzy lata późniejszego? Ci chłopcy są dziś mężczyznami z średnim wiekiem, pożenili się z innymi kobietami i pewnie nawet nie pamiętają dziewczyny, która niegdyś posunęła się bardzo daleko, chcąc sprawić, by spojrzeli na nią przychylnym okiem.

Chyba że robili to samo. Dlaczego nie? W pokoju było bardzo dużo szuflad.

Pod ostatnim z tych czterech wierszy było coś jeszcze. Szereg znaków naszkicowanych ołówkiem, niemal przypadkowych. Widziałem już takie znaki, linie, tu, w Black Ridge, i to w kilku miejscach. Dopiero teraz, być może dlatego, że ktokolwiek je narysował, wiedział chyba, o co chodzi, że trzy z linii formowały się w kształt możliwy do rozpoznania: wielkiego, patykowatego, zgarbionego mężczyzny, a może psa, przekreślony innymi liniami.

A pod rysunkiem znajdował się jeszcze jeden napis sporządzony atramentem:

**Scott H [+++]**

Trochę czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że pierwsza część może odnosić się wyłącznie do chłopca, który nazywa się Scott Henderson.

– John... John, nic ci nie jest? – spytał Bill.

Podąłem mu kartkę. Przeczytał ją i powoli podniósł głowę.



– Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy?

– Przekreślone imię widzę dopiero drugi raz. Za pierwszym razem było to imię dziewczyny, która zmarła wczoraj w Black Ridge.

– Nie. Chodzi mi o te plusy.

Wzruszyłem ramionami. Doprawdy trudno było wyobrazić sobie, by oznaczały co innego niż „jedno załatwione, trójka do załatwienia”.

– Coś się tam dzieje – powiedział nagle Mały D. Stał przy końcu regałów, przy oknie zajmującym prawie całą szerokość pokoju.

Bill natychmiast do niego podszedł.

– Co? – spytał.

– Chyba widziałem coś tam, dalej. Jakby błysk światła.

Poszedłem za nim, zbliżyłem twarz do szyby i osłoniłem oczy przed światłami.

– Bill, masz jakieś pojęcie, co jest tam dalej?

– Żadnego. Nigdy tam nie byłem. Przypuszczam, że lasy.

Zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy przez frontowe drzwi.

– Czy to śnieg?

Padający przez cały czas deszcz zamienił się w zamieć... i w coś jeszcze. Czy rzeczywiście padał śnieg, nie miałem pojęcia, ale było to białe, opadało powoli, a świat wydawał się bardzo cichy. Obrzydliwy smród nie był już tak przenikliwy, ale w powietrzu pozostał jego

ślad.

Nagle usłyszałem krzyk. Zobaczyłem, że ktoś biegnie podjazdem.

– Becki? – zdumiałem się. – Co ty tu, do cholery, robisz?

– Ludzie – wydyszała dziewczyna, zatrzymując się przed nami. – Musiałam wam powiedzieć.

– Jacy ludzie? O czym ty mówisz?

– Mnóstwo samochodów. Siedzieliśmy, jak kazałeś. Przez jakieś dziesięć minut nic się nie działo. Nagle zaczęły nas mijać samochody. Jeden po drugim. Dziesięć, może dwadzieścia.

– Podjechały tu? Czekają?

– Nie. Tylko przejechały drogą.

Nie potrafiłem dopatrzeć się w tym sensu. Jadąc drogą, po paru kilometrach dojeżdżało się do zjazdu do naszego byłego domu. Potem przez prawie czterdzieści kilometrów nic, a dalej Roslyn lub Shefifer.

– Gdzie Kyle?

– Nie chciał wysiąść.

I wówczas usłyszeliśmy to wszyscy, w jednej chwili. Krzyk, bardzo daleki, stłumiony. Wiedziałem jednak, skąd dobiegł, z przeciwnej strony domu. I wiedziałem, kto krzyczał. Nawet jeśli nigdy nie słyszałeś krzyku kobiety, z którą się ożeniłeś, potrafisz go rozpoznać.

A ja, oczywiście, słyszałem. Tego dnia, kiedy zginął Scott.

Pobiegłem wzdłuż frontowej ściany w lewo, bo tą

drogą było bliżej do narożnika. Słyszałem Billa, który pobiegł za mną wraz z innymi, krzyczącego coś do mnie, ale nie zwracałem na niego uwagi. Miał rację, choć nie do końca, nie w ten właściwy sposób. To nie była pułapka, ale dom zostawiono otwarty, oświetlony jak choinka, żebym poszedł w złym kierunku i znów stracił czas.

Tym razem to się nie miało zdarzyć.

Przebiegłem wzdłuż bocznej ściany do jej końca i znalazłem się na rozległym trawniku, za którym rozpościerała się biegnąca mniej więcej łukiem ściana lasu. Zwolniłem. Szukałem wzrokiem jakiejś wskazówki, może miejsca, w którym lepiej wbiec do lasu niż w innym, może ścieżki, może światła, które Mały D widział albo przynajmniej sądził, że widział.

Niczego nie zobaczyłem. Drzewa tworzyły nieprzeniknioną ścianę ciemności, w którą uderzyć z własnej woli mógł tylko człowiek niespełna rozumu.

Niewielka część mojego umysłu zarejestrowała fakt, że moi towarzysze obiegają dom, ale w tej chwili usłyszałem tępy trzask karabinu i rzuciłem się na ziemię. Zaraz potem rozległ się krzyk bólu, ale tym razem kula mnie nie ugodziła.

Potem krzyknęła Becki.

Co najmniej jeden człowiek ze znajdującej się za mną grupy natychmiast odpowiedział ogniem.

– Nie ruszaj się, John!

Zignorowałem radę Billa, poderwałem się i podbiegłem do niego zygzakiem. Mocno odbiłem od

moich przyjaciół i przez chwilę byłem całkiem sam pośrodku trawnika. Gdyby ktokolwiek zechciał do mnie strzelać, miałby łatwe zadanie.

Czekali na mnie, skuleni przy tej ścianie domu, która dawała im schronienie w ciemności. Bill strzelał systematycznie w kierunku lasu, trzymając berette w obu rękach. Becki wsadziła sobie w usta prawie całą prawą dłoń, gryzła ją i patrzyła przed siebie nieprzytomnymi wytrzeszczonymi oczami.

Mały D leżał na ziemi, na wznak, z odrzuconą głową i dłońmi przyciśniętymi do gardła. Krew spływała mu po palcach, gęsta, czarna, szybko zastygająca. Mrugał raz za razem, szukając wzrokiem czegoś, co by go zajęło, by mógł już nie myśleć o sobie.

– Kurwa – zakląłem, przyklekając przy nim. Machinalnie sięgnąłem za siebie, szukając plecaka, którego nie miałem. Próbowałem przypomnieć sobie, jak uczono nas reagować w tej sytuacji.

– Gdzie ten drugi? – spytałem.

– Pobiegnął między drzewa.

Bill przestał się ostrzeliwać, przeładował i wyteżył słuch. Przez chwilę panowała cisza, po czym gdzieś dalej rozległy się strzały.

Mały D rozkaszał się, pryskając krwią.

Powiedziałem mu, żeby trzymał ręce przy gardle, tak jak teraz, ale nie byłem pewny, czy mnie usłyszał. Spróbowałem obrócić go na bok, żeby krew nie spływała wprost do płuc. Dostał skurczów ramion, trudno było mi

go przytrzymać i unieruchomić.

– Bill, pamiętasz może, co powinniśmy zrobić?

– Znaleźć sanitariusza. Wezwać helikopter. Wiać gdzie pieprz rośnie.

– A poza tym?

– Nie pamiętam.

– Nie żyje – stwierdziła Becki.

Myliła się. Żył, ale przestał mrugać, a jego ręce już nie zaciskały się tak mocno. Parę minut później rzeczywiście umarł. Jego ostatnie kasznięcie brzmiało tak, jakby wydobywało się spod wody. Jego twarz powoli pokrywał śnieg. Padał coraz obficiej.

– To jakiś koszmar – mruknęła Becki do siebie.

– Wracaj do samochodu – rozkazałem jej. – Jedź do Black Ridge. Znajdź biuro szeryfa. Każ przyjechać tu każdemu, kogo tam spotkasz.

– Pieprz się. Jeśli nie przyjechali, chociaż do nich dzwoniłeś, mieliby przyjechać, bo tak mówi jakaś dziewczyna?

– Bo tak mówi dziewczyna od stóp do głów umazana krwią.

Becki przyjrzała się swoim dłoniom i ramionom i chyba dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, jak naprawdę wygląda.

Bill spojrzał w stronę frontu domu.

– Ktoś nadchodzi – oznajmił, już w ruchu.

Pociągnąłem Becki, a on tymczasem zatoczył szeroki łuk, szukając dobrej pozycji. Nim ją znalazł,

zobaczyliśmy, że nadchodzi Kyle. A właściwie biegnie, choć na widok ciała Małego D zahamował tak gwałtownie, że aż się poślizgnął. Nie mógł oderwać od niego wzroku.

– Kyle, wracaj...

– Coś się zbliża.

– Chyba raczej ktoś?

– Chyba tak – przyznał chłopak niepewnie. – Widziałem kogoś między drzewami, a raczej coś, tam, po drugiej stronie drogi. To znaczy właściwie nie widziałem, jest strasznie ciemno, ale wiem na pewno, że coś się zbliża. To znaczy jacyś ludzie albo... cholera, sam już nie wiem, rozumiecie?

Uświadomiłem sobie, że Kyle jest przerażony, ma rozbiegane oczy, trzęsące się ręce, zupełnie jakby jego ciało dostało ataku paniki gorszego niż mózg.

– Musimy to sobie przemyśleć – powiedział Bill. Wycofać się do samochodu, przegrupować.

– Nie ma mowy. – Wyciągnąłem rękę w kierunku ściany lasu. – Cokolwiek się dzieje, to właśnie tam i teraz, w tej chwili.

– W tej chwili jest tam Bóg wie ilu dupków, ale dobrze uzbrojonych. Daj spokój, John! Przecież wiesz, że nie ma sensu tak szarżować na ślepo.

– Słyszałem Carol!

– Może. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Zaatakujemy, to zdejmą nas wszystkich po kolei. Chociaż... może nie wszystkich. Może ciebie nie? Jak

sądzisz?

– Co?

Mój przyjaciel patrzył mi spokojnie w oczy.

– Dorwali cię na parkingu, ale cię nie zabili. Nie zabili cię, kiedy siedziałeś sam w domu i mogli to zrobić bezkarnie. Uciekłeś i też cię nie ruszyli, najwyżej udawali, że im zależy. Pięć minut temu mieli cię na środku trawnika oświetlonego wszystkimi lampami w tym domu, ale załatwili faceta, który był dalej niż ty i na którym im nie zależało.

– Nie możemy wrócić do samochodu. – Kyle nadal się denerwował, prawie płakał. – Nie mam zamiaru tam wrócić!

Bill go zignorował.

– Oni nie chcą cię zabić, John, w każdym razie nie w ten sposób. A jeśli chodzi o nas...

– Masz rację – przyznałem. – Zabierz ich stąd.

Oderwałem się od ściany domu, przebiegłem przez trawnik i już byłem w lesie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Pierwsze, co zrobiłem, to uskoczyłem za najgrubszy pień, jaki udało mi się dostrzec, przygarbiłem się i wyjrzałem zza niego ostrożnie.

Po prawej i lewej była tylko ciemność, jednolicie czarna z wyjątkiem kilku szarych linii w miejscu, w którym promienie księżyca padały na nierówną korę. Przede mną czerń miała jednak nieco inny odcień, co mogło świadczyć o tym, że gdzieś tam jest jakaś polana. Uznałem, że to właśnie mój cel.

Zostawiłem sprawę w zawieszeniu. Rozglądałem się uważnie, nasłuchiwałem. Usłyszałem coś, co mogło być dwoma strzałami z broni krótkiej, oddanymi szybko jeden po drugim, ale dźwięk doleciał z daleka i w ten sposób trzasnąć mogła choćby gałąź złamana przez wiatr. Bo wiatr wiał coraz silniej, kołysząc czubkami drzew.

Już miałem ruszyć, kiedy za plecami usłyszałem hałas.

Odwróciłem się. Bill!

– Ty cholerny idioto! – wysapał, dobiegając do drzewa na ugiętych nogach.

– A ty, kurwa, co?

Przykucnął przy mnie, wtulając się plecami w pień.

– Powiedziałem, że powinniśmy trochę pomyśleć, a nie że masz bić się tu sam jeden.

– Co z tamtą dwójką?



- Kazałem im zostać tam, gdzie są.
  - Zostaną?
  - Jeśli dziewczyna ma coś do powiedzenia, tak. Ten chłopak ma za małe jaja, żeby zrobić coś samemu.
  - No to...
- Rozległ się kolejny krzyk, gdzieś przed nami.  
Ruszyliśmy w jego kierunku.

\* \* \*

Weszliśmy w las niemający kształtu ani formy. Ten otaczający nasz stary dom przecinały ścieżki, w kilku miejscach można było przystanąć, podziwiać widoki, była nawet ławka, którą poprzedni właściciel, znacznie bardziej zdeterminowany niż ja, zataszczył niemal kilometr od domu. Tu były tylko drzewa, rosnące, jak im się podoba. Pokolenia Robertsonów uznały najwyraźniej, że trzeba zostawić je w spokoju, mimo że rodzinny dom zbudowano tu, a nie w centrum miasteczka, które swoje istnienie zawdzięczało właśnie tej rodzinie.

Bill maszerował równo ze mną, trzymając śrutówkę w pozycji „prezentuj broń”.

- I jak, dobrze się tu czujesz? – spytał po chwili.
- Nie.

Wiedziałem, co ma na myśli. Drzewa rosły coraz gęściej, a po stu metrach na ziemi nie było już śniegu. Poszycie wydawało się zaledwie wilgotne, mimo że deszcz padał przez ładnych kilka godzin. Łatwo się tu

biegło, znacznie trudniej było zdecydować, dokąd biec. Powietrze było ciężkie, martwe w ciemności. Przez jedną niesamowitą chwilę miałem nieodparte wrażenie, że czas cofnął się o piętnaście lat i dwaj młodzi żołnierze znów biegną przez noc w obcym kraju, wysłani na misję, której nie rozumieją.

Tylko że tam chyba nigdy aż tak się nie bałem. Przed kulami i odłamkami można się obronić, ale zagrożenie, ku któremu zmierzaliśmy teraz, pochodziło jakby z naszego wnętrza.

Nagle Bill się zatrzymał i podniósł rękę.

– Stój.

– Co?

Zobaczyłem, że przetyka nerwowo.

– Słyszę coś.

Przez chwilę nie słyszałem niczego oprócz brzemiennej oczekiwaniem ciszy, tak przygniatającej, że bicie mojego serca wydawało się nienaturalnie głośne. Nagle usłyszeliśmy krzyk, gdzieś z lewej.

Skrećiliśmy i pobiegliśmy w tym kierunku. Poszycie było coraz radsze, grunt stawał się kamienisty, księżyc jaśniej oświetlał ziemię.

– Tam coś jest – wydyszał Bill.

Ja też to zobaczyłem, zmianę wzoru pni drzew, potwierdzającą, że przed nami jest coś innego niż las. I chyba zrobiło się trochę cieplej, i to nie dlatego, że biegliśmy. Już raczej wydawało się, że powietrze zostało tu uwięzione w pełni lata lub wcześniej, jakby przesycalo

tę część lasu od zawsze i nigdy stąd nie odlatywało. Nagle to, co Carol powiedziała o żyjących w tej części dziczy stworzeniach, przestało brzmieć tak głupio, jak brzmiało. Czy powietrze można zakwalifikować jako „coś”? Czy potrafi myśleć? Czy może czegoś chcieć?

Przyspieszyłem, zostawiając Billa z tyłu. Po kilkuset metrach już go prawie nie słyszałem. Nie byłem pewny, czy biegnę we właściwym kierunku. Po prostu biegłem.

Drzewa nagle się przerzedziły, na ziemi znów pojawił się śnieg, a potem przed sobą nie miałem już nic, tylko otwartą przestrzeń jeziora.

Zatrzymałem się gwałtownie.

Wyglądało obco w tym świetle, ze wszystkich stron otoczone cienką warstwą bieli. Jeszcze nigdy nie widziałem go z tej strony, tak jak nie widziałem czarnego mężczyzny leżącego na brzegu z ręką i nogą pod wodą, próbującego usiąść, równie niezdarnie, jak nieskutecznie.

Ale od razu i bez najmniejszych wątpliwości wiedziałem, z czym mam do czynienia, czym to musi być. Przecież doskonale znałem nazwę jeziora, jedyne tak duże w tej okolicy.

Jego powierzchnia była idealnie nieruchoma. Przy brzegu tu i ówdzie ziemia zaczęła zamarzać, na warstewce lodu gromadził się śnieg, spod którego wyglądały gałązki cienkie i kruche jak kości.

Bill pojawił się przy mnie, oddychając ciężko. Zrobił jeszcze kilka kroków, pochylił się i wyciągnął z wody Switcha. Facet dostał kulę wysoko w nogę, ale wyglądało

na to, że przeżyje.

Klął bez przerwy cichym, napiętym głosem.

– Co to jest, do cholery? – spytał Bill.

– Murdo Pond.

Stałem tuż nad wodą, patrząc w lewo. Gdzieś tam musiał być nasz dom, dwa, może trzy kilometry za długim, łagodnym łukiem wybrzeża, czyniącego go niewidzialnym z tego miejsca, nawet w świetle dnia. Oczywiście nigdy nie byłem u Robertsonów, nie pływałem nawet łódką po „naszej” części jeziora, więc po prostu do głowy mi nie przyszło, że ich posiadłość, założony, że obejmuje wielki kawał lasu, może kończyć się nad Murdo, jak nasza, tylko po jego drugiej stronie.

Smród bił stąd. W każdym razie w tej chwili, a przecież nie poczułem go nigdy, ani razu, kiedy tu mieszkaliśmy. To, co czuliśmy w domu Robertsonów i przedtem, jadąc przez las, miało swój początek tutaj.

Odwróciłem się. Drzewa dochodziły do linii wody po obu naszych stronach, ale jakieś pięćset metrów dalej widziałem nagi pasek skalistego brzegu i pomost.

Na pomoście ktoś stał.

Bill też to zobaczył.

– Hej, John, popatrz!

Wydawało się, że stojąca na skraju pomostu postać ma dwie głowy, jedną małą, a drugą jeszcze mniejszą.

Z oddali dobiegał płacz dziecka i krzyk kobiety. Carol przeszła już stadium hysterii i krzyczała tak, jakby

chciała zniszczyć czyjś umysł.

– Będziemy musieli cię tu zostawić – powiedziałem.  
Switch skinął głową. Twarz miał ściągniętą z bólu.

– Wypieprzcie ich tak, żeby bolało.

Wskoczyliśmy z Billem między drzewa.  
Pobiegliśmy.

\* \* \*

W każdym razie próbowaliśmy biec, ale drzewa rosły tu bardzo blisko siebie, a grunt, nierówny i kamienisty, przecinały irytujące wąskie rowki, którymi podczas wiosennych odwilży woda spływała do jeziora. Światło księżycy z trudem docierało do ziemi, rzucało dziwne cienie i przez chwilę wydawało mi się, że widzę biegnącą wraz z nami grupkę ludzi, choć to przecież było niemożliwe. Niemożliwe, by ktoś dostał się na tę stronę jeziora albo biegł tak szybko, nie wydając żadnego dźwięku, a w dodatku niektóre sylwetki sprawiały wrażenie nie większych od dzieci.

Wiatr się rozhulał, wysoko, między czubkami drzew. Gałęzie ocierały się o siebie, szeleściły, skrzypiały i trzaskały. Trudno było obronić się przed wrażeniem, że ktoś jest za nami, z boku, a może nawet wokół nas.

Wreszcie wybiegliśmy z gąszczu wprost w obraz malowniczy, choć pełen napięcia. Carol stała na brzegu w błagalnej pozie. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że dwugłowy stwór na pomoście to nie była ona, lecz

Brooke.

Pomost wchodził w głąb jeziora na dobre dwanaście metrów. Brooke stała na jego końcu, trzymając w ramionach Tylera. Walczył, ale ona była silna.

Carol odwróciła się na dźwięk moich kroków. Miała twarz kobiety złamanej żalnością, czerwoną i mokrą od łez. Z wyglądu nie przypominała nikogo z ludzi, których zdarzyło mi się poznać.

– John! – krzyknęła. – Odbierz go.

Zrobiłem krok w stronę pomostu. Brooke podniosła rękę.

– Jeszcze krok i wrzucę go do wody.

– Jeszcze dwa kroki – powiedział męski głos – i rozwalę głowę jego matce.

Cory stał po drugiej stronie cypla i ukryty w cieniu, opierał się plecami o pień drzewa. Mierzył do Carol ze sztucera. Używałem kiedyś tego rodzaju broni i wiedziałem, że jest zdolna unieruchomić jelenia z ośmiuset metrów. Z tej odległości mogła wybić dziurę w drzwiach samochodu.

Odwróciłem się, szukając wzrokiem Billa. Byłem pewien, że tam, wśród drzew, jest tuż za mną, ale teraz nigdzie go nie widziałem. Obracałem się powoli, aż zatoczyłem wzrokiem łuk, jakbym sprawdzał, czy jestem otoczony.

– Jest tu jeszcze ktoś, o kim powinienem wiedzieć? spytałem.

– Tylko my – odrzekła Brooke. – Ale Cory to

doskonały strzelec.

– Wierzę. Widziałem zdjęcia z jego prywatnej galerii. A jednak nie miałem wątpliwości, że to, co dostrzegłem przed chwilą między drzewami, całkiem blisko, było cieniem mężczyzny, i to dużego mężczyzny. – Założę się, że zastępca Greene też jest dobry w te klocki.

– Brawo! Dobrze, przyznaję, trochę ci nakłamałem. Kilku przyjaciół pomaga nam przez grzeczność. Nie mam zamiaru mówić ci, ilu i gdzie teraz są.

– W porządku. – Powoli podniosłem rękę. – W takim razie nigdzie się nie wybieram. Wygrałaś.

– Rzuć broń.

Rzuciłem broń.

– Odbierz jej Tylera! – krzyknęła Carol łamiącym się głosem. – Ona go zabije!

Patrzyłem Brooke w oczy.

– O co ci chodzi? Dlaczego zabrałaś jej mojego syna?

– Nie jest twoim synem.

– Akt urodzenia mówi co innego.

– Chcesz dostać nagrodę za to, że dla odmiany pieprzyłeś własną żonę? Tego chłopca w ogóle by nie było, gdyby nie ja.

– „Przyspieszenie, dwa tysiące czwarty”.

– Doskonale.

– Dowiedziałem się o tym całe dwadzieścia minut temu. I nadal nic nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Nasza droga Carol miała już dziecko, ale są kobiety, którym to nie

wystarczy, prawda? Biedactwo, była taka przestraszona, że numer drugi spóźnia się na ten świat, iż przyszła w odwiedziny do dobrej, starej przyjaciółki Brooke. Tobie oczywiście nic o tym nie powiedziała. Zdumiewające, jak wiele rzeczy na tym świecie pozostaje niewidzialnych, nie uważasz? To nie jedyna prośba, z którą zwróciła się do mnie podczas lat znajomości. I niejedną raz skłamała.

– Wszyscy kłamiemy, Brooke. Wielka mi rzecz. Powiedz mi, ile to kosztuje? Ile płaci dziewczyna pragnąca, by zakochał się w niej akurat ten chłopak? Albo drugiego dziecka? Co odbierasz ludziom takim jak ona? Tylko pieniądze? Ile chcesz za udawanie, że możesz spełniać pragnienia?

– Nie udaję, że cokolwiek mogę. Znam takich, którzy mogą naprawdę.

– Jasne, oczywiście. Czarownica. Tylko dlaczego czarownica potrzebuje brokera? Co na tym zyskuje?

– Wiesz, kim jest?

– Nie wierzę, że w ogóle jest.

Brooke uśmiechnęła się zimno, wszechwiedząco.

– Otóż to. Paręset lat temu mogło ci to nawet uratować życie.

– A ty dostajesz swoją działkę?

– Trzymam psa na smyczy. Ludzie dysponujący taką potęgą zazwyczaj bywają niezrównoważeni. Potrzebują silnej ręki. Patrona. Kogoś z szerszym spojrzeniem na świat.

– Dla mnie to tylko kupa gówna, Brooke.



– Na szczęście nic mnie nie obchodzi, w co wierzysz, a w co nie.

Co robi Bill? Gdzie się podziewa? Czy kilka sekund coś tu pomoże?

Spojrzałem na Carol.

– Powiedziałaś o tym Tylerowi? To dlatego powiedział mi, że nie jestem jego prawdziwym ojcem?

Carol patrzyła na mnie, nie ukrywając nienawiści, jakbym był czymś, co wypełzło z jej łóżka w środku nocy i przyniosło jej wszystko, co w życiu złe.

– Cory? – odezwała się Brooke tonem, jakim zwraca się komuś uwagę na to, że jest się gotowym na kolejny koktajl. Chwila ciszy... i strzał.

Usłyszałem krzyk Billa i już wiedziałem, że cokolwiek się teraz stanie, będzie najprawdopodobniej po myśli Brooke. Po kilku sekundach okazało się, że mam rację. Spomiędzy drzew wyszli ludzie. Szli w naszą stronę.

\* \* \*

Widząc, co się dzieje. Bill najwyraźniej zamarł. Wyszedł z lasu, a potem spróbował zatoczyć łuk, podejść Cory'ego z drugiej strony. Ale coś, blask księżyca, cień ruchu na śniegu, zdradziło jego obecność.

Cory postrzelił go w pierś po prawej stronie, u góry, z litości albo, co bardziej prawdopodobne, dlatego że zbyt szybko się obracał. W każdym razie i to wystarczyło.

Zapach krwi dotarł aż do mnie, chyba że był to kolejny składnik smrodu nadpływającego falami od strony jeziora.

Bill upadł na wznak na skraju lasu. Poruszał się, jakby próbował wstać, ale w złym kierunku. Broń leżała spory kawałek od niego.

Tymczasem cienie zbliżały się przez cały czas.

Najpierw pomyślałem, że to przyjaciele Cory'ego, ci, których widziałem na zdjęciu. Szybko okazało się, że jest ich więcej, najpierw dziesięcioro, a kolejni stale wyłaniali się z ciemności.

Pierwszy szedł zastępca szeryfa Greene. Za nim mężczyzna sprzedający kawę z minibusu na parkingu banku. Była też kobieta prowadząca salon fryzjerski przy Kelly Street. I właściciel sklepu, w którym w ciągu kilku ostatnich dni kupiłem parę paczek papierosów. I ludzie, których widziałem czytających gazety w Write Sisters, rozmawiających w Mountain View, mijający mnie na ulicy.

Dostrzegłem Courtney.

Dostrzegłem Marie prowadzącą motel, w którym mieszkałem.

Większość zatrzymywała się tak daleko od linii drzew, by zostawić miejsce idącym za nimi. Ale nie Marie. Marie stanęła w połowie drogi między nimi a mną. Jej usta poruszały się, oczy miała zamknięte.

Otworzyła je.

Przez najwyższe gałęzie drzew przebiegł dreszcz,

zachwiały się na zimnym, gwałtownym wietrze spadającym z gór, a może tylko z miejsca gdzieś w głębi lasu? Wiatr rozwiały włosy Marie, otoczył nimi jej twarz jak chmurą. Odwróciła głowę i patrzyła na mnie. Wyglądała inaczej, wydawała się jednocześnie młodsza i bardzo stara, wyglądała tak, jakby dysponowała przerażającą mocą, jakby ruchem ręki mogła poruszać na odległość przedmioty. Zalana światłem księżyca, podkreślającym surowość jej twarzy, przypominała też kogoś, kogo znałem.

Uświadomiłem sobie nagle, że nikt inny na mnie nie patrzy, jakby ci ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że tu jestem. Jak jeden mąż wpatrywali się w jezioro, czy też w to, co leżało po jego drugiej stronie, i jak jeden mąż ubrani byli nieodpowiednio do pogody. Jedną z najbliższych stojących była kobieta z salonu fryzjerskiego. Twarz miała nieruchomą, nieobecną, jak u Courtney przy każdym naszym spotkaniu. Mogło się wręcz wydawać, że nie ma prawdziwej twarzy albo że widzę to, co prawdziwa twarz ukrywa: wewnętrzną pustkę, prawdę, że wewnątrz nas wszystkich nie ma niczego, na czym można polegać.

– Ty pierwsza – powiedziała Brooke do Carol.

– Pieprz się – odrzekła jej Carol.

Spojrzałem na Brooke, cofającą się o krok, jeszcze bliżej krańca pomostu. Wyciągnęła rękę. Dziecko wijące się w jej uścisku znalazło się teraz bezpośrednio nad taflą jeziora.

– Woda jest tu zawsze bardzo zimna – powiedziała. Twój synek dobrze pływa?

Carol spojrzała na mnie bezradnie. Płomień gniewu w jej oczach zgasł, teraz widziałem tylko spotkaną dawno dziewczynę, która przekonała mnie, żebym przeniósł się w te góry, bo kochała je i zawsze były jej domem. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że w rzeczywistości chodziło także o to, iż nie potrafiła ich opuścić.

Nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć. Śmierć wisiała w powietrzu, mogła już tylko spaść. Jeśli nie zrobimy tego, czego wymaga od nas Brooke, ona zrobi to, co obiecała. Zrobi to i tak. Jeśli dobrze widziałem, była tu połowa populacji Black Ridge pragnąca zobaczyć, co zrobi, być tego świadkami. Uniknąć nadejścia tej chwili mogliśmy trzy, cztery lata temu, może nawet wcześniej, może nawet w dniu narodzin. Nie powinniśmy się spotkać, być innymi ludźmi, zawsze martwymi, pod żadnym pozorem niepróbującymi żyć. Teraz mogliśmy tylko odwlekać nieuniknione.

– Zrób, co mówi – powiedziałem.

Carol stała w miejscu. Ja zrobiłem krok do przodu.

– Nie – rzekła Brooke. Jej głos ledwie słyszalnie się łamał.

Carol pozostała nieruchoma, jak wrośnięta w ziemię. Być może myślała, że jeśli nie wykona polecenia, spowoduje impas? Może ona też grała na czas? Nie sądziłem, by jedno lub drugie mogło odnieść skutek. Moim zdaniem istniało tylko jedno wyjście z sytuacji.

– Posłuchaj mnie...  
– Dlaczego miałabym cię słuchać? – obruszyła się Carol. – Skąd mam wiedzieć, że w ogóle ci na nim zależy?

– Bo jest moim synem. Między nami wszystko skończone, ale między mną a nim nic nigdy się nie skończy. Chyba że jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

– Nie ma. Pieprzenie się z innymi to była twoja działka.

Nie bój się, jest twoim synem.

– I twoim. Idź do niego. Chcesz, żeby był tam sam... niezależnie od tego, co się stanie?

Carol wahała się jeszcze przez chwilę, a potem, nagle, ruszyła w stronę pomostu. Wspięła się na trzy schodki i szła nad powierzchnią wody.

Zerknąłem na Cory'ego. Pozostał na pozycji. Najwyraźniej to, co zaplanowała Brooke, musi zdarzyć się na pomoście, nie wiedziałem jednak, czy my troje mamy znaleźć się tam w tej samej chwili, czy też może Cory zastrzeli Carol w pół drogi. Trzymał sztucer w pogotowiu, ale nie wyglądało na to, żeby do niej mierzył i w najbliższej przyszłości zamierzał strzelić. A w ogóle dlaczego miałoby czekać z dokończeniem dzieła, jeśli nie byliśmy im potrzebni wszyscy troje naraz?

Słyszałem kroki Carol idącej pomostem. Zrobiła ich kilka, gdy Cory odwrócił się i strzelił. Drgnęła, ale kula ugodziła Billa próbującego sięgnąć po broń. Tym razem wysoko w udo.

Cory natychmiast odwrócił się do Carol.

Wydawało się, że las wydycha wstrzymywane do tej chwili powietrze.

Ciepło, które odczuwałem, znikło, pozostał czysty chłód. Bill hałasował w sposób, w jaki mężczyzna może hałasować, tylko pragnąc, by z nieba zstąpił anioł i zabrał go ze sobą. Mieszkańcy Black Ridge stali nieruchomo, ich ubrania powiewały na wietrze. Tylko Marie wydawała się rzeczywista. Ona i nieokreślony kształt, stojący przy jej boku.

Carol dotarła do połowy pomostu. Z powierzchni wody pod pomostem wstawało coś jak cienka warstewka mgły. Szła wyprostowana i patrzyła w oczy kobiety, do której się zbliżała, chłodno, bez strachu. Byłem z niej dumny.

Czułem się tak, jakby istniała i minęła, może minuty temu, może zaledwie sekundy, chwila, po której wszystko ogarnęły nieprzeniknione ciemności. Ciemności, które były we mnie zawsze, zupełnie jakby wszystko, co robiłem i o czym marzyłem, było wirtualnym kłamstwem. Jakbym nigdy nie obchodził ojca, matki, Scotta, nikogo na tej ziemi. Więc jakie ma znaczenie to, co stanie się za chwilę?

Carol dochodziła do krańca pomostu. Za chwilę Brooke zażąda, bym do niej dołączył, po czym najprawdopodobniej zostawi nas bratu, a brat załatwi sprawę do końca. Trzy ciała, pozostałość rodziny, spoczną na dnie Murdo Pond.

I w tym momencie, choć tylko na chwilę, Carol zasłoniła Brooke. Czekałem na tę okazję i miałem nadzieję, że się doczekam.

Głos za moimi plecami, głos, którego nie słyszałem od bardzo, bardzo dawna, wyszeptał; „Biegnij, tato. Biegnij!”.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wystartowałem najszybciej, jak mogłem, wkładając w bieg wszystkie siły. Jednym skokiem pokonałem stopnie. Usłyszałem strzał. Lądując na deskach pomostu, wykonałem unik w lewo z pełną świadomością, że teraz wszystko zależy od tego, jak dobrym strzelcem jest Cory i ile jest skłonny zaryzykować, biorąc pod uwagę, że jego siostra stoi tuż za mną.

Carol usłyszała mnie, odwróciła się, spróbowała zejść mi z drogi, potknęła się i upadła.

Trzasnął płasko drugi strzał. Kula minęła mnie o ćwierć metra i odłupała kawałek barierki po lewej. Rzuciłem się w prawo. Teraz, na płaskim, nabierałem tempa.

Brooke widziała, jak się do niej zbliżam, mocniej przytrzymała Tylera. Cory znów strzelił, ale za bardzo się śpieszył i nie trafił.

Wszystko, co w życiu robisz, wiąże się z ryzykiem.  
Zaatakowałem.

\* \* \*

Uderzyłem szybko i mocno. Cios rzucił ją na barierkę przy końcu pomostu. Barierka pękła. Spadaliśmy, mając między sobą Tylera, z głowami tak blisko siebie, że mogliśmy się całować.



Grzmotnąłem Brooke najmocniej, jak mogłem. Uderzyliśmy w wodę, spadając głowami w dół.

To było jak potężny cios zadany stopą w serce i skroń jednocześnie. Przerażliwe zimno sprawiło, że całe moje ciało napięło się w spazmatycznym szoku odrywającym mnie od Brooke.

Dostrzegłem przed twarzą rączkę Tylera, chwyciłem ją, przyciągnąłem synka do siebie, a jego buzia zbliżyła się do mojej twarzy. Widziałem przerażenie w jego oczach. Nie miałem pojęcia, czy potrafi pływać.

Brooke kopnęła go w głowę wyprostowaną sztywno nogą. Najwyraźniej zachowała tyle przytomności umysłu, by podjąć decyzję o zastosowaniu akceptowalnego planu B.

Trzymałem Tylera za nadgarstek. Drugiej ręki i obu nóg użyłem, by zanurzyć się głębiej, w ciemność, jak najdalej od niej. W momencie gdy jego twarz znów znalazła się blisko mojej, zobaczyłem wydęte policzki. Mogłem tylko mieć nadzieję, iż oznacza to, że dysponuje jakimś zapasem powietrza.

Brooke zdołała jeszcze kopnąć mnie w nasadę nosa i już byliśmy poza jej zasięgiem. Czułem metaliczny smak i nagłe ciepło ściekającej mi po twarzy krwi.

Udało mi się przyciągnąć Tylera tak blisko, że mogłem wziąć go pod pachę. Mocno pracowałem nogami, oddalałem się od pomostu i starałem wypłynąć na jezioro, najdalej jak się da.

Nagle moja głowa znalazła się nad powierzchnią

jeziora. Tylera też. Krzyknąłem, żeby nabrał powietrza. Widziałem, jak otwiera usta, a potem znów byliśmy pod wodą. Był ciężki, szarpał się i kopał, przez co zanurzaliśmy się bardzo szybko.

Krew ciekąca mi z nosa ograniczała widoczność, ale kiedy próbowałem popłynąć do powierzchni, miałem wrażenie, że w wodzie kłębią się i wirują pasma światła i cienia, jakbym zakłócił coś więcej, niż można zakłócić w głębinie. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem takiego chłodu, takiego zimna i braku nadziei, zimna i ciężkiej do zniesienia rezygnacji tych, którzy odeszli. Wydawało mi się, że jądro ziemi przyciąga nas ku sobie albo coś z góry pcha nas w głąb, ku niemu. Czułem też obecność innych, ale nie chciałem pograć się wraz z nimi. Nie teraz. Nigdy. Uderzyłem gwałtownie obiema stopami, kierując się ku powierzchni, czując się tak, jakbym walczył ze snem, jakby jakieś ręce wyciągały się ku mojej twarzy, czepiały się jej, ryjąc mi policzki paznokciami. Znów poruszyłem nogami, kopałem nimi rozpaczliwie, pomagałem sobie ręką. W górę, byle w górę.

I oto znów byłem na powierzchni, tym razem przygotowany, kierujący się do pomostu. Brooke znacznie mnie wyprzedziła, wychodziła właśnie na brzeg, krzyczała do Cory'ego, który obrócił się płynnie, jak na komendę, i wycelował w moją głowę.

Zanurkowałem, rzuciłem się w bok i wypłynąłem.

Carol stała na pomoście jak zaczarowana, niezdolna wykonać najmniejszego ruchu.

– Cory, teraz!

Brooke wycelowwała we mnie palec. Krzyczała donośnie, ale jej głos przegrywał z wiatrem, porywającym śnieg i miotającym nim w ogromnym wirze. Byłby to piękny widok, gdyby nie perspektywa nieuchronnej śmierci i to, że poruszające się powietrze niosło w sobie źródło zapachu, który czułem, czasami świadomie, a czasami nie, przez ostatnie dwa dni. Nie był to cynamon ani nic w tym rodzaju, lecz odór tak obrzydliwy, że umysł wysiłał się, by stworzyć dla niego nową kategorię, nazwać jakkolwiek, byle nie tym, czym był w istocie.

Wierząc rozpaczliwie, z całej siły, płynąłem ku krańcowi pomostu, próbując znaleźć jakąś fizyczną osłonę między mną i Tylerem a sztuczerem Cory’ego. Tymczasem Cory lekko poruszał lufą, mierzył, czekał na chwilę, w której dostrzeże cel wyraźnie mimo padającego śniegu.

Brooke wrzeszczała, każąc mu to zrobić, zrobić teraz, już!

Tyler tulił się do mnie. Czułem ciężar jego głowy na ramieniu. Czułem, jak sztywnieje, i w tym samym momencie rozległ się kolejny, czysty, bezdźwięczny trzask.

Carol krzyknęła.

\* \* \*

Parłem przed siebie, nie wiedząc, co jeszcze

mógłbym zrobić, i wreszcie chwyciłem ręką najniższy szczebel tego, co zostało z drabinki przy końcu pomostu. Tyler kopał i krzyczał, i jedyne, co mogłem powiedzieć na pewno, to to, że nie on dostał kulkę w głowę, ponieważ wyciągał szyję, a nie widziałem śladów krwi, i o ile mogłem powiedzieć, niczego mu w niej nie brakowało.

Próbowałem znaleźć oparcie dla nóg, ale powoli traciłem w nich czucie, no i wydawało się, że poza nami dwoma w wodzie nie ma niczego. Przeniósłem Tylera wyżej, na pierś, i biorąc na siebie jego ciężar, zarzuciłem lewą rękę na kolejny szczebel. Mięśnie ramion dosłownie wyły z bólu, gdy próbowałem wyciągnąć nas z wody.

Tyler krzyczał głośno, owszem, ale nie odniosłem wrażenia, że krzyczy z bólu. Mocno wbijał mi palce w plecy. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że przygląda się czemuś nad moim ramieniem.

Podciągnąłem się na kolejny szczebel. Starąłem się nie widzieć, nie słyszeć i nie czuć niczego, skupić się wyłącznie na następnym szczeblu, zapomnieć o wyjąłym wietrze i skrzypieniu drzew, a przede wszystkim o nieznośnym smrodzie. Nie potrafiłem powiedzieć, czy wydobywa się z jeziora, pomiędzy drzew, czy z samej ziemi, czy wreszcie ze mnie. Właśnie to otacza twojego ducha leżącego w grobie: smród własnego rozkładającego się ciała. Będzie trwał, kiedy zabijesz wszystko, co żywe, pozostawiając wyłącznie to, co spoczywa pośród drzew w tych górach, pływa w górskich jeziorach, to, czego nie można zobaczyć.

Jeszcze jeden szczebel i wreszcie miałem o co oprzeć stopę.

Wystawiłem głowę nad poziom pomostu. Pierwsze, co zobaczyłem, to Cory'ego, leżącego na śniegu twarzą w dół, parę metrów od miejsca, w którym stał jak na warcie. Brooke przyklękła przy nim, tuliła jego głowę, wydając przy tym dźwięki, których nie potrafię opisać. Za nimi stała Marie, wrzeszcząc dziko na postać, która nieoczekiwanie pojawiła się na początku pomostu.

Kristina trzymała w ręku broń Billa.

Upadłem na deski i obserwowałem Carol cofającą się w stronę stałego lądu. Najpierw pomyślałem, że szuka mnie, ale zaraz uświadomiłem sobie, że patrzy na to, co spowodowało Tylera do krzyku. Na coś, co nadal znajdowało się gdzieś za mną.

Łagodnie oderwałem od karku zeszywniałe palce Tylera, pochyliłem się i postawiłem go na deskach.

– Idź do mamy – powiedziałem.

Patrzył ma mnie uważnie, zbyt przerażony, by cokolwiek zrobić. Przypomniałem sobie, jak należy uśmiechać się do kogoś tak małego.

– Idź – powtórzyłem, wreszcie go kochając. – Idź do niej, proszę. Natychmiast.

Zawahał się, cofnął o krok, zaczął odwracać i wreszcie pobiegł pomostem w stronę brzegu jak rozwiewające się wspomnienie.

Dotarł do Carol. Kristina minęła ich i podeszła do mnie. Sprawiała wrażenie śmiertelnie zmęczonej, chyba

miała mdłości. O wiele za późno zorientowałem się, że choć była szczuplejsza i wyższa i choć farbowała włosy, ukrywając ich czerwień, to właśnie Marie mi ją przypominała, a teraz, zgarbiona i wyczerpana, wygląda dokładnie jak właścicielka motelu tej nocy, kiedy się wprowadzałem.

– Nie rozglądaj się – powiedziała, podchodząc do mnie. Jeszcze nie.

Plecy miałem tak gorące, że aż parzyły. Z zimna straciłem czucie w twarzy, ale z tyłu byłem tak rozgrzany, jakbym znajdował się centymetry od słońca.

Kristina zatrzymała się blisko mnie. Wyciągnęła rękę i przesunęła paznokciem po moich skaleczeniach, które, choć poczułem to dopiero teraz, pulsowały bólem.

– Nic więcej nie mogę zrobić – powiedziała głosem, w którym słychać było wielki żal. – Przepraszam. To dla mnie coś nowego.

Cofała się tyłem. Wyglądała przy tym tak, jakby i ją wciągał sen, którego częścią już nie byłem.

– Patrz – powiedziała w końcu.

\* \* \*

Odwróciłem się.

Czułem coś, co było tu od wielu, bardzo wielu lat. Coś, dla czego był to jednocześnie dom i ciało, coś obecne w każdym drzewie, w wietrze i w błocie, brzmiące w każdym echu, spadające z każdym płatkim

śniegu. Coś, co wypełnia każdy czyn, każdy sekret, każdy brak działania, każde słowo wypowiedziane pod tym niebem.

Wiedziałem, że słyszałem już kiedyś jego głos, odzywający się w trudne poranki, szepczący mi do ucha w najgorsze noce. Wiedziałem, że całe lata temu pomagał mojemu palcowi nacisnąć spust, poruszał moimi wargami, kiedy mówiłem „tak” choć nie powinienem był się zgadzać. A może nasz związek był dwustronny, żywiłem go, robiąc to, co robiłem, Wiedziałem że wyczuł teraz swoją krew, rozpoznał jej zapach. Wiedziałem że odbierałem go wyłącznie jako zapach, bo moje zmysły były w szoku, nie wiedziały, co począć z nagle uzyskaną wiedzą o obecności tego stwora, bo nie mogłem ani go zobaczyć, ani dotknąć, bo trzymał się na wyciągnięcie ręki, nie dał uderzyć zwalczyć, odepchnąć.

Więc nawet nie próbowałem.

Pozwoliłem mu przeniknąć do swego wnętrza przez usta i nos, wchłonałem głęboko, wiedząc, że tylko w ten sposób go powstrzymam, nie pozwolę, by minął mnie, sięgnął po tych, którzy stoją za mną. Wszystko pod słońcem podlega prawu najmniejszego oporu. Woda płynie w dół. Ludzie łatwo popełniają grzechy. Coś wnikało w najbliższego człowieka, najbliższego fizycznie i duchowo, a tym kimś byłem ja.

Przez chwilę wszystko wokół mnie wydawało się ciemniejsze, jakby przestały istnieć różnice, a wszystko we wszechświecie skupiło się w jednym miejscu,

przenikając się nawzajem. Uświadomiłem sobie, że to, co powinno się zdarzyć sto lat temu, nadal jest bardzo bliskie, a także, że ta noc pozostanie tu, bliska jak dotknięcie każdej nocy, do końca czasu, że ktokolwiek w przyszłości stanie na pomoście, będę tuż przy jego boku, a on odwróci się, poruszony i zaniepokojony. Słyszałem ryk niedźwiedzi i pum, i stworów żyjących tu na długo przed nimi, których kości ciągle pozostawały nieodnalezione. Słyszałem rzenie koni, uderzenia siekier w pnie drzew, słyszałem, jak osadnicy wbijają gwoździe w ściany chat, teraz spróchniałych i zrujnowanych. I jeszcze raz zobaczyłem postacie, które przyśniły mi się zeszłej nocy, a teraz wydawało mi się, że stoją na końcu pomostu, plecami do mnie. Dwie dorosłe i trzy mniejsze, ociekające wodą.

Z tego, co pozostało tu i teraz, dobiegał stłumiony głos Brooke Robertson, przeraźliwy krzyk żalu. Sprawiał, że poczułem gorzki triumf. Poza tym istniały tylko deski pod stopami i smród, który wsiąkł głęboko w moje kości.

\* \* \*

A potem postacie znikły.

Wydawało się, że jezioro się cofa, zapada za zasłonę śniegu, spłaszcza do zwykłej poziomej powierzchni, choć przed chwilą było przecież jak ściana. Okazało się, że mogę się od niego odwrócić, że już mnie nie przyciąga.

Spojrzałem na brzeg.



Ludzie stojący przed pierwszym rzędem drzew znikli. Znikli tak całkowicie, że musiałem zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście kiedyś się tu zgromadzili, czy może byli tylko duchami w niewoli Robertsonów i mocy, której poddali się dla dobra miasteczka. Carol trzymała Tylera w ramionach, dotykając czołem jego czoła. Mogło się wydawać, że mają tylko jedną głowę.

Marie też znikła. Kristina siedziała na brzegu jeziora i wymiotowała, podtrzymując głowę rękami. Wyglądała, jakby ktoś złamał jej kręgosłup.

Parzyła na mnie tylko Brooke Robertson.

Odsunęła się już od ciała brata i wyprostowała. W ręku trzymała pistolet. Posługiwała się nim zręcznie, co powiedziało mi, że to ona jest tym lepszym strzelcem w rodzinie.

Weszła na pomost i zatrzymała się w jego połowie. Szła swobodnym krokiem, z wysoko podniesioną głową, a na jej twarzy widziałem to, co dobre, siłę przyciągającą mężczyzn i kobiety mieszkających tysiące kilometrów stąd, skłaniające ich, by mieszkali w miejscach takich jak to. Widziałem także wszystko, z czego rezygnowała, to, co gdzieś zgubione, oddane, poświęcone, by nadal żyć mimo zimna, gór, deszczu. A także złe rzeczy, pragnące żyć tu w samotności i śniące mroczne, leniwe sny o wymazaniu naszego gatunku z powierzchni ziemi.

Podniosła rękę.

– Dość tego, Brooke – powiedział głos.

Odwróciliśmy się jednocześnie, ona i ja. Z lasu

wyszedł szeryf Pierce. Karabin wycelował nie we mnie, lecz w nią.

– Dość tego – powtórzył. – Nie zamierzamy dopuścić, by to się powtarzało.

Brooke Robertson powoli opuściła rękę. Wydawało mi się, że obrzuciła Carol krótkim spojrzeniem, ale chyba nie chodziło o nią, lecz o dziecko, które trzymała w ramionach.

A potem spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się jakże autentycznym uśmiechem nastolatki, dziewczyny, która ma przed sobą ciekawe życie, mnóstwo rzeczy do zrobienia i którą czeka szczęście. Przedstawicielka nowego, pięknego pokolenia rodziny, którą los zawsze błogosławił.

A potem przyłożyła lufę pistoletu do podbródka i nacisnęła spust.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Przed rokiem, nim to wszystko się zdarzyło, przypomniałem sobie wydarzenie z dzieciństwa. Byłem wówczas świeżo upieczonym nastolatkiem, matka robiła coś w kuchni w ten jakże dla niej charakterystyczny, spokojny, systematyczny sposób, a ja siedziałem przy stole. Odrabiałem lekcje. Tata miał coś do roboty poza domem. Grało radio, najpierw ta piosenka, potem inna piosenka, aż wreszcie pojawiła się jakaś nieznana mi, zupełnie nie w moim guście, więc wyciągnąłem rękę, by zmienić stację.

Powstrzymałem się jednak, widząc matkę. Stała przy zlewie, wpatrując się w okno niewidzącym wzrokiem. Odwróciła się trochę, odrobinę, jakby robiła wszystko co w jej mocy, nim jakaś siła zmieni ją w kamień. Na jej skroni pulsowały żyły, przetykała co dwie sekundy, mrugała raz za razem, jakby walczyła o to, by utrzymać to coś w środku.

Gapilem się na nią zdumiony. Nagle uświadomiłem sobie, że słucha radia. Piosenka już się kończyła, zabrzmiały ostatnie tony, a ja wiedziałem, że mama nie może przyłapać mnie na tym, iż ją obserwuję. Wróciłem do lekcji. Trzeba było przeczekać.

Nie podniosłem wzroku, kiedy piosenka ucichła, a mama na kilka sekund wyszła z kuchni na korytarz. Słyszałem, jak kaszle, odchrząkuje i jak rękawem bluzki

ociera łzy.

Kiedy wróciła, robiła to co przedtem i tak jak przedtem. Kiedy wreszcie na nią spojrzałem, było tak, jakby nic się nie stało, choć gdy nasze oczy znów się spotkały, to, co pojawiło się wówczas na jej wargach, było najbardziej sztuczną i martwą rzeczą, jaką widziałem w życiu. Wyglądało jak uśmiech trupa.

Byłem bardzo młody, więc już następnego dnia to wydarzenie przeszło do historii. Nigdy nie spytałem matki, co się wówczas stało, zresztą jestem pewny, że gdybym spytał, toby mi nie odpowiedziała. Ale coś podobnego przydarzyło mi się zeszłego roku, kiedy siedziałem samotny w barze w Portlandzie, sześć lat po śmierci mamy. Z barowej szafy grającej dobiegła melodia, piosenka, której słuchałem z Jenny Raines, i nagle wydało mi się, że rozumiem, co mogło niszczyć ojca, kiedy skończyły się nasze spacery, co spowodowało, że się od siebie oddaliliśmy, a ja wpadłem w złe towarzystwo, zaciągnąłem się do wojska... Być może zrozumiałem wszystko, co się potem zdarzyło.

W cieniach mojego życia wyczuwałem obecność. Wierzę, że tamtego popołudnia piosenka chwyciła matkę za serce i wciągnęła ją w przeszłość, do czasów, o których nie pozwalała sobie myśleć, które, choć otoczyła je wysokim murem, nadal żyły. Że wyprowadziła ją na parking – każdy ma taki parking – i tam skopała ją do krwi.

Kiedy mnie się to zdarzyło, postąpiłem dokładnie tak

jak ona. Zakaszlałem, otarłem oczy rękawem i żyłem dalej.

\* \* \*

Żyję w Nowym Jorku. Mam małe mieszkanie w tej części East Village, która uparcie nie chce stać się modną i jest domem ludzi starszych, dla których angielski nie jest językiem ojczystym. Niektórzy z nich, jak mi mówiono, nie mają nawet, o zgrozo, ani jednego iPoda. Uliczki są tu wąskie, a drzewa nagie, przecież mamy zimę. To miejsce jest takie, jakie każde miejsce powinno być.

Do pracy w restauracji i barze Adriatico mam dziesięć minut spacerem, to kilka zakrętów od MacDougal. Zarabiam mniej, niż zarabiałem w Marion Beach, ale przynajmniej jestem oficjalnym chłopcem od pizzy, więc nie wierzcie nikomu, kto twierdzi, że na tym świecie nie ma nadziei na postęp.

Kiedy bar zamyka się nad ranem, rozmawiam chwilę z innymi pracownikami, a potem idę do domu ulicami, na których na ogół zawsze coś się dzieje, a nasze ludzkie światła, dźwięki i rozmowy uniemożliwiają wiarę, że i tu, jak wszędzie, kiedyś była dzicz.

Siadam na ganku, wypalam ostatniego papierosa, radując się dotykiem chłodnego kamienia i odgłosami dalekiego ruchu, a potem wchodzę po schodach na górę.

Ku mojemu nieustannemu zdumieniu nie żyję tu sam.

\* \* \*

Z tego, co mi mówiono, wynika, że restauracja w Marion Beach nie zwabia tłumów. Wiem, że Ted rozważa możliwość zamykania jej po sezonie, ale koszt pieca do pizzy ciągle go drażni, więc na razie nie zamknął.

Wróciłem z Oregonu w towarzystwie Becki i Kyle'a i wpadłem w sam środek kryzysu. Tamtej nocy, kiedy znalazłem się nad Murdo Pond, do Pelikana wezwano policję, mającą złapać kogoś, kto próbował go podpalić. Przy okazji Ted dowiedział się o tym, co zrobił Kyle, po czym natychmiast wpadł w biblijną furję. Zabronił mu spotykać się z córką. Spodziewałem się równie gwałtownego sprzeciwu jego córki, ale ona najwyraźniej też miała dosyć swojego chłopaka. Okazało się, że kiedy Billy zostawił ich przy domu Robertsonów i poszedł za mną, Kyle zwiął, wcale się o nią nie troszcząc.

Wyrzuciła go z życia, ale Kyle nie miał zamiaru się z tym pogodzić. Najwyraźniej nic nie rozumiał. Nie rozumiał, że Becki nie jest już jego dziewczyną i że nie ma już pracy. Raz jeszcze spróbował narkotycznego biznesu i szybko znalazł w nim swe miejsce. Konsumenta.

Problem został rozwiązany. Restauracja wlecze się poza sezonem powolutku, a Ted pozwala Eduardo wprowadzać do menu nowości. Tytułem eksperymentu. Becki ma nowego chłopaka. E-mailuje mi, dowodząc bardzo przekonująco, że wraca na studia, lecz tym razem

skończy zarządzanie, wróci do domu i zrobi z Pelikana potęgę franchisingu.

Na tym świecie zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

\* \* \*

Regularnie kontaktuję się także z Carol, głównie e-mailem, ale raz rozmawialiśmy przez telefon. Pozwoliła mi porozmawiać z Tylerem, kiedy ją o to poprosiłem. Nie mieliśmy sobie dużo do powiedzenia, ale przynajmniej próbowałem i nadal zamierzam próbować. Nie mam pojęcia, czy będę kiedyś dla niego prawdziwym ojcem. Robisz to, co robisz, czekasz, co z tego wyniknie, a kiedy wyniknie... no cóż, co się stało, to się nie odstanie.

Carol nadal przysięga na wszystkie świętości, że usługa pośrednictwa, za którą zapłaciła Brooke Robertson, nie miała działać przeciwko niej, i ja w to wierzę. Nie chciała nic więcej, tylko obrzydzić życie Jenny, zesłać na nią smutek, ale jeśli w naszym świecie uwolnisz to, co złe, tracisz kontrolę. Zło ma swoje własne plany, własne wymagania, tak wielkie i potężne, że zwykli śmiertelnicy nie są w stanie sobie tego wyobrazić. Ostatnia rzecz, jakiej chciała Carol, to skrzywdzić Scotta, ale był on najcenniejszą rzeczą w życiu mężczyzny, z którym inna kobieta popełniła grzech.

A więc coś się zdarzyło, ponieważ.

Próbujemy obciążyć innych winą za nasze nieszczęścia, wskazać ich palcem, poszukać okoliczności

łagodzących w zachowaniu, wierze, kolorze skóry obcych, ale dwa plus dwa nigdy nie równa się pięć. Czasami nie równa się nawet cztery. Często miewasz dwa z jednego rodzaju rzeczy, dwa z drugiego rodzaju i nie sposób ich połączyć tak, by wyszło z tego coś sensownego.

Nie potrafię wyjaśnić tego, co zdarzyło się podczas mojego pobytu w Black Ridge, ale wiem, dlaczego się zdarzyło.

Zdarzyło się przeze mnie.

W rezultacie naszych działań Carol zrobiła się lżejsza, a ja cięższy. I to jest w porządku.

\* \* \*

Resztę też rozumiem już nieco lepiej. Poskładałem część historii z rozmów z Carol i jeszcze z kimś.

Sądzę, że Brooke spowodowała rzucenie czegoś na ojca po tym, kiedy powiedział jej, że ma zamiar spełnić życzenie Ellen i założyć nową rodzinę. Jestem pewny, że wytłumaczyła sobie, iż robi to, by zachować spuściznę pokoleń, że wszystkiemu winne są wymagania nowej żony, ale podejrzewam, że tak naprawdę sprawa była znacznie bardziej osobista. Bo powiedziano mi także, jak zniekształcona historia Brooke stała się częścią szkolnej legendy: pewnej nocy przyszła do nauczyciela płonąca szczenięcą miłością, nauczyciel zgwałcił ją, a sekret i źle wykonana aborcja pozbawiły ją najmniejszej szansy na



urodzenie dzieci. Mogła nawet umrzeć, gdyby nie interwencja Marie Hayes.

Cory był ostatnią szansą Robertsonów, bez niego ich krew nie mogła służyć miasteczku, ale po nocy nad Murdo Pond znikły szanse na jego służbę i wszystko inne. Wpływy Robertsonów skończyły się definitywnie, chyba że przez to, co zrobiła Brooke, los zapoczątkowany śmiercią jej matki i ojca zatoczył pełny krąg. Bo Brooke wiedziała, co robi, i nie brakowało jej silnej woli. Jej uczucie do Black Ridge było tak bliskie miłości, jak to w ogóle w jej przypadku możliwe, więc całkiem prawdopodobne, że przelano wystarczająco wiele krwi, by przynajmniej na jakiś czas oznaczyć leśne ścieżki nowymi zmarłymi.

W końcu Robertsonowie też byli rodziną, a teraz już ich niema.

\* \* \*

Ilekcroć dziś myślę o Murdo Pond, mam ochotę kopnąć się za to, że nie zorientowałem się od razu, skąd ta nazwa, ale ta historia została dobrze ukryta. Wkrótce po przyjeździe do Nowego Jorku, w *Historii czarów w Nowej Anglii* Forta i Reznikoffa, którą zdobyłem dzięki usłudze wyszukiwania rzadkich książek sieci Strand, znalazłem jednozdaniową notkę o kobiecie nazywającej się Bridget Hayes. Sądono ją w Murraytown, w Massachusetts, w 1693 roku, i uniewinniono dzięki

świadczeniu złożonemu przez najważniejszych mieszkańców, przede wszystkim członków klanów Evansów i Kellych. Akta sądowe nie cytują Robertsonów, choć z kronik wiadomo, iż żyła wówczas w mieście ważna rodzina o tym nazwisku. Te same kroniki wspominają, że niemal dwieście lat później cztery rodziny ruszyły na Zachód. Odpowiednie dane znalazłem w cienkiej historii Murraytown, wytopionej z pomocą AbeBooks. Autor nie zastanawia się, dlaczego trzy zamożne rody zdecydowały się stawić czoło niepewnej przyszłości na nieprzewidywalnym pograniczu i dlaczego otoczyły opieką zwykłego hodowcę mlecznego bydła i jego rudowłosą żonę, także noszącą nazwisko Hayes.

Pod innymi względami pozycja ta okazała się jednak godna zaufania, między innymi podano w niej liczbę dzieci w każdej rodzinie. Wyruszając, Kelly mieli ich dwójkę. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że w drodze urodziło im się trzecie, nieprawdopodobne wydaje się jednak, by zdążyło dorosnąć do rozmiaru trzeciego dziecka, które, jak sądzę, widziałem wraz z nimi.

Podejrzewam, a może mam nadzieję, że tym trzecim dzieckiem był Scott.

Nie chcę myśleć, że pozostał w lasach samotny. Choć to Ellen mogła ułożyć wzór z gałązek na ziemi w lesie koło terenu piknikowego, nie sądzę, by wydrapała podobny na ścianie motelu. Chcę wierzyć, że to duch Scotta próbował odegnać siły żyjące w lesie, posługując się znakami, które, wreszcie udało mi się do tego dojść, są

bardzo podobne do układu ulic w Black Ridge. Później widywałem ten wzór w innych miejscach, a przynajmniej podobny, także na znalezionych w Internecie fotografiach malarstwa jaskiniowego i europejskich strojach ceremonialnych. Zastanawiałem się wówczas, czy te prehistoryczne sztychy są nie mapami, lecz raczej próbami utrzymania na dystans stworów, których istnienie nasi przodkowie wyczuwali, choć nie mogli ich zobaczyć.

Lub może, w niektórych przypadkach, wyrazem hołdu.

Próba wykorzystania ich mocy.

Zastanawiałem się także, czy Brooke nie mówiła przypadkiem prawdy ten jeden jedyny raz, że to nie ona dzwoniła do mnie po tym, gdy w nocy znalazłem znaki wydrapane na tylnej ścianie motelu. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że hałasy na linii mogły być głosem dziecka wołającego z bardzo, bardzo daleka.

Oczywiście nie potrafię wyjaśnić, jak to możliwe, ale pewnego dnia rano, całkiem niedawno, zjąłem z półki małą ceramiczną wazę, poszedłem nad East River, odczekałem, aż nikogo nie będzie w pobliżu, i wysypałem prochy Scotta do wody. W wazie – i w jeziorze – można uwięzić człowieka, ale stąd jego prochy dotrą w końcu do morza. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

\* \* \*

Switch przeżył. Odmówił przyjęcia forsy kumpla, połowy tego, co obaj mieli wziąć za robotę, ale swoje dwadzieścia pięć tysięcy wziął.

Pewnego dnia, dwa tygodnie przed wyjazdem z Marion Beach, późnym popołudniem, pojechałem do Portlandu. Obok mnie siedział Kyle. Znalazłem go w Astorii, cierpiącego na kanapie w domu jednego z niewielu przyjaciół, którzy mu zostali. Przez ostatnie tygodnie nachalnie próbował porozmawiać z Becki, napastował ją na ulicy, robił się coraz bardziej agresywny. Zwyczajnie nie potrafił zostawić jej w spokoju i wyglądało na to, że wierzy, iż jeśli uda mu się nagiąć dziewczynę do swojej woli, świat znormalnieje, jakby nic się nigdy nie stało.

No więc zawarłem z nim układ. Powiedziałem mu, że ma pojechać ze mną do Portlandu. Pomogę mu wykaraskać się z kłopotów, używając do tego własnych pieniędzy, jeśli okaże się to konieczne, po czym pojedziemy na lotnisko. Zapłacę za bilet dokądkolwiek w Stanach Zjednoczonych, może wybierać. W zamian odpieprzy się od córki Teda raz na zawsze.

Siedział skulony na kanapie, wyłamywał palce, pociągał nosem, ale w końcu się zgodził. Może nawet wyczuł, że moja propozycja to najlepsze, co ten świat może mu jeszcze zaoferować.

W Portlandzie zostawiłem go w barze, sączącego bacardi. Przeszedłem piechotą kilka przecznic, dzielących mnie od miejsca, gdzie umówiłem się z przedstawicielami

gangu, który pierwszy sprzedał mu narkotyki do rozprowadzenia. W nawiązaniu kontaktu pomógł mi Switch, to od niego dostałem numer właściwego telefonu.

Czekało na mnie trzech facetów. Wyjaśniłem im, że nie życzę sobie, by ktokolwiek w jakikolwiek sposób zagrażał Tedowi, jego restauracji i córce. Po czym przedstawiłem propozycję.

Wysłuchali mnie, odeszli na bok, pogadali. Następnie najniższy – nie wiem dlaczego, ale zazwyczaj jest to najniższy podszedł do mnie i powiedział: „Dobra”.

– I to będzie koniec?

– Powiedziałem „dobra”. Nie przeciągaj struny.

Uśmiechnąłem się. Popatrzył na mnie groźnie, ale nagle mrugnął, odwrócił głowę, jakby poczuł słaby powiew gęstego zapachu rozchodzącego się ulicą, a może spadającego z góry, a może wydobywającego się z mężczyzny stojącego naprzeciw niego.

Suchy, słodki zapach.

– Tak – powiedział cicho, spokojnie. – Jesteśmy kwita.

Powiedziałem im, w którym barze zostawiłem Kyle’a, wróciłem do samochodu i pojechałem do domu.

\* \* \*

Bill też przeżył, choć przez jakiś czas wyglądało to wręcz beznadziejnie, i teraz jest zdrowszy, niż był kiedykolwiek. W Black Ridge nastały dobre czasy, na

skalę miasteczka. W ciągu paru miesięcy otworzyły się aż trzy nowe interesy. Bill wziął sobie wtedy wolne, poszliśmy i schlaliśmy się po bożemu, oczywiście na koszt jego klienta. Zwierzył mi się, że znów rozmawia z Jenny i Jenny wydaje mu się szczęśliwsza. Posłał jej nawet trochę forsy, żeby mogła otworzyć mały biznes jubilerski u siebie, w Colorado.

Niektórzy ludzie mają zdolność robienia dobrze, czasami tak wielką, że mnie to zdumiewa. Mam nadzieję, że kiedyś przestanie zdumiewać aż tak bardzo.

\* \* \*

Parę tygodni później podejmowałem kolejnego gościa.

To miała być tylko kolacja. Nie mogła już mieszkać w rodzinnym miasteczku, miała nawet bilet lotniczy do Europy. Ostatecznie nie skorzystała z niego i Kristina Hayes jest teraz barmanką w Adriatico. Przypadki bójek i przeklinania spadły za jej rządów do zera, a właściciel uważa ją za największy cud od czasu wynalezienia krojonego chleba. Całkiem możliwe, że ma rację.

Są noce, kiedy leżę obok niej, czekam, aż nadejdzie sen, i próbuję załatać dziury. Zrozumieć, czy to Brooke namówiła Ellen, by się ze mną skontaktowała, obiecując w zamian, że odwróci od niej klątwę, zapomni o przeszłości, a potem złamała warunki umowy. Coś, co Ellen powiedziała mi podczas ostatniego spotkania, kilka

słów o tym, że nie była dobra, mogło świadczyć na korzyść tej hipotezy. Jeśli tak było, nie winię jej. Robisz, co możesz, by chronić tych, których kochasz, w tym sobie.

Próbuję także dojść, w którym momencie Brooke postanowiła poświęcić inną rodzinę, złożyć ją w ofierze jezioru nazwanemu później Murdo Pond. Czas, który upłynął między śmiercią Scotta a tym, co zdarzyło się pięć miesięcy temu, daje mi nadzieję, że przynajmniej ona była przypadkowa, a Brooke Robertson wykorzystała ją i uznała, że należy zakończyć to, co rozpoczęła, dając nową energię miasteczku powołanemu do życia przez ofiarę rodziny Kelly, złożoną przeszło sto lat temu.

Kristina twierdzi, że nie wie. Prawdopodobnie nie ma to żadnego znaczenia. Każdego dnia umieramy po kawałku, to jakaś forma ofiary, ale nasz świat i sytuacje, w których się znajdujemy, wymagają od nas znacznie więcej. Częściowo z tego powodu zawarłem układ w sprawie Kyle'a. Prawda jest taka, że czas porusza się tylko w jedną stronę. Nie można się cofnąć, sprawić, że nie zrobiło się tego, co się zrobiło, że nie powiedziało się tego, co się powiedziało. Najlepsze, co można zrobić, to dopilnować, by złe uczynki popchnęły nas w przyszłości w dobrą stronę.

A jeśli to się nie uda, trzeba przejść nad nimi do porządku dziennego.

\* \* \*

Moje ostatnie wspomnienie o Scotcie jest takie: miał pewnie ze trzy lata. Próbował wspiąć się na kuchenny blat, chociaż wiedział, że mu tego zabraniamy. Blat był wystarczająco wysoki, by mógł zrobić sobie poważną krzywdę, spadając na wyłożoną kafelkami podłogę. Oboje z Carol zostawialiśmy czasami noże w zlewie, a z blatu łatwo było do niego sięgnąć.

Blat był więc ziemią zakazaną, ale w wieku Scotta coś takiego nie istnieje, zwłaszcza gdy na odważnych czeka nagroda w postaci słoika z cukierkami. Byłem wtedy czymś zajęty, zapewne parzyłem sobie kawę, i choć wiedziałem, że podstawia sobie krzesło, do mojej świadomości nie dotarło jeszcze, że powinienem interweniować.

Nagle usłyszałem trzask. Odwróciłem się. Podłogę zaścielało potłuczone szkło. Wiedziałem, że szklanka stała na blacie, dokładnie w tym miejscu, w którym spoczywała teraz rączka chłopca. Scott też to doskonale wiedział, ale zrobił to, co robimy wszyscy.

– Tato – powiedział bardzo poważnie i absolutnie szczerze – to nie ja.

\* \* \*

Tydzień temu wróciłem z wyprawy po książki i zastałem Kristinę stojącą na chodniku koło naszego domu. W rękę trzymała brązową papierową torbę, więc



wracała z zakupów, gdy nasza starsza sąsiadka złapała ją za guzik. Zdarza się to od czasu do czasu na naszej ulicy, to jeden z miłszych aspektów mieszkania właśnie tutaj, pod warunkiem że masz dużą tolerancję na słuchanie wciąż tego samego.

Podszedłem bliżej i zorientowałem się, że nie wygląda to na typową opowieść o tym, jak kiedyś, dawno temu, było tu lepiej lub gorzej, lub właściwie tak samo. Kobieta była siwa, mała i chuda. Od czasu do czasu kłanialiśmy się sobie, kiedy mijaliśmy się na ulicy. Zdaje się, że była Polką. Wielu starszych mieszkańców zachowywało się w obecności Kristiny ostrożnie, ale nie ona. Stała blisko niej i mówiła coś szybko i cicho.

Zobaczyła mnie i umilkła.

– W porządku – powiedziała Kristina. – On wie.

Starsza dama obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem i całą uwagę znów skupiła na niej.

– Wiem, gdzie mieszka – szepnęła. – Niedaleko stąd. Mogę ci pokazać.

Kristina była uprzejma i kobieta wreszcie odeszła. Ale wiem, że wróci.

Czy zdoła oprzeć się pokusie? Wątpię. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, i w końcu zawsze robimy to, co robimy.

Tak to już w życiu jest.